

MOC CZYTANIA NA MAJÓWKĘ PTAKI W LORNETCE | CZAS NA CHIRURŻKI
KLUCZ DO KACZYŃSKIEGO | IRAN-IZRAEL: WROGOWIE IDEALNI | WIARA BEZ WINY
OSTATNI MECZ KLOPPA | KRÓLOWA ZENDAYA | OWADZI SEKS **PODWÓJNY NUMER**

Kraków 24 kwietnia–7 maja 2024 nr 17-18 (3903-3904) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Makłowicz: Jak umilić sobie życie

STRONY SPECJALNE

- 20 LAT MINĘŁO.
POLSKA W UNII
- EMILIA SZCHANIECKA,
ROMANTYCZNA POZYTYWISTKA



ODZYSKANA AWANGARDA

LEŚ KURBAS
PISMA TEATRALNE

ODZYSKANA AWANGARDA

+
::



POLSKA AWANGARDA
TEATRALNA 1919–1939

ANTOLOGIA
ODZYSKANA AWANGARDA

+
::



EWA GUDERIAN-CZAPLIŃSKA
SZARA STREFA AWANGARDY I INNE SZKICE

ODZYSKANA AWANGARDA

+
::



EMIL FRANTIŠEK BURIAN
TEATR DYNAMICZNY

ODZYSKANA AWANGARDA

+
::



MAŁGORZATA DZIEWULSKA
AWANGARDA PODKARPACKA

DZIENIEC BEBOŻAŻY
HISTORICZNYCH

ODZYSKANA
AWANGARDA

+
::



LEXICON

A LEXICON OF THE CENTRAL-
EASTERN EUROPEAN INTERWAR
THEATRE MOVEMENT

PERFORMANCE RESEARCH BOOKS

+
::



Seria
o międzywojennej
awangardzie
teatralnej
Europy Środkowo-
-Wschodniej

Dostępna w księgarni Instytutu Teatralnego Prospero
ul. Jazdów 1 w Warszawie oraz na www.prospero.e-teatr.pl.

Publikacje zostały przygotowane i wydane w ramach projektu *Odzyskana awangarda. Polska i środkowo-europejska awangarda teatralna* finansowanego w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2018–2024, nr projektu 11H 17 0144 85.

instytut+teatralny
im. Zbigniewa Raszewskiego



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

KS. ADAM

Boniecki: Kwiecień plecień

NIEDAWNO BYŁO LATO, JESZCZE NIGDY NIE WIDZIAŁEM takiego w kwietniu. Teraz bzy marzną, niedaleko, tuż pod Krakowem spadł śnieg. Chciało się wychodzić, teraz w ogóle się nie chce – zimny wiatr i szarość. W taki czas jakoś nie wypatruję nowego, nie czekam na świeże lektury, raczej przyglądam się zakamarkom pótek, ciekaw, co mi tam zostało, co na taki czas czeka.

I tak wypatrzyłem książkę ks. Jana Kosmowskiego o moim współbracie, księdzu Krzysztofie Szwermickim (1814-1894), wydaną rok temu. Ma przypomnieć człowieka, ma uporządkować fakty, odczedzić zmyślenia czy błędy od faktów sprawdzonych. Dowiadujemy się też, jak wielu rzeczy o nim nie wiemy. Nie wiemy, bo nie są nigdzie zapisane: był jednym z wielu, którzy brali udział w walkach powstania listopadowego (miał wtedy szesnaście lat), więzieniem władz carskich w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej przez pięć lat (napisze o tym bardzo wstrzemięźliwie w liście do kuzynki). Skazany na zsyłkę, jedzie na Syberię (niewiele wiemy o tej jego podróży). Tam rozwija swoją niezwykłą działalność.

Znalazł się w Irkucku, najpierw jako gość, potem proboszcz i kapelan oddziałów syberyjskich. Ważne, że gdy w listopadzie 1855 r., na mocy ukazu o amnestii, otrzymuje pozwolenie na powrót do ojczyzny, widząc wielkie potrzeby miejsca, w którym się znalazł jako skazaniec, rezygnuje z powrotu i zostaje w Irkucku. Pracuje tam do śmierci. Wybrał służbę ludziom w okrutnej Rosji, w syberyjskim zimnie.

Książka opowiada o tym. O jego ciepłym stosunku do ludzi bez względu na wyznanie, o przyjaźni z Józefem Kalinowskim, zesłańcem, późniejszym karmelitą wyniesionym na ołtarze, który dość długo mieszkał w domu księdza Szwermickiego. Opowiada o wyremontowaniu kościoła i pożarze, który



pochłonął ten kościół, o budowie nowego, który do tej pory istnieje, a nade wszystko opowiada o jego duszpasterstwie i duszpasterskich podróżach, czasem trwających miesiącami. O pobiciu go przez złodziei, co się przyczyniło do śmierci, i wspaiałym pogrzebie, w którym uczestniczyli ludzie wszelkich wyznań i niewierzący.

Szwermicki był jedyny w swoim rodzaju. Wielu księży zesłano na Syberię, ale Szwermicki był jednym z nielicznych, którzy tak wiele zbudowali. Zaangażowanie w los zesłańców stano-

wiło jego własny wybór. Przecież mógł, jak tylu innych, po amnestii wrócić do Polski lub na Litwę. Został, bo widział, że tam jest potrzebny. Powiedzmy szczerze, niewielu z nas w taki sposób patrzy na swoje życie. Autor książki nie rozwodzi się nad ostatnim etapem życia swego bohatera. Widocznie ten etap nie został nigdzie opisany. Napad, pobicie, jeszcze jedno wyjście do kościoła, by ochrzcić córkę przyjaciół, śmierć i wspaiały pogrzeb... W tym finale jest cały jego los, granice wyboru.

Władze radzieckie postarały się, by wspomnienie księdza Szwermickiego wraz z katolicką tradycją tamtych miejsc poszły w zapomnienie. Grób księdza został zlikwidowany, na terenie dawnego cmentarza znajduje się publiczny park. Może nocami duch ojca Krzysztofa Szwermickiego przechadza się po tym parku, może wstępuje do kościoła, który dziś służy jako sala koncertowa i tylko przez chwilę w niedzielę jest kościołem, może odwiedza potomków jego znajomych. Nie do końca wykorzeniona pamięć żyje i się odradza, a książka ks. Kosmowskiego jest ważnym etapem na tej drodze.

Tak sobie myślę w przenikliwie zimne kwietniowe dni, zaraz po krótkim lecie tej wiosny. ©P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.



zapisz się!



**BOHATER
Z OKŁADKI**

30 Życie należy sobie umilać

ROZMOWA Z ROBERTEM
MAKŁOWICZEM:

*Napężenie i koncentracja
na zbyt ambitnych celach
powodują, że organizm
źle pracuje,
wytwarzają się
nie dobre kwasy
żółdkowe.*

62 Autostrada do nieba

ROZMOWA

Z IRMINĄ WOLNIAK:

*Religijny system kar
i nagród okrada
z głębi duchowej
i utrudnia
zbudowanie żywej
więzi z Bogiem.
Tymczasem
łaska Boga jest
skandaliczna, burzy
schematy religijne.*



118 Z jak Zendaya MICHAŁ

WALKIEWICZ
*Choć ma na
koncie Złoty
Glob i dwie
nagrody
Emmy, jest
większa niż
wszystkie te
totemy sławy.*



27 Chirurgżki MAŁGORZATA NOCUŃ

*Dawniej kobieta
w tym zawodzie
kojarzyła się tylko
z kiepską lekarką
i marną matką.*



72 Skok przez beret MONIKA OCHĘDOWSKA

*Adopcja
starego
zwierzęcia
to dojrzały
wybór. Pies
nie będzie już
tak aktywny
jak szczeniak,
trzeba
mu będzie
poświęcić dużo
uwagi i wydać
na niego więcej
pieniędzy.*



98 Ewolucja nie może się zdecydować

ROZMOWA Z MARLENE ZUK, BIOŁOŻKĄ: *Ludzie się śmieją,
ze chrzęszcze próbują spółkować z butelką po piwie.*



Następne wydanie „Tygodnika” ukaże się w kioskach **w środę 8 maja**. E-wydania już dzień wcześniej wieczorem

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Decyzje, które ratują życie
WOJCIECH PIĘCIAK

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Nasze dzieci, nasza sprawa
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Co musiałoby się stać, by wychowankowie ukraińskiego sierocińca pozbyli się przemocowej kadry?*

24 Klucz do Kaczyńskiego
ROBERT KRASOWSKI: *Nigdy nie chciał rządzić. Chciał być liderem opinii*

27 Chirurżki
MAŁGORZATA NOCUŃ

■ ■ ROZMOWA

30 Życie należy sobie umilać
ROZMOWA Z ROBERTEM
MAKŁOWICZEM

■ ■ Z ODDECHEN

36 Znaleźć pełnię
PIOTR SIKORA: *Poradniki o tym, jak radzić sobie z trudnościami i osiągnąć życiowy dobrostan, zajmują w księgarniach wiele półek. Jak się w nich nie pogubić i dobrze wybrać?*

■ ■ PORTRET

58 Komunia Kloppe
MICHAŁ OKOŃSKI: *Oto człowiek, którego chcielibyście mieć za trenera, nawet jeśli nie jesteście kibicami*

■ ■ WIARA

62 Autostrada do nieba
Rozmowa z Irminą Wolniak

66 Majówka w środku miasta
ARTUR SPORNIAK: *Wystarczy zaprosić na nabożeństwo majowe w internecie, by ludzie przyszli i się modlili. Co to mówi o potrzebach religijnych?*

KRZYSZTOF STORY

TEMAT TYGODNIKA



12 Szkoła latania

KRZYSZTOF STORY

Patrzanie na ptaki to darmowy trening
cierpliwości i spokoju. I wcale nie chodzi
o pogoń za rzadkim gatunkiem.

■ DODATKI I STRONY SPECJALNE ■

41 20 LAT MINĘŁO. POLSKA W UNII

75 FILOZOFIA JEST NA FALI

76 MALBORK. NOWE PRZEDZAMCZE

89 EMILIA SZCANIECKA,
ROMATYCZNA POZYTYWISTKA

■ FELIETONY ■

39 TOMASZ STAWISZYŃSKI

71 WOJCIECH BONOWICZ

116 OLGA DRENDA 117 PAWEŁ BRAVO

122 STANISŁAW MANCEWICZ

122 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

ROBERT MAKŁOWICZ, KWIECIEŃ 2024 R.

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący:
MACIEJ MÜLLER

68 Stara wiara

JACEK TARAN: *Co przyciąga do współczesnego pogaństwa*

■ ■ REPORTAŻ

72 Skok przez beret
MONIKA OCHEŃDOWSKA

■ ■ ŚWIAT

78 Wrogowie idealni
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Skąd wziął się egzystencjalny konflikt między Iranem a Izraelem?*

82 Leżak w leżak z agresorem
MAŁGORZATA WRYK Z TURCJI: *Niewiele jest miejsc, dokąd z Rosji może wyjechać jej zamożny obywatel*

85 Karabiny w goździkach
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z PORTUGALII: *Dyktaturę, która trwała tu ponad 40 lat, obalono w jeden dzień*

■ ■ NAUKA

98 Ewolucja nie może się
zdecydować
ROZMOWA Z MARLENE ZUK, BIOŁOŻKĄ

■ ■ KULTURA

104 Erudyta z podwórka
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *„Lakuna” to kolejna księga Małego Testamentu według Pawła Sołtysa*

108 Inna strona czasu
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Nowy Teatr Krzysztofa Warlikowskiego zmęczony sam sobą wszedł w smugę cienia*

111 Głowa z koszyka
OLGA ŻYMINKOWSKA: *Dla Céline’a wojna to najgłębszy rodzaj wglądu w ludzką naturę*

114 Przemiany i olśnienia
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Samsara”

115 Pożytki z uważności
LEKTOR o „Dziennikach pocieszenia”
Wojciecha Bonowicza

■ ■ ZMYŚŁY

118 Z jak Zendaya
MICHAŁ WALKIEWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ Kreml w Afryce

Już wkrótce cały Sahel może stać się wyłączną strefą wpływów Rosji. O tym, jak Zachód traci wpływy na kontynencie, pisze
WOJCIECH JAGIELSKI | TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata

➤ Film do przegadania

„Pies i Robot” skłania do namysłu nad tym, czym tak naprawdę jest przyjaźń – ANITA PIOTROWSKA ogląda oscarową animację
TygodnikPowszechny.pl/weekend

Na wiosnę kwartał popłaca. Sprawdź na stronie **103**

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



DECYZJE, KTÓRE RATUJĄ ŻYCIE

WOJCIECH PIĘCIAK

ROMAN CZUJE, ŻE JEST NA GRANICY WYtrzymałości. Gdy przychodzi alert, że wroga rakietą zbliża się do jego sektora odpowiedzialności, i gdy włącza radar, by ją namierzyć, a następnie odpalić rakietę przechwytyjącą, czuje się, jakby stał nagi na pustym placu i machając rękami, krzyczał do Moskali: „halo, tu jestem!”.

Zestaw przeciwlotniczy Buk, w którym Roman jest operatorem, to technika sowiecka, Rosja ją zna. Za każdym razem, gdy on włącza radar przynależny do zestawu, staje się widoczny dla wroga, który usiłuje go zlokalizować. Niszczenie obrony przeciwlotniczej to priorytet Moskali. Jeśli uda im się namierzyć Romana i jego kolegów, posłą im iskandera. Dwa razy pocisk już na nich spadał. Chybił nieznacznie – spłonęły ich auta.

Dlatego swój radar Roman włącza na krótko. Optymalnie na nie dłużej niż kilka-

Pół roku:
tak długo partyjny spór
w USA blokował
pomoc dla Ukrainy.
Teraz dostawy mają ruszyć
w ciągu paru dni.
Obrońcy czekają zwłaszcza
na broń przeciwlotniczą
– rosyjskie rakiety
coraz skuteczniej
niszczą kraj.

POWYŻEJ:

Alarm przeciwlotniczy w mieście Dnipro – ci ludzie nie zdążyli jeszcze uciec do schronów. 19 marca 2024 r.

dziesiąt sekund. Kiedyś dostał rozkaz i musiał wytrzymać pięć minut. Myślał, że zważy z napięcia.

NAPIĘCIE TO JEDNO. Drugie to świadomość, że jego życie zawęziło się do paruset metrów, które zajmuje zestaw Buk: wyrzutnie antyrakiet, radar, ciężarówka rozrzucone na małym obszarze. Nie można wyskoczyć na tyły, alert może nadejść w każdej chwili. I tak od dwóch lat. Z perspektywą, że to może potrwać Bóg wie jak długo.

Z przyjętych niedawno przez parlament przepisów o mobilizacji wypadł projekt zapisu, że ci, którzy już długo służą, mogą być demobilizowani. O usunięcie go prosiło dowództwo – w braku żołnierzy. Tym bardziej specjalistów. A on, mężczyzna ponad pięćdziesięcioletni, jest specjalistą: za młodu, odbywając zasadniczą służbę w sowieckiej armii, dwa lata szkolił się na zestawach Buk. Wie, że na zwolnienie nie ma co li-

czyć. Choć służy od początku: zgłosił się 24 lutego 2022 r., na ochotnika. Odtąd przez dwa lata w domu był tylko parę razy, krótko. Raz już siedział w aucie, już napisał żonie, że jedzie, gdy go zawrócili.

Bliscy powtarzają mu, że od jego decyzji zależy czyjeś życie. Pociąg jest też kotka. Przyplątała się i została. Niedawno urodziła kilka młodych. Gdy Roman ma się źle, zwierza się kotce. Ona cierpliwie słucha.

DECYZJĘ, OD KTÓREJ zależy życie – ludzi i całego państwa – podjęła 20 kwietnia większość Izby Reprezentantów, izby niższej parlamentu USA. Przegłosowała pakiet kilku ustaw uwalniających pieniądze dla sojuszników. Na pomoc dla Ukrainy przewidziano 61 mld dolarów. Jeśli pakiet przyjmie Senat (a to wydaje się formalnością), nowe dostawy sprzętu mają ruszyć w ciągu kilku dni.

Wcześniej – na pół roku – kwestia pomocy USA dla Ukrainy stała się zakładniczką wewnętrznej polityki. Republikanie, którzy w Izbie mają większość, blokowali pakiet. Donald Trump liczył, że im gorzej dla Bidena, tym większe jego szanse na wygraną w listopadzie (dziś sondaże pokazują, że szanse Trumpa i Bidena są wyrównane).

Co się stało, że dał zielone światło dla odblokowania pomocy? Czy przekonały go ostrzeżenia wywiadu, że Ukraina może jeszcze w tym roku przegrać? Wówczas odium klęski spadłoby na niego. Czy może argumenty tych, którzy przekonywali go, iż przetrwanie Ukrainy jest ważne nie tylko dla Europy? W każdym razie w minionym tygodniu Trump zmienił ton. „Wszyscy jesteśmy zgodni, że przetrwanie i siła Ukrainy powinny być znacznie ważniejsze dla Europy niż dla nas, ale także i dla nas jest to ważne!” – oznajmił. I choć nie brakło tu przytyku do Europy, przesłanie było jasne i wkrótce potem lojalny wobec Trumpa przewodniczący Izby Reprezentantów poddał pakiet pod głosowanie.

JEDNAK SKUTKI półrocznego zaniechania są widoczne. Być może

najbardziej dramatycznie widać je w obszarze obrony przeciwlotniczej, która od wielu tygodni słabnie. Wprawdzie nadal dobrze radzi sobie z rosyjskimi dronami dalekiego zasięgu, ale coraz gorzej z rakietami balistycznymi i pociskami manewrującymi. Kilka miesięcy temu udawało się jej zestrzelić większość rakiet i pocisków, dziś odsetek zestrzeleń spadł do 25 proc. lub mniej.

W efekcie w ciągu ostatniego miesiąca Rosjanom udało się zniszczyć tak wiele elektrowni, że cały system energetyczny jest na granicy wydolności. Coraz częściej rakiety bezkarnie spadają na miasta. Czernichów, Dnipro, Selydowe: to niektóre z miejsc, gdzie w ostatnich dniach ginęli liczni cywile. Charków jest pod ogniem codziennie i wygląda to tak, jakby agresor chciał doprowadzić do sytuacji, gdy miasto nie będzie nadawać się do życia.

Słabnie też obrona nieba w strefie frontowej. Tu wróg coraz częściej atakuje lotnictwem, które zrzuca bomby kierowane. Ratunkiem – obok zachodnich systemów przeciwlotniczych i amunicji do nich (jedna antyrakietą do zestawu Patriot to 4 mln dolarów) – mogą być zachodnie samoloty. Dostawy F-16 spodziewane są wczesnym latem.

PAKIET PRZESZEDŁ. Jednak i jego półroczna odyseja, i głosowanie nad nim (mimo zgody Trumpa większość republikańskich posłów była przeciw) pokazują, że Europa nie może zdać się już na Stany, że musi wziąć odpowiedzialność i za siebie, i za Ukrainę. Bo tych 61 mld to być może ostatnie takie wsparcie USA. Nawet jeśli w listopadzie wygra Biden, dalsze decyzje mogą stać się zakładnikami kolejnej amerykańskiej „wojny domowej”.

Tymczasem w wywiadzie udzielonym w minionym tygodniu moskiewskiemu radiu minister Siergiej Ławrow nie pozostawił wątpliwości, że cele agresora są niezmiennie: Ukraina to część „rosyjskiego świata”, ma być rosyjska, mówić po rosyjsku i tak wychowywać swoje dzieci. ©P



Trudne wybory

MAREK KĘSKRAWIEC

PO NAJOSTRZEJSZEJ KAMPANII W HISTORII SAMORZĄDU popierany przez Koalicję Obywatelską Aleksander Miszański pokonał Łukasza Gibałę w wyścigu o fotel prezydenta Krakowa. Zdobył 51 proc. głosów, a jego konkurent – 49 proc. Sporo osób zostało w domach z powodu fatalnej pogody, a dodatkowo wielu krakowian do samego końca nie wiedziało, czy chce totalnej zmiany w urzędzie (Gibała), czy raczej kontynuacji epoki Jacka Majchrowskiego (Miszański).

Wybór komplikowało to, że obaj kandydaci spotkali się z falą ogromnego hejtu i insynuacji, zwłaszcza na temat rzekomego uzależnienia od deweloperów. Najsukceszniejsza była jednak akcja sklejenia niezależnego i związanego raczej z częścią aktywistów Gibały z... partią Jarosława Kaczyńskiego.

Niektórzy politycy PiS rzeczywiście namawiali do głosowania na Gibałę, ale w efekcie mogli zrazić do niego część elektoratu centrowego.

Równie ciekawy wyścig odbył się we Wrocławiu, gdzie Jacek Sutryk, obecny prezydent startujący z poparciem PO, ale skonfliktowany z częścią jej aparatu i obciążony odpryskami afery Collegium Humanum, niespodziewanie zyskał konkurentkę: Izabelę Bodnar z Trzeciej Drogi. W ostatnich dniach kampanii kandydatka mówiła, że w mieście dojdzie do starcia o wartości, jednak nie było jej łatwo używać tego argumentu w sytuacji, w której na jej mężu ciążył zarzut o wręczenie łapówki w zamian za pozytywne wyniki kontroli w jego spółkach. Ostatecznie wyścig wygrał wyraźnie obecny prezydent: 68,3 do 31,7 proc.

Druga tura odbyła się w 60 miastach. Ciekawe boje toczono jeszcze w Poznaniu (wyraźnie wygrał tam faworyt, Jacek Jaśkowski, który zdobył 70,7 proc. głosów), Olsztynie (Robert Szewczyk z KO zdobył 53,4 proc.), Kielcach (zwyciężyła tam Agata Wojda z KO), Toruniu (wieloletni prezydent Michał Zaleski przegrał z Pawłem Gulewskim z KO, który zdobył 65 proc.) oraz w Rzeszowie, gdzie zdecydowanie zwyciężył Konrad Fijołek (54,9 proc.) po pokonaniu kandydata PiS Waldemara Szumnego (45,1 proc.). Dawna partia władzy może cieszyć się w zasadzie tylko z wygranej w Inowrocławiu, kojarzonym z rodziną Brejzów.

Frekwencja w drugiej turze wyniosła średnio 44 proc., co jest wynikiem dobrym. Zazwyczaj waha się ona od 35 do 40 proc., z rekordem w 2018 r., kiedy to osiągnęła 48,8 proc. ©P



Bilety do Brukseli

PIOTR ŚMIŁOWICZ

KOŃCZY SIĘ KOMPLETOWANIE list głównych ugrupowań politycznych pod kątem wyborów do Parlamentu Europejskiego. Dla PiS są one okazją do rozstrzygnięcia problemu związanego z trzema osobami: Mariuszem Kamińskim, Maciejem Wąsikiem oraz Danielem Obajtkiem. Ich start z dobrych miejsc i ewentualne zdobycie mandatu – w przypadku Kamińskiego i Wąsika – honorowo rozwiąże kwestię ich spornych mandatów poselskich, zwłaszcza że na kolejną mobilizację sympatyków partii wokół obu panów nie ma już szans. Objęcie immunitetem PE ochroni zaś ich przed rozliczeniami za działalność w rządzie PiS. To samo dotyczy byłego prezesa Orlenu.

Wystawiając całą trójkę na „biorących” miejscach, partia pokazuje po pierwsze swoją lojalność, a po drugie sama się zabezpiecza, bo nie wiadomo, kogo po ewentualnym „przyciśnięciu” Kamiński, Wąsik czy Obajtek mogliby sygnąć.

Nieco inny charakter ma układanie list partii rządzących. W ich przypadku wybory do Parlamentu Europejskiego są rodzajem „chwili prawdy” i obnażają prawdziwe motywy zaangażowania politycznego. Jeżeli ktoś zamiast udziału w rządzeniu wybiera mandat

w PE, którego polityczne znaczenie jest niewielkie i odwrotnie proporcjonalne do związanych z nim gratyfikacji finansowych – może to oznaczać, że pieniądze są głównym motywem jego aktywności. Wyraża mniejszość to politycy, którzy z racji swojego doświadczenia w sprawach międzynarodowych przydają się bardziej w Brukseli czy Strasburgu niż w Warszawie.

Istnieje też druga okoliczność powodująca, że skład list wyborczych do europarlamentu może odsłaniać polityczne prawdy. Chodzi o to, że czasem na listy te trafiają osoby, których liderzy chcą się z jakiegoś powodu pozbyć, a wybory do PE są okazją do zrobienia tego w białych rękawiczkach. Tak niegdyś było z Beatą Szydło, która zdymisjonowana z funkcji premiera stanowiła dla rządzącego PiS rodzaj politycznego wyrzutu sumienia. Wysłanie do Brukseli pozwoliło elegancko ten problem rozwiązać. W przypadku obecnego rządu Donalda Tuska wiele wskazuje na to, że start niektórych ministrów do PE jest okazją do bezbolesnego pozbycia się ich w sytuacji, w której premier jest rozczarowany efektami ich pracy.

Analizując przed pójściem do urn listy do PE, warto wszystkie te względy mieć na uwadze. ©P

Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński podczas miesięcznicy katastrofy smoleńskiej. Warszawa, 10 marca 2024 r.



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS



Co zadał MEN

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

MINISTERSTWO NIE CHCE ZADAĆ DOMOWYCH, Polacy nie chcą wszechwładzy ministerstwa – tak można skomentować zaskakujące wyniki sondażu Ipsos dla OKO.press i TOK FM. Na pytanie, kto powinien „decydować o zasadach zadawania prac domowych”, tylko co piąty respondent (21 proc.) wskazał na MEN. Znacznie częściej pojawiały się wskazania instancji oddolnych: 37 proc. stawia na nauczycieli, a 35 proc. wybrało odpowiedź „szkoła powinna wypracować własne zasady obowiązujące nauczycieli”. Co ciekawe, odsetek wskazań na MEN jest tylko śladowo wyższy (23 proc.) w elektoracie Koalicji Obywatelskiej, a istotnie ogólną średnią przewyższa jedynie wśród wyborców Lewicy (42 proc.).

Ten sprzeciw nie oznacza poparcia dla prac domowych w dotychczasowym wymiarze: np. w sondażu SW Research dla rp.pl za ich ograniczeniem było pod koniec stycznia 40,7 proc. pytanym, przy 37,8 proc. będących na nie. Co do tego, że problemem polskiego ucznia bywa przeciążenie, zgadza się większość oświatowych ekspertów. A nowa ekipa MEN zdaje się ten pogląd podzielać, skoro ograniczanie zadań (przypomnijmy: od 15 kwietnia w klasach 1-3 nie wolno zadawać do domu z wyjątkiem tzw. motoryki małej, czyli np. ćwiczenia szlaczków, a w klasach 4-8 zadania są nieobowiązkowe i nie mogą być oceniane) stanowi tylko jedno z działań mających ulżyć uczniom.

Od września mają obowiązywać nieco okrojone podstawy programowe, na kolejne lata rząd zapowiedział kompleksową reformę podstaw.

KO przed wyborami obiecywała też jednogłówną szkołę i uwolnienie dzieci od ciężkich plecaków.

Inną ważną składową dobrej zmiany w oświacie miała być jej decentralizacja. Poprzednik Barbary Nowackiej, Przemysław Czarnek, oddawał władzę w ręce rodziców, ale tylko w wywiadach. W praktyce robił wszystko, by decyzje podejmowali urzędnicy (np. mianowani politycznie kuratorzy mieli – w ramach szczęśliwie utraconego przez prezydenta Lexa Czarnek – cenzurować zajęcia dodatkowe prowadzone przez organizacje pozarządowe). Teraz miało być inaczej, ale akurat nowe prawo dotyczące zadań temu przeczy. Co najwyraźniej zauważyli nie tylko nauczyciele, ale i tzw. zwykli Polacy. Nie wróży to za dobrze skutecznemu wprowadzaniu nowego rządowego prawa w życie. ©P

NA PUNKTY

ODWOŁANY

Premier odwołał wicewojewodę dolnośląskiego Jacka Protasiewicza, który wślawił się serią kontrowersyjnych wpisów w mediach społecznościowych. Potwierdza się opinia publicysty Gazety.pl Grzegorza Sroczyńskiego, że „przekleństwem polskiej polityki jest Twitter”.

SKAZANY

Czego dowodem jest także były senator Waldemar Bonkowski, który po serii kontrowersyjnych wpisów (tym razem chodziło o antysemityzm, nie aluzje seksualne) niegdyś stracił miejsce w PiS. A ostatnio został skazany na trzy miesiące więzienia za znęcanie się nad psem.

ZATANKOWANY

Posel Suwerennej Polski Marcin Warchol broni z kolei swobodnego dostępu do alkoholu na stacjach benzynowych po tym, jak szefowa resortu zdrowia Izabela Leszczyna zapowiedziała podjęcie prac nad jego ograniczeniem. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że dla samych stacji ewentualny zakaz może przynieść utratę blisko 50 proc. dochodów. ©P



Zwykły ksiądz metropolitą Florencji

EDWARD AUGUSTYN

TRZY W JEDNYM – DUSZPASTERSTWO, duchowość i wyjście na peryferia – tak najkrócej można opisać atuty ks. Gherarda Gambellego (na zdjęciu), proboszcza florenckiej parafii Madonna della Tosse, którego papież mianował metropolitą jednej z najstarszych i najważniejszych archidiecezji Włoch, nie po raz pierwszy pokazując, jakie są priorytety jego pontyfikatu.

Ks. Gambelli ma 55 lat i całe życie pracował wśród „zwykłych ludzi”. Po święceniach był wikarym i proboszczem peryferyjnych parafii Florencji, potem zgłosił się na misje i wyjechał do Afryki – w latach 2011-2023 pracował w Czadzie. W sierpniu ub. roku kard. Giuseppe Betori, dotychczasowy metropolita Florencji, ściągnął go z powrotem do archidiecezji i powierzył trzy urzędy – proboszcza parafii w centrum miasta, kierownika duchowego w arcybiskupim seminarium i kapelana więzienia.

Postawienie „zwykłego księdza” na czele diecezji nie jest niczym niezwykłym, nawet w krajach, gdzie naturalna rezerwa kandydatów – w postaci bisku-

pów pomocniczych – jest spora.

Rzadziej się zdarza, by kandydat bez biskupiego doświadczenia obejmował arcybiskupstwo.

Spośród 42 polskich ordynariuszy aż 9 przyjmowało święcenia biskupie dopiero po mianowaniu na stolicę diecezji. Jeden z nich – abp Tadeusz

Wojda – został postawiony od razu na czele metropolii: najpierw białostockiej, potem gdańskiej (dziś jest też przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski).

Ale objęcie prestiżowej „stolicy kardynalskiej” przez zwykłego proboszcza jest już sporą niespodzianką. Florencja to

historyczne, kulturalne i intelektualne centrum Włoch, któremu z polskich miast równać się może na przykład Kraków, również czekający na zmianę swojego arcybiskupa. Czy obsadzie wawelskiej katedry papież będzie chciał nadać autorski charakter, czy ograniczy się tylko do zatwierdzenia jednej z nadesłanych propozycji – zobaczymy za kilka miesięcy. Przypadek florencki pokazuje, że grono kandydatów może być szersze, niż się wszystkim wydaje. ©P



Kandydat na ławie oskarżonych

MARTA ZDZIEBORSKA

NOWOJORSKI PROCES KAR-ny Donalda Trumpa będzie prawdopodobnie jego jedynym procesem przed wyborami prezydenckimi. To wystarczy, by utrudnić mu walkę z Bidenem.

W najbliższym czasie były prezydent ma napięty grafik. Między 9.30 a 16.30, z wyjątkiem śród i weekendów, musi tkwić na nowojorskiej sali rozpraw. W ubiegłym tygodniu obserwował wybór 12-osobowej ławy przysięgłych. To niełatwe, pierwszych 96 kandyda-

tów oświadczyło, że nie potrafią wobec niego zachować bezstronności.

Przysięgli mają rozstrzygnąć, czy Trump jest winny fałszowania dokumentów finansowych, by na finiszu kampanii w 2016 r. ukryć płatności dla gwiazdy porno Stormy Daniels (twierdzi ona, że mieli romans). Prokuratura chce dowiedzieć, iż Trump działał w celu zatajenia innego przestępstwa, m.in. oszustwa podatkowego, i wpłynięcia na przebieg wyborów. O tym ostatnim według

oskarżycieli świadczą też inne płatności: miał on naciskać na tabloid „National Enquirer”, by ten „uciszył” kolejne dwie osoby mogące mu zaszkodzić w kampanii.

Trump, któremu grozi do czterech lat więzienia, grzmie o „polowaniu na czarownice” i wykorzystuje proces do mobilizacji elektoratu oraz zbierania funduszy; pierwszego dnia zebrał 1,6 mln dolarów. Ta formuła na razie się sprawdza, ale według sondażu Reuters/Ipsos co czwarty potencjalny wyborca

Trumpa nie głosowałby na niego, gdyby ten usłyszał wyrok skazujący.

Prezydent Biden korzysta: odwiedził kluczową dla wyścigu Pensylwanię w czasie, gdy rywal siedział w sądzie. Trump miał wystąpić w sobotę na wiecu w Karolinie Północnej, ale odwołał go przez pogodę, a w poniedziałek znów poszedł do sądu. Widać, że na siedem miesięcy przed wyborami traci pełną kontrolę nad kampanią. A werdykt może usłyszeć jeszcze przed lipcową konwencją Partii Republikańskiej, na której przyjmie nominację. W historii USA czegoś podobnego jeszcze nie było. ©P

Autorka jest dziennikarką „Press”.

**ŁUKASZ ZYCH, KSIĘGARZ:**

Ustawę o cenie książki należy połączyć z regulacją rabatów dla dystrybutorów

MONIKA OCHEŃDOWSKA:

Ministerstwo Kultury podjęło dyskusję nt. sytuacji rynku książki. Kogo zaproszono do rozmowy?

ŁUKASZ ZYCH: Przedstawiciele księgarzy, bibliotek, niezależnych wydawnictw, a także reprezentantów Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Unii Literackiej – ponad dwadzieścia osób. Piątkowe spotkanie w MKiDN prowadziły ministra Joanna Scheuring-Wielgus i jej doradczyni Agata Diduszek-Zyglewska. Wszyscy zreferowaliśmy, jak postrzegamy obecną sytuację na rynku książki, i zaproponowaliśmy zmiany.

Jakie były sugestie księgarzy?

Przede wszystkim zależało nam na podkreśleniu, że nie mamy wiele czasu – co trzy dni zamykana jest w Polsce księgarnia i żeby zatrzymać ten trend, niezbędne jest jak najszybsze wprowadzenie jednolitej ceny książki, czyli takiej, która przez co najmniej pół roku, a najlepiej rok, będzie obowiązywała dla konkretnego tytułu we wszystkich punktach sprzedaży – stacjonarnych i internetowych. Ustawę o jednolitej cenie książki należy połączyć z regulacją rabatów dla dystrybutorów.

Na czym miałyby ona polegać?

Dystrybutorzy, czyli hurtownie i duże sklepy internetowe typu Empik i Bonito, przyjmując książki od wydawcy oczekują bardzo dużych rabatów – min. 50 proc. od ceny okładkowej, a zazwyczaj 60 proc. albo więcej. Do tego dochodzą opłaty za magazynowanie czy promocje, które również ponosi wydawca. Żeby na książce zarobić, wydawcy maksymalnie podnoszą więc cenę okładkową, od której udzielają później dystrybutorom upustów. W sytuacji, kiedy rabat będzie ogólnie określony na poziomie ok. 35-40 proc., cena okładkowa spadnie, wydawca będzie miał większy zarobek,

a księgarz – równe szanse z internetem. Dzisiaj księgarnie nie mogą dawać rabatów swoim klientom, bo ich na to nie stać. Sprzedają książki po zawyżonej – dla dystrybutorów – cenie.

Skąd pewność, że po wprowadzeniu regulacji cena okładkowa spadnie?

Dzięki regulacji rabatów wydawca będzie mógł zarobić więcej przy niższej, urealnionej cenie okładkowej. Jeśli przez określony czas będzie obowiązywała jednolita cena książki we wszystkich kanałach sprzedaży, będzie ona musiała być odpowiednio zbalansowana, żeby sprzedaż gwałtownie nie spadła.

Jakie jeszcze zmiany byłyby wsparciem dla księgarni?

Warto książkę uznać za dobro kultury – ustawowo. Wówczas będzie można objąć parasolem ochronnym księgarnie i wydawców, którzy traktują książki z szacunkiem i pasją. Niskie czytelnictwo wynika z niskiego statusu książki w naszym społeczeństwie. Inne pomysły: biblioteki mogłyby obowiązkowo robić część zakupów w księgarniach. Można również obniżyć do zera VAT na książki.

Jakie będą dalsze kroki MKiDN?**Czy pojawiły się obietnice zmian?**

W czerwcu po wyborach europejskich Ministerstwo Kultury ma przedstawić swoje propozycje rozwiązań. Z końcem maja ma również nastąpić połączenie Instytutu Literatury i Instytutu Książki, ruszą prace nowej instytucji, z którą wiążemy duże nadzieje. Z punktu widzenia księgarzy byłoby najlepiej, gdyby zmiany zostały wprowadzone w życie z początkiem przyszłego roku. ©©

ŁUKASZ ZYCH jest księgarzem, członkiem zarządu Stowarzyszenia Księgarzy Polskich. Prowadzi Najlepszą Księgarnię w Warszawie.

Dlaczego w Polsce jest coraz mniej zakonnic

KOŚCIÓŁ ■ 81 kobiet przyjęło w zeszłym roku w Polsce welon nowicjuszek zakonnych. Rok wcześniej było ich 109, w 2016 – 121, w 2000 – 541. Trend jest aż nazbyt widoczny. Jego interpretację podała podczas konferencji w siedzibie KEP poprzedzającej Światowy Dzień Modlitwy o Powołania nazaretanka s. Angelika Borkowska. Według niej pandemia i trwające wojny spowodowały, że „młodzi dzisiaj nie mają nastawienia na podejmowanie decyzji na całe życie”. „Pędząca sekularyzacja” sprawia, że „młodzi przejmują trendy życia bardzo światowego”, a „życie wartościami duchowymi nie jest dla nich istotne”. Stąd problemy z podjęciem życia ukierunkowanego na ofiarę.

To narracja dobrze znana od dwóch dekad z konferencji poświęconych powołaniom, dominuje w niej narzekanie na współczesny świat, kult sukcesu i roszczeniowość młodego pokolenia. Ma się ona dobrze pomimo dwóch przynajmniej kamieni milowych, które powinny wyznaczyć nową epokę dyskusji nad stanem zakonów żeńskich. Pierwszy to książka Marty Abramowicz „Zakonnice odchodzą po cichu” z 2016 r., opisująca historie byłych siostr, które opowiadały o doznanych krzywdach, łamaniu charakterów i nadużywaniu władzy. Drugi to działalność Izabeli Mościckiej, byłej zakonnicy, która prowadzi centrum pomocy dla występujących zakonnic – na ogół pozbawionych środków do życia i jakiegokolwiek wsparcia. One również opowiadają o sekciarskim podejściu do posłuszeństwa, braku dostępu do potrzebnej opieki medycznej i psychologicznej, o braku możliwości rozwoju, a nawet o molestowaniu seksualnym.

Bycie zakonnicą w Polsce kojarzy się z zajęciami służebnymi wobec księży, rzadziej z zajęciami menedżerskimi czy naukowymi. „Jeśli dzisiaj młoda kobieta przychodzi do zgromadzenia z realną, aczkolwiek ambitną wizją swojej misji w Kościele, nie znajdzie szansy na jej realizację, (...) to poszuka sobie innego miejsca w Kościele, w którym nie będzie tylko pomagać księżom” – mówiła na naszych łamach filozofka s. prof. Barbara Chyrowicz.

Nawet jeśli za dobrą monetę przyjąć tłumaczenia, że do mediów trafiają historie ekstremalne – nie da się przejść do porządku nad faktem, że dyskusja o sposobie funkcjonowania zakonów czynnych i praca nad ich wizerunkiem są niezbędne, jeśli mają przetrwać. Trudno zapomnieć o tym, co według Izabeli Mościckiej najbardziej zadziwia były zakonnice: przejawy zwykłej ludzkiej życzliwości. ©© MACIEJ MÜLLER

Pegasus poniósł władzę

KONTROLA SŁUŻB ■ W latach 2017-2022 trzy służby za pomocą programu Pegasus inwigilowały 578 osób – wynika z raportu prokuratora generalnego, który w zeszłym tygodniu trafił do marszałka Sejmu. Minister Bodnar nie wskazuje jednak, o które służby chodzi. Licencję od izraelskiej firmy NSO na korzystanie z tego programu wykupiło tylko Centralne Biuro Antykorupcyjne. W mediach pojawiły się jednak doniesienia, że na zasadzie użyczenia korzystały z niego także Służba Kontrwywiadu Wojskowego i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jeśli te informacje się potwierdzą, to przypadek tej ostatniej byłby wyjątkowo bulwersujący, bo to właśnie ABW certyfikuje programy wykorzystywane przez inne służby, a w sprawie Pegasusu miała ona uznać, że nie spełnia kryteriów bezpieczeństwa.

O iluzoryczności kontroli, jaką państwo sprawowało nad służbami, świadczą dane – także przedstawione w raporcie Bodnara – dotyczące kontroli operacyjnych. W 2023 r. służby wniosowały o to wobec 5973 osób, ale tylko w 128 przypadkach sądy lub prokuratorzy uznali takie wnioski za bezzasadne. Nie wiadomo, ile z takich spraw z zeszłego roku skończyło się w sądach, ale z badań prof. Dobrosławy Szumiło-Kulczyckiej z Uniwersyte-



Członkowie komisji śledczej ws. Pegasusu: przewodnicząca Magdalena Sroka, Paweł Śliz, Tomasz Treła. Warszawa, 15 marca 2024 r.

tu Jagiellońskiego dotyczących poprzednich lat wynika, że jedynie 20 proc. z tych, w których prowadzono kontrolę operacyjną, kończyło się przekazaniem dokumentów do prokuratury. Reszta po prostu rozplywała się w systemie.

W sprawie wykorzystywania Pegasusu w ostatnich latach zapewne jeszcze będziemy przecierać oczy ze zdumienia, jednak w MSWiA trwają już prace nad ukróceniem bezkarności służb. Kodeks Pracy Operacyjnej, który ma być gotowy do końca kwietnia, odbiera policji i CBA prawo do stosowania tego typu programów. Jednocześnie decyzje w sprawie stosowania inwazyjnych metod pracy operacyjnej mają być wydawane przez sędziów nie kore-

spondencyjnie, jak dotąd, ale na posiedzeniach w obecności prokuratora i przedstawiciela służby wnioskującej o zgodę. Do tego zgody na to zawsze będą wymagały pisemnego uzasadnienia (dziś są wymagane tylko w przypadku odmowy). Projekt zakłada też utworzenie 11 wydziałów kontroli pracy operacyjnej w wybranych sądach okręgowych – obecnie zdecydowaną większość wniosków o kontrolę operacyjną rozpatruje Sąd Okręgowy w Warszawie. Osoby poddane kontroli operacyjnej mają być również – poza najpoważniejszymi sytuacjami – informowane o tym, że były przedmiotem zainteresowania służb.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Leczenie otyłości: terapia na całe życie?

ZDROWIE ■ Według danych za rok 2022 już 2,5 mld osób żyje z nadwagą lub otyłością. Stąd kwestia odchudzenia świata staje się jednym z głównych wyzwań zdrowia publicznego. Na rynku od kilku lat dostępne są analogi GLP-1, takie jak semaglutyd, związki podobne do naturalnych hormonów. Obniżają one poziom glukozy we krwi, zwiększają uczucie sytości, angażują mechanizmy metabolizmu do

wzmoczonej pracy. Choć ich głównym wskazaniem była cukrzyca, to większy rozgłos zdobyły jako leki na odchudzanie.

Według badań cotygodniowe przyjmowanie zastrzyków semaglutynu (nazwy handlowe: ozempic, wegovy) zmniejsza masę ciała średnio o kilkanaście procent w ciągu roku, jednocześnie zmniejszając ryzyko sercowo-naczyniowe i insulinooporność (jeden z mechanizmów powstawania cukrzycy).

Dziennikarka McKenzie Prillaman porusza w „Nature” istotny temat zakończenia terapii semaglutynem. Według danych z 2023 r. ponad 65 proc. pacjentów, którzy zaczęli stosować semaglutyd w 2021 r.,

odstawiła już lek. Jakie są tego konsekwencje?

W badaniu, w którym 800 osób po roku stosowania semaglutynu podzielono na grupę kontynuującą terapię i grupę placebo, po jedenastu miesiącach od nagłego zakończenia stosowania leku nastąpił wzrost masy ciała u badanych o 7 proc. W innym badaniu osoby, które odstawiły terapię, po roku odzyskały dwie trzecie utraconej masy ciała. Podobny efekt obserwowany jest, gdy weźmie się pod uwagę ryzyko sercowo-naczyniowe – po odstawieniu leku następuje wzrost ciśnienia tętniczego i stężenia cholesterolu.

Stąd sugestie niektórych naukowców, że w leczeniu oty-

ści, tak jak w cukrzycy, analogi GLP-1 powinno się stosować przewlekłe. Tymczasem powodów do odstawienia leku nie brakuje. Jest on kosztowny, więc zarówno ubezpieczyciele, jak i płatnicy publiczni ograniczają refundację. Niektórzy pacjenci sami rezygnują z jego stosowania z powodu skutków ubocznych albo gdy osiągną docelową masę. Istotną kwestią jest zatem systemowe podejście do farmakoterapii otyłości, również poprzez zwiększenie wydatków. W innym razie czeka nas masowy efekt jojo – pacjenci wrócą do pierwotnej wagi, a ludzkość w walce z otyłością – do punktu wyjścia.

© BARTOSZ KABAŁA

SZKOŁA LATANIA

Patrzeć na ptaki to darmowy trening cierpliwości i spokoju.
I wcale nie chodzi o pogoń za rzadkim gatunkiem ani najlepszym zdjęciem.

KRZYSZTOF STORY

GODZINĘ PRZED ŚWITEM NIECHĘTNIE wystawiam nos ze śpiwora. W zasadzie obudziła mnie ironia, bo jak inaczej nazwać fakt, że jednego z najgłośniejszych ptaków w Polsce nazwaliśmy łabędziem niemym? Z pozoru wszystko się zgadza: biała, pierzasta husaria za grosz nie potrafi śpiewać, a jedyny dźwięk, jaki im naprawdę dobrze wychodzi, to złowrogi syk oznaczający: „wynocha z mojego podwórka”.

Warto posłuchać tej rady, bo to jedno z największych latających stworzeń na świecie, dorosły samiec jest niewiele niższy niż człowiek i waży do 15 kilogramów. Łabędzie nieme jeszcze jedną rzecz robią głośno: latają. Świst powietrza ciężego masywnymi skrzydłami niesie się na wiele kilometrów, tak samo operacje na „pase startowym” – ptaki zaczynają lot, biegnąc po wodzie i tłukąc skrzydłami, podobne narciarstwo wodne uprawiają przy lądowaniu. Być wielkim ma swoje zalety: nie muszą dbać o żaden kamuflaż, dyskrekcję i fakt, że mogą kogoś zbudzić o 5 rano.

Ciemność powoli ustępuje miejsca różom i fioletom, zaspany wychylam się przez balustradę wieży widokowej. Wody Starego Stawu nieopodal wsi Niezgoda w Dolinie Baryczy są jednocześnie spokojne i pełne życia. Łabędzie widać od razu, ale są też łyski (małe, sylwetką podobne do kaczek kuzynki żurawi), gęgawy, kaczki krzyżówki, jedna czapla i w trzcinach krząta się zapracowana od rana bogatka – największa z europejskich sikorek – oraz wiele innych ptaków, których nie umiem rozpoznać i w ogóle mi to nie przeszkadza. Na łąkach za moimi plecami pojawia się za to gatunek znany



mi bardzo dobrze: dwa samce *Homo sapiens*, dorośli i podrostek.

Ojciec i syn ubrani są w kurtki moro, na szyjach wiszą aparaty fotograficzne. To idą przez łąkę, to przypadają do zmarzniętej ziemi i czołgają się po nisko wykoszonych trawach. Ich celu nie widać, ale bardzo dobrze go słysząc. Dzwoni, dzwoneczku...

– Wiesz, jak z nimi jest. Jeśli z dziesięciu wyjazdów przywieziesz jedno dobre zdjęcie, możesz się cieszyć – mówi ojciec. – My głównie cieszymy się z tego, że spędzimy poranek w takim miejscu i w takim towarzystwie.

Z podniesioną głową

W kilku zdaniach wypowiedzianych na łące pełnej skowronków przypadkowo chyba zmieścił się cały sens ptasiarstwa: kontakt z naturą, poświęcenie uwagi latającym sąsiadom (nawet tym „zwykłym” i opatrzonym – zdziwilibyście się, ile tajemnic kryją miejskie sroki czy wróble) oraz darmowa szkoła cierpliwości i spokoju. I chyba zorientowaliśmy się, że tego właśnie potrzebujemy. – 20 lat temu wycieczka „normalnych” ludzi nad Biebrzę była nie do pomyślenia. To było zarezerwowane dla naukowców albo wąskiej grupy „wtajemniczonych kapłanów” – mówi Jacek Karczewski, przyrodnik, autor kilku książek o ptakach, współzałożyciel stowarzyszenia Jestem na pTAK!

– Z drugiej strony sam doświadczyłem tego, jak dorośli, wykształceni ludzie potrafili reagować niemal z obrzydzeniem na to, że ja wstaję o 3 rano, żeby zobaczyć świt na biebrzańskich bagnach. Marzenie o dobrej furze czy wakacjach na Rodos było czymś normalnym. Marzenie o zobaczeniu puchacza dawało ci łatkę dziwaka.

Zmiana zachodzi od dawna, ale punktem zwrotnym, nie tylko w Polsce, była pandemia. Do bazy danych eBird stworzonej przez Cornell University w kwietniu 2020 r. użytkownicy dodali o 40 procent więcej obserwacji niż rok wcześniej. Podobnie w aplikacji Merlin (służy do rozpoznawania ptaków na podstawie zdjęć i nagrań audio), która w ciągu 2020 r. podwoiła liczbę aktywnych użytkowników. – Gdy zaczynałem pracę w ochronie przyrody dwie dekady temu, ptasiarski spacer po Sopocie mógł być co najwyżej moją prywatną fanaberią – mówi Karczewski. – Dzisiaj takie spacer organizuje największa miejska instytucja kultury, a na miejscu zjawia się tłumek ludzi i trzeba wprowadzać limity miejsc. I nikt się nie wstydzi, przychodzą z podniesionymi głowami.

Skalę jeszcze lepiej widać za oceanem. Według danych amerykańskiego Fish & Wildlife Service w Stanach Zjednoczonych jest nawet 45 milionów ptasiarzy, a turystyka ornitologiczna to branża

warta 41 mld dolarów rocznie. Największą tradycję ten ruch ma w Wielkiej Brytanii, gdzie pierwsze stowarzyszenie zachęcające młodych ludzi do dokarmiania ptaków powstało w 1864 r. i niedługo później przekroczyło milion członków. To był czas rewolucji przemysłowej, dorośli zaczęli spędzać coraz więcej czasu w pracy, dzieci włóczyły się samopas. Zakładanie karmników i opieka nad ptakami były nie tyle ochroną przyrody, ile działaniem wychowawczym. Jeśli w amerykańskich filmach typowym zbawcą „trudnej młodzieży” był stary mistrz boksu, prowadzący własny klub, to w górniczym Newcastle tę rolę grali ornitologowie i ptasiarze. Do dziś organizacje ornitologiczne w Wielkiej Brytanii zrzeszają ponad milion ludzi.

Chóry anielskie

Czytając ptasiarskie fora, gdzie doświadczeni znawcy przechwalają się wiedzą i obserwacjami (skojarzenie z tokującymi cietrzewiami nie pojawia się bez powodu), oglądając zdjęcia wykonane obiektywami za dziesiątki tysięcy złotych, a nawet przeglądając atlas ptaków polskich (łącznie z migrującymi ponad 400 gatunków), można się poczuć lekko onieśmielonym. Dlatego tak ważne są skowronki, z którymi spędziliśmy tamten poranek na łące w Dolinie Baryczy. One najlepiej tłumaczą, że ptasiarstwo →



Żurawie w Biebrzańskim Parku Narodowym, 2017 r.

→ nie musi (a nawet nie powinno) polegać na pogoni za kolejnym, najlepiej rzadkim gatunkiem, ani za najlepszym zdjęciem.

Ze skowronka przecież żaden unikat. Wprost przeciwnie – to najliczniejszy ptak w Polsce (ponad 10 milionów par według danych z 2018 r.). Jeśli teraz próbujecie przypomnieć sobie, jak właściwie wygląda – nie martwcie się, mogliście nigdy nie widzieć go z bliska. Skowronek, cały ubrany w brązy i szarości, pół sekundy po wylądowaniu na ziemi znika, jakby założył pelerynę-niewidkę.

Gdy startuje, ledwo zdążymy się obejrzeć, a on już wisi wysoko nad ziemią i śpiewa, tak jak nie śpiewa nikt inny na świecie. Na wdechu i wydechu, bez przerwy, w zawisie, który wymaga ciągłej pracy skrzydłami (i oddychania przez specjalne worki powietrzne, gdy dziób jest zajęty arią). Potok treli, dzwonek i świergotów potrafi trwać nawet pół godziny. Neurofizycy wyliczyli kiedyś bilans energetyczny, z którego wynika, że skowronki... nie mogą tak robić (albo przynajmniej powinny padać martwe po kilku minutach). Dobrze, że one o tym nie wiedzą, śpiewają prawie cały rok, a ich trele od zawsze są głównym motywem soundtracku polskiej wsi.

Chodzi więc o gapienie się w mały punkt na niebie, słuchanie piosenek i opowiadanie sobie historii, czyli sprawy absolutnie fundamentalne. Nic dziwnego, że w badaniach naukowych prowadzonych w Dolinie Biebrzy większość z 357 przebadanych ptasiarzy opisywało swoją pasję jako styl życia, a nie zwykłe hobby.

Zacznij widzieć

– Jemiołuszki, zobacz, siedzą na dębie po lewej – pokazał mi Jacek Karczewski, a ja musiałem chwilę negocjować z własnymi oczami, zanim znalazły odpowiedni kierunek. – Zaraz ich tu nie będzie.

Miał rację, bo one przylatują do nas tylko na zimę, chyba w roli pocieszycielek (a przynajmniej tak uważał Jeremi Przybora, gdy pisał: „na najcięższe roku chwile, te bez jaj i gruszek, przylatuje do nas tyle, tyle jemiołuszek”), zostają najdalej do kwietnia i zupełnie bezzasadnie w internetowych memach mają reputację alkoholiczek. One zostały na dębie, my zaś przez następne godziny spacerowaliśmy groblami stawów miliczków w Dolinie Baryczy i wypatrzyliśmy kil-

Chodzi o gapienie się
w mały punkt na niebie,
słuchanie piosenek
i opowiadanie sobie historii,
czyli sprawy absolutnie
fundamentalne.

kadziesiąt gatunków ptaków – od zimorodków, dzięciołów i kowalików przez bieliki, myszołowy, rzadkie w Polsce łąbędzie krzykliwe (turyści z Arktyki) aż po całą wyspę zamienioną w czapliniec – kolonię czapli, w której przyszli rodzice już wysiadawali jaja.

Miejsce, w którym się znaleźliśmy, choć jest ptasim rajem, nie ma nic wspólnego z naturalnym krajobrazem. Niebieskie plamy na mapie wokół Milicza to największy w Polsce kompleks stawów rybnych. Płyną z tego dwie lekcje. Pierwsze: ptaki lubią wodę. Jeśli w waszej okolicy są jeziora, sztuczne zbiorniki albo właśnie stawy rybne, warto wybrać się tam z lornetką. Po drugie: warto mieć przewodnika, bo słowa „wypatrzyliśmy” użyłem na wyrost. Jacek wypatrzył.

– Często nie widzę tego, co ty. A jak widzę, to nie rozróżniam. Przecież to jest kilkadziesiąt gatunków. Jak się tego wszystkiego nauczyć?

– Na początku sobie odpuść i po prostu nie rozróżniaj. Jemiołuszki też nie mają pojęcia, jak się nazywają. Jeśli nie wiesz, co to za ptak, nazwij go Janek. Tylko pamiętaj, żeby następnego takiego też nazwać Janek. Zobaczysz, jak szybko zacznie rosnąć liczba gatunków, które identyfikujesz bez problemu.

– Ale od czego zacząć?

– Zacznij się rozglądać. To nie jest umiejętność, to świadomy wybór.

To najważniejsza rada dla początkującego ptasiarza. Nie wymaga wiedzy, talentu ani pieniędzy, tylko kręcenia szyja i wytyczania wzroku. – Często prowadzę miejskie spacerunki na ptaki – mówi Jacek. – Wielu z uczestników nie ma żadnej wiedzy, ba, niektórzy nazywają bielika orłem [po badaniach DNA okazało się, że nasz herbowy ptak to kuzyn kani rudej, a do orłów mu bardzo daleko, więc systematycy stworzyli mu specjalny rodzaj i bie-

lik został orlanem. Pomyłki w tej kwestii to częsty temat do niepotrzebnych kpin – red.]. Wyróżnia ich to, że w drodze do pracy zaczęli dostrzegać gawrony, kawki i wróble, słyszeć śpiew kosa. Znaleźli klucz do tej rzeczywistości obok nas. Dla mnie to właśnie jest najważniejsze, bo można całe życie spędzić wśród skowronkowych chórów i nigdy ich porządnie nie usłyszeć. Nawet jeśli się wie, jak jest skowronek po łacinie.

Jak zacząć?

Angielska nazwa *birdwatching*, czyli oglądanie ptaków, nie wzięła się znikąd – podstawowym atrybutem ptasiarza jest lornetka. Ilu ludzi, tyle opinii, mnie osobiście najwygodniej korzysta się z lornetek 10x50 lub 10x42 (pierwsza cyfra oznacza powiększenie, druga średnicę obiektywów). Wielu zaawansowanych ptasiarzy wybiera lepsze lornetki z mniejszym powiększeniem, ale oprócz tego noszą lunetę na statywie – taki zestaw wydaje się zbyt ciężki, nieporęczny i drogi dla początkujących. Na pierwsze wypady warto pożyczyć sprzęt, oswoić się z nim i wybrać taki, który najbardziej nam odpowiada. Może w okolicy mamy jakichś ptasiarzy bez zadartego nosa, którzy wprowadzą nas w ten świat?

Oglądając przepiękne zdjęcia ptaków, można mieć ochotę samemu złapać za aparat. Dla początkujących może być to jednak źródło frustracji, a nie przyjemności (za doskonałym kadrem żurawi o wschodzie słońca najczęściej stoją godziny przeleżane w zimnym błocie). Ileż to razy zamiast w spokoju obserwować skrzydlatego sąsiada, podchodziłem w poszukiwaniu najlepszego kadru, aż w końcu spłoszyłem tego, kogo tak bardzo chciałem uwiecznić. I po ptakach. Jeśli naprawdę interesuje nas fotografia, idealnym miejscem na pierwsze próby będą miejskie parki, gdzie ptaki nie boją się ludzi.

Poza lornetką nie potrzebujemy wiele więcej. Ubierzmy się w stonowane kolory (absolutnie nie trzeba zakładać stroju łąbiedzia ani przebierać się za krzaka, wystarczy nie świecić się jak żarówka) i można wyruszać... tylko dokąd?

Najpiękniejszym aspektem ptasiarstwa jest fakt, że odpowiedź na to pytanie brzmi „gdziekolwiek”. Oczywiście na ptasiej mapie Polski są miejsca szczególnie (doliny Biebrzy, Baryczy i Dolnej Odry, →

GDZIE WYJECHAĆ, ABY W POLSCE OBSERWOWAĆ PTAKI

Dolina Dolnej Odry

Odra w końcowym biegu rozdziela się na dwa koryta, a między nimi znajduje się 6 tys. hektarów torfowisk i bagien – dom dla tysięcy ptaków. To jedno z najlepszych miejsc w Polsce na spotkanie z bielikiem.

PN „Ujście Warty”

Najmłodszy park narodowy i jedno z najważniejszych miejsc na ptasiej mapie Polski. Rozlewiska między Słońskiem a Kostrzynem jesienią są przystankiem dla setek tysięcy migrujących gęsi i żurawi.

Wielki Łęg Obrzański

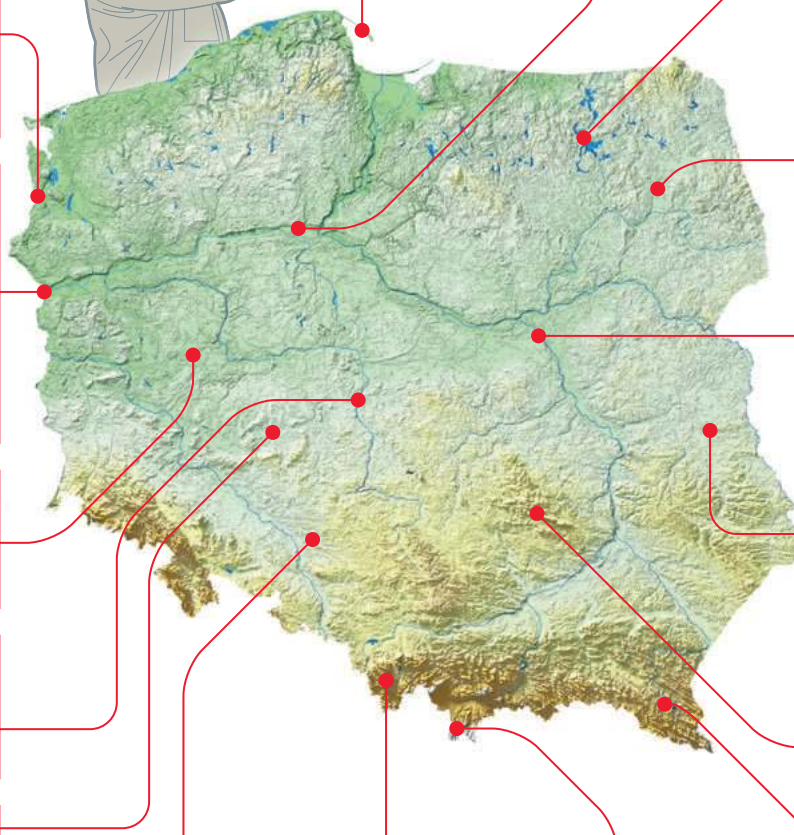
Miedzy kanałami rzeki Obry mamy rzadką szansę na spotkanie kulika wielkiego.

Jeziorsko

Gdy jesienią poziom wody opada, ptaki korzystają z odsłoniętych łąk i mielizn.

Dolina Baryczy

Stawy rybne w okolicach Milicza to przykład, jak krajobraz zmieniony przez człowieka stał się idealnym domem dla ponad 160 gatunków ptaków.



Półwysep Helski

Zimą wypatrujemy morskich kaczek, których nie ma nigdzie indziej w Polsce – edredonów, uhli, lodówek.

Stawy w Ślesinie

Szansa na spotkanie z rycykiem – właścicielem jednego z najdłuższych dziobów w Polsce.

Jezioro Łuknajno

Dom dla jednej z największych kolonii łabędzi niemych w Europie i jedno z niewielu miejsc w Polsce, gdzie można zobaczyć kaczki hełmiatki.

Dolina Biebrzy

Wiosną odbywa się tu spektakl rodem z filmów przyrodniczych. Szczególnie imponujące są toki batalionów (ptak jest symbolem Biebrzańskiego PN).

Wokół Warszawy

Kampinos, brzegi Wisły, stawy w Raszynie, a nawet warszawskie łązienki, gdzie żyją kaczki mandarynki – stolica to dobre miejsce dla ptaków.

Poleski PN

Spacerując drewnianymi kładkami przez trwałe rozlewiska Polesia, spotkamy nie tylko żurawie (symbol parku), ale też derkacze, dubelty, czaple i wiele innych gatunków ptaków.

Świętokrzyski PN

Jerzyki, najlepsi lotnicy Europy, gniazdują w murach klasztoru na Świętym Krzyżu.

Jezioro w Turawie

Gęgawy, perkozy, sieweczki i wiele innych gatunków żyjących tuż obok Opola.

Masyw Baraniej Góry

Na polanach wiosną można zobaczyć toki głuszców. Największych polskich kuraków leśnych.

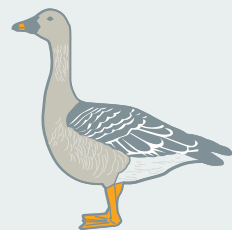
Dolina Kościeliska

Idąc rankiem nad Smreczyński Staw, spotkamy płochacze, pomurniki, a nawet orła przedniego.

Dolina Sanu

W bieszczadzkich lasach i na połoninach wypatrujemy dzieciątów, sów i orłów.

NASZE SKARBY



Gęś tundrowa

(Ujście Warty) W listopadzie zeszłego roku na rozlewiskach Ujścia Warty nocowało ponad 200 tys. gęsi. Ich jesienne migracje to największy spektakl polskiej przyrody.



Żuraw

(Poleski Park Narodowy) Ptak-symbol. W greckich mitach przyjaźnił się z Apollem, w słowiańskich prowadził dusze do Wyraju. W swoim logo mają go nawet polskie linie lotnicze.



Sóweczka

(Białowieża) nasza najmniejsza sowa, niewiele większa od wróbla. Braki w rozmiarze nadrabia odwaga, polując na ptaki i gryzonie często większe od siebie.



Bielik

(Dolina Dolnej Odry) Po badaniach DNA stracił naukowy tytuł „orła”, ale nie odebrało mu to nic z majestatu. Szczególnie widowiskowe są randki bielików: szczeniaki pazurem kochankowie spadają w dzikim salto mortale.



Batalion

(Biebrza) Majowe toki batalionów w Dolinie Biebrzy to marzenie każdego ptasiarza. Samce stroją się (każdy w inne barwy), puszą i uprawiają pozorowaną szermierkę dziobami.

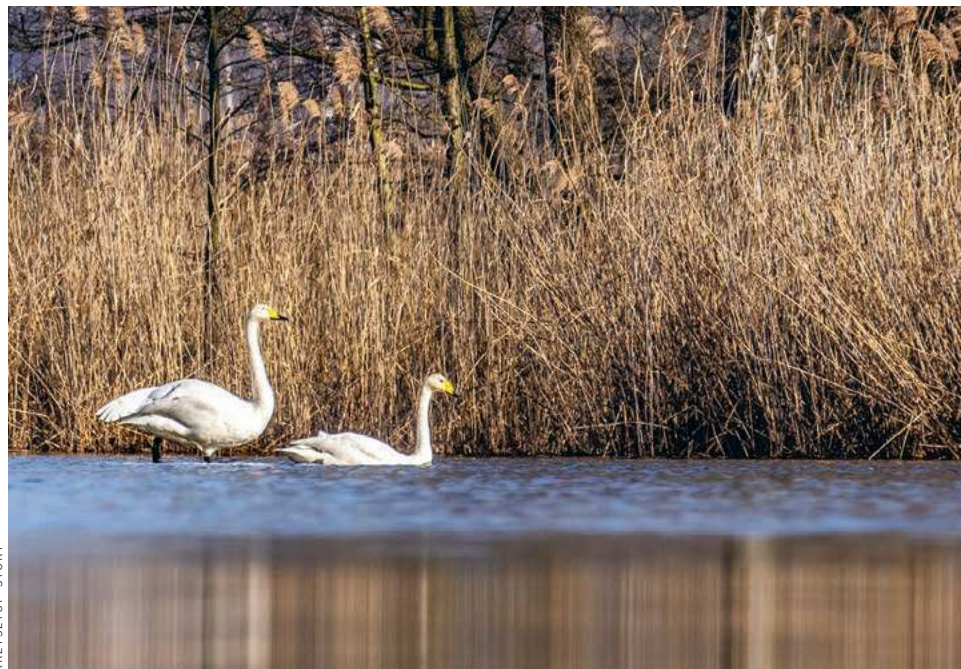
→ ujście Warty, Poleski Park Narodowy i Puszcza Białowieska), ale skrzydlaci sąsiedzi towarzyszą nam wszędzie i zawsze. Żyją nie tylko w lasach, na łąkach i nad wodami, ale też w naszych miastach, wsiach i domach (jaskółki pod dachami, płomykówki w starych stodołach, sokoły wędrownie na Pałacu Kultury w Warszawie). Gdybyśmy przez jeden dzień nie chcieli oglądać żadnych ptaków, pod żadnym pozorem nie wolno wychodzić z domu. A i to nie daje gwarancji, bo gdy piszę ten tekst, za oknem co chwilę przełatuje sójka. Wygląda, jakby miała młode do wykarmienia i bardzo dużo pracy. Jeśli ktoś polubi obserwowanie ptaków, to do końca życia nie będzie się nudził, bo ich świat zawsze jest tuż obok naszego.

Wybierając miejsce na pierwszą ptasią wyprawę, można sięgnąć do mapy obok, dobrym źródłem informacji jest też strona birdingplaces.eu. Znajdźmy miejsce blisko nas (gwarantuję, że takie jest), najlepiej nad wodą, na początku obserwowanie ptaków wodnych będzie łatwiejsze niż gatunków leśnych. Warto zaplanować wycieczkę tak, by być na miejscu o wschodzie lub zachodzie słońca, kiedy ptaki są najbardziej aktywne. Bądźmy cicho i miejmy oczy szeroko otwarte.

Kiedy jechać? Wiosna to niezwykle intensywny okres w życiu ptaków. Powietrze przepełnione jest ich śpiewem, a one same uwijają się jak w ukropie. Trzeba przecież zająć rewir, zbudować gniazdo, znaleźć miłość, spłodzić i wychować następne pokolenie. Drugim ważnym momentem jest jesień. W październiku i listopadzie trwają migracje, możemy więc zobaczyć turystów na co dzień niespotykanych w Polsce (tylko nieco ponad połowa obserwowanych u nas ptaków wychowuje tutaj pisklęta).

Obiad do kąpiel

Postępując dokładnie według tego przepisu, znalazłem się pewnego dnia o wschodzie na brzegu jeziora Pilzno, sztucznego zbiornika na Wiśloce. Gdy szedłem wzdłuż brzegu małego cypla, nad głową przeleciała mi czapla biała – ptak nie do pomylenia z żadnym innym (w locie poznać ją po komicznie wciągniętej szyi). Chwilę później z pobliskiego zagajnika poderwał się bielik – największego ptaka drapieżnego w Polsce też ciężko nie zauważyć. Co jednak z drobnicą, która pogwizdywała, nuciła i świstała wśród



KRZYSZTOF STORY

Łabędzie krzykliwe, wody Starego Stawu w dolinie Baryczy. 9 marca 2024 r.

trzciny? Trudno dostrzec, jeszcze trudniej rozpoznać. Można próbować na słuch, ale do tego absolutnie nie mam talentu. Na szczęście ma go urządzenie w mojej kieszeni. Po chwili dowiaduję się, że ciąg ostrych gwizdów to dzieło piecuszka.

Ptasie aplikacje na smartfony biją rekordy popularności – i BirdNET, i wspomniany już Merlin zostały już w sklepie Google'a ściągnięte ponad milion razy. Podobnie popularne są mobilne atlasy ptaków (polecam darmowy Audubon i płatny przewodnik Collinsa), a także portale społecznościowe do dzielenia się obserwacjami (eBird, Birda oraz iNaturalist). Te ostatnie stają się też coraz ważniejszym źródłem wiedzy dla naukowców. Wiarygodność danych zapewniają sami ptasiarze, potwierdzając nawzajem swoje obserwacje. Kilka minut po tym, jak wrzuciłem zdjęcie kaczki, inny użytkownik zidentyfikował ją jako cyraneczkę. Kolejnemu udało się sfotografować kuropatkę (kiedyś symbol polskiej wsi, dziś praktycznie wytępiona) niedaleko mojego domu. Nic dziwnego, że mało kto chodzi już dzisiaj z papierowym atlasem.

Są jednak takie ptaki, przy których żadna aplikacja nie jest potrzebna. Idąc wzdłuż cypla, trafiam na mały zagajnik. Po pnium jednego ze zdziczałych owocowców drzew wspina się dzięciol zielony. Oliwkowy płaszcz i czerwona czapeczka

sprawiają, że wygląda jak skrzat, któremu wyrósł dziób i skrzydła. Uśmiechnąłem się, bo od razu przypomniała mi się historia tego zwierzęcia. W tamtym momencie za nic nie powtórzyłbym dokładnego opisu wyglądu i wymiarów z atlasu. Z anatomii zapamiętałem tylko jego niezwykle długi język, bo zielony, zupełnie inaczej niż „normalne dzięcioły”, zamiast stukać w pień, większość życia spędza, ryjąc w ziemi w poszukiwaniu mrówek – swojego ulubionego przysmaku. Kwasu mrówkowego używa też do higieny. Potrafi nawet położyć się plecami na mrowisku – ot, kąpiel i obiad w jednym.

Historia plemienna

– Każdy ptak niesie ze sobą kilka historii – śmieje się Jacek, gdy opowiadam mu przez telefon o spotkaniu z zielonym. – Osobistą: pierwsza jaskółka, którą zobaczysz w tym roku, może nie uczyni wiosny, ale za to jeszcze trzy tygodnie wcześniej latała między nogami słoni. Moim marzeniem jest porozmawiać z jaskółką. I drugą historię: plemienną. Jak się zachowuje jego stado. Te historie są najczęściej bardzo mocno związane z nami.

Mnie od razu przypomina się rodzina kruków żyjąca nieopodal Zamarłej Turni w polskich Tatrach, która wyspecjalizowała się w okradaniu wspinaczy (potrafią otwierać zamki i klamry od plecaków). Ale Jackowi Karczewskiemu cho-

dzi o coś więcej. – Przez tysiąclecia szukaliśmy odpowiedzi i rozwiązań w przyrodzie – mówi. – Ewolucyjnie bliżej nam do ssaków, ale to ptaki ze względu na śpiew i lot były nosicielami symboli. Widać to w naszej kulturze, języku, nawet w nazwiskach.

Tylko w tym numerze „Tygodnika” piśnią dla Was: Sikora, Kosiński i Napiórkowski (nie wspominając nawet o Wilczyńskim, Okońskim i Rysiu). Nie bez powodu wybieramy się jak sójka za morze, kraczemy, gdy wejdziemy między wrony, puszczy się jak pawie i mamy sokoli wzrok. Bociany przynosiły nam dzieci, szczygły towarzyszyły Jezusowi na Golgotie, bóg Ra miał głowę sokoła, a Thor posłał rudzika, by zaniósł ludziom ogień. Nie przez przypadek anioły mają skrzydła i wyglądają jak skrzyżowanie człowieka z łabędziem. – Zawsze nas zachwycaly. Swoimi obyczajami, skomplikowanymi zalotami, gadatliwością, społecznym usposobieniem. Są trochę jak my, tylko że umieją latać. I mają jeszcze jedną tajną moc – śmieje się Jacek. – Ptaki wchodzą w reakcję ze światłem.

Najłatwiej to wytłumaczyć na przykładzie zimorodka, jednego z cudów naszej przyrody (najłatwiej spotkać go nad małymi, niezabudowanymi rzekami, m.in. Hańczą, Baryczą czy Nidą). Zimorodek w pochmurny dzień będzie po prostu niebieski. Ale wystarczy, że padnie na niego promień słońca, a będzie kipiał niebieskością. Podobnie szpaki (wiosną często

spacerują przed redakcją „Tygodnika”) ze swoim brokatowym kołnierzem, a pamiętajmy, że one dodatkowo widzą siebie w ultrafiolecie. To dopiero musi być widowisko!

Taniec żurawi

Żaden z wymienionych w tym tekście gatunków nie jest jakąś niesamowitą rzadkością. Niektóre są na wskroś pospolite (co nie znaczy nieważne, bo np. sójki zakopujące na zimę nasioną, o których potem zapominają, są największymi leśnikami w kraju), a mimo to kryją niesamowite opowieści. Bardzo często ludzie odgrywają w nich rolę czarnego charakteru – wystarczy spytać czapli białej, kiedyś prawie wytępionej dla ozdobnych piór – w innych to ptaki nas czegoś uczą. To chyba dla tych historii ludzie tak chętnie spędzają z nimi czas. Co więcej, badania prowadzone w Niemczech pokazują, że im bardziej doświadczony ptasiarz, tym bardziej interesują go ptaki „małe, nudne i trudne do obserwowania”.

Co więcej: są gotowi je chronić. A jest przed czym, bo w ciągu ostatnich 40 lat w Europie ubyło ponad pół miliarda ptaków. Główną przyczyną jest oparte na ciężkiej chemii rolnictwo i zanieczyszczenie powietrza. Tymczasem kolejne badania pokazują, że turystyka ornitologiczna wspiera ochronę przyrody (zwłaszcza ta, która nie opiera się o „zaliczanie” kolejnych, coraz rzadszych gatunków), a sama obecność ptaków pozwala często powoły-

wać nowe rezerваты czy parki narodowe na terenach mocno przekształconych przez człowieka. W Polsce idealnymi przykładami są właśnie Stawy Milickie, zbiornik Jeziersko, czy powołany ponad 20 lat temu PN „Ujście Warty”, gdzie jesienią można podziwiać spektakl wyjątkowy na skalę Europy – bo gdzie indziej na opanowanym przez ludzi kontynencie dzikie zwierzęta, tak jak gęsi na warciańskich rozlewiskach, liczy się jeszcze w setkach tysięcy?

Nie mamy już raczej szansy na zbudowanie takiego społecznego ruchu jak 150 lat temu w Wielkiej Brytanii, ale nie przypadkiem jedynym miejscem w Polsce, które ma szansę w ciągu roku stać się parkiem narodowym, jest Dolina Dolnej Odry. O jego powstanie walczą głównie miłośnicy ptaków.

Pamiętam jeszcze jeden moment: wschód słońca w czatowni nad Stawem Polnym nieopodal Milicza. Przede mną, na tle ożłoconych słońcem trzciny tańczyły dwa żurawie. Synchronicznie przestępowały z nogi na nogę, zadzierały głowy, trąbiły i pomału zbliżały się do siebie. Oglądałem je tak, jak ogląda się spektakl (wstęp wolny, ale trzeba przyjść z własną lornetką). I pomyślałem, że już rozumiem, czemu tak chętnie oglądamy ptaki. Nikt inny nie wymyśliłby takiego tańca.

© P. KRZYSZTOF STORY

Korzystałem z książki „Zobacz ptaka.

Opowieści po drodze” Jacka Karczewskiego.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieł, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kačka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziół, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOŻA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Wyliczanka



„DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ BOŻYCH, [...] PIĘĆ przykazań kościelnych, czterech ewangelistów, trzech królów magów, wołek i osiołek. [...] Kto stworzył świat cały? Tylko jeden Bóg” – to prawda, że zakończenie frazy tej piosenki-wyliczanki sytu-

uje ją w scenerii raczej betlejemskiej, a nie w klimatach wielkanocnych. Wielki Tydzień w tym roku – co zdarza się jedynie trzy razy na dziewiętnaście lat – rozjeżdża nam się kalendarzowo ze świętem Pesach i odśpiewanie podobnej żydowskiej piosenki-wyliczanki – również ludycznej lekcji religii – jeszcze przed nami, kiedy piszę te słowa. „Kto wie, czego jest jeden? Jeden Bóg, który jest w niebiosach i na ziemi”.

Potem – w hebrajskiej wersji upstrzonej arameizmami – dochodzą kolejno: dwie tablice przymierza, trzech praojców, cztery pramatki, pięć ksiąg Tory, sześć porządków Miszny (pierwszej części Talmudu), siedem dni tygodnia, osiem dni [do] obrzezania, dziewięć miesięcy ciąży, dziesięć przykazań, jedenaście gwiazd (w śnie Józefa, zob. Rdz 37, 9), dwanaście plemion [Izraela], trzynaście cech [Bożego miłosierdzia] (zob. Wj 34, 6-7).

W zeszłym tygodniu przyglądaliśmy się biblijnej siódemce i ósemce w kontekście inauguracji Przybytku na pustyni. Siedem dni zajmuje poświęcenie przenośnej Świątyni, by w ósmym mogła pojawić się w niej Boża Obecność. W naszej piosence „siedem [jest] dni tygodnia, osiem dni [do] obrzezania” – czy można tu nakreślić pewną paralelę? Bóg stwarza świat w siedem dni – odpoczynek stanowi integralną część Dzieła – podobnie siedem dni Mojżesz przygotowuje Przybytek. Następnie pojawia się w nim Boża Obecność, czym rozpoczyna się nowy etap w relacji Najwyższego ze swoim ludem. Analogicznie obrzezanie znamionuje przystąpienie oseska do wyjątkowego Przymierza. Przez pierwsze siedem dni życia jego relacja ze Stworzycielem była częścią Jego związku ze stworzeniem, teraz zostaje wzbogacona o nowy wymiar.

Na początku przypadającej na ten tydzień porcji Tory znów natykamy się na siódemkę i ósemkę: „niewiasta, która wydała i urodziła chłopca, nieczystą będzie przez siedm dni... A dnia ósmego obrzezane będzie ciało napletka jego” (Kpł 12, 2-3; Cylkow). Tu wyjątkowo cyfry te dotyczą różnych osób, więc niekoniecznie trzeba je ze sobą łączyć. Następnie czytamy o szeregu sytuacji dotyczących funkcjonowania naszego ciała, w których stajemy się nieczyści rytualnie. Schemat czasowy jest ten sam: potrzebujemy siedmiu dni oczyszczenia, by móc wrócić do obozu i/lub codziennej rutyny. Możliwość wejścia do Przybytku otrzymujemy po złożeniu odpowiednich ofiar „dnia ósmego”. Ósemka jest wyjątkowa, ale zarazem występuje po siódemce. Zaczynamy to samo od nowa, lecz odmienieni. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Komunijny lukier



W MAJU NASZE POCIECHY, PRZYSZŁOŚĆ NARODU i Kościoła, ale niekoniecznie swoich rodziców, będą przystępować do pierwszej komunii. Przyjmą, dostaną, zostaną do niej dopuszczone, wezmą sakrament, opłatek. Mówi się co prawda, że w komunii sam

Pan Jezus przyjdzie z nieba do czystych serduszek dzieci i w nich zamieszka, ale i tak to najważniejsze, czyli pierwszy pełny udział, pełne uczestniczenie w dziękczynnej uczcie Kościoła zostanie przykryte wspaniałą ucztą w restauracji. Podobnie rzecz ma się z pierwszą spowiedzią, którą trzeba przecierpieć, gdyż jest przepustką do komunii. Słowem: żywy związek z Jezusem i Kościołem uprzedmiotowiliśmy, sprywatyzowaliśmy, zawłaszczyliśmy. Zredukowaliśmy do zjadania opłatka, i to takiego zjadania, które ładnie wyjdzie na zdjęciu lub filmie.

Po zaliczeniu tej praktyki religijnej trzeba jeszcze zaliczyć bierzmowanie, bo a nuż przyjdzie komuś ochota na ślub kościelny. O bierzmowaniu – dodajmy: też o pierwszej komunii, gdyż od niej zaczyna się ten proces – ktoś powie: „dział, że jest sakramentem odejścia z Kościoła, którego uroczyste udziela biskup, a w przypadku komunii proboszcz. Nic w tym dziwnego, wiele parafii wciąż działa lepiej lub gorzej jako punkty usługowe chrzcielno-ślubno-pogrzebowe. Nie pocieszajmy się więc liczną frekwencją i piękną ceremonii pierwszokomunijnych. Wiadomo przecież, że im mniej Boga, tym więcej obrzędów.

Ponoć w tym roku najbardziej pożądaną pierwszokomunijną pamiątką są najnowszej generacji smartfony i tablety. Zanim je zakupimy i podarujemy, posłuchajmy Tomasza Drwała, który rozmawiając z Arturem Gacem na temat uzależnień od mediów społecznościowych, mówi: „Za x lat będziesz leżał niedołężny (w szpitalu), a twój dzieciak, któremu pozwoliłeś prowadzić próżniacze życie (...), weźmie smartfon i zapyta Google lub AI: »Co zrobić z ojcem 80-letnim, który robi w gacie, nie chce wychodzić z domu i generalnie jest dla nas obciążeniem?«. A sztuczna inteligencja odpowie: »W Holandii jest takie legalne rozwiązanie, które nazywa się eutanazja. Jest to bardzo dobre rozwiązanie i dla twojego ojca, i dla reszty rodziny, która jest obciążona z tytułu opieki nad takim gościem«”.

Pierwszokomunijny kryzys, grubo lukrowany religijną obrzędowością, jest sprawą wewnętrzną Kościoła, ale wskazuje również, że w społeczeństwie też dzieje się źle. Tu i tam brak wspólnego stołu i wspólnego portfela. Żeby od czegoś zacząć, spróbujmy tegorocznym „komunistom” zamiast smartfona podarować coś, czym będą mogli podzielić się z tymi, od których poza podziękowaniem nic więcej w zamian nie dostaną. A dzieci, które doszły już „do używania rozumu”, przy stole Pańskim posadźmy w Wielki Czwartek. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Paschalne pragnienie Jezusa

Nie mają wstydu
ni dumy ani lęku
przed tym, co nadchodzi.
Są bezpieczni
– mówi Miłość.
Ich drzwi otwarte.
Nikt nie może ich zranić.

MAŁGORZATA PORETE



Nic z tego, co widzimy,
nie jest trwałe.
Nawet gdy mówię
o tych zmianach,
zmieniam się sam.

SENEKA



Wybrał PIOTR SIKORA



„JEZUS UDAŁ SIĘ NA DRUGI brzeg Jeziora Galilejskiego (...), a zbliżało się święto żydowskie, Pascha. Kiedy podniósł oczy i ujrzał, że liczne tłumy schodzą się do Niego, rzekł do Filipa: Gdzie kupimy chleba, aby oni się najedli? (...) Andrzej rzekł do Niego: Jest tu chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby (...) Jezus więc wziął chleby i odmówiwszy dziękczynienie, rozdał siedzącym; podobnie uczynił i z rybami, rozdając tyle, ile kto chciał” (zob. J 6, 1-15).

Więcej niż dziwnie zachowuje się Jezus w tym fragmencie Ewangelii. Skoro zbliża się Pascha, powinien – jak każdy pobożny Żyd – udać się do Jerozolimy. On tymczasem idzie dokładnie w odwrotnym kierunku – na północ: nad Jezioro Galilejskie, i to jeszcze „na drugi brzeg” – to znaczy na „pogańską” stronę jeziora. Właśnie tak. Nie do świętego miasta, aby z ludem Boga przeżyć najważniejsze w roku święta, lecz do pogańskiego świata, z dala od religijnej wspólnoty – do pogan! Dlaczego?

Być może dlatego, aby zapowiedzieć nową Paschę – Eucharystię, którą sam wkrótce ustanowi. A która – w najgłębszym Jego zamyśle i pragnieniu – skierowana będzie nie do wybranych i „świętych”, lecz do każdego i do wszystkich.

Z niesłychanym przejściem uświadamia nam tę prawdę papież Franciszek w swoim (stosunkowo niedawnym) Liście apostolskim „Desiderio desideravi” (niektórzy nazywają

ten tekst „listem miłosnym” Franciszka do Jezusa w Eucharystii). Píše: „Nie wolno nam pozwolić sobie ani na moment odpoczynku, jeśli wiemy, że jeszcze nie każdy człowiek otrzymał zaproszenie na tę Wieczerzę, lub kiedy zdajemy sobie sprawę z tego, że inni już o nim zapomnieli albo zgubili po drodze” (nr 5).

Cały świat jest zaproszony na tę Ucztę – takie właśnie jest pragnienie (*desiderio desideravi*) Jezusa – a przekazanie tego zaproszenia jest naszym nieustannym i pilnym zadaniem. Misją. Właśnie dlatego zabiera nas na „pogańską” stronę jeziora, i to na rok, zanim (!) nad Chlebem/Ciałem i Winem/Krwią wypowie słowa: „Bierzcie i jedzcie... bierzcie i pijcie...”, byśmy zapamiętali twarze adresatów tego sakramentu. Także po to, by nam pokazać, w jaki sposób można do niego skutecznie i wiarygodnie ich zaprosić – już teraz.

Od czego należy zacząć? Od dzieła miłosierdzia.

Głodnym ludziom – a sam zauważył ich potrzebę (nie musieli Mu o niej mówić) – nie głosi kazania o Eucharystii, lecz karmi ich obficie chlebem i rybami.

Ta wskazówka pozostaje do dziś aktualna. I obligatoryjna: pierwszą Eucharystią – pierwszym „sakramentem miłości” dla tych, którzy żyją w pogańskim świecie – są dzieła miłosierdzia. Spełniane na Jezusowy sposób – z pokorą, bezinteresownie, z wrażliwością i cierpliwością – wskazują poza siebie. I zapraszają poza siebie – by wejść dalej i głębiej w Bożą rzeczywistość. By spróbować jeszcze innej Uczty. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 IV – 12 V)

5. niedziela wielkanocna: Dz 9, 26-31; Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8; Poniedziałek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30; Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a; Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8; Czwartek: Dz 15, 7-21; Ps 96; J 15, 9-11; Piątek, uroczystość NMP Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1-6. 10ab; Ps: Jdt 13, 18-20a; J 19, 25-27; Sobota: Dz 16, 1-10; Ps 100; J 15, 18-21;	6. niedziela wielkanocna: Dz 10, 25-26. 34-35. 44-48; Ps 98; 1 J 4, 7-10; J 15, 9-17; Poniedziałek: 1 Kor 15, 1-8a; Ps 19; J 14, 6-14; Wtorek: Dz 16, 22-34; Ps 138; J 16, 5-11; Środa, uroczystość św. Stanisława: Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16; Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20; Piątek: Dz 18, 9-18; Ps 47; J 16, 20-23a; Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28; Niedziela Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 4, 1-13; Mk 16, 15-20.
--	--

KRAJ

NASZE DZIECI NASZA SPRAWA

Co musiałoby się stać, by wychowankowie działającego u nas po lutym 2022 r.
ukraińskiego sierocińca pozbyli się przemocowej kadry?
Zgłaszanie prób samobójczych to za mało.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Z NOTATKI PSYCHOŁOŻKI W.: „SKONTAKTOWAŁY SIĘ ZE MNĄ DZIEWCZĘTA: S., B., R. I L. (...) Mówiły o presji psychicznej i fizycznej, jakie wywiera na nie ich opiekun prawny p. Olha. S. i B. wyjawiały mi, że przez panią Olhę podjęły próbę samobójczą – usiłując podciąć sobie żyły”.

Z listu nastolatki S.: „Pani Olha biła dzieci, rzucała do nich krzesłami i stolami, biła je pałką”.

Z listu B.: „Bardzo na mnie krzyczała, mówiąc, że jestem dziwką, *twari* (kreaturą), suką”.

Z kamery monitoringu: kobieta podchodzi i przewraca stół na siedzących niemal bez ruchu dwoje nastolatków.

Marta Rutkiewicz, prezes Fundacji Bocianie Gniazdo w Runowie na Pomorzu, gdzie dwa lata temu trafiło ewakuowane Zaporoskie Regionalne Centrum Rehabilitacji Społecznej i Psychologicznej, czyli dom dziecka: – Od miesięcy wal-

czę o reakcję na dramat dzieci. Powtarza się schemat. Dzwonię do ważnej osoby, urzędu, organizacji, redakcji. Najpierw entuzjazm: „Jak dobrze, że pani walczy!”. A potem cisza.

– Znam jej powód – dodaje Rutkiewicz. – To drażliwa sprawa. Drażliwa, bo polityczna.

Jak w tiumnie

Luty 2022 r. to nowa rzeczywistość także dla tysięcy ukraińskich dzieci. W tym domów dziecka, które ewakuowano wtedy do Polski.

– Mieszkanką placówki w Zaporozu byłam od 14. roku życia – opowiada mi Tatiana, 18-letnia Ukrainka, która będąc w Polsce osiągnęła pełnoletniość i odcięła się od swojej placówki. – To dom dla dzieci z niewydolnymi rodzicami.

– Jak ci się w nim mieszało w Ukrainie? – pyta Tatianę Marta Rutkiewicz, jej obecna nieformalna opiekunka, która pomaga mi się dogadać z Tatianą. – Jak w *tiumnie*. Tak jak w więzieniu – poprawia się dziewczyna. – Nie można było za bardzo wychodzić, tylko do szkoły. Opiekunowie przymykali oczy, gdy starsze dzieci znęcały się nad młodszymi, np. każąc im trzymać w górze poduszkę, aż ręce drętwiały.

– Gdy wybuchła wojna, zgłosiłam w powiecie, że możemy przyjąć uchodźców – opowiada Rutkiewicz. – Prowadzę z bratem ośrodek wypoczynkowy, mamy budynek z kuchnią i świetlicą, 5 ha terenu. Obiekty sportowe i stajnię, gdzie prowadzimy hipoterapię.

Rutkiewiczowie mają też fundację, która pomaga lokalnej społeczności. Gdy więc urzędnicy umieszczają u nich ponad 50 dzieci, są gotowi. Za noclegi i wyżywienie płaci powiat, zajęcia – edukacyjne, terapeutyczne i integracyjne – finansuje fundacja. Od przyjazdu dzieci kontakt z nimi będą mieli, poza kadrą ukraińską, specjaliści (nasi i ukraińscy) fundacji.

– Już w pierwszych miesiącach było jasne, że ukraińskie opiekunki stosują inne metody – opowiada Rutkiewicz. – Krzyki, kary, na placu zabaw jedna z pań uderzyła dziecko. Byłam świadkiem wyzwisk. „Debil”, „głupek”, „dziwka” i „ssie tamtemu”, tak Olha, ale i inne opiekunki mówiły do dzieci! Zgłaszaliśmy to Powiatowemu

Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku. Bez adekwatnej reakcji. „A działa?” – spytała pani z PCPR moją pracownicę, mając chyba na myśli, że takie metody przynoszą skutek. „To po co się pani wtrąca?”.

Członkowie fundacji pukają też do starosty, organizacji pozarządowych i międzynarodowych organizacji pomocowych. Przedstawiciele jednej z nich – Save the Children – przyjeżdżają do Runowa, by zbudować dla dzieci bezpieczne strefy świetlicowe.

– Więcej nie wskórali, bo nasza strona samorządowa nie była zainteresowana integracją dzieci w polskim systemie, zasłaniając się brakiem zgody Ukrainy – dodaje Rutkiewicz.

Państwo w państwie

UNICEF podaje, że w ramach ewakuowanych ukraińskich placówek mieszka w Polsce ok. 1200 dzieci. Największe skupisko to położony w Rawie Mazowieckiej ośrodek Ossa – jest tam ok. 400 dzieci. Kolejne są m.in. w Ustce, Olsztynie pod Częstochową, Moryniu i Łodzi. W tym ostatnim miejscu – mówią eksperci – ukraińskie dzieci mają warunki zbliżone do polskich placówek. Ale większość z pozostałych miejsc to utrzymujące się od ponad dwóch lat rozwiązania tymczasowe, będące odwzorowaniem ukraińskiego systemu. A nawet gorzej: molochami zarządzania mniej liczna niż w Ukrainie kadra.

Ta sprawa to tabu. Tuż po lutym 2022 r. nieliczni działacze polskich organizacji ostrzegali, że przyjmujące ośrodki nie są przystosowane do długiego pobytu. A nieliczna kadra może sobie nie radzić ze strauumatyzowanymi dziećmi. „Hodujemy patologię i przemoc” – mówiono nieoficjalnie. Dziś też trudno tę opinię usłyszeć oficjalnie: z „Tygodnikiem” zgodziło się porozmawiać troje ekspertów – z organizacji polskich i międzynarodowych – ale anonimowo. Boją się, że krytyka zaszkodzi działalności ich organizacji. Choć dodają, że o życiu „placówkowych” ukraińskich dzieci w Polsce trzeba zacząć mówić.

– Gdy zaczęła się wojna, działano *ad hoc* – opowiada działaczka polskiej organizacji. – To był tryb ratowania zdrowia i życia, ale na ten tryb należało nałożyć jakąś sensowną metodę. Ukraina pilnowała, by dzieci nie rozdzielać: bali się utraty kontroli, wyjazdu poza Polskę, wynarodowienia itd. Ale dało się to sensownie rozwiązać tak, by dzieci żyły w lepszych

Ukraińscy uchodźcy na przejściu granicznym w Medyce, marzec 2022 r.

→ warunkach. Niestety, nasi sąsiedzi byli w tej sprawie usztywnieni.

Specustawa o pomocy obywatelom Ukrainy wprowadziła instytucję opiekuna tymczasowego – to on lub ona, w przypadku gdy ukraińskie dziecko trafiło do Polski bez rodziców, decyduje o jego losie. W praktyce, w przypadku ukraińskich placówek tym opiekunem zostają ich kieroownicy. Nasza specustawa mówi, że nadzorem nad opiekunem tymczasowym i zapewnieniem warunków dzieciom dzielą się między sobą ośrodki pomocy społecznej i PCPR-y. Jednak nadzór ten to często iluzja. – W praktyce urzędnicy słuchają strony ukraińskiej. Tamtejsza kadra może zrobić wszystko, często jest jak państwo w państwie – słyszę od pracownicy międzynarodowej organizacji.

Ukraina w ostatnich miesiącach zgodziła się na ustępstwa – relokacje części dzieci z dużych skupisk (np. ze wspomnianej Rawy do domków w Łodzi). Ale zasada się nie zmieniła: nasi sąsiedzi chcą mieć swoje dzieci pod ścisłą kontrolą.

Wszyscy was porzuca

Tatiana: – W Polsce nękanie między dziećmi się nasiliło. Pojawiła się przemoc ze strony wychowawczyń. Dyrektorka jak się zdenerwowała, wywracała na dziecko stół. Szturchała, biła po głowie. Obrażała: „kończony”, czyli „niezdolny do niczego”, „szlucha”, czyli dziwka.

Z Tatianą rozmawiamy przez kwardrany: Marta Rutkiewicz nie chce dłużej obciążać dziewczyny. Inne fakty poznam z jej listu, który został włączony do postępowania prokuratorskiego („ze względu na opiekuna prawnego chciałam odebrać sobie życie”).

Rutkiewicz oraz dzieci to niejedyni świadkowie przemocy. Udało mi się porozmawiać z Marharytą Yechkało, młodą Ukrainką, studentką w Kielcach, która w czasie wakacji 2023 r. została, jako animatorka, zatrudniona przez Bocianie Gniazdo. – Od początku słyszałam wyzwiska do dzieci: „idioci”, „downy”, „narkomani” – opowiada. – Potem widziałam akty przemocy, np. ciągnięcie za ucho.

Marharyta opowiada o wieczornych zbiórkach, w czasie których dyrektorka miała publicznie upokarzać dzieci: – Wmawiała im, że wszyscy je porzuca, tylko nie ona. Pewnego dnia jedno z dzieci poskarżyło się dyrektorce, że 9-letni chłopiec opowiedział w szkole o jej przemocy, tzn. kopaniu dziecka. Olha natychmiast zrobiła zbiórkę: „Czy ja kiedykolwiek ktoś uderzyłam?”. Na to dwie osoby odważyły się powiedzieć, że ciągnęła za ucho. Olha na to: „Za ucho to dla was mało!”, a potem było najgorsze. Powiedziała do chłopca, który zgłosił przemoc: „A ty pamiętasz, jak ci matka kazała wylizywać pochwę?”. I spytała ponownie: „Czy ja kogoś uderzyłam?”. Zapadła cisza. Ja też nie wiedziałam: czy ratować je, czy siebie? Nagle ktoś zaczyna się śmiać, na co Olha: „W waszych domach było to samo!”.

Dwa światy

– Bardzo proszę, by pan to napisał – mówi Marharyta. – To nie jest tak, że Ukraina równa się przemoc. Sama skończyłam wspaniałą szkołę ze świetnymi nauczycielami. To, co odróżnia Ukrainę od Polski, to procedury i monitoring. Tam, gdzie nie ma kontroli, są patologie.

Ale polscy eksperci od pieczy uważają, że ukraińska strona zwykle inaczej rozumie przemoc: lekkie uderzenie czy psychiczne znęcanie nie jest dla wielu patologią. I problem największy: wielu hołduje zasadzie „nasze dzieci, nasza sprawa”.

Działaczka na rzecz praw dzieci wytacza zdarzenie: – Polska pracownica zastąpiła ukraińską opiekunkę, jak ta biła dziecko. Interwencja skończyła się najpierw zaangażowaniem w sprawę konsula, potem wyjaśnieniem strony ukraińskiej, że Polacy mają się odmierzać, a na koniec, uwaga, wpisaniem do „Polityki ochrony dziecka” zasady, że polski personel może interweniować, ale... za zgodą ukraińskiego.

Od pracownicy międzynarodowej organizacji słyszę o podobnym przypadku dotyczącym dwudziestki dzieci, wśród których były sprawiające trudności nastolatki i młodzież z niepełnosprawno-

ściami. – Gdy polska strona, widząc problemy, chciała pomóc, domagając się albo liczniejszej kadry, albo przeniesienia części dzieci np. do polskich rodzin, grupę relokowano do Ukrainy – opowiada działaczka.

Wróciła i wpadła w furie

Grudzień 2023, dyrektorka Olha jest akurat w Zaporozu. Kilka dziewcząt z grupy runowskiej przychodzi do psycholożki W. Chcą porozmawiać.

– Jedna powiedziała: „Jak mi pani nie pomoże, popełnię samobójstwo” – opowiada W., która nie chce podawać swoich danych. – Powiedziała, że jest taki nacisk ze strony Olhi, tak ją obraża, że nie wytrzyma. Powiedziałam, że może lepiej, jak napisze to w liście. Dziewczyna dodała, że są inne koleżanki, które czują się tak samo, i nazajutrz przyszły z czterema listami.

Treść każdego z nich jest z grubsza podobna. S. pisze nie tylko o rzucaniu meblami, ale też o jednym z zebrań, po którym chciała się zabić. R.: „Zaczęłam przyjaźnić się z dziewczyną, której Pani Dyrektor nie lubiła (...) Pani Dyrektor zaczęła wymyślać różne sytuacje, mówiąc, że jesteśmy zaangażowane w prostytucję, zabroniła dzieciom w ośrodku komunikowania się z nami, grożąc im karą. Przychodziła do nas do pokoju i przeklinała nas. Z tego powodu moja psychika była nie do zniesienia i chciałam popełnić samobójstwo”.

W. przekazuje sprawę Marcie Rutkiewicz, ta zgłasza ją do zespołu specjalistów i wraz z nimi do PCPR, a PCPR do prokuratury. – Ale miały kolejne dni i nie dość, że nikt nie zabezpieczył dzieci, to potencjalna oprawczyni wróciła i dostała informacje o okolicznościach zgłoszenia – opowiada Rutkiewicz. – Wpadła w furie, głównie na psycholożkę, która ujawniła sprawę, oraz na dzieci, że „się sprzedają”, i od tej pory zakazała do nich dostępu. Dowiedziała się, kto pisał listy. To niewiarygodne, że aż tak zawiódł system ochrony dzieci. PCPR nie złożył wtedy wniosku o zmianę opiekuna ani o zabezpieczenie dzieci.

Po dziesięciu dniach robią to organizacja Save the Children, a dzień później sama Rutkiewicz – o interwencyjne zabezpieczenie proszą sąd rejonowy w Łęborgu. Ale sąd się na to nie decyduje (dlaczego, nie wiadomo; nikt z jego przedstawicieli

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

nie zgodził się na rozmowę). Z kolei słupski PCPR (jak twierdzi w nadesłanych do „Tygodnika” odpowiedziach na pytania kierowniczką Urszulą Dąbrowską) wysłał do Konsulatu Ukrainy w Gdańsku prośbę o odsunięcie Kucher od dzieci „na czas wyjaśnienia sytuacji”. Bez skutku, więc dzieci pozostają z tą samą kadrą.

„Gdy chciałam zobaczyć, jak czują się dziewczyny, które napisały listy (...) pani Olha (...) wybiegła za mną i zabroniła mi do nich wejść – napisze do pracownika UNICEF koordynatorka zatrudniona przez PCPR w raporcie, do którego dotarł „Tygodnik”. – (...) Dziewczynki siedziały w jednym pokoju, nie mogły z nikim rozmawiać ani wychodzić z pokoju. Na posiłkach pani Olha usadziła ich obok siebie, przez co dziewczyny nie chciały jeść (...) Absurdalny jest fakt, że dziewczynki dalej przebywały (...) w tym samym budynku ze swoim domniemanym oprawcą, przez którego mają myśli samobójcze”.

Nierozsądne życzenia dzieci

Dwa dni przed świętami Rutkiewicz składa do sądu wnioski o zmianę opiekuna tymczasowego. Wskazuje na siebie, zgodnie z pisemną prośbą kilkorga dzieci. – Myślałam, że sąd odizoluje dzieci od dyrektorki – mówi Rutkiewicz. – Nic z tego, rozprawę odroczono.

11 stycznia, gdy opiekunką jest nadal Kucher, dochodzi do relokacji trzech dziewczyn, które zgłosiły przemoc (czwarta osiągnęła pełnoletniość, więc zgodnie ze swoją wolą zostaje w budynku Fundacji), do ośrodka w Ustce. Wszystkie pozostałe dzieci – wraz z tymi samymi opiekunami – trafiają tam kilka tygodni później. Dlaczego? Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pisze, że „w zastanej sytuacji ocenionej jako zagrażającej życiu i zdrowiu, Wojewoda Pomorski wraz z Krajową Służbą Społeczną Ukrainy podjęli decyzję o zabezpieczeniu dzieci z grupy ryzyka poprzez relokację”.

Marta Rutkiewicz: – Czyli zabezpieczono dzieci nie przed kontaktem z domniemanymi sprawcami przemocy, tylko z osobami, które tę przemoc zgłosiły.

29 stycznia odbywa się rozprawa. Olha Kucher rezygnuje z bycia tymczasowym opiekunem – na rzecz Oleny Lisowskiej, według pracowników Fundacji kucharki z Zaporozża, która od wiosny 2022 r. była częścią personelu, a więc wiedziała o do-



Ukraińskie dzieci przy mapie swego kraju, akcja „Światelko dla Ukrainy” w pierwszą rocznicę inwazji, Grabie k. Wieliczki, 23 lutego 2023 r.

mniemanej przemocy i jej nie zapobiegła. Czym kierował się sąd, podejmując decyzję, choć znał opinie kilkorga dzieci, a także Rzecznika Praw Dziecka, który poparł kandydaturę Rutkiewicz? „Dobrem dziecka”, które nie zawsze jest „tożsame z jego życzeniami”, jak można przeczytać w uzasadnieniu wyroku. Sąd bowiem – czytamy dalej – bierze pod uwagę „tylko rozsądne życzenia dzieci”.

Prokuratura prowadzi postępowanie przygotowawcze w sprawie podejrzenia przemocy, ale nikt nie ma na razie zarzutów. Dzieci są w Ustce, w tym samym budynku co ich domniemana oprawczyni. – Niby odsunęła się od dzieci, ale wiem, że nie tylko ma z nimi kontakt, ale nadal rządzi i kieruje wszystkimi – mówi Marharyta, która próbowała odwiedzić dzieci w Ustce, i została wyrzucona z ośrodka właśnie przez Kucher.

Co na to polskie instytucje? Słupski PCPR zapewnia o stałym monitoringu oraz o tym, że dzieci są bezpieczne. „Znajdują się pod opieką kadry ukraińskiej, wspieranej przez opiekunów zatrudnionych przez Starostwo” – pisze szefowa PCPR. W podobnym duchu odpowiadają urząd wojewódzki oraz ustecki MOPS, którego urzędnicy dodają, iż obecny opiekun tymczasowy podlega jego nadzorowi (wizyty co 14 dni), zaś „Pani Dyrektor [oskarżana o przemoc była opiekun – red.] zajmuje miejsce w osobnym skrzydle budynku i zajmuje się administracją”. – Mamy regularny kontakt z niektórymi dziećmi – mówią Rutkiewicz i Yechkalo. – Nie czują się w Ustce ani dobrze, ani bezpiecznie.

Instytucje ukraińskie? – Rozmowa z konsulem i wicekonsulem ukraińskim w Gdańsku była nieprzyjemna – opowiada Marharyta Yechkalo. – Usłyszałam, że fakt, iż byłam świadkiem przemocy, nie jest dowodem w sprawie. Wyszliśmy z niczym.

Niczym zakończyły się też interwencje Marharyty w zaporoskich władzach lokalnych oraz w jednym z ministerstw.

W cieniu polityki

Czy coś może się zmienić systemowo? – Wybory jedne, drugie, zmiana rządu: to nie sprzyja odważnym decyzjom – słyszę od cytowanej już pracownicy organizacji międzynarodowej. – Nikt nie chce odpowiadać za kłótnię z Ukrainą, która nie lubi ustępstw. A dla Polski to wygodne: odpada odpowiedzialność i spore koszty.

Jedna z pracownic krajowego NGO potwierdza: polska strona za rządów PiS nie naciskała, by wziąć odpowiedzialność za ukraińskie dzieci. – Gdybyśmy postawili twardy warunek na samym początku, Ukraina nie miałaby wyjścia – mówi działaczka. – To zaniechanie było ogromnym błędem, za który teraz płacimy: mamy dzieci dwóch kategorii.

A w kolejnych latach, dodaje działaczka, możemy mieć większe problemy. Np. z osiągniętymi pełnoletniość wychowankami ukraińskich placówek bez wsparcia. – Mogą paść ofiarą wykorzystywania albo stać się częścią grup przestępczych – wieszczą działaczka.

Co na to nowa ekipa ministerstwa rodziny? „Tygodnik” otrzymał obszerny opis obecnego stanu prawnego ➔

→ dotyczącego ukraińskich placówek w Polsce, ale odpowiedź na pytanie, czy Polska chce negocjować włączenie tych instytucji do polskiego systemu pieczy zastępczej, nie padła.

Biuro Rzecznika Praw Dziecka pytane o obecne rozwiązania odpowiada, że nie gwarantują one pełnej ochrony ukraińskich dzieci. „Zwłaszcza w sytuacji, kiedy pojawiają się informacje o nieprawidłowościach, które niosą potrzebę szybkiego reagowania” – pisze rzeczniczka BRPD Paulina Nowosielska. Ale równolegle ze zmianą przepisów dotyczących uchodźczych dzieci musimy, dodaje, wyciągnąć z kryzysu krajowy system pieczy zastępczej. „W tej sprawie – informuje biuro Rzecznika – odbywają się spotkania z udziałem przedstawicieli BRPD, ministerstwa rodziny i ministerstwa sprawiedliwości”.

Z kolei MSWiA przedstawiło niedawno projekt nowelizacji ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy. Precyzuje on, że organem sprawującym nadzór nad ewakuowanymi zza wschodniej granicy jednostkami pieczy będzie powiat. Ale w noweli jest też zdanie, które zaniepokoiło ekspertów: to władze ukraińskie mają mianować opiekunów przebywających w Polsce dzieci z placówek. Gdyby taki przepis wszedł w życie, jeszcze bardziej odsuwałby odpowiedzialność za młodych uchodźców od polskich władz.

Czuje się kierowniczką

Ukraiński konsul w Gdańsku do czasu ukończenia artykułu nie odpowiedział na prośbę o rozmowę.

Udało się za to skontaktować – i porozmawiać krótko telefonicznie – z Olgą Kucher, gdy 17 kwietnia ruszała z Ustki do Ukrainy (wedle wiadomości Marharyty Yechkało uzyskanych od ukraińskiego rzecznika praw dziecka, zaporoska administracja wydała nakaz jej powrotu, choć nie wiadomo, w jakim celu i na jak długo). Nie czuje się winna. Nie biła ani nie krzywdziła dzieci. Listy dzieci zostały według niej podyktowane. Świadkowie? Kłamią. A ona sama, choć nie jest już opiekunką tymczasową dzieci, czuje się kierowniczką placówki.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Klucz do Kaczyńskiego

ROBERT KRASOWSKI

Nigdy nie chciał rządzić. Jeśli chciał władzy, to dla brata. Sam chciał być – jedynie lub aż – liderem opinii. Publikujemy fragment biografii prezesa PiS.

TA CECHA PORTRETU LIDERA PiS JEST kluczowa dla zrozumienia jego ekscentrycznej kariery. Kaczyński był nie tylko politykiem, był również jednym z przywódców polskiej inteligencji. Należał do jej najściślejszej elity, do grupy duchowych pasterzy. Dwóm pokoleniom Polaków opowiedział, jak wygląda Polska, na co choruje i jak ją można wyleczyć. To ważna cecha, która odróżnia go od wszystkich innych polityków. Owszem, każdy polityk ma poglądy, Miller miał swoje poglądy, Kwaśniewski swoje, Tusk swoje, ale żaden nie był liderem opinii. Nie byli twórcami autorskich opisów rzeczywistości, nie mieli takich potrzeb, takich ambicji, takich horyzontów. Od czasu Romana Dmowskiego nikogo podobnego w centrum polskiej polityki nie było. Zazwyczaj wizje i recepty formułowali głośni pisarze i publicyści.

Mocno to utrudniło zrozumienie Kaczyńskiego jako polityka. Większość współczesnych widziała w jego diagnozach klucz do jego politycznych czynów, co było błędem. To nie były programy polityczne, ale przemyslenia, wizje, manifesty. Kaczyński nie chciał być budowniczym Wielkiej Polski ani w 1990, ani w 2005, ani w 2015 roku. Swoje wizje kreślił, występując nie z pozycji polityka, ale lidera opinii. Z pozycji polskiego intelektualisty biorącego udział w odwiecznej licytacji, kto mądrzej opisuje narodowy los, kto lepiej odczytuje ryzyka stojące na polskiej drodze. Adresatem tych diagnoz nie był ani elektorat PC, ani wyborcy PiS-u, lecz elita polskiej inteligencji. A rywalem nie byli politycy, lecz Adam Michnik, a z czasem kolejne postaci. Była to zatem inna gra, wobec innej publiczności, na innym boisku, o inną stawkę. Była to wojna o duchowe przywództwo.



MIROSLAW STELMACH / REPORTER

KACZYŃSKI OPOWIADA, że za młodu chciał zostać sławnym pisarzem politycznym, takim jak Stanisław Cat-Mackiewicz czy bracia Bocheńscy. Na drodze stanął mu brak talentu, miał zbyt ciężkie pióro, do 1990 r. napisał tylko dwa ważne teksty, dwie polemiki z Michnikiem. Publicystycznie ożywił się, gdy został znanym politykiem i otworzyła się przed nim możliwość udzielania wywiadów. Z okazji natychmiast skorzystał, rozmawiał z dziennikarzami chętnie, najbardziej lubił wywiady długie, do poważnych pism, w których mógł szeroko przedstawić poglądy. Chętnie zgadzał się na wywiady książkowe w formule „moje poglądy na wszystko”. Szybko stał się jednym z najbardziej głośniejszych publicystów.

Dlaczego miał publicystyczny temperament i publicystyczne ambicje, dlaczego cenił publicystyczną sławę? Bo wychował się w samym środku inteligenckiego świata, w opozycyjnej Warszawie. Na prywatnych spotkaniach inteligencji nie rozmawiało się o egzotycznych wakacjach czy kulinarnych przeżyciach, ale o filozoficznych lekturach. Kto chciał się liczyć, pisał teksty lub książki, robił doktoraty i habilitacje. Doktorowie nauk prawnych Lech i Jarosław Kaczyńscy poszli jedyną drogą, jaka była cenniona. Najważniejszymi figurami w tamtym świecie byli szefowie ważnych inteligenckich periodyków, Jerzy Giedroyc i Jerzy Turowicz. Ambitna młodzież marzyła, aby pisać dla nich, albo zakładała

Jarosław Kaczyński w 2005 r.

własne pisma, w których ogłaszała swoje poglądy. Tamta epoka nie odróżniała ról polityka i publicysty. Niemal wszyscy politycy próbowali zaimponować diagnozami, z kolei niemal wszyscy publicyści szykowali się do politycznych karier. Janek Kuroń, Adam Michnik, Jan Lityński, Antoni Macierewicz, Donald Tusk, Janusz Lewandowski, Aleksander Hall, Wiesław Chrzanowski, Ludwik Dorn to tylko drobny fragment tego zjawiska.

ALE BYŁO COŚ JESZCZE w motywacjach Kaczyńskiego, nie tylko polityka i nie tylko publicystyka, lecz marzenie o czymś więcej – o przeskoczeniu kilku piętér wyżej. O byciu nie kolejnym publicystą, ale Wielkim Publicystą. Marzenie o liderowaniu opiniami Polaków, o rządzie dusz. Dyskusje w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie dały Kaczyńskiemu poczucie siły, stanowczo był lepszy od innych. Jego przewaga ujawniła się w umiejętności analizowania demokratycznej polityki.

Liderzy polskiej inteligencji o demokratycznej polityce niewiele wiedzieli, nigdy się nią nie interesowali. Aleksander Smolar skarżył się na kolegów, że nawet odwiezając go we Francji, śledzili wyłącznie polskie wydarzenia. Kaczyński sztychł, że Geremek i Mazowiecki dobrze znają intelektualne dyskusje Paryża, jego polityki w ogóle. Potwierdziło się to po 1989 r.: debata publiczna tamtej epoki szukała recept na to, jak budować demokrację i kapitalizm, ale nawet najzdolniejsi nie potrafili wyjść poza pocziwe banały. Niby się różnili: byli reformatorzy, byli apostołowie zgody, byli antykomuniści. Ale poziom refleksji unieważniał różnice w treści, debatowali jak dzieci, musimy być grzeczni, dobrze się uczyć, odrabiać lekcje. Musimy ukarać Wojtkę i Czeska, bo dają zły przykład, albo zaprosić ich do wspólnej zabawy. Politykę opisywano językiem czytanki, za mądrość uchodziły frazesy o polskiej historii, narodowych wadach i bolesnych reformach.

W tym świecie Kaczyński pojawił się jako pierwszy dorosły. Często się mylił, niemniej poziom analizy ustawił o wiele piętér wyżej. Jako pierwszy zaczął analizować realia. Dorosłym językiem mówił o procesach społecznych, o grupowych interesach, o mechanizmach politycz-

nych, o roli pieniędzy w polityce, mówił w sposób chłodny i odczarowany. W jego diagnozach uwodziła nie treść, ale forma. Radykalnie wyższy punkt obserwacji, radykalnie szerszy horyzont widzenia. Miał intelektualny rozmach, większość obserwacji, z jakich budował swoje diagnozy, była dobrej jakości, potykał się dopiero na przesadnych konkluzjach. Widać było, że latami pracował nad sobą.

Z biegiem czasu okaże się, że nigdy pracować nie przestał, wieczorów nie trwonił przed telewizorem ani nad kieliszkiem, ale pochłaniał kolejne lektury. Widać było, że pozycja lidera opinii była dla niego strategicznie ważna. Jego potrzeba umysłowej dominacji była tak silna, że najkrótsza charakterystyka Kaczyńskiego brzmiałaby następująco: był politykiem, który nie chciał władzy, nieopanowanie natomiast pragnął dożywotniego miejsca w polityce (czyli partii) oraz intelektualnego przywództwa. Zobaczmy to po 2015 r., kiedy całe państwo zamieni w tubę głoszącą jego poglądy.

Kaczyński awansował na ważną postać inteligenckiego świata w czasie, gdy jego czołową postacią był Adam Michnik. U progu III RP zdobył władzę symboliczną, od czasów Adama Mickiewicza zwaną „rządem dusz”. Jego słowa były powtarzane z szacunkiem przez większość mediów, widziano w nich demokratyczny dekalog. Gdyby nie dopisał kilku własnych przykazań, do końca życia pozostałby świętym. Ale z początkiem 1990 r. ogłosił, że polska demokracja musi się oprzeć na pojednaniu z komunistami. Trzeba im wybaczyć, trzeba ich polubić, trzeba z nimi wspólnie pracować. Część inteligencji w tym wezwaniu dostrzegła wspólny gest, druga część zawrzała. Nadal wielbili Michnika, ale dawnego, niezłomnego, który w komunistach widział szatana. Nowy ich oburzył, a potem pchnął ku prawicowej konwersji. Intelektualna prawica w Polsce zrodziła się w buncie przeciw autorytetowi Michnika.

LIDEREM TEGO BUNTU był właśnie Kaczyński. Liderem zarówno politycznym, jak i intelektualnym. Na starcie III RP Kaczyński pokrzyżował plany Michnika i zablokował premierostwo dla Geremka. Rok później starł się w głównym konflikcie epoki, w kwestii prezydentury Wałęsy. Kaczyński jako jej główny zwolennik, Michnik jako główny przeciwnik. ➔

→ W tych rolach ich polityczna pozycja wzrosła ogromnie, znaleźli się w pierwszej piątce najważniejszych figur. I choć do Wałęsy, Mazowieckiego i Geremka dystans pozostał daleki, całą resztę zostawili daleko za sobą.

Telewizyjna debata prezydencka, w której w miejsce Wałęsy i Mazowieckiego starli się Kaczyński i Michnik, była przypieczętowaniem ich nowej pozycji, ale też ich wzajemnej wrogości. Od tego czasu nikogo Michnik nie zwalczał mocniej niż Kaczyńskiego, Kaczyński w nikogo nie uderzał mocniej niż w Michnika. Zaś inteligencka publiczność, która w 1989 r. bez reszty stała za Michnikiem, zaczęła się dzielić na zwolenników jednego oraz drugiego. Nie przeszkodził w tym fakt, że po 1992 r. Kaczyński wypadł nie tylko z pierwszej piątki polityków, ale też z pierwszej pięćdziesiątki. Upadek politycznej pozycji rekompensował coraz większą aktywność w debacie publicznej. Z rozmachem opisywał katastrofę, jaką „różowi” sprowadzili na Polskę, co uwodziło inteligenckie masy. Sugestywnie opisywał systemowe błędy nowych realiów, co uwodziło prawicowych intelektualistów. Stał się punktem odniesienia, nie można było pominąć jego diagnozy. W konsekwencji sporu Michnik – Kaczyński w drugiej połowie lat 90. potężny odłam polskiej inteligencji z liberalnych pozycji pozęgłował na prawicowe. Co było ostatecznym dowodem, że nie tylko Michnik sprawuje rząd dusz, ale również Kaczyński.

Dlaczego właśnie oni? Bo mówili rzeczy, które najmocniej rezonowały w inteligenckiej wyobraźni. Michnik przekonywał, że stoimy na krawędzi wojny domowej, która zacznie się rzezią czer-

Nie da się rządzić
bez aprobaty inteligencji,
trzeba ją do siebie przekonać
– uważał Kaczyński.

Gdy nie sprostął zadaniu,
**zaczął inteligencję
traktować wręcz
jak śmiertelnego wroga.**

wonych, a skończy dyktaturą czarnych. Z kolei Kaczyński opisywał czerwono-różowy układ pożerający demokrację i wolność. Panowało przekonanie, że obie diagnozy dzieliła przepaść, jednak większej różnicy między nimi nie było. Obaj mówili to samo: polska demokracja umiera. Obaj snuli apokaliptyczne scenariusze, obaj straszili, że mamy ostatni moment, aby Polskę uratować. Szczegóły nadchodzącej katastrofy przedstawiali inne, jej przyczyny również, co dla współczesnych było najważniejsze. Jednak obaj opierali się na identycznym, apokaliptycznym schemacie myślenia. Obaj wieszczili katastrofę, bo nie potrafili wyjść poza traumy poprzednich pokoleń. Wynajdywanie katastrof od ponad stulecia było jedynym językiem opisu rzeczywistości. Było też jedynym językiem, jaki znała ich publiczność, czyli polska inteligencja. Dlatego diagnozy Michnika i Kaczyńskiego tak mocno trafiły do jej wyobraźni.

O JEGO POGLĄDACH mowa jest w osobnym rozdziale książki „Klucz do Kaczyńskiego”. Zwłaszcza że zmieniały swoją

treść w każdej dekadzie. Tu zaznaczymy coś ważniejszego niż każdy z poglądów z osobna; coś, co leżało u podstaw każdego z nich, czyli przekonanie Kaczyńskiego, że w polskiej polityce centralne miejsce zajmuje inteligencja. Jego wszystkie koncepcje opowiadały o jej grzechach i błędach, a w końcu o jej zbrodniach i zdradach. Wszystkie kolejne opisy Polski tak naprawdę skupiały się na opisie inteligencji, bo uważał, że ta klasa ma dla polskiej polityki znaczenie dominujące. Ona stanowi klasę panującą, ona tworzy polski *deep state*. Różne partie dochodzą w Polsce do władzy, poglądy mają odmienne, niemniej koniec końców ramy systemu wyznaczają poglądy inteligencji – jej wartości, jej pryncypia, jej uprzedzenia. W opisie Kaczyńskiego kluczowe miejsce zajmują dwie grupy inteligenckie: skupieni wokół mediów liderzy opinii oraz prawnicy. W teoriach Kaczyńskiego, począwszy od 1990 r., rzadziej padały nazwy partii niż nazwy mediów, rzadziej nazwiska polityków, częściej Michnika czy Zolla.

Przekonanie o kluczowej roli inteligencji jest podwójnie ważne. Po pierwsze, w sporej mierze jest prawdziwe. Po drugie, tłumaczy olbrzymi ideotwórczy wysiłek dokonywany przez samego Kaczyńskiego. Jego kolejne diagnozy, jego nieustanna walka o rząd dusz, o dominację w inteligenckiej grupie, napędzana była przekonaniem, że w Polsce rząd dusz jest kluczem do politycznej skuteczności. Nie da się rządzić bez aprobaty inteligencji, trzeba ją przekonać do siebie. Gdy to się Kaczyńskiemu nie udało, inteligencja, zwłaszcza media i prawnicy, nadal zajmowała w jego planach strategiczną pozycję, teraz jako śmiertelny wróg. Ale nawet kiedy poszedł na totalną wojnę z liberalnym mainstreamem, miał poczucie, że nie wystarczy tej grupy odsunąć od stanowisk, ale że musi ją pokonać na poziomie metapolitycznym, musi podważyć jej autorytet, wykazać fałszywość jej poglądów. Stąd kolejne diagnozy opowiadające o zagrożeniach dla Polski, które sprowadzają błędne idee inteligenckich liderów. © ROBERT KRASOWSKI

Autor (ur. 1966) napisał cykl książek „Historia polityczna III RP”, a także wywiady rzeki z Janem Rokitą, Leszkiem Millerem i Ludwikiem Dornem. Powyższy tekst jest fragmentem nowej książki „Klucz do Kaczyńskiego” (wyd. Czerwone i Czarne).

5 kwietnia 2024 roku w Konstancinie-Jeziornie
odeszła

ś.†p.

Nika Krzeczunowicz
z domu Wieleżyńska

urodzona we Lwowie 7 sierpnia 1930 r.

Wieloletnia pracownica Radia Wolna Europa,
towarzyszka życia Andrzeja Krzeczunowicza.

RODZINA

POŻEGNANIE

Chirurżki

MAŁGORZATA NOCŨ

„Chce pani być chirurgiem? Takie chuchro? Do stołu pani nawet nie sięgnie”. Nikt w tamtych czasach nie śmiał marzyć o feminatywie w nazwie. Kobieta w tym zawodzie kojarzyła się tylko z kiepską lekarką i marną matką.

W POLSCE 98 PROC. CHIRURGÓW ogólnych stanowią mężczyźni, a co trzeci jest w wieku emerytalnym. Wiele studentek medycyny marzy o tej specjalizacji, ale boją się na nią zdawać, bo choć kobiety w wielu innych dziedzinach życia wyszarpały już sobie godne miejsce, tu wciąż idzie dość opornie. Na uczelniach słyszą, że nie sprostać fizycznie i psychicznie, że lepiej wybrać „coś łatwiejszego i spokojniejszego”. „Może pediatrię, internę?”. Te, które się nie poddają, na salach zabiegowych słyszą niewybredne żarty kolegów: „Po co tu pani przyszła? Żeby ładnie wyglądać?”, „Będzie nam pani serwować kawę?”, „Co pani tak często wychodzi do toalety? Ma pani okres?”.

W badaniu „Liczymy się!”, przeprowadzonym przez Fundację „Kobiety w chirurgii” udział wzięły 472 kobiety pracujące w specjalizacjach zabiegowych. 90 proc. respondentek uznało, że padło ofiarą jakiejś formy dyskryminacji. 57 proc. zadeklarowało, że w miejscu pracy spotkało się z mobbingiem, rozumianym m.in. jako przemoc psychiczna, groźby, umniejszanie kompetencji i utrudnianie wykonywania pracy. Kobiety doświadczały także łamania prawa do odpoczynku (45 proc.) i urlopu (30 proc.), ale faktem jest również, że chirurżki z długim stażem pracy przyznają, iż obserwują zmiany na lepsze. Mężczyźni stopniowo osławiają się z widokiem kobiety za stołem operacyjnym, są zarazem świadomi, że ręk do pracy brakuje, więc i te kobiece niedługo będą



Dr Maria Turska-d'Amico, Narodowy Instytut Onkologii w Gliwicach

wprost na wagę złota. Chirurżki-nestorki mają nadzieję, że ich młodsze koleżanki nie będą musiały zagryzać zębów jak one i uczyć się chamskich ripost, by wytrwać w zawodzie.

Kto to słyszał

Zasługi Anny Tomaszewicz-Dobrskiej można mnożyć: w 1896 r. jako pierwsza wykonała w Polsce zwińczoną sukcesem operację cięcia cesarskiego, uratowała życie setek kobiet ciężko przecho-dzących połóg, uczyła młode matki rodzić zgodnie z naturą, minimalizując przy tym ból – ale drogę do zawodu miała ciernistą.

Dom Tomaszewicz-Dobrskiej był postępowy, jednak rodzice uznali, że marzenia córki o studiach medycznych to czysta fanaberia. „Kobieta-lekarz? Kto to słyszał?”. Wtedy Anna rozpoczęła głodówkę, by wymóc na nich zgodę na kształcenie. W Polsce (jeszcze pod zaborami) nie mo-

gła studiować, wyjechała więc do Zurychu, a był to fakt tak donośny, że informowała o nim lokalna prasa. Kobiety na studiach medycznych, nie tylko u nas, można było wtedy liczyć na palcach.

W Szwajcarii Tomaszewicz-Dobrska pracowała u boku wybitnych neurologów i psychiatrów, tęskniła jednak za domem, więc w 1878 r. wróciła do Warszawy. Szybko się przekonała, że na emigrację jest jednak skazana. Jej kandydaturę do Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego utracił w tajnym głosowaniu m.in. słynny prof. Ludwik Rydygier.

Niespełna sto lat później, w PRL, Polki mogły już bez przeszkód studiować medycynę i wstępować w szeregi medycznych stowarzyszeń, ale wybór specjalizacji chirurgicznej wciąż budził ogromne kontrowersje. W środowisku medycznym krążyć miał wtedy taki oto „żart”: „Wiecie kto jest najlepszy w chirurgii naczyniowej? Kobieta! Dlaczego? ➔

→ Bo najlepiej szoruje gary”. Utrze się też powiedzenie: „Kobieta-chirurg jest jak świnka morska: ani świnka, ani morska”.

Dr Maria Turska-d'Amico, chirurżka ogólna i onkologiczna, o miejsce na specjalizacji ubiegała się pod koniec lat 90. W Polsce wciąż trwała transformacja, a zmiany w świadomości na temat roli kobiety w społeczeństwie dokonywały się powoli. Turska-d'Amico podczas studiów pracowała w Kole Chirurgicznym, a potem dostała się na miesięczny staż do prestiżowej Kliniki Chirurgii Onkologicznej, gdzie zauważono jej zdolności manualne. Do egzaminu specjalizacyjnego przystępowała kilkakrotnie, i za każdym razem zdawała go z wysoką lokatą; mimo to jej nazwisko nie trafiło nigdy na listę przyjętych. – Byłam zawsze pierwsza pod kreską – wspomina.

W końcu znajomy lekarz pomógł jej rozpocząć specjalizację w jednym ze śląskich szpitali. Po latach została ordynatorką oddziału chirurgii w Pyskowicach, dziś zaś dr Turska-d'Amico pracuje w Narodowym Centrum Onkologii w Gliwicach. Przeprowadza skomplikowane operacje ratujące życie pacjentów z całego kraju.

Troskliwi profesorowie

Dr Małgorzata Nowosad (dziś uznana transplantolożka) z ust wykładowców słyszała podobne, „zadawane z troską” pytania, kilkanaście lat po historii dr Turskiej-d'Amico. „Chirurgia? Taka ciężka specjalizacja? Nie chce pani mieć rodziny?”. Te pytania bolały i irytowały.

O specjalizacji z kardiochirurgii marzyła też Anna, dziś lekarka po czterdziestce. Czula „ukłucie w sercu”, gdy przejeżdżała obok cieszącego się w całym kraju sławą szpitala z oddziałami torakochirurgii (chirurgii klatki piersiowej) i kardiochirurgii. Tu chciała pracować. Wyobrażała sobie siebie za stołem operacyjnym i podczas obchodu. Od wykładowców słyszała jednak: „Pani? Takie chuchro? Do stołu pani nawet nie sięgnie”. „Widziała pani kobietę-kardiochirurga?” – pytali z ironią. W końcu uznany profesor z troską w głosie stwierdził: „Stanowczo to pani odradzam”. Mówił, że operacja kardiochirurgiczna trwa niekiedy kilkanaście godzin i żeby ją przeprowadzić, potrzebna jest siła. Operator nie może wyjść do toalety, a nogi puchną mu „jak balony”, butów

się nawet nie zasznurowuje. Poza tym kobieta-chirurg nie jest ani dobrą lekarką, ani dobrą matką.

Koronkowa robota

Wspomniany już prof. Ludwik Rydygier był wizjonerem i geniuszem. W drugiej połowie XIX wieku – kiedy chirurgia rączyła – wprowadzał nowatorskie metody operacji żołądka, usuwania nowotworów, amputacji kończyn. Wykonywał zabiegi kardiologiczne, urologiczne, neurochirurgiczne, parał się nawet chirurgią plastyczną – niektóre z jego technik stosuje się do dziś. Gorzej, że także jego poglądy na temat kobiet w medycynie długo kształtowały myślenie polskich lekarzy. Prof. Rydygier na łamach „Przeglądu Lekarskiego. Organu Towarzystw Lekarskich Krakowskiego i Galicyjskiego” pisał: „Precz więc z Polski z dziwolągiem kobiety-lekarka”; „Przepraszam bardzo, przede wszystkim jeszcze raz odwołuję się do uporządkowania całej przyrody: tak już raz jest na świecie, że kobieta jest skazana na dom i zatrudnienie w nim”. Albo: „Uprawienie kobiet z mężczyznami jest nonsensem, bo się sprzeciwia odwiecznym prawom natury”. Rydygier uważał, że kobieta nie może stanąć do operacji ze względu na swoją fizjologię: miesiączkuje i przechodzi związaną z burzą hormonów menopauzę.

Myślenie charakterystyczne Rydygierowi sprawiło, że w społeczeństwie utrwalał się wizerunek chirurga „siłacza”. Czyli mężczyzny, w dodatku „o odpowiednim wyglądzie”. Zdaniem Marii Turskiej-d'Amico pacjenci do dziś uważają, że chirurg powinien być wysoki (minimum 180 cm wzrostu) oraz postawny (szerokie barki, mięśnie, masywne dłonie). Dobrze też, by miał tubalny, budzący respekt głos, i był ubrany w zielony fartuch oraz dżinsy.

Dr Turska-d'Amico mocno od tego wizerunku odstaje, nie tylko z powodu płci. Jest szczupła i niskiego wzrostu. Kiedy mówi, że jest chirurgiem, nie raz słyszy głosy niedowierzania: „Naprawdę?”. Niejednokrotnie się zdarzało, że po zbadaniu pacjenta i wytłumaczeniu, na czym polegać będzie operacja, musiała zapewnić, że podobny zabieg wykonywała już w przeszłości.

Dr Nowosad wykonuje m.in. trudne przeszczepy narządów wewnętrznych. Przez trzy lata pracowała w klinice

w Rotterdamie, a kilkanaście tygodni temu wróciła do Polski, by objąć posadę w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku. Wspomina, że kiedy przed planowaną operacją przychodziła, by porozmawiać z pacjentami, ci najczęściej myśleli, że jest pielęgniarką. A gdy zaczynała ich badać, byli pewni, że „co najwyżej” może być anestezjolożką. Zdarzało się, że niektórzy wręcz prosili, by w jej zastępstwie zabieg wykonał mężczyzna.

Pacjenci boją się, że kobieta nie sprosta wyzwaniom za stołem operacyjnym. Opadnie z sił, zemdleje, wpadnie w panikę. Zdaniem dr Turskiej-d'Amico i dr Nowosad kilkadziesiąt lat temu chirurgia rzeczywiście wiązała się z ciężką fizyczną (wciąż tak jest w przypadku ortopedii i chirurgii urazowej), ale dziś wiele się zmieniło. Medykom z pomocą przychodzi technologia, choćby robotyka, stanowiąca „przedłużenie rąk lekarzy”. Na sali operacyjnej używa się też automatycznych haków (pozwalających np. przytrzymać nacięte tkanki), a całe zabiegi są mniej inwazyjne, bo często przeprowadza się je przy użyciu laparoskopii.

Turska-d'Amico mówi, że chirurgia to „koronkowa robota” i „benedyktyńska praca” – potrzeba do niej cierpliwości i skupienia. Czasem więc można też usłyszeć, że w chirurgii onkologicznej lepiej radzą sobie kobiety. Jest tak ze względu na cechującą je precyzję, która pozwala na dokładne wycięcie przerzutów czy węzłów chłonnych.

Skrzyżowanie ze śmiercią

Studentów medycyny, którzy przekraczają próg sali operacyjnej i planują spędzić na niej zawodowe życie, nie może przerażać zamknięte, sterylne pomieszczenie wypełnione sztucznym światłem i duchotą. Muszą też pamiętać, że chirurgia jest jak narkotyk, wciąga i uzależnia. Powoduje, że we krwi rośnie poziom adrenaliny i endorfin.

Młodzi adepci medycyny obserwują zabieg stojąc niedaleko stołu. Mogą też zająć miejsce na specjalnym podeście umieszczonym za plecami operatora. Dr Julia Stryjek już wybierając studia medyczne wiedziała, że będzie chciała zostać chirurżką (obecnie jest w trakcie specjalizacji). Miała smykałkę do pracy manualnej, ciekawiło ją też bardzo ludzkie ciało.

Dr Stryjek: – Podczas zabiegu czas się dla mnie zatrzymuje. Wpatruję się

w „pole operacyjne”, fragment otwartego ciała rozwartry hakami i otoczony specjalnymi serwetami. Obserwuję precyzyjny ruch operatora, podziwiam jego lub jej koncentrację i precyzję. Mija siedem godzin, a mnie się wydaje, że upłynęła zaledwie chwila.

Anna (ta, która jako młoda dziewczyna wybrała szpital, w którym będzie pracować) po wejściu na blok już wiedziała, że na świecie nie ma drugiego podobnego miejsca. Tu życie krzyżuje się ze śmiercią. Często – w wyniku kilkunastogodzinnej operacji – lekarzom udaje się pacjenta uratować, ale bywa też, że kona on na stole, choć rokowania miały dobre. Nie wszystko znajduje się w rękach lekarza, a operator czasem nie wie, co zobaczy po otwarciu pacjenta. Bywa, że zaawansowanych zmian nowotworowych nie wykazywały wcześniejsze badania.

Dr Małgorzacie Nowosad, mimo kilkunastoletniej praktyki, „blok” nie spowszedniał. Zaznacza, że nie chce zabrzmieć górnolotnie, po czym mówi: „Sala operacyjna to dla mnie miejsce magiczne”. Po trosze wiąże się z tajemnicą: nie każdy z personelu medycznego może na blok wejść, nie każdy też się tam odnajdzie i znieśie restrykcyjne procedury. Dr Nowosad przed operacją stara się zapomnieć o codziennych obowiązkach i troskach, uspokaja emocje. – Wszystko, co dotyczy dnia powszedniego, zostawiam w szatni – mówi. – Nie myślę o bliskich, o domu. Liczy się tylko to, co dzieje się tu i teraz. Moja głowa nie może być zajęta niczym innym.

Dr Turska-d'Amico wie, że pacjenci oczekujący operacji boją się bólu, odruchów fizjologicznych (np. wymiotów), krępują się nagości swojego ciała. Między operatorem a pacjentem powinno się więc zbudować zaufanie. – Pacjent powierza w nasze ręce swoje życie. Jest nieprzytomny, a my nacinamy jego skórę, powłoki mięśni, wycinamy fragmenty organów. Tu nie ma mowy o rutynie. Każdy zabieg trzeba wykonać z najwyższą starannością – tłumaczy.

Swoje miejsce za stołem

Nie bez powodu słyszą podczas studiów: „macierzyństwo albo praca przy stole operacyjnym”. Dla chirurżki połączenie życia zawodowego i prywatnego jest jednym z najtrudniejszych wyzwań. Bywa, że do egzaminu kończącego specjalizację uczą się równocześnie gotując, przewijając i kąpiąc dzieci. Zarywają noc za nocą.



Dr Małgorzata Nowosad,
marzec 2021 r.



Dr Julia Stryjek, kwiecień 2024 r.

Chcąc się doszkolić, biorąc udział w międzynarodowej konferencji, muszą prosić o pomoc męża, matkę, przyjaciółkę.

Dr Nowosad na piątym roku studiów urodziła córeczkę. Przyznaje, że nie ukończyłaby nauki (do której wróciła jeszcze w połogu), a później nie podjęła pracy, gdyby w opiece nad dzieckiem nie pomagała jej stale rodzina i przyjaciele. – Nie kiedy operacja się przeciągała albo czekało mnie przeprowadzenie niezaplanowanego zabiegu, i nie mogłam wrócić do

domu na noc. Dzwoniłam wtedy do rodziny, przyjaciółek, prosiłam, by odebrały Tosię z przedszkola. Czasem w środku nocy jechałam z nią do szpitala, bo pacjent, którym się opiekowałam, nieoczekiwanie trafił na stół. Prosiłam wtedy koleżanki-instrumentariuszki, by zaopiekowały się moją córeczką.

Anna w wieku 27 lat została mamą. Wzięła sobie do serca rozmowę z wykładowcą, który odradził jej wybór specjalizacji kardiochirurgicznej. Została radiolożką. Przez wiele lat miała poczucie straty. „A może bym powinna była walczyć? Rozpychać się łokciami?” – myślała. Dopiero po czterdziestce stwierdziła, że być może chirurgia byłaby dla niej zbyt ciężka. Może naprawdę by nie sprostała? Po trzydziestce urodziła dzieci. Kiedy były małe, mogła im zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Mówi, że ich rytm dnia był harmonijny, gdyż z pracy wychodziła o stałej porze. W chirurgii byłoby o to bardzo ciężko.

W badaniu Fundacji „Kobiety w chirurgii” 63 proc. respondentek wskazało, że opieka nad dzieckiem mogłaby negatywnie wpłynąć na ich karierę, z kolei 64 proc. zadeklarowało, iż środowisko oraz warunki pracy powodują odkładanie decyzji o macierzyństwie, 47 proc. uważa, że pracodawcy zniechęcają kobiety do macierzyństwa.

Praca chirurżki obciąża emocjonalnie. Trzeba niekiedy powiedzieć dwudziestolatce, że nowotwór w ciągu kilku miesięcy zabierze mu życie. Jednocześnie trzeba chronić własne emocje, więc lekarki przyznają, iż nie mogą każdego przypadku przeżywać i „zabierać ze sobą ciężkich myśli do domu”. Ale zdarza im się poprosić o rozmowę oddziałową psycholożkę i zapłakać.

Każda z nich potrzebuje odskoczni, życia poza szpitalem. Dr Nowosad pływa, dr Turska-d'Amico latem pielęgnuje ogród, a zimą zajmuje się modelarstwem (wykonuje m.in. szopki neapolitańskie), dr Stryjek się wspina. Z kolei lekarki zrzeszone w Fundacji „Kobiety w chirurgii” biegają, odnawiają stare meble. Każda ma chwile zwątpienia, czasem czuje zawodowe wypalenie. Ale kiedy po latach odnajdują je pacjenci i mówią: „Pamięta mnie pani? Żyje i czuję się dobrze”, myślą: „Warto było walczyć o swoje miejsce za stołem operacyjnym”.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

FUNDACJA KOBIET W CHIRURGII / MATERIAŁY PRASOWE

ARCHIWUM PRYWATNE

ŻYCIE NALEŻY SOBIE UMILAĆ

ROBERT MAKŁOWICZ:

Napężenie i koncentracja na zbyt ambitnych celach powodują, że organizm źle pracuje, wytwarzają się niedobre kwasy żołądkowe.

WOJCIECH BONOWICZ: Wiesz, czego Ci zazdroszczę? Koszul. Świetnie dopasowane, nienagannie wyprasowane, ale przede wszystkim – te wzory!

ROBERT MAKŁOWICZ: Kiedyś w Warszawie, w sklepiu hotelowym, zobaczyłem piękną koszulę w prosiaczki. Tak mi się spodobała, że natychmiast ją nabyłem i często pokazywałem się w niej publicznie. Okazało się, że uszyła ją pani, która ma pracownię w Trójmieście. Napisała do mnie, czy nie chciałbym jakichś innych. Odpisałem, że oczywiście, i zamówiłem koszulę z Franzem Josephem. A potem sama już wymyślała różne wzory, więc mam koszule w papryczki, w czosnki, w cebulki, w kangurki...

I wszystkie z dobrej bawełny.

Jak wiadomo, najlepszy haszysz jest z Maroka, a najlepsza bawełna z Egiptu. Ale ja sam nie prasuję tych koszul, jest pani, która nam pomaga. I mamy stację parową, co bardzo ułatwia sprawę.

Elegancja to jedna z tych rzeczy, które wyniosłeś z domu?

To może po kolei. Mój dom był z jednej strony w miarę typowy dla Krakowa tamtych czasów...

...mówimy o latach 60. XX wieku...

...a z drugiej – nie całkiem typowy, jak na warunki panujące w PRL-u. Rodzi-

com nieźle się powodziło, bo ojciec był marynarzem. Mieszkaliśmy w centrum, na rogu Dietla i Wielopola. Dziadek ze strony mamy, Witold Preiss, był chirurgiem w Szpitalu Narutowicza. W czasie wojny został aresztowany, wywieziony do Oświęcimia i tam zginął. Babcię też aresztowano, ale dzięki łapówce uniknęła wywiezienia i mieszkanie ocalało. Zachowało się w nim mnóstwo rzeczy: zastawy, sztucce, oprawione roczniki starych gazet jeszcze sprzed I wojny. Jak to się u nas mówiło – z czasów nieboszczki Austrii.

Czyli w domu panował kult wspominanego Franza Josepha?

Naturalnie. Jak tylko działo się coś skandalicznego, babunia mówiła: „No tak, ci bolszewicy... Za nieboszczki Austrii nie do pomyślenia”. To był wyraz najwyższej pogardy. Tak więc czytać uczyłem się nie tylko na „Płomyczku” czy „Płomyku”, ale również na „Czasie”. Stare gazety były źródłem wiedzy objawionej – niby nieaktualnej, ale przecież są rzeczy, które się nie starzeją.

W związku z tym, że mieszkanie przetrwało, kawę i herbatę pijaliśmy nie ze szklanek, tylko z filiżanek. Nie był to przejaw nababizmu, nikt nam do stołu nie usługiwał, po prostu wszystko robiło się według przedwojennego porządku. Kiedy jako dziecię dostąpiłem zaszczytu zasiadania z innymi przy stole, dostałem w prezencie sztucce z moim monogra-

mem – mniejsze, ale identyczne jak te dla dorosłych. Byłem uczony kindersztuby, mówiłem „dziękuję”, „proszę”, łokcie podczas posiłków trzymałem przy sobie.

Byłeś wychowywany przez kobiety.

Tak, bo ojca ciągle nie było. Wychowywały mnie mama, babunia i niania. Była też przyjaciółka domu, pani Anna Wallek-Walewska, aktorka Teatru Słowackiego i rzeźbiarka. Niedaleko nas, na Wrzesińskiej, miała pracownię, taką typową – na mansardzie, z przeszklonym dachem, też z czasów nieboszczki Austrii. Nie miała dzieci, więc czasem zabierała mnie tam, kilkuletniego chłopaka, i opowiadała o przedwojennym Krakowie. Bywała w „Zielonym Baloniku”, знаła mnóstwo ludzi, jej bratem był wybitny kompozytor Bolesław Wallek-Walewski. Któregoś razu chciała, żebym pozował, ale nie chciało mi się siedzieć nieruchomo i wałęsałem moje gliniane popiersie prosto w nos. Wolałem jej stare książki albo perfumy przywiezione przed laty z Paryża.



O przedwojennym świecie opowiadał mi też pan Bolesław Lipnicki, którego nazywałem „dziadkiem”, choć tak naprawdę był dziadkiem mojej kuzynki. On z kolei pochodził z Warszawy. Niezwykły człowiek, geniusz, mówię to bez przesady. Przed wojną był konstruktorem lotniczym, komuna jednak wszystkiego go pozbawiła. Jeszcze w liceum dawał mi czasem korepetycje z matematyki, a w zamian kazał przynosić sobie skręta. Na co dzień nie palił, ale mówił, że jak się ma katar, najlepiej przepuścić przez nos dym z papierosa. Bardzo dbał o zdrowie – kisił w domu kapustę, jadał mnóstwo czosnku, zawsze miał ze sobą parasol, a na butach specjalne ochraniacze.

A dziadka za co aresztowano?

Za działalność w konspiracji. Oficjalnie pracował nad szczepionką przeciwko tyfusowi, ale nieoficjalnie wraz z kilkoma kolegami zarażali nimi mundury dla niemieckiej armii. Ktoś ich wsypał. Babunia wiedziała kto, ale do końca życia nie wyjawiała jego

ROBERT MAKŁOWICZ jest autorem programów kulinarnych, krytykiem, podróżnikiem i pisarzem, wydał m.in. „Cafe museum”, „C.k. kuchnię” i „Fuzję smaków”. Jego filmy na kanale YouTube subskrybuje 580 tys. osób, wcześniej występował m.in. w TVP. Mieszka w Krakowie i w Dalmacji.

nazwiska. Odziedziczyłem po dziadkach walizę papierów. Tam jest cała historia mojej rodziny po kądzieli, począwszy od XVIII w. I są tam grypsy dziadka z Montelupich, telegramy z Auschwitz. Dziadek został rozstrzelany – znam datę, a nawet imię i nazwisko esesmana, który go zastrzelił; prawdopodobnie był Sasem z Siedmiogrodu. Wiem, że muszę przejrzeć te papiery, ale na razie nie mam na to siły. Jak zobaczyłem listy dziadka, wypięłem flaszkę i zamknąłem wieko.

Babunia ze strony mamy była z domu Krasucka, Krasuczyn to miejscowość niedaleko Lwowa. Z kolei rodzina ojca to Kutry i Stanisławów, korzenie polsko-

-ormiańskie, ale nie tylko. Moja babcia ze strony ojca, którą widziałem tylko raz w życiu, nazywała się Helena Paraniuk i była Hucułką. Dziadek miał siedmioro rodzeństwa, część była rzymskimi katolikami i pisała się Makłowicz, a część greckimi – i ci pisali się Mokłowycz. Jeden z braci dziadka, Walerian Makłowicz, jest na liście katyńskiej. Był polskim oficerem, zastrzelono go w Charkowie. Inny, jako żołnierz II Armii, zginął w walkach o Kołobrzeg. Jeszcze inny, który pisał się Mokłowycz, był petlurowcem i w dwudziestolecie wyemigrował do Belgii. Nad biurkiem miał mapę Wielkiej Ukrainy oraz portrety Petlury i Piłsudskiego.

Mój dziadek Izydor, jak większość rodziny, został po wojnie w Stanisławowie. Ale ojcu udało się przedostać na drugą stronę linii Curzona. Kiedy w 1944 wchodzili Sowieci, lekarz wycofującej się baterii Luftwaffe zaproponował, że wywiezie go na zachód. Miał wtedy 13 lat, znalazł się w Bawarii i tam wyzwolili go Amerykanie. Trafił do Szkocji, do korpusu kadetów przy armii Andersa. No ale wojna się

→ skończyła i wszystkie jednostki rozwiązano. Jedyna rodzina na Zachodzie to był ten stryj w Belgii. Posłał ojca do szkoły, ale jemu się tam nudziło, więc uciekł i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Walczył w Indochinach, w Algierii. A kiedy w 1956 zaczęły się w Polsce zmiany, przyjechał do Krakowa, do ciotki, która nazywała się Franciszka Makłowicz. Kilka lat później poznał moją mamę.

Fascynujący życiorys!

To jest w ogóle niezrozumiałe dla ludzi o prostej narracji nacjonalistycznej, wedle której w Polaku powinna płynąć tylko polska krew. A polskość jest przecież konglomeratem.

Podobnie z oceną historii. Śmieszy mnie, kiedy na moje opowieści o Austro-Węgrzech ktoś reaguje komentarzem, że to apoteoza zaborcy. A zajęcie Lwowa przez Kazimierza Wielkiego to nie był zabór? A jednak ta sama osoba czuje sentyment do „polskiego Lwowa”. Historia jest powikłana, ale każdy naród wytwarza sobie swoje imaginarium i większości nie przekona się, że było inaczej.

Jeszcze o tym porozmawiamy.

Ale wróćmy do Twojego domu.

Jak łatwo się domyślić, taki dom kształtuje w człowieku postawę otwartą – świat jest różnorodny i trzeba tę różnorodność postrzegać jako wartość. I nie chodzi tylko o los mojej rodziny i jej opowieść. Pan Lipnicki, którego do Krakowa wygnał upadek powstania warszawskiego, miał opowieść zupełnie inną. Ale obie się uzupełniały. Do tego te stare gazety, książki. Kiedy masz wokół siebie takie rzeczy, budzi się w tobie ciekawość świata. Nawet jeśli nie wyjeżdżasz za granicę, a ja w dzieciństwie wyjeżdżałem jedynie na Węgry i do Bułgarii. Bo jak chcieliśmy odwiedzić ojca, to nie pozwalano wyjechać całej rodzinie i jechała sama mama.

Czytanie gazet przedwojennych i tych sprzed I wojny utwierdzało mnie w tym, co słyszałem wokół: że rzeczywistość, w której żyjemy, jest okropna. Ja wiem, że w dwudziestolecie nie było różowo. Im jestem starszy, tym gorsze mam zdanie na temat tego okresu, zwłaszcza tego, co działo się po 1935 r. Ale gazety, oczywiście, przedstawiały ten świat inaczej.

Maturę zdawałeś w bardzo ciemnym roku: 1982. I jaki był plan?

Dawna Rzeczpospolita
była państwem
wieloetnicznym
i wieloreligijnym. Ludzie
pod wieloma względami różni
naprawdę mogą żyć obok
siebie i się nie pozabijać.

W czasie karnawału Solidarności postanowiłem, że pójdę na dziennikarstwo. Ale wybuchł stan wojenny i wiadomo – gazety polikwidowane, zostały tylko te, które pisały „po linii” i „na bazie”. Wiedziałem, że muszę iść na studia, żeby nie wpaść w łapy Ludowego Wojska Polskiego. Z rozpaczy poszedłem na prawo.

Też ryzykowny wybór.

Patrzyłem z przyjemnością na prawników, którzy chodzili do „Noworola”. Mieli garnitury, kamizelki, dewizki, i zwracali się do siebie elegancko „panie mecenasie”. Pili kawę i przeglądali gazety zamocowane na przedwojennych jeszcze stojakach. Owszem, komunistyczne, ale i tak robiło to wrażenie. Pomyślałem, że fajnie być prawnikiem, i pierwszy rok rzeczywiście był ciekawy, bo było dużo historii. Ale na drugim trzeba się było uczyć prawa administracyjnego i różnych innych strasznych rzeczy. Uznałem, że powinienem studiować historię jako taką. Tyle że tam z kolei trzeba było podjąć decyzję: albo archiwistyka, albo nauczanie. Na kurz jestem uczulony, na nadmiar dzieci w jednym miejscu też. W zasadzie nie wiedziałem, po co studiuję. Ale teraz wiem, bo to, czego się tam nauczyłem, bardzo mi się przydaje.

Miałem świetnych profesorów: Jerzy Wyrozumski, Stefan Gierowski, Wacław Felczak – który formalnie nie był profesorem, bo mu komuna zablokowała tytuł. Byłem też dobrze przygotowany, bo historii w liceum uczył mnie Marek Eminowicz.

Tak jak mnie.

Był świetny. Pytał dość szczegółowo, ale równocześnie nagradzał za samodzielność myślenia. Jeździiliśmy po całej Europie, żeby uczyć się historii, zwiedzając, a nie tylko z książek.

Ale pamiętam, że w końcu wewnętrznie zbuntowałem się przeciwko niemu. Był zafascynowany Napoleonem i kazał nam kuć daty wszystkich kampanii i bitew. Pomyślałem: „Co do licha?! Studiowanie historii ma być tylko studiowaniem wojen?”. Byłem pacyfistą, chciałem innej historii.

Ale właśnie na tym polega wielkość prawdziwego nauczyciela, że nie zmusza uczniów, by ślepo dzielili jego fascynację. A studiowanie historii tamtych czasów to też lekcja pokory. Inaczej na Napoleona patrzą Francuzi czy my, a inaczej Włosi czy Hiszpanie. Nasze wojska tłumiły hiszpański ruch niepodległościowy. Curro Jiménez – postać z serialu, który oglądałem w dzieciństwie – to przecież hiszpański „żołnierz wyklęty”.

W szkole człowiek przyjmuje taką perspektywę, że historia to przede wszystkim dzieje wojen.

A w naszym modelu edukacyjnym mamy jeszcze sprzężone dwie rzeczy: pruski model edukacji i sarmacko-romantyczną wizję historii.

Są u nas miejsca tak kapitalne, że gdyby to było w innej części świata, turyści ustawialiby się do nich w kolejkach. Np. na Śląsku mamy maszyny parowe, które działają nieprzerwanie od 150 lat. W Wąchocku jest klasztor romański, unikalny w tej części Europy. Pojechałem go zwiedzić i wiem, co tam było przedstawione jako największa atrakcja? W galocie muzeum były takie okrągłe okulary i podpis, że to okulary Traugutta, a w nawiasie dopisano: „kopia”. Zamiast zachęcać ludzi do oglądania pereł architektury czy przemysłu, robi się rekonstrukcje bitwy pod Grunwaldem czy rzezi wołyńskiej. Ja wiem, że trzeba mówić o powstaniach, pamiętać o ofiarach. Ale jest tyle rzeczy, które w tej narracji umykają.

Nawiasem mówiąc, jak w liceum słyszałem, co Eminowicz mówi o Tobie, to wyobrażałem sobie, że zostaniesz pisarzem.

No i w jakimś sensie to się spełniło. Ja wtedy nawet wiersze pisałem.

Co Ty mówisz?!

Przeczytałem u Bursy, jak dobrze być poetą, i pomyślałem: czemu nie? Bursa był chyba jedynym twórcą, którego przy-



ARCHIWUM ROBERTA MAKŁOWICZA

Bal przedszkolny w przedszkolu Sióstr Sercanek. Kraków, Późne lata sześćdziesiąte.

swoilem w całości, co nie jest trudne, bo niewiele po sobie zostawił. I te moje wiersze też były w stylu Bursy.

Co się z nimi stało?

Gdzieś pewnie są. Nawiasem mówiąc, kiedy zrobił się szum wokół filmu „Strefa interesu”, przypomniałem sobie genialny wiersz Bursy „Liryka Rudolfa Hoessa”.

Właśnie z marzenia o pisaniu zrodził się pomysł, by pójść na dziennikarstwo, a potem moja kilkuletnia przygoda z „Gazetą Wyborczą”. Pisanie jest czymś, co najbardziej lubię robić, i ciągle sobie obiecuję, że na starość, jak wreszcie zwolnię, zajmę się tylko tym.

A pisałbyś co? Gawędy historyczno-kulinarne? Wspomnienia? Beletrystykę?

Najchętniej to ostatnie. Ale, ale... Poszedłem do księgarni na Rynku – najstarszej w Polsce, jednej z najstarszych w Europie, dziś będącej własnością pewnej ogólnopolskiej sieci. Co roku w wakacje wyjeżdżam na trzy miesiące do Dalmacji, więc zawczasu kompletuję książki, które chciałbym przeczytać. Wchodzę, pytam, czy mają „Buddenbrooków”, bo moje gdzieś się zawieruszyły. Nie mieli. A „Człowieka bez właściwości”? Też nie. Wygląda na to, że wielkiej literatury trzeba szukać w antykwariatach.

Skoro mowa o wakacjach. Co trzeba zrobić, żeby być zadowolonym z życia?

Po pierwsze, nie należy sobie narzucać żadnych celów.

Ale żadnych w ogóle?

Wystarczy jeden – żeby być dobrym człowiekiem i nie krzywdzić innych. Wiem, jak to brzmi, ale naprawdę tak myślę. Żyć zgodnie z ogólnie przyjętymi normami moralnymi. Nigdy nie dążyłem do niczego za wszelką cenę, wszystko, co mi się udało osiągnąć, po prostu się wydarzyło. Nie mam żadnych ambitnych planów, nie oglądam się też w tył. Są ludzie, którzy mają na ścianie mapę i zaznaczają miejsca, w których byli. Ja nie wiem, w ilu krajach byłem. Nigdy nie robiłem sobie zdjęcia z żadnym sławnym obrazem. Jakże to ma znaczenie? Dzień spędzony na ławce na Plantach może być równie piękny, jak ten spędzony w Brukseli przed „Upadkiem Ikara”. Picie wina nad Wisłą równie piękne, jak wschód słońca nad górą Ararat.

Życie jest wartością samą w sobie i należy sobie to życie umilać, jak tylko się da, za pomocą rozmaitych drobiazgów. A naprężenie i koncentracja na zbyt ambitnych celach powodują, że organizm źle pracuje, wytwarzają się niedobre kwasy żołądkowe. Oczywiście, że przejmuję się rozmaitymi rzeczami, ale nie przejmuję się, na miły Bóg, tym, że czegoś nie udało mi się osiągnąć. W czym człowiek, który może spełnić każdą zachciankę, jest szczęśliwszy od tego, który ma kawałek dobrego chleba, dobrego sera i kieliszek wina, a w dodatku ładną pogodę?

A jak podróżujesz, to idziesz tam, gdzie wszyscy, czy unikasz tłumu?

Są miejsca, gdzie go nie uniknę. Ale się staram. Chciałbyś iść w lipcu na Akropol?

Albo na Giewont.

Nigdy nie byłem na Giewoncie.

Żartujesz?

Nie żartuję. Można spaść w przepaść przecież.

Są tańcuchy.

A jak uderzy piorun? Poza tym to się idzie pod górę. Dziękuję bardzo. Owszem, byłem na wysokości 5800 metrów, ale wyjechałem tam samochodem. To był wulkan Cotopaxi, w Ekwadorze.

W tym miejscu chciałbym wspomnieć o pewnej postaci, która mnie „prześladowała”. To Alexander von Humboldt, niemiecki przyrodnik i podróżnik, który żył na przełomie XVIII i XIX w. Gdziekolwiek byłem, trafiałem na jego ślady, także w Ekwadorze. On się bardzo interesował wulkanami. Był gejem, być może dlatego chętnie wyruszał w dalekie podróże, żeby bez przeszkód spędzać czas ze swoim partnerem. Tak czy owak wszędzie są tablice jemu poświęcone, bo był jednym z ojców współczesnej geologii. A mnie zdumiewa, jak wiele zdążył zobaczyć w czasie, kiedy podróżować było o wiele trudniej.

A jak byś powiedział: gdzie przebiega granica między smakowaniem życia a sybarytyzmem? Wielu z nas myli chyba jedno z drugim.

To jak różnica między docenianiem miłości fizycznej i seksuolizmem. Albo pić alkoholu dla przyjemności i alkoholizmem. Owszem, alkoholizm czy seksuolizm to choroby, a sybarytyzm niekoniecznie. Jest natomiast w takiej postawie jakieś dziwaczne dążenie do perfekcji, zresztą zgubne. O Gioacchino Rossini mówią, że w swoim sybarytyzmie parę razy był na progu śmierci głodowej, bo przyjmował tylko te pokarmy, które uznawał za godne swego podniebienia. Jeśli się podporządkowuje wszystko przyjemności płynącej z konsumpcji, to traci się wrażliwość na inne bodźce. A źródeł cieszenia się życiem jest wiele. Nie tylko jedzenie i picie.

Wiele zależy od tego, jak to zostało ustawione w domu. U mnie np. w czasie wieczery wigilijnej pozwalano dzieciom skosztować odrobinę białego wina. I ja swoje dzieci też w wigilię

→ częstowałem winem. Fakt, że w Polsce tego dnia głosi się abstynencję, jest dla mnie niezrozumiały. Wino jest napojem boskim, a wieczerza wigilijna najważniejszą w roku. Wiem, że to takie profrekwencyjne działania kościelne, by ludzie nie uchlewali się przed pasterką. Ale dla mnie to sprzeczne z ideą świętowania. Narodził się Pan Jezus. Mamy rybę, chleb, a co z winem, które też jest jego symbolem?

Kiedyś w Chorwacji zaproszono nas z żoną na przyjęcie w krągankach klasztoru franciszkanów. Stoły zastawione – ryby, wino, rakija. W pewnym momencie wstałem od stołu, bo chciałem obejrzeć wnętrze kościoła, a ponieważ zrobiłem to nieco automatycznie, cały czas miałem w ręku... kieliszek wina. Stoję w kościele z tym winem, a tu nagle pojawia się braciszek. U nas byłby skandal, a on mówi: „O, masz wino. Napój Pana”. Spytał, jaki to gatunek, więc dałem mu powąchać. A on na to: „Brakuje ci chleba. Przynieść ci troszeczkę?”. To było wspaniałe. Alkohol jest przecież cudowny, w wielu miejscach to element lokalnej tożsamości. Ale oczywiście może być też przekleństwem.

W Twoim życiu był przekleństwem?

Nie. Nigdy nie spowodowałem wypadku pod wpływem alkoholu. Nigdy nie zrobiłem niczego głupiego. Może powiedziałem coś, czego potem żałowałem, dwa słowa za dużo. Ale nigdy nie zdarzyło się nic, czego musiałbym się wstydzić.

Czy Ty kiedykolwiek bywasz smutny? Bo ci, co widują Cię w telewizji lub w sieci, znają Cię właściwie wyjątkowo uśmiechniętego, pogodnego.

Jest wiele rzeczy, o których myślę z niepokojem. Np. moment dziejowy, w którym jesteśmy. Rozmawiamy w połowie kwietnia, a już zakwitły bzy, miesiąc wcześniej niż normalnie. Wczoraj rozmawiałem ze znajomym winiarzem, który ma plantację pod Krakowem. Dla roślin jest już druga połowa maja. Każdy, kto ma rozum, wie, że teza o katastrofie klimatycznej nie jest lewacką ściemą i że naturalny cykl ociepleń i oziębień zmieniliśmy nieodwracalnie. Niby nie muszę się tym tak bardzo martwić, bo ileż ja jeszcze będę żył? A jednak mnie to boli.

Po drugie, sytuacja polityczna. Dzisiejsze media przypominają mi te gazety z lat 30. ubiegłego wieku. Można spytać, czy nastąpi kolejne Monachium, czy

Polskość to konglomerat.

Śmiesz mnie, kiedy na moje opowieści o Austro-Węgrzech ktoś mówi, że to apoteoza zaborcy. A zajęcie Lwowa przez Kazimierza Wielkiego to nie zabór?

nie. Mam nadzieję, że nie, że wyciągnęliśmy wnioski z tamtego. Ale przecież nie wiem tego na pewno. W wielu miejscach rządzą ludzie nieodpowiedzialni. Stary świat, jako tako poukładany – nawet ten z czasów zimnej wojny, gdy towarzysze radzieccy byli dość przewidywalni – odchodzi w przeszłość.

Być może z tego wynika tempo, jakie sobie ostatnio narzuciłem. Dużo jeżdżę, bo chcę dotrzeć do miejsc, w których nie byłem, a do których za chwilę może nie będzie się dało pojechać.

Coraz więcej mówi się o samoograniczeniu. O tym, że nie będziemy mogli już żyć tak jak dotąd. Także – tak często się przemieszczać.

To mnie nie przeraża. Potrafię cieszyć się również z tego, że będę siedział przez kilka miesięcy w chałupie nad Myślenicami i jadł tylko kaszę. Żaden problem. Natomiast z powodów poznawczych chcę jednak pojechać w różne miejsca, zanim staną się niedostępne. Wielu ludzi wybiera się teraz na Tajwan, bo boją się, że w niedalekiej przyszłości zaatakują go Chiny. Cieszę się, że zjeździłem prawie całą Ukrainę, zanim wybuchła wojna. Wiele z tych miejsc wygląda dziś inaczej.

Historia powinna nas uczyć, że łapczywość, pazerność na dłuższą metę prowadzą tylko do nieszczęść.

Ale czym jest historia? Kiedy w Brukseli, obok siedziby Unii Europejskiej, powstawało Muzeum Europy, okazało się, że niemożliwe jest stworzenie jednej narracji dotyczącej Europy, na którą wszyscy by się zgodzili. I nie mam na myśli napięć między naszą a niemiecką wersją historii, ale też np. między wersją niemiecką a francuską. Każdy naród ma swoje imaginarium i w związku z tym każdy uczy się z historii czegoś innego.

A takie narody jak nasz mają imaginariów nawet kilka.

Owszem, choć pewnie przedstawiciele każdego zgodziliby się np., że książę Janusz Radziwiłł to zdrajca, który spiskował ze Szwedami. Tyle że na Litwie on jest bohaterem, w Kiejdanach stoi jego pomnik, bo przy pomocy Szwedów walczył z Moskwą, która chciała zająć Wielkie Księstwo Litewskie. A co do spraw polskich, książę Radziwiłł wybierał między jednym Wazą (Karolem Gustawem) a drugim (Janem Kazimierzem). Gdyby Rzeczpospolita uznała władzę Karola Gustawa, może w przyszłości nie doszłoby do rozbiorów?

Gdybyśmy uczyli się historii bardziej wszechstronnie, łatwiej byśmy się dogadali?

Moim zdaniem tak. Gdybyśmy się uczyli historii inaczej, niektórzy polscy politycy nie nosiliby pewnie mieczyków Chrobrego w klapie, bo wiedzieliby, jakie hasła głosił ONR przed wojną. Nie byłoby też takiego parcia na ludową historię Polski, bo historia, której byśmy się uczyli, obejmowałaby również ten wymiar. A tak mieliśmy wykrzywiony obraz, a sarmacko-romantyczna wizja historia sprawiała, że każdy, kto pochodził ze wsi i czegoś się dorobił, zaraz chciał budować dworek z kolumnkami, zamiast – jak w Norwegii – wypasioną wiejską chatę pokrytą mchem, co kosztuje dużo więcej niż dachówka. Bracia Obajtkowie to przecież nie jest rodzina szlachecka, tylko chłopska, kliszczacka, z Pcimia. A jak jeden z nich nazwał swoją restaurację? „Szlacheckie Gniazdo”.

Za to pierwsze „Chłopskie Jadło” otworzył szlachcic.

Dziś już się nie pamięta, jakie to było wydarzenie. Przecież wcześniej nie chwalaono się chłopską kuchnią. I nagle okazało się, że już można, że pierogi czy chleb ze smalcem to coś, na co można zaprosić każdego, także gościa z zagranicy.

Efektom tych procesów jest też jedno z najwyższych w całej UE spożycie mięsa. Bierze się ono stąd, że podświadomie pokazujemy zmianę swojego statusu społecznego. Jak jest na stole mięso, to znaczy, że jest dobrobyt, bo nasi przodkowie jadali je parę razy do roku. Podagra była kiedyś choroba arystokratów. A dziś stała się masowa, właśnie z powodu nadmiaru.

PRL radykalnie zmieniła polską wieś, przeważnie na korzyść. Nawet ja, choć nie jestem matuzalemem, pamiętam drewniane chaty na Zarabiu. Pamiętam sławojki, obory, gnój. I piec, na którym stał kompot z suszu. Wszystko wyglądało jak przed wojną. A PRL to zmienił. I wtedy zaczęto się tego wstydzić.

To jak opowiadać o historii, żeby się nie wstydzić?

Opowiadać prawdę. Jak opowiadam o Austro-Węgrzech, to przecież nie buduję mitu, tylko mówię, jak było.



BOGDAN KRZYZEL / FORUM

Kraków, 2007 r.

W komentarzach internetowych można przeczytać, że przez takich Makłowiczów znowu czcimy Franza Josepha.

Nie czcimy, tylko pamiętamy. Nikt się raczej do niego nie modli ani nie bije pokłonów. Jeśli w niektórych domach wiszą portrety, jest to raczej wyraz pamięci o tym, co nas ukształtowało. A ukształtowały nas – a przynajmniej mnie i ludzi wokół mnie – dwie rzeczy: świadomość, że I Rzeczpospolita była państwem wieloetnicznym, wielokulturowym i wieloreligijnym, i że Austro-Węgry pod tym względem były do niej podobne. A to znaczy, że ludzie w tylu sprawach różni mogą żyć obok siebie i się nie pozabijać.

A jeżeli są konflikty, można je rozwiązywać inaczej niż siłą.

Powtarzam – nie idealizuję, ale Austro-Węgry to była próba zbudowania państwa tolerancyjnego, wielonarodowościowego, jak byśmy dziś powiedzieli. To przecież niezwykle, że mogą pojechać np. do Siedmiogrodu w Rumunii i czuć się tam jak u siebie w Krakowie. Mnie to niezwykle podnieca.

A jednocześnie sam zapominam o różnych rzeczach. Tydzień temu mówię do żony: „Kochanie, dawno nie byliśmy na cmentarzu żydowskim”. Chodziło mi o ten cmentarz między Starowiślną a Dąbskiego. No i poszliśmy... w sobotę.

Trzeba być kretynem, żeby wybrać się w szabas na cmentarz żydowski. Moja babunia od razu by wiedziała, że to głupi pomysł, bo wiedziała, kto kiedy świętuje. Ona miała to we krwi, ja muszę się zastanowić.

Hrabia Morstin – to fikcyjna cytata, zapisana przez Józefa Rotha w „Popiersiu cesarza” – miał powiedzieć, że monarchia austro-węgierska to był jego dom, ale ten dom został potem podzielony na kabiny. „Ja przywykłem żyć w domu, a nie w kabinach”. Ze mną jest tak samo. Traktuję państwo narodowe jako pokój, który jest częścią czegoś większego. Moim domem jest Europa Środkowa.

Kiedyś ks. Tischner napisał tekst o naszych relacjach wewnętrznoeuropejskich i tam postawił przejmujące pytanie: czy Polak może

mieć dom z Niemcem? Nie dwie osobne kryjówki, ale dom.

Dziś jeszcze, po naszej rozmowie, jadę do południowego Tyrolu. To miejsce, które mnie fascynuje. Dowód, że konflikt można zamienić we wspólnotę.

Jaka jest jego historia? Jak wiadomo, po 1918 Austria utraciła Trydent i południowy Tyrol na rzecz Włoch. O ile w Trydencie zdecydowana większość mieszkańców była włoska, o tyle w południowym Tyrolu zdecydowana większość była niemiecka. Włosi tę niemiecką część zaczęli italianizować, wprowadzając obowiązkowo język włoski, zmieniając imiona itd. Kiedy do władzy doszedł Hitler, uzgodniono, że niemieckojęzyczni Tyrolczycy zostaną przesiedleni do Rzeszy. Na szczęście wyjechała tylko część, większość została. Po wojnie sytuacja się zaostrzyła, pojawiła się partyzantka, która walczyła z włoskim państwem. Partyzanci wysadzali wieże telegraficzne, organizowali zamachy. W końcu Włosi poszli po rozum do głowy i utworzyli region autonomiczny, który nazwali Trentino-Alto Adige. Stopniowo zaczęto wprowadzać prawa jednakowe dla wszystkich, niezależnie od pochodzenia. Edukacja jest dostępna w trzech językach, bo w południowym Tyrolu mieszkają też Lądini, którzy posługują się jeszcze innym językiem.

I nie ma napięć, rywalizacji?

Nie ma. To był potwornie biedny region, ziemie słabe, rolnictwo słabe – kukurydza, polenta, trochę wina. A dziś, dzięki tej harmonii, żyją z turystyki, jak nigdy wcześniej. Merano to kurort, do którego przyjeżdżają turyści z całego świata. Napięcia narodowościowe poszły precz. Jeszcze 20 lat temu widziałem na murach stare napisy, mówiące o włoskiej dominacji. Dziś nie ma po nich śladu. Każdy mówi jak chce i każdy każdego rozumie. Można powiedzieć, że to taki trochę spełniony sen Austro-Węgier.

Ciekawe, czy pod ten zharmonizowany świat da się podłożyć ogień? Czy też ta wspólnota tak weszła ludziom w krew, że nie pęknie kolejny raz w imię jakichś dawnych podziałów?

Zawsze da się podłożyć ogień. Ale póki co ten akurat obszar wydaje się niepalny. Więc jest nadzieja.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ



Z ODDECHEM

Na wystawie amerykańskiego artysty Waltona Forda

„Lion Of God” w Ateneo Veneto. Wenecja, 17 kwietnia 2024 r.

ZNALEŹĆ PEŁNIĘ

Poradniki o tym, jak radzić sobie z trudnościami i osiągnąć życiowy dobrostan, zajmują w księgarniach wiele półek.
Jak się w nich nie pogubić i dobrze wybrać?

PIOTR SIKORA

JEŚLI CZYTASZ TEN TEKST, PRAWDOPODOBNIE MASZ GDZIE mieszkać, nie bywasz głodny(-na), w szafie masz ubrania odpowiednie do pogody. Zapewne nie musisz na co dzień bać się śmierci lub fizycznej przemocy, a w razie ciężkiej choroby przyjmą cię do szpitala. Być może żyjesz w związku, masz rodzinę, przyjaciół, znajomych. Można powiedzieć: mimo inflacji i niepewnej sytuacji międzynarodowej, masz niezłe życie w jednym z lepszych miejsc i czasów.

Czy to o tobie?

A jednak zapewne cierpisz. Czasem nie możesz zasnąć, martwiąc się i niepokojąc tym, co może nadejść. Nie potrafisz uwolnić się od rozpamiętywania bolesnych zdarzeń z przeszłości: doznanej krzywdy, porażki, kompromitacji. Bywasz rozdrażniony(-na) na bliskich, nie do końca wiedząc dlaczego. Prokrastynujesz ważne zadania. Angażujesz się w relacje, które się rozpadają mimo usilnych starań. Może wszystko idzie niby dobrze, lecz jesteś przygnębiony(-na), tracisz poczucie sensu tego, co robisz. Wykańczają

cię stres w pracy, kłótnie w rodzinie, natrętne myśli, kłopoty ze zdrowiem. Masz poczucie, że życie przecieka ci między palcami.

Nie jesteś sam(a). Badania socjologiczne sugerują, że ok. 70 proc. Polek i Polaków rozpoznaje u siebie pewne symptomy depresji: obniżenie nastroju, problemy ze snem, koncentracją, brak energii. By dostać się do psychoterapeuty (nawet prywatnie, za spore pieniądze), trzeba najczęściej czekać tygodniami. Nic dziwnego, że półki z poradnikami, jak radzić sobie z trudnościami i osiągnąć życiowy dobrostan, zajmują w księgarniach wiele półek.

Szlaki po życiu

Trudno rozeznaczyć się wśród tej mnogości. Stąd pomysł tego przewodnika. Przedstawiam w nim kilka poradników, które opierają się na współczesnej, bazującej na badaniach wiedzy o człowieku i mechanizmach mogących prowadzić albo do cierpienia, albo dobrostanu. Integrując tę wiedzę z niektórymi mądrościami tradycjami ludzkości, zawierają liczne wskazówki,

jak w praktyczny sposób radzić sobie z nieuchronnym bólem egzystencji i prowadzić satysfakcjonujące, sensowne życie.

Na najgłębszym poziomie opierają się na podobnej wizji człowieka. Różnią się akcentami kładzionymi na rozmaite aspekty złożonej ludzkiej egzystencji. Są niczym kilka różnych szlaków wytyczonych przez ten sam obszar. W niektórych miejscach się krzyżują, czasem prowadzą przez różne tereny, ale z każdego szlaku widać pozostałe. Można powędrować jednym, można też wybrać się na bardziej skomplikowaną wycieczkę – przechodząc niejedną z nich lub nawet wszystkie.

Lampart w zaroślach

Wspólną naukową podstawą wszystkich niżej przedstawionych poradników są wyniki badań neurokognitywnych oraz wiedza o ewolucyjnej przeszłości *homo sapiens*, pokazujące, co przeszkadza nam żyć szczęśliwie i w pełni w warunkach współczesnej cywilizacji.

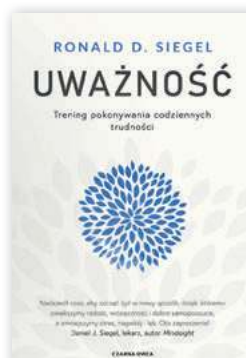
Nasza biologia wpływa na to, jak się zachowujemy, co czujemy i myślimy. Mechanizmy ewolucyjne działają zaś w sposób, który maksymalizuje szanse na przetrwanie i przekazanie genów, a nie na szczęście jednostki. Nasi przodkowie żyli w środowisku, w którym większość zagrożeń miała charakter śmiertelny (np. lampart kryjący się w zaroślach). Ci, których umysły były nastawione raczej na przyjemność niż na zagrożenie, żyli wprawdzie bez stresu, ale częściej padali ofiarą drapieżników lub trucizn. Przeżywały raczej jednostki, które – choć to stresujące – wszelkie ambiwalentne sygnały (np. szmer z krzaków) traktowały jako niebezpieczeństwo. To one przekazywały dalej swoje geny.

Nic dziwnego, że dzisiaj nasz umysł jest – jak ujął Rick Hanson, autor dwóch książek obecnych w tym przewodniku – niczym rzep na to, co negatywne, i jak teflon wobec tego, co pozytywne. Co więcej – ze względu na prawa rządzące procesem uczenia się oraz tworzenia się neuronalnych połączeń – ta negatywna tendencja nie tylko kształtuje nasze odbieranie świata i zachowanie, lecz na zasadzie sprzężenia zwrotnego utrwała się w naszym umyśle.

Przyczyną ogromnej części ludzkiego cierpienia jest także naturalne działanie specyficznie ludzkiej zdolności do abstrakcyjnego myślenia. Ewolucyjnie korzystna, pozwala ona pamiętać, a więc uczyć się na doświadczeniach poprzedników oraz przewidywać i planować działanie. Daje to przewagę nad lampartem lub zebą. Stwarza jednak trudności, które tamtym stworzeniom są obce: zebra, uniknąwszy niebezpieczeństwa dzięki silnej stresowej reakcji, wraca spokojnie do skubania trawy. My rozpamiętujemy, co zaszło, i martwimy się, że znowu zająć może – a nasza fizjologia oraz emocje reagują na wyobrażony atak drapieżnika podobnie, jak na ten realny.

Co więcej: choć dzisiaj na mało kogo z nas czyha lampart, nasz umysłowy detektor zagrożeń karmiony jest stale taką liczbą groźnych informacji, do jakiej ludzki umysł, ukształtowany w innych warunkach, nie jest przystosowany. Nic dziwnego, że nie możemy zasnąć.

Na szczęście nasz umysł posiada (czasami uśpione) zdolności radzenia sobie z problemami, które sam stwarza. Rozwijanie tych zdolności pozwala nie tylko radzić sobie z cierpieniem, ale żyć pełnią życia. Jest to podróż, podczas której przydatne są pewne punkty orientacyjne.



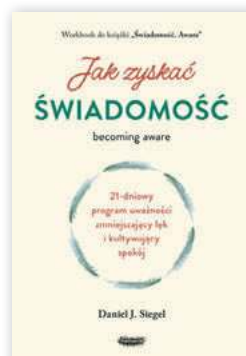
Uważność

Pierwszym takim punktem może być książka Ronalda D. Siegela „Uważność. Trening pokonywania codziennych trudności”. Jest chyba najbardziej uniwersalna, można ją potraktować jako punkt wyjścia do wszystkich pozostałych. Zawiera przystępne wprowadzenie w rozmaite praktyki uważności, rozwijające umiejętność koncentracji i stabilizacji uwagi oraz świadomość ciała, emocji i myśli. Autor uczy, jak elastycznie dopasować konkretny sposób ćwiczenia uważności do osobistej konstrukcji psychicznej i uwarunkowań życiowych.

Dodatkowo sugeruje, jakie konkretne praktyki mogą być szczególnie pomocne w radzeniu sobie z trudnościami psychicznymi, takimi jak lęk i niepokój, przygnębienie, ból, nałogi, trudności w relacjach. Wspólnym rdzeniem wszystkich tych praktyk jest uczenie naszego umysłu funkcjonowania w bliższym kontakcie z rzeczywistością, ale jednocześnie bez uwikłania w ewolucyjnie wykształcone mechanizmy, które zwiększają nasze cierpienie.

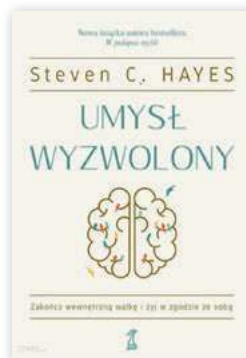
Gdyby ktoś był zdezorientowany wielością praktyk opisanych w tej książce, może udać się szlakiem proponowanym przez pozycję bardzo bliską: „Jak zyskać świadomość” Dana J. Siegela. Jest to praktyczne wprowadzenie (właściwie zeszyt ćwiczeń) w 21-dniowy program ćwiczenia uważności. Spotykamy tu specyficzną autorską terminologię, przedstawiającą działanie świadomości w postaci koła z piastą pośrodku (akt świadomości), szprychą (uwaga) oraz obręczą, na której znajdują się rozmaite przedmioty świadomości.

Rozpisany na trzy tygodnie program kierowania, skupiania i rozszerzania uwagi może pozwolić w bardziej systematyczny sposób rozpocząć przygodę z trenowaniem uważności. Po jego przejściu można wrócić do bardziej zróżnicowanego treningu opisanego przez Ronalda Siegela.



Akceptacja i zaangażowanie

Obie poprzednie pozycje wspominają, że ćwiczenie uważności obejmuje nie tylko trening uwagi i przytomności umysłu, lecz także rozwijanie postawy akceptacji wewnętrznych przeżyć, również tych trudnych, od których mamy ochotę uciec. Jak bardzo pomocny w przeżywaniu pełni życia może być taki nieintuicyjny ruch ku temu, co bolesne, pokazuje twórca terapii ACT (*acceptance & commitment therapy* – terapia akceptacji i zaangażowania), Steven C. Hayes, w książce „Umysł wyzwolony”.



→

→ Na podstawie wyników badań nad ludzkim poznaniem dowodzi, że ucieczka przed ciemną stroną życia nie może się udać, a jednocześnie, że uciekając przed nią, odcinamy się od tego, co dla nas ważne i co nadaje naszemu życiu sens. Hayes pokazuje też, jak przestać uciekać, rozpisując tę zmianę na sześć kroków: dystansu do myśli, rozszerzenia perspektywy „ja”, umiejętnej akceptacji doświadczenia, przytomnej obecności w teraźniejszości, odkrycia tego, co dla nas osobiście ważne i zaangażowanie się w proces realizacji odkrytych wartości bez nadmiernej koncentracji na konkretnych osiągnięciach.



W „Umyśle wyzwolonym” znajdziemy wątki znane z treningu uważności, ale także wiele nowych ćwiczeń. Dotyczy to zwłaszcza rozwijania akceptacji oraz umiejętnego zaangażowania. Bardzo niedaleko znajduje się inna książka oparta na terapii ACT, „Zderzenie z rzeczywistością” autorstwa Russa Harris. Może być szczególnie przydatna osobom, które doświadczyły w swoim życiu bolesnej straty. Harris wykorzystuje zasady wypracowane i przedstawione przez Hayesa, by przeprowadzić czytelnika przez proces żałoby i nauczyć go, jak podnieść się po nawet najboleśniejszych ciosach i powrócić do życia w pełni.

Jak pokazuje poradnik Harris, w procesie żałoby niezwykle ważne jest współczucie. W tym miejscu wytyczony przez niego szlak spotyka się z innymi, które wiodą do dwóch innych pozycji.



Współczucie i jeszcze dalej

Najobszerniejszym „podręcznikiem” wyjaśniającym, czym jest współczucie i jak je w sobie rozwijać, jest „Uważne współczucie” Paula Gilberta i Chodena. Autorzy łączą perspektywę psychologii ewolucyjnej oraz pewnych aspektów buddyzmu i uczą, jak funkcjonować w zetknięciu z cierpieniem. Nie jest to łatwe: uważne otwarcie na cierpienie może nas bowiem przytłoczyć. Współczucie to zaś nie tylko bycie z cierpiącym, ale także zdolność do niesienia pomocy. Do tego potrzebne są określone zasoby psychiczne. Autorzy, korzystając m.in. z wielu praktyk wyobrażeniowych, wskazują sposoby, jak takie zasoby w sobie budować.



Dobrym uzupełnieniem tego szlaku jest skorzystanie z podręcznika Kristin Neff i Christophera Germera „Samowspółczucie”, uczącego

cego krok po kroku, jak rozwijać współczującą postawę wobec samej/samego siebie. Zawiera głównie praktyczne ćwiczenia,

pokazuje także, że samo współczucie nie jest egoizmem, lecz przeciwnie – podstawą budowania dobrych relacji z innymi.



– terapia dialektyczno-behawioralna). Problemy w niej opisane dotyczą zapewne mniejszej części z nas. Z drugiej strony, któż nigdy nie cierpiał z powodu choćby drobnych natrętw...

Jasna strona życia



Dobre życie to nie tylko radzenie sobie z cierpieniem. Dlatego warto udać się na przeciwległą stronę opisanego tu obszaru i ćwiczyć umiejętność dostrzegania wszystkich pozytywnych stron życia. Pomóc w tym mogą dwie książki Ricka Hansona: „Szczęśliwy mózg” oraz „Rezyliencja” (ta druga napisana wraz z synem, Forrestem). Hanson, opierając się na wynikach badań nad neuroplastycznością mózgu, opracował metodę, jak odwrócić wykształconą ewolucyjnie tendencję i nauczyć umysł dostrzegania w równym stopniu obu stron rzeczywistości – jasnej i ciemnej. W „Szczęśliwym mózgu” opisuje cztery kroki do tego konieczne: zbieranie, wzbogacanie i absorbowanie pozytywnych doświadczeń oraz umiejętne łączenie ich z doświadczeniami negatywnymi. W „Rezyliencji” uczy, jak aplikować te kroki do konkretnych aspektów życia.

Choć nasz świat nigdy nie będzie doskonały i nie da się w życiu uciec od trudności i bólu, można – tu i teraz – cieszyć się bardzo głębokim szczęściem. Jak to osiągnąć, pokazują wszystkie przedstawione książki. Każda z nich wychodzi od nieco innych doświadczeń, posługuje się nieco innym językiem. Być może do jednej z was trafi ta, do drugiego inna. Przedstawiają one różne aspekty jednej, w istocie wspólnej, wizji. Określiłbym je jako poradniki dobrego życia: ale nie takie, które dają konkretne rady, jak żyć, lecz takie, które uczą zestawu umiejętności pozwalających samodzielnie kształtować w każdych warunkach życie warte przeżycia.

TOMASZ

Stawiszyński:

Poszukiwacz odpowiedzi



„PAPIEROSY SĄ BOSKIE” – POWTARZAŁ, CYTUJĄC tytuł jednej ze swoich ulubionych książek, skrzętego się erudycją i humorem eseju autorstwa Richarda Kleina, poświęconego istotnej roli, jaką tytoń odegrał w zachodniej kulturze. A chwilę później

dobdawał, że wie, jak bardzo mu szkodzi, ale rzucić nie zamierza, bo jest to w jego przypadku zwyczajnie niewykonalne. To mówiąc, zapalał kolejnego chesterfielda – zawsze miał przy sobie co najmniej dwie paczki niebieskich chesterfieldów (jak również nieodłączny inhalator dla astmatyków) – zaciągał się głęboko, a następnie, wydmuchując dym partiami, w takt słów, rozpoczynał swoją niesamowitą gawędę. Przy czym miało się wrażenie, że jest to za każdym razem dalszy ciąg jednej i tej samej gawędy. Przerywanej tylko na dłużej lub krócej, płynącej to w prawo, to w lewo, to znowu po jakichś meandrach, żeby zaraz wrócić do głównego nurtu, a potem ponownie efektownie zeń zbroczyć i znowu wrócić, i tak w koło, choć niestety nie w nieskończoność.

Brało się to stąd – ta jednolitość gawędy – że profesor Mikołajko wiedział chyba wszystko i przeczytał chyba wszystko, w tym całe rzesze autorów niszowych albo zapomnianych (to dzięki niemu poznałem Ernesta de Martino i jego „Ziemię zgrzyzoty”). Nie słyszałem nigdy o żadnym przypadku, żeby ktoś wskazał książkę, której on wcześniej nie miał w rękach i przynajmniej nie przekartkował. A warto zaznaczyć, że z tego przekartkowania zostawało mu w głowie nierzadko znacznie więcej, aniżeli innym z uważnych i wielokrotnych lektur. I właśnie dlatego, że wszystko chyba przeczytał i wszystko chyba wiedział, potrafił dostrzegać ciągłość tam, gdzie inni widzą rozłączności, zerwania i specjalizacje. Sztuka, literatura, nauka, filozofia, mit i religia – różnorakie efekty intensywnych wysiłków ludzkości, żeby choć odrobinę rozjaśnić spowijające nas mroki – układały mu się w jedną, wielowymiarową, różnobarwną całość. A czynnikiem łączącym, spoiwem, które te odmienne w treści oraz formie dziedziny scala, było dlań palące ludzkie pragnienie odpowiedzi na najbardziej fundamentalne pytania: czym jest istnienie, skąd zło, czy śmierć jest nieodwołalnym końcem?

Dla mnie profesor Mikołajko był w tym właśnie sensie najprawdziwszym filozofem, czyli niestrudżonym poszukiwaczem odpowiedzi, które się konsekwentnie nie pozwalają odnaleźć. Wciąż na nowo pytającym, wciąż na nowo kwestionującym to, co się innym zdaje już ustalone i do zakwestionowania niemożliwe. Wciąż nieukończonym w potrzebie szukania, wciąż nieusatisfakcjonowanym, wciąż

niejako błakającym się po świecie idei, ale nigdzie niemożącym na stałe zamieszkać. Doskonały znawca chrześcijańskiej filozofii i teologii – podobnie jak filozofii i teologii innych kultur, innych religii – do końca pozostał zdeklarowanym agnostykiem, acz z wyraźnymi inklinacjami ateistycznymi. Wybitny autor właściwie niemożliwy do wpisania w żadną konkretną szkołę czy tradycję filozoficzną, mówiący głosem oryginalnym i niepodrabialnym. Niespotykany erudyta w dziedzinie historii sztuki oraz literatury, który dopiero niedawno, już po sześćdziesiątce, zaczął publikować własne wiersze – gęste, mroczne, smutne, ale i cechujące się jakąś spontaniczną radością, umiłowaniem życia.

I to właśnie było w nim bodaj najbardziej niezwykle, ta *coincidentia oppositorum*. Witalizm i naturalny optymizm, a przy tym świadomość najciemniejszych aspektów świata i człowieka. Podupadające systematycznie zdrowie, ale i niegasnąca, jakby niespożyta energia – do pisania, czytania, bezinteresownej pomocy ludziom i innym zwierzętom, do spotkań, których nigdy nie odmawiał, a często sam inicjował. Pamiętam niejedno takie spotkanie, dawniej najchętniej w tych restauracjach warszawskich, które jeszcze zachowywały pomieszczenia dla palących (już takich nie ma). Jakieś przedświąteczne wymiany życzeń czy po prostu – chwila przy kawie, żeby pogadać.

Byłem od zawsze wielbicielem jego tekstów i książek (najbardziej lubię „Mity tradycjonalizmu integralnego”, „Śmierć i tekst” oraz „W świecie wszechmogącym”), pilnym słuchaczem jego różnych radiowych i telewizyjnych występów. A także wywiadowcem – bywał częstym gościem w moich audycjach, najpierw w radiu RDC za czasów też niedawno zmarłej Ewy Wanał, potem w TOK FM (ostatnio 20 stycznia tego roku) i w podkaście „Skądinąd”. Wszędzie i zawsze to samo: niesamowita, oparta na gigantycznej wiedzy, błyskotliwości i humorze gawęda o sprawach zasadniczych. I ten rzadki dziś zmysł metafizyczny, czujny i niedający się zwięść ułdom bezpiecznej, rytmicznej, stabilnej codzienności. Przypominający – nawet w najbardziej słonecznym dniu – że pod stopami zieje otchłań, że śmierć jest zawsze tuż-tuż i że jest w świecie i w człowieku bezmiar przemocy, zła i cierpienia.

W ogromnym stopniu ukształtował także moje myślenie i wrażliwość, o czym mówiłem mu, z wdzięcznością, nie raz. Śledził moje pisanie w „Tygodniku”, często mi o tym wspominał. Choć nie mam specjalnego przywiązania do okrągłych rocznic i numerów, zastanawiałem się od pewnego czasu, czemu poświęcić setny felieton. Wyszło na to, że poświęcam go Zbigniewowi Mikołajce, ale on już, niestety, tych słów nie przeczyta. My natomiast – dopóki tu jeszcze jesteśmy – możemy i powinniśmy czytać jego słowa. Nikt tak jak on nie pisał o śmierci – żeby ją oswajać, egzorcyzmować, uprawiać się w umieraniu, choć bez żadnych nadziei, że się to kiedykolwiek może udać.

Ale może się jednak w końcu udało, kochany Panie Profesorze? Może się jednak udało? ©

słowo/obraz terytoria



MAJOWE PREMIERY

Krzysztof Pomian

Muzeum. Historia światowa

Tom 3. Na podbój świata, 1850–2020

Tom 1. Od skarbcza do muzeum

Tom 2. Zakotwiczenie w Europie, 1789–1850

Trzeci i ostatni tom cyklu *Muzeum. Historia światowa* opisuje długi złoty wiek muzeów, który zaczyna się w 1851 pierwszą Wystawą Światową zorganizowaną w Londynie. Dwukrotnie przerwany przez wojny światowe, apogeum swojej potęgi osiąga w drugiej połowie XX stulecia.



Kevin P. Spicer

Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm

Księża Hitlera to książka fascynująca i porażająca. Kevin P. Spicer przeczesał biblioteki oraz archiwa diecezjalne i państwowe kilku krajów, by poznać życiorysy, przekonania, motywy i konsekwencje działań 138 niemieckich księży otwarcie popierających Hitlera.

Irena Klepfisz

Pomiędzy światami. Wybór wierszy i esejów

Twórczość Ireny Klepfisz wreszcie ukazuje się w Polsce. Jej teksty – żydowskie, lesbijskie, feministyczne – choć powstały na przestrzeni kilku dekad, brzmią świeżo i odważnie.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 17-18/2024

20 LAT MINEŁO. POLSKA W UNII



DANIEL SZYSZ / REPORTER

Plaża w Świnoujściu, 21 grudnia 2007 r.

Oddech smoczycy

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Obietnica budująca oryginalny mit Unii Europejskiej straciła swą moc nie dlatego, że wydaje nam się niemożliwa do spełnienia. Przeciwnie – straciła powab, ponieważ została spełniona.

Unię Europejską wstrząsa katastrofa za katastrofą. Brexit, covid, kryzys migracyjny, a teraz jeszcze wojna u bram. Rytm życia odmierzają nam innowacje technologiczne i kulturowe tworzone w USA lub Chinach, dla których jesteśmy tylko rynkiem zbytu. W związku z zapaścią demograficzną nazwa Stary Kontynent zyskuje nowe znaczenie. Po czerwcowych wyborach partie eurosceptyczne po raz pierwszy w historii mogą stać się dominującą siłą w Parlamencie Europejskim. Jakby tego było mało, z nastaniem wiosny traktory zamiast na pola wyjechały na ulice.

Te katastrofy mają wspólne przyczyny. Doskonale widać je na przykładzie protestów rolników, które są, parafrazując starą socrealistyczną maksymę, „narodowe w formie, lecz europejskie w treści”. Hasła na transparentach niesionych we Francji, Holandii i Polsce różnią się w szczegółach, lecz esencja pozostaje ta sama. Poczucie niepewności związane z niestabilną sytuacją, wściekłość na biurokratyczne przeregulowanie i poczucie wyobcowania brukselskiej centrali, nieadekwatność dostępnych rozwiązań technologicznych niedostosowanych do specyfiki i potrzeb europejskiej wsi. Unia Europejska nie jest już postrzegana jako odpowiedź na problemy zwykłych ludzi, lecz przeciwnie – jako ich źródło. Jak to się stało? Dlaczego Europa straciła swoją inspirującą mitologię i czy może ją odzyskać?

Gdzie nasza Gwiazda Polarna?

Obecne narracje sceptyczne wobec Unii Europejskiej nie powstały w próżni. Stanowią odpowiedź nie tylko na bieżące wyzwania, ale przede wszystkim na to, co Unia sama o sobie opowiadała przez kilka dekad.

W pierwotnej narracji zjednoczeniowej wspólną Europę prezentowano jako odległy, pożądany ideał. Punkt na horyzoncie, wyznaczający szlak nadziei dla narodów poranionych traumą wojny i podzielonych żelazną kurtyną. Wspólna Europa stanowiła obietnicę pokoju w rzeczywistości, na którą padał cień atomowej wojny. Za tak zbudowanym mitem łatwo podążyć. Jak wie każdy nawigator, odległość celu zmniejsza błąd paralaksy. Dwie sąsiadujące łodzie obserwujące wspólny punkt docelowy będą płynęły tym podobniejszym kursem, im dalej ich cel jest położony. Ta zasada znajduje interesujące przełożenie na rzeczywistość społeczną, gdzie odległe cele łatwiej motywują i synchronizują zbiorowe wysiłki, ponieważ nie prowadzą do ujawniania się pobocznych różnic.

Główny mit założycielski Unii brzmiał: bądzmy razem mimo trudnej przeszłości. Składał się z trzech elementów, które warto szczególnie rozważyć po kolei.

Przeszłość jako przestroga

Wspólna pokojowa przyszłość wydawała się niezwykle atrakcyjna, ponieważ istniała dla niej wyraźna alternatywa w postaci europejskiej wojny. Historia utożsamiona została z murami, drutami kolczastymi i obozami koncentracyjnymi. W epoce atomu powrót do niej oznaczałby coś jeszcze gorszego.

Dlatego właśnie stosunek europejskich Ojców Założycieli do przeszłości był ambiwalentny. Wizja wspólnej Europy była zawsze oparta na wybaczeniu. Niby *explicite* nie chodziło im nigdy wprost o usunięcie pamięci. Pomniki, wspólne lekcje historii i opieka nad cmentarzami miały zagwarantować, że koszmar europejskich wojen się nie powtórzy. Kluczowe było jednak to, by dawne winy nie były pierwszym, oczywistym punktem odniesienia dla kolejnych pokoleń Niemców, Włochów czy Francuzów spotykających się na europejskich szlakach.

Politykę UE w tym zakresie można by więc porównać do fantastycznego scenariusza nakreślonego w „Pogrzebanym olbrzymie” Kazuo Ishiguro. Powieść noblisty ukazuje świat spowity tajemniczą mgłą przynoszącą mieszkańcom chorobę niepamięci. Jej źródłem okazuje się zatruty smoczy oddech. W toku fabuły obecność smoka zostaje zdemaskowana jako wynik przemysłowego planu samego króla Artura. Zwycięzyszy w krwawej wojnie, pragnął on przerwać cykl pretensji i odwetu. Uznał więc, że niepamięć jest lepsza od uwięzienia w cyklu przemocy. Smoczy oddech pozbawił poddanych Artura historii, lecz przyniósł im ukojenie.

Ta siła oznacza zarazem słabość europejskiej narracji. Gdy już dorosły pokolenia Eurorail (tanich biletów kolejowych, dzięki którym miliony młodych ludzi podróżowały po kontynencie) i Erasmusa, opowieść o pokojowej przyszłości padła ofiarą własnego sukcesu. Mgła zapomnienia spowija dziś Europę. Wojna wydaje się nierealna. W cieniu niepamięci wzrastają nowe animozje. Nie potrafimy już docenić pokoju, bo przyjmujemy go za pewnik. Za coś, co nam się po prostu należy. Tymczasem z punktu widzenia historii świata żyjemy w małej bańeczce historycznej i geograficznej anomalii. Bańka ta wciąż okazuje się zaskakująco trwała. Ale jeśli już pęknie – to ze straszliwym hukiem.

Wiara w regulację

Drugim filarem europejskiego mitu była wiara w regulację. Jeśli weźmiemy pod uwagę dominujące poglądy filozoficzne, socjologiczne czy ekonomiczne, musimy stwierdzić, że wizja wspólnej Europy rodzi się w zupełnie innej rzeczywistości niż nasza. Może się to wydać szokujące, ale przed pięćdziesięcioma laty na całym świecie panuje powszechna wiara w moc silnego państwa



Pociąg dużych prędkości TGV opuszcza stację kolejową w Tours we Francji.

(i struktur ponadnarodowych), w odgórne podejście do rozwiązywania problemów i... szlachetną siłę biurokracji.

Nim Margaret Thatcher zostanie premierką Wielkiej Brytanii, a Reagan prezydentem USA, większość światowych przywódców oraz ich poddani lub wyborcy są przekonani o dobroczynnej sile administracji. Prawdziwe innowacje wprowadza tylko państwo, a wzorem organizacji jest armia. W końcu to państwo pokonało nazizm, państwo stworzyło bombę wodorową i państwo wysłało człowieka na Księżyc. Można się oczywiście spierać, czy efektywniejsze w realizacji celów jest państwo socjalistyczne, kapitalistyczne, a może jakaś forma pośrednia w rodzaju eurosocjalizmu czy keynesizmu. Nie ulega jednak wątpliwości, że kluczem do budowy pokoju, dobrobytu i stabilności są kolejne regulacje i sprawny aparat państwowy. Aż do lat 70. neoliberalny dogmat o elastyczności, globalnych rynkach i niskich podatkach jest marginalnym kuriozum. Jego głosiciele – w rodzaju Friedricha von Hayeka czy Milтона Friedmana – są nieszkodliwymi dziwakami spotykającymi się co jakiś czas w ramach Stowarzyszenia Mont Pèlerin, którego nikt nie traktuje poważnie.

Ta część europejskiej narracji też padła ofiarą własnego sukcesu. Nowoczesne państwa stworzyły przestrzeń swobodnego rozwoju przedsiębiorczości, infrastrukturę transportową i łącznościową, zbudowały lokale mieszkalne i systemy edukacji. Po czym po prostu abdykowały, przyjmując za pewnik, że prawdziwych przełomów będzie teraz dokonywał prywatny biznes. W wyniku rozpoczętej w latach 80. fali prywatyzacji prywatni właściciele uwłaszczyli się na zbudowanej z podatków infrastrukturze. Dziś postępująca deregulacja i prywatyzacja sfery publicznej stawia pod znakiem zapytania sens istnienia

kolejnego poziomu integracji. Nie dość nam lokalnych i państwowych biurokratów? Po co nam jeszcze Bruksela – następna w kolejce do naszych podatków i porządkowania nam życia?

Przestrzeń ekspansji

Trzecim składnikiem oryginalnego europejskiego mitu była narracja poszerzania. Od początku olbrzymie emocje budziła wizja włączania w obręb wspólnego projektu kolejnych państw. Po raz pierwszy od upadku Cesarstwa Rzymskiego i średniowiecznego postępu chrystianizacji mapa Europy znów jawiła się niczym pusty kontynent do ponownego skolonizowania. Żelazna kurtyna i podział Niemiec sprawiały wprawdzie, że realne możliwości rozszerzania wspólnoty wydawały się wyraźnie ograniczone. Z drugiej strony – fantazja o tym, że pewnego dnia Unia mogłaby sięgnąć poza wyznaczoną drutem kolczastym granicę, była niezwykle inspirująca. Poszerzanie było dla Unii odpowiednikiem amerykańskiego „Manifest Destiny” – wizją przeznaczenia napędzającą do działania i skłaniającą do wyrzeczeń.

A potem mur berliński runął i grupa krajów dawnego bloku wschodniego wjechała na autostradę wiodącą ku wspólnej przyszłości. Ostatnie wielkie poszerzenie – to z roku 2004, gdy wraz z dziewiętką innych państw do Unii weszła Polska – kompletnie zmieniło dynamikę fantazji o powiększaniu. Jasne, potem do wspólnoty dołączały jeszcze Bułgaria i Rumunia, a następnie Chorwacja. Na mapie kontynentu wciąż czeka jeszcze garstka państw niepomalowanych na błękitno. Ale to już zupełnie inna faza składania puzzli. Brak wprawdzie ostatnich elementów, ale końcowy obraz jest wyraźnie widoczny. Wiadomo, co się z tego wyłania. W przyszłości nie czeka żadna wspaniała niespodzianka, lecz tylko więcej teraźniejszości.



Błędy

→ Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to zbyt cukierkowo. Przy budowie tej starej europejskiej narracji popełniono sporo błędów. Przede wszystkim jeszcze na długo przed znanym esejem Fukuyamy opowieść o wspólnej Europie budowana była na wizji „końca historii”. Oto wraz z postępem integracji konflikty będą tracić na znaczeniu. Nauka wyznaczy słuszny kierunek rozwoju. Wszelkie różnice rozstrzygnąć będzie można przez dociekania badaczy lub głosowanie wolnych i równych obywateli.

Wiara ta prowadzi do negatywnego zjawiska, które Iwan Krastew i Stephen Holmes nazywają „polityką imitacji”. Różnice między narodami (grupami społecznymi, społecznościami lokalnymi) przestaną być istotne. Po pierwsze, to one doprowadziły w przeszłości do wojen. W europejskiej mitologii traktuje się je więc z nieufnością i celowo umniejsza lub redukuje do ciekawostek w rodzaju produktów regionalnych (kolejna forma przynoszącego niepamięć „oddechu smoczyca”). Po drugie, skoro do przyszłości prowadzi jedna szeroka autostrada, to kraje peryferyjne nie powinny poszukiwać własnej drogi, lecz jak najszybciej podjąć trud naśladowania centrum (czyli krajów Starej Europy), żeby nadrobić zaległości. Stąd narodową mitologią Polski miała się stać opowieść o gonieniu Niemców, nadrabianiu zaległości itd.

Problem polega na tym, że była to na dłuższą metę opowieść poniżająca dla krajów Nowej Europy. To z tego powodu europejska mitologia szybko stała się nieatrakcyjna i zaczęła budzić resentyment. W wersji słabej w postaci naszego, lokalnego eurosceptycyzmu. W wersji mocniejszej dała początek reżimowi Putina zbudowanemu właśnie na odrzuceniu polityki imitacji i rosyjskiej wersji „wstawania z kolan”.

Błędy te widać wyraźnie, gdy rzuci się okiem na współczesne narracje antyeuropejskie. Przyświecają im trzy główne hasła. Odzyskanie suwerenności narodowej (przez uwzględnienie różnorodności wzorców kulturowych i interesów ekonomicznych), walka z przerosłem regulacji oraz sprzeciw wobec wewnątrzunijnych i pozaunijnych migracji.

Zwyciężyła miłość

Oto paradoks! Obietnica budująca oryginalny mit Unii Europejskiej straciła swą moc nie dlatego, że wydaje nam się niemożliwa do spełnienia. Przeciwnie – straciła powab, ponieważ została spełniona. To, co siedemdziesiąt lat temu wydawało się niewiarygodnie odległym marzeniem, dziś jest codziennością, którą przyjmujemy za oczywistość.

Schemat narracyjny leżący u źródeł europejskiej integracji można więc porównać do scenariusza komedii romantycznej. „Bądźmy razem mimo wszelkich przeciwności. Ułożmy jakoś nasz związek, zostawmy z tyłu to, co nas dzieli, stwórzmy ramy współdziałania”. Ale komedia romantyczna ma ten minus, że jest narracją zamkniętą. Nie da się zrobić dobrego sequelu do miłosnej opowieści. Po tym, jak już zwyciężyła miłość, nie ma żadnego atrakcyjnego ciągu dalszego.

Oczekiwanie ustąpiły miejsca satysfakcji lub rozczarowaniu. Nadzieje, wyzwania – wszystko to, co podkreca energię i motywuje do działania – odeszły na plan dalszy. Pozostały nam dwie polityczne emocje. I żadna z nich nie jest produktywna. Jedna opcja to liberalna satysfakcja ze *status quo* i osiadanie na laurach. „Ależ nam się udało! Ależ jest fantastycznie! Co nie?”. Druga pro-

pozycja, reprezentowana dziś przez siły eurosceptyczne, to rozgoryczenie i gniew. Niestety, jest to gniew destruktywny, który nie proponuje realnej alternatywy poza zniszczeniem *status quo*.

Ku nowym opowieściom

Wspólną Europę przyjmujemy dziś za pewnik. W rezultacie Unia mierzy się z tym, co specjalista od komunikacji naukowej Randy Olson nazywa „deficytem narracyjnym”. Po stronie europejskich polityk, takich jak choćby kontestowany przez rolników Europejski Zielony Ład, stoi mnóstwo faktów, mnóstwo racji, mnóstwo niezłych pomysłów. Nie ma jednak opowieści. Nie ma mitów, które porwałyby tłumy. Pokazują to dobrze badania.

W dalszym ciągu znaczna większość respondentów w całej Europie deklaruje poparcie dla działań proklimatycznych. Za tymi deklaracjami nie idzie jednak ani motywacja do działania, ani precyzyjna wizja, co właściwie należałoby zrobić. Tymczasem grupy sceptyczne, jak choćby rolnicy, choć mniej liczne, są dobrze zorganizowane i skupione na celach. Obecne polityki klimatyczne uderzają w konkretne ich interesy lub przekonania. Skutki katastrofy klimatycznej są rozproszone i łatwe do przeoczenia. Skutki kolejnych regulacji i biurokratycznych obciążeń – błyskawiczne i nieubłagane. No i, w przeciwieństwie do zmian klimatu, łatwo tu wskazać konkretnych winnych i zażądać głów.

Dlatego właśnie aktywizm antyeuropejski motywuje dziś bardziej niż proeuropejski. Bo komu chciałoby się wychodzić z domu, żeby zamanifestować, że jest ok? „Nic się nie dzieje, spokojnie jest, i tak właśnie ma być!”. Słabo wyglądałoby to na transparentach.

Problem polega na tym, że alternatywa, wobec której budowany był europejski mit, wciąż istnieje. Niech nas nie uśpi oddech smoczyca. Wojna, także wojna atomowa, nie odeszła w przeszłość. Tuż za naszymi granicami dokonują się masakry przywódców na myśl najgorsze horrory dwudziestowiecznych wojen. Wiara w cudowną, zbawczą moc wolnego rynku też okazała się nieco przedwczesna. Okazuje się, że bez mądrych regulacji i wsparcia innowacji przez państwo nowe technologie rozwijają się w sposób szkodliwy i trwale zanieczyszczający sferę publiczną dezinformacją i polaryzacją. Także kwestia poszerzania Unii zyskuje ostatnio nowe wymiary. Nie tylko z powodu ambicji deklarowanych przez Ukrainę. Można na to patrzeć jeszcze szerzej. Być może nadszedł czas, by Europa na nowo przemyślała swoje miejsce w globalnej rzeczywistości i zobowiązania, jakie ma chociażby wobec Afryki. Kolejne coraz surowsze polityki migracyjne i inwestycje w europejskie siły graniczne niewiele przyniosą pożytku, jeśli globalne nierówności wciąż będą rosły w zastraszającym tempie.

Okazuje się więc, że wyzwania, które stały za wspólnym europejskim marzeniem, wcale nie odeszły. Kolejne pokolenie musi je tylko sformułować na nowo, tak żeby odpowiadały zmianom, jakie przez ostatnie lata zaszły w świecie.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY
Z PRZEDSTAWICIELSTWEM KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE





PRZEMYSŁAW GETKA / REPORTER

Parada Równości, Warszawa, 19 maja 2007 r.

Ale się wydarzyło

BARTŁOMIEJ MAYER

Dwadzieścia lat w Unii przyniosło Polsce zmiany w niemal wszystkich sferach. Jak wypada ich bilans? Zapytaliśmy ekspertów.

Otym, że Polska powróci do zachodnioeuropejskiej wspólnoty, Polacy zdecydowali jeszcze przed wejściem kraju do Unii. Tak przynajmniej twierdzi ekonomista Marcin Piątkowski, profesor Akademii Leona Koźmińskiego, który na co dzień pracuje w Waszyngtonie. Jego zdaniem jednoznacznego wyboru jako społeczeństwo dokonaliśmy już w 1989 r.

– Właśnie wtedy postanowiliśmy, że dążymy na Zachód. Tak się szczęśliwie złożyło, że ten Zachód również wtedy chciał, abyśmy do niego dołączyli, i miał nawet świetny instrument, aby nas, ale i Czechów, Słowaków czy Węgrów, zachęcić do tego zachodniego kierunku. Tym instrumentem była Unia Europejska – mówi Piątkowski, autor bestsellera „Złoty wiek. Jak Polska została europejskim liderem wzrostu gospodarczego i jaka czeka nas przyszłość”. Według niego późniejsza akcesja była naturalną konsekwencją wyboru dokonanego 15 lat wcześniej.

Korzyści wynikające z członkostwa Polski w Unii często utożsamiane są nadal z wypłatami ze wspólnotowych fundu-

szy. Pieniądże pozwoliły polskim przedsiębiorstwom rozwijać się w tempie niespotykanym nigdy wcześniej w naszej historii. Marcin Piątkowski szacuje, że fundusze unijne dodawały do polskiego PKB po około 0,5 pkt. proc. rocznie. Trudno przecenić m.in. bezpośrednie dopłaty dla wsi. Dzięki nim polscy rolnicy stali się jednymi z głównych beneficjentów przystąpienia Polski do UE.

– Wieś się radykalnie zmodernizowała, nigdy wcześniej rolnictwo nie było tak konkurencyjne, tak dobrze zorganizowane i zarządzane jak teraz. Wpływ akcesji można chyba porównać tylko do efektów wprowadzenia w drugiej połowie XII wieku na ziemiach polskich trójpolówki – uważa Piątkowski.

Jednak na ostatnie 20 lat nie można patrzeć wyłącznie przez pryzmat unijnych funduszy. Bez UE nie byłoby po prostu sukcesu ekonomicznego Polski – to właściwa perspektywa.

Bez granic

– Cztery swobody wspólnego rynku, czyli możliwości przepływu towarów, pracowników, usług i kapitału,

dla biznesu są rzeczą fundamentalną. To, że po akcesji Polska mogła zacząć w pełni z nich korzystać, zasadniczo zmieniło nie tylko sposób funkcjonowania naszej gospodarki jako całości, ale także działalność poszczególnych przedsiębiorstw – uważa szef Związku Pracodawców BCC Łukasz Bernatowicz.

Oczywiście unijne przepływy działają w obie strony. To oznacza, że do Polski wchodzi kolejne podmioty z innych państw Wspólnoty, a nasi pracownicy wyjeżdżają z kraju. To wzmacnia konkurencję i jest kolejnym czynnikiem wzrostu. Polskie firmy muszą się dostosować do znacznie wyższych, zachodnich standardów, np. w kwestii zatrudnienia, wynagrodzenia, czasu pracy.

Marcin Piątkowski stawia nawet tezę, że akcesja zmusiła nas do przyjęcia regulacji i sposobów działania, których inaczej nigdy byśmy nie przyjęli. W rezultacie Polska zapewne nigdy nie osiągnęłaby tempa wzrostu, który uczynił ją pod tym względem liderem Europy. Polskie PKB *per capita* wzrosło z około 11 tys. USD w 1990 r. do prawie 38 tys. USD obecnie (w stałych cenach, po uwzględnieniu różnic w sile nabywczej). Bez członkostwa mielibyśmy w najlepszym przypadku poziom 20-25 tys. USD.

Wspólny rynek, wspólna praca...

– Unia Europejska to przede wszystkim instytucja o charakterze ekonomicznym, której ambicją jest konkurowanie ze światowymi potęgami, USA i Chinami. Doskonale to rozumiemy, ale – jako związkowcy – od zawsze mówimy też, że przewagę nad tymi rywalami uda się nam uzyskać pod warunkiem, że weźmiemy pod uwagę nie tylko kwestie gospodarcze, ale i społeczne – mówi Piotr Ostrowski, przewodniczący OPZZ.

Dlaczego? Ponieważ – jak tłumaczy związkowy lider – ograniczenie UE wyłącznie do spraw biznesowo-ekonomicznych jest niebezpieczne. Może się stać pożywką dla populistów i skrajnej prawicy i budować pozycję takich ugrupowań.

W opinii szefa OPZZ czterem unijnym wolnościom – swobodzie przepływu dóbr, usług, kapitału i pracy – muszą więc towarzyszyć instrumenty ochronne, które uchronią wspólnotę przed patologiami. O tego typu mechanizmy związkowcy z tej i innych organizacji zabiegali już od momentu akcesji.



→ – Najtrudniejszy był dla nas sam początek, czyli okres, kiedy na czele Komisji Europejskiej stał José Manuel Barroso – mówi Ostrowski.

Wyjaśnia, że UE miała wtedy bardzo silne wahnięcie organizacji rynku. Jego symbolem była tzw. dyrektywa Fritsa Bolkesteina, która w swej pierwotnej wersji miała doprowadzić do głębokiej liberalizacji systemu usług wewnątrz UE. Zgodnie z założeniami tych przepisów usługa mogłaby być wyceniana zgodnie ze stawkami obowiązującymi w kraju pochodzenia, a nie w kraju, w którym faktycznie jest świadczona. Inicjatywę ostro krytykowali politycy największych państw starej UE oraz związkowcy z wielu krajów Wspólnoty, w tym z Polski.

– Przeciwno tej dyrektywie po raz pierwszy protestowały organizacje ze wschodniej i zachodniej Europy. Wszystkie mówiły jednym głosem, że w kwestiach pracowniczych nie można równać w dół, tylko trzeba równać w górę i poprawiać standardy – mówi szef OPZZ.

Ku zadowoleniu związkowców, w czasie gdy przewodniczącym KE był Jean-Claude Juncker, Wspólnota skrzyła bardziej w kierunku unii społecznej.

– Właśnie wtedy przyjęto Europejski filar praw socjalnych, który dziś jest dla UE fundamentalnym dokumentem – mówi Piotr Ostrowski.

Jego zdaniem kolejna szefowa KE Ursula von der Leyen w jeszcze większym stopniu równoważy to, co ekonomiczne, z tym, co społeczne.

– To właśnie ona doprowadziła do przyjęcia dyrektywy o płacach minimalnych. Za czasów Barroso byłoby to nie do pomyslenia, a za czasów Junckera trudne do wyobrażenia. Tymczasem von der Leyen wprowadziła to rozwiązanie, chociaż kwestie płac są wyłączone z przepisów unijnych – przypomina związkowy lider.

Potem doszły też inne regulacje, np. dotyczące pracy za pośrednictwem platform cyfrowych. Z tego też powodu zdaniem szefa OPZZ dziś UE znajduje się w dobrym miejscu, a bilans 20 lat obecności Polski we Wspólnocie jest pozytywny.

...i wspólne wartości

– Nie można zapominać, że UE to również wspólnota wartości – zauważa Mirosława Makuchowska, wiceprezesa Kampanii Przeciw Homofobii (KPH).

Zostały one zapisane w Karcie praw podstawowych Unii Europejskiej. Dokument nie wymienia wprawdzie wszystkich grup społecznych, którym przysługuje prawo do godności czy równości, ale stał się bazą, na której kształtuje się bardziej szczegółowe prawodawstwo UE i krajów członkowskich.

– Polska w trakcie procesu akcesyjnego znolizowała kodeks pracy, uzupełniając go w taki sposób, by gwarantował ochronę prawną przed dyskryminacją w miejscu pracy. Dotyczy to m.in. dyskryminacji ze względu na orientację seksualną. To na razie jedyna znaczna zmiana ustawowa w naszym prawodawstwie, która zwiększała ochronę osób LGBT – mówi Makuchowska.

Zwraca jednocześnie uwagę na znaczenie wspólnotowych wartości w dobie kryzysu demokracji w Europie.

– Europejskie społeczeństwa uświadomiły sobie wtedy, że współpraca pomiędzy państwami Unii, także ta współpraca ekonomiczna, nie będzie dobra, jeśli nie będą one szanować podstawowych wartości, takich jak praworządność czy zasada równości szans – wyjaśnia wiceszefowa KPH.

Chociaż cztery podstawowe swobody teoretycznie mają w UE charakter powszechny, w praktyce nie wygląda to już tak wesoło. Jednym z przykładów jest nasz kraj. Polska to dziś jeden z pięciu krajów członkowskich, w którym nie ma regulacji dotyczących równości małżeńskiej czy związków partnerskich.

Sytuacja staje się szczególnie trudna, gdy chodzi o rodziny z dziećmi. Mimo że w Holandii, Portugalii czy Estonii obie osoby pozostające w takim związku są rodzicami, to dla polskiego urzędnika ten status ma tylko jedno z nich.

– Czy ci ludzie albo zatrudniające ich firmy mogą w pełni korzystać ze swobody dotyczącej przepływu osób? Oczywiście nie! A jak wynika ze statystyk, przeciętnie co 15. pracownik każdej firmy może mieć taką właśnie nieuznaną w Polsce rodzinę – mówi wiceprezesa KPH.

Jej zdaniem brak regulacji prawnych dla par jedнопłciowych jest jedną z przeszkód dla potencjalnych inwestorów czy firm, które rozważają rozwinięcie swojej działalności w Polsce.

– Na szczęście Komisja Europejska już działa w kierunku ujednolicenia na po-

ziomie całej Wspólnoty kwestii związanych ze statusem, aby nie dochodziło do naruszania prawa do swobodnego przepływu osób – podsumowuje Mirosława Makuchowska.

Eurokłopot

Wchodząc do UE zadeklarowaliśmy, że przyjmujemy euro. Od dnia akcesji mijają właśnie dwie dekady, a my nadal płacimy złotymi.

– I wcale nie uważam, że to źle – uważa Marcin Piątkowski.

Profesor jest zwolennikiem przyjęcia europejskiej waluty przez Polskę, ale uważa też, że spieszyć się z tym nie należy. 20 lat temu mogło się wydawać, że euro ma wiele plusów i prawie żadnych minusów. Dziś już wiadomo, że jest trochę inaczej.

– W 2004 r. wszyscy zakładaliśmy, że wejście do strefy euro to jest bilet tylko w jedną stronę: do ekonomicznego raj. Naszą optykę zmienił kryzys finansowy roku 2009, który pokazał, że architektura euro nie jest idealna, bo powoduje, że mocne kraje są coraz mocniejsze, a słabe – coraz słabsze. To był wielki szok dla wszystkich, łącznie z tymi, którzy euro stworzyli – tłumaczy profesor.

W 2007 r., czyli tuż przed kryzysem finansowym, poziom dochodu przeciętnego Hiszpana przekroczył średnią unijną (o 2 proc.) i zakładano, że Hiszpania będzie dalej rosłać wobec średniej. Po kryzysie okazało się, że kraj ten wpadł w długoletnią stagnację i dziś poziom dochodu na mieszkańca to tylko 86 proc. średniej.

Zapewne byłoby inaczej, gdyby nie euro. Zanim kraje południa Europy je wprowadziły, mogły dewaluować swoje waluty i choćby w taki sposób poprawiać konkurencyjność. Euro oznaczało koniec tego mechanizmu. Problem państw Południa polega na tym, że nie stworzyły żadnych globalnych firm i marek, które byłyby na tyle mocne, że ich funkcjonowanie mogłoby zastąpić mechanizm dewaluacji waluty.

– Korzystajmy z tego, że mamy własną walutę, budujemy rodzime firmy, własne marki i produkty, które dają na tyle duże marże, że pozwolą uniezależnić się od globalnej koniunktury. Róbmy to teraz, by potem nie okazało się, że Polska jest kolejnym krajem umownego Południa Europy – apeluje Piątkowski.

© BARTŁOMIEJ MAYER

Jaramy się profitami

PODCASTEX:

Chcieliśmy polecieć w poprzek. Robiąc krytyczną rewizję lat 90. i zerowych, rozliczyć się z nimi w rozrywkowej formie.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Lew Rywin zostaje skazany na dwa lata więzienia, z Pyrzowic wylatuje pierwszy samolot do Londynu, w Stanach rusza Facebook, a u nas – Świstak, konkurent Allegro, którego już chyba nikt nie pamięta. Mniej więcej wtedy Polska wchodzi do Unii Europejskiej. Byliście wtedy nastolatkami – co było charakterystycznego dla lat powyżej zera?

MATEUSZ WITKOWSKI: Nastroje czasów tużprzedunijnych doskonale zapisał i zaśpiewał popularny wtedy łódzki zespół Cool Kids of Death. To dla mnie symbol takiego sflaczałego, zapóźnionego buntu – grupa debiutowała w roku 2001, czyli w czasie, kiedy żaden sprzeciw wobec systemu nie był już możliwy.

BARTEK PRZYBYSZEWSKI: A obok CKOD słuchaliśmy raperów, którzy wtedy jeszcze nawijali, że „nie wszystko można kupić, bo nie wszystko ma cenę, wiem o czym mówię – nie jestem, kurwa, biznesmenem”. Tede nagrał swój słynny „wyścig szczurów do szarych domów z szarych murów” o gościu, który popierdziela w gajerku przez miasto, licząc pieniądze. Koledzy z osiedla przecierają oczy.

„Styl jak na wesele, włosy natarte żelem, bieg za portfelem”.

BP: I ten sam Tede niedługo później, na płycie „3H hajs hajs hajs” nawinie: „Hajsu! Jo!! Więcej hajsu!”. I doda: „Profity z rapu? Jaram się nimi”. To album, który artysta wyda już we własnej wytwórni, za pośrednictwem której będzie też handlował odzieżą i gadżetami. Podobne biznesowe ruchy wykonają jego koledzy po fachu. Czyli jednak zmieniają się w biznesmenów. Może zatem – odpowiadając na twoje pytanie – był to czas takiego rozdźwięku: pieniądze mieć warto, zdobywajmy je, ale po swojemu? Ten dyso-

nans był w ogóle charakterystyczny dla ówczesnej popkultury. W kinie ogromną popularność zdobyły filmy takie jak „Matrix” czy „Fight Club”: antykorporacyjne i antykonsumpcyjne, choć będące produktami amerykańskich korporacji.

MW: Równolegle polska telewizja zaczyna się celebrytyzować i stawiać na „show w wersji premium”, następuje za- lew zachodnich formatów w polskim wydaniu, takich jak „Idol”.

A rzeczywistość?

MW: Bezrobocie było wysokie, przekraczało 20 procent. Trudno było stąd wyjechać. Młodzi ludzie długo wierzyli, że fakt ukończenia stosunków międzynarodowych czy europeistyki będzie skutkował atrakcyjną propozycją pracy w biu-

rze do spraw funduszy unijnych albo podobnym urzędzie. Niekoniecznie takim, który mieści się w Polsce.

Jako osoby, które kończyły szkołę średnią zaledwie kilka lat po wejściu Polski do UE, trafiliśmy na moment demaskacji opowieści o pożytkach z kształcenia. Zorientowaliśmy się, że rynek pracy nie ma zbyt wiele do zaoferowania osobom, którym nie marzy się „korpokariera”.

BP: Jestem akurat w trakcie czytania wywiadów z przedsiębiorcami w pierwszych numerach miesięcznika „Sukces”. Już w roku 1990 był tam dział pt. „Komu się powiodło i dlaczego” – teksty o biznesmenach, którzy doszli do milionów. I w tych pierwszych numerach jest taki ciąg, kolejno: „król betonu”, „król Wybrzeża” oraz wreszcie: „król sedesów”. ➔



CEZARY PECOLD / REPORTER

Wesołe miasteczko na łódzkim osiedlu
Widzew, 29 kwietnia 2004 r.

→ W samych tekstach przewijają się podobne motywy: że panowie zaczynali od biedy, że musieli ryzykować, pracować od rana do nocy, zapożyczać się i wyżyć się życia prywatnego. I dopiero wtedy im wyszło. To była opowieść o kapitalizmie, którą karmiono nas jeszcze w kolejnej dekadzie.

MW: Przekaz był prosty: *get rich or die trying*. Dziś brzmi: *get rich or die trying to buy kawalerka*.

BP: Ja dość wcześnie, na początku studiów, w swojej pierwszej pracy zorientowałem się, że kapitalizm niekoniecznie premiuje pracowitość. Że nie zawsze istnieje prosta korelacja pomiędzy dziesiętkami godzin przesiedzianymi w biurze a grubym portfelem. Czasem kluczowy jest po prostu *timing* – musisz w odpowiednim momencie pojawić się na rynku z odpowiednim pomysłem i to wystarczy, żeby finansowo wystrzelić, a następnie zostać rentierem przed czterdziestką.

Marek Koterski w „Dniu świra” powiedział widzowi wprost: sorry, ale jeśli urodziłeś się w złym momencie historii lub podjąłeś kilka niewłaściwych decyzji i nagle budzisz się na początku nowego milenium w średnim wieku, bez umiejętności obsługi komputera i znajomości angielskiego, to „siema nara”. Prawdopodobnie aż do emerytury będziesz siedział w szkole za 600 czy 800 zł miesięcznie i nie przestaniesz czuć się ofiarą transformacji.

Mamy zatem w krajobrazie lat zerowych smutę i bezrobocie przy jednoczesnym ciśnieniu na sukces – co jeszcze?

BP: To, jak wiele się zmieniło przez ostatnie dwadzieścia lat, pokazuje niepełna półgodzinny dokument „Bojki” Janusza Gawryluka z 2000 r. W odróżnieniu od „Dnia świra” dość mało znany i rzadko opisywany w esejach i artykułach, choć na YouTubie obejrzało go prawie milion osób. Gawryluk, na przykładzie swojego rodzinnego Bielska Podlaskiego, opowiada w nim o Polsce końca lat 90., w której młodzi ludzie, plus minus dwudziestoletni, po prostu szlajają się po mieście. Zjawisko szlajania było bardzo charakterystyczne dla początku lat zerowych, bo naprawdę nie było co robić, głównie przez bezrobocie i brak perspektyw nie tylko na życie, ale i na najbliższy weekend. W wielu miejscowościach brakowało klubów i dyskotek, bloki po-

obieszane były tabliczkami informującymi o „zakazie gry w piłkę”, to co i gdzie mieliśmy robić?

MW: To jest wajb z piosenki Myslovitz, w której „wieczorami chłopcy wychodzą na ulicę i rzucają kamieniami w koła samochodów”. Ci wałęsający się ludzie rzeczywiście często reagowali agresją na fakt, że nie mieli ani pieniędzy, ani perspektyw, a przy tym byli skazani na potworną nudę. Siedzieliśmy na tych kanapach, które ktoś kiedyś wyniósł przed blok. One sobie tam stały i mokły na deszczu. Grzyb się na nich robił, a my piliśmy piwo. To było może nawet i przyjemne, ale potem się wracało do domu i w zasadzie nie było specjalnej nadziei na to, że nastąpi jakakolwiek poprawa.

Na marginesie: wróciłem niedawno do niewielkiego, rodzinnego miasta, w którym nie byłem od dobrych kilku lat. Pograłem w kręgle i wydaje mi się, że wyczerpałem tym samym ofertę kulturalną tego miejsca. To oczywiście przykład anegdotyczny, ale o ile nie ma dziś nudy na wielkomiejskich osiedlach, nie znaczy to, że nie ma jej wcale. Staliśmy się krajem całkiem fajnych dużych miast, samowystarczalnych metropolii, co odbywa się często kosztem mniejszych – odciętych od świata – ośrodków. Ten demontaż Polski niemetropolitalnej zaczął się na dobre właśnie w czasach poakcesyjnych. Rewitalizacja miejskich placów i wycinanie drzew, żeby postawić tam marmurowe ławki? Jasne. Jakiegokolwiek powody, żeby zostać w rodzinnym mieście? Niekoniecznie.

Dorota Małowska o wydanym rok po wejściu do UE „Pawiu królowej” rymowała, że jej „piosenka powstała za pieniądze z Unii Europejskiej. Ma na celu zwiększenie liczby głupców w społeczeństwie”. Zastanawiające: dopiero wyszliśmy z PRL-u, a już gardzimy kapitalizmem.

MW: Problem polega chyba na tym, że w opowieści o korzyściach płynących z przystąpienia do UE, którą do nas skierowano, pominięto wątek wspólnoty czy – mówiąc „po papieżowemu” – solidaryzmu społecznego. On długo był czymś, co kojarzyło się ze schedą po PRL-u. Gdy mówiono o tym, co jest publiczne, a więc – przynajmniej teoretycznie – należy do wszystkich, pojawiał się na naszych twa-

rzach grymas. Kwestie związane ze wspólnotowością to były rzeczy ze sztańców sprzed 1989 roku i nic już wtedy nie znały, także dlatego, że ówczesna władza zrobiła sporo, żeby je skompromitować.

Kraj nie wykształcił w nas postawy obywatelskiej?

MW: Nie chcę tragiczować, ale mieliśmy – dorastając – poczucie osamotnienia. Mówiąc „my” mam na myśli przede wszystkim osoby studiujące (lub planujące studiować) kierunki humanistyczne czy trudniące się szeroko rozumianą „robotą w kulturze”, ale nie tylko. Okazało się, że – cytując waszego byłego korektora – „niczego o nas nie ma w konstytucji”. Być może rządzącym wydawało się, że to osamotnienie nas hartuje, ale ja nie jestem fanem zimnego chowu.

Zresztą, nie chodzi tylko o branżowe utyskiwania. Spójrz, seriale dokumentalne w rodzaju „Ballady o lekkim zabarwieniu erotycznym” z lat 2003-2004 dobrze portretują tych wszystkich osamotnionych przez system, pozostawionych samym sobie ludzi wywodzących się najczęściej z klasy robotniczej. Nie ma tam żadnej iskiej nadziei, że coś się nagle wydarzy. Od lat 90. słyszysz: skup się na sobie, nie przejmuj się państwem i nie oczekuj niczego, weź wszystko w swoje ręce, postaw na kreatywność. Nikt się tobą nie zaopiekuje. Twój zakład pracy nie gwarantuje żadnej stabilności zatrudnienia.

Nie uważam, żeby ktokolwiek miał obowiązek bycia kreatywnym, pomysłowym i przebojowym. Udało ci się odnieść sukces literacki, robisz zawrotną karierę muzyczną, zaczynając od publikowania demówek na YouTubie albo – pardon – założyłeś podcast, który ma swoich sympatyków? To fajnie, ale by nie zejść w życiu poniżej progu godności, powinno wystarczyć to, że chcesz uczciwie wykonywać swoją pracę.

Na przełomie lat 90. i zerowych dochodzi do tego wszystkiego opowieść o sukcesie w zjednoczonej Europie. Więc dalej mamy kult przebojowości, który premiuje znajomość języków, wybór odpowiedniego kierunku studiów, znajomości i tak dalej. Teraz jeszcze zostaje on podbity przez ten unijny optymizm.

I obietnicę robienia kariery za granicą.



MW: Tymczasem państwo powinno oferować coś więcej niż tylko możliwość bezproblemowego wyjazdu i legalnej pracy w innym kraju.

W którym momencie zorientowaliśmy się, że obietnice szybkiego sukcesu to mrzonka?

MW: Niestety orientujemy się tak naprawdę w momencie rządów Prawa i Sprawiedliwości – bardzo długo to trwało.

BP: Ale mam wrażenie, że już po 2010 roku nastąpił – zwłaszcza w popularnych portalach – wysyp tekstów pod tytułem „rzucić wszystko i jechać w Bieszczady zająć się struganiem stylisk do siekier lub produkcją serów rzemieślniczych”. To była reakcja na gwałtowne wypalenie części z nas tym stylem życia, który wtłoczyły nam do głów nowe czasy. Gdy tylko połapaliśmy się, że obietnice kapitalizmu to mrzonka, media zaczęły reagować na ten stan rzeczy nową opowieścią, równie fałszywą.

MW: Ale ta narracja sukcesu jest przecież cały czas obecna w naszej kulturze, a nawet powiedziałbym, że wątek robienia kasy zajmuje nieporównywalnie więcej miejsca niż kiedyś – weźmy choćby lwia część nowego polskiego rapu czy zjawisko influencerstwa. Tyle że teraz nie chodzi już o to, żeby zarabiać tak, żeby się utrzymać, tylko żeby robić naprawdę dobry papier. I nic dziwnego, skoro zdolność kredytową i szansę na własne mieszkanie z rynku pierwotnego ma tak naprawdę garstka osób.

Na ile to, co pamiętamy sprzed dwudziestu lat, możemy zweryfikować z faktycznym stanem rzeczy, na przykład w artefaktach z wczesnego polskiego internetu?

MW: Mamy sporą lukę, jeżeli chodzi o pierwsze lata internetu w Polsce, powoli orientujemy się jednak, że historia polskiej sieci czy polskiej popkultury to po prostu... historia kultury. Tu warto byłoby wspomnieć choćby o świetnym projekcie web96.pl Marcina Wilkowskiego – jednak Marcin również ma świadomość, że niektórych treści publikowanych w tamtych czasach nie da się już po prostu odzyskać, bo jest to technicznie niemożliwe. Podobnie jest zresztą z telewizją. Pojawiają się w sieci jakieś fragmenty, ktoś zgry z VHS-u na YouTube'a fragment starego programu. Ale to są pojedyncze rzeczy, do tego często nieopatrzone żadną datą, bywa że brakuje nawet tytułu produkcji.

Rozmawialiśmy w naszym podkaście z Krzysztofem Marcem, czyli telewizyjnym Panem Tik Takiem, który opowiadał, że gdy TVP ruszało ze swoją platformą VoD, odezwno się do niego, czy nie ma w domu VHS-ów z odcinkami swojego programu. Mówi to nam całkiem sporo na temat tego, z jaką skrupulatnością podchodzi do tematu archiwów telewizja publiczna. Musimy mieć świadomość, że niektóre programy, nigdy nie zdigitalizowane, po prostu zniknęły, nie istnieją fizycznie. A nawet jeśli przetrwały na jakimś porzuconym na strychu VHS-ie, nigdy nie dowiem się, jak wyglądały, bo (z uwagi na nośnik) audio i wideo

MATEUSZ WITKOWSKI i BARTEK

PRZYSZESZEWSKI są dziennikarzami i blogerami, prowadzą popularny podcast Podcastex, w którym zajmują się zjawiskami lat 90. i zerowych. W zeszłym roku wydali książkę „Podcastex. Polskie milenium”.

będą miały na sobie charakterystyczny VHS-owy filtr.

BP: Na marginesie: niektóre stacje komercyjne bardzo nie chcą, by ich stare programy archiwizować i wrzucać do sieci. Ostatnio robiliśmy odcinek o programie „Najsłabsze ogniwo”, nadawanym w latach 2004-2005 przez TVN. Oprócz tego, że mieliśmy dostęp do prasowych artykułów na temat tego programu, to cały epizod powstał na podstawie siedmiu czy ośmiu odcinków, które są dostępne w internecie. Nie dość, że TVN niespecjalnie chce stare rzeczy wrzucać do sieci, to jeszcze, gdy ktoś już przeszpera te swoje kasety magnetowidowe, scyfrzuje ich zawartość i udostępni na YouTube – bez motywacji zarobkowych! – stacja nierzadko żąda usunięcia materiałów. Reagują tak ostro, jakby to była wstydliva historia.

Wielka szkoda, bo to wszystko sprawia, że wglądu do naszej przeszłości będziemy mieli wraz z kolejnymi latami coraz mniej. Ale być może nasza audycja, Podcastex, staje się dzięki temu jedną z przestrzeni służących do archiwizowania trudno dostępnej przeszłości?

A nie przemawia przez Was po prostu nostalgia?

MW: Mam wrażenie, że działamy dwutorowo, bo nostalgia za dzieciństwem jest często pierwszym impulsem, który przyciąga naszych słuchaczy. Ale od początku chcieliśmy polecieć w poprzek, zrobić krytyczną rewizję tamtego czasu, rozliczyć się z nim w rozrywkowej formie. Z jednej strony wpisujemy się więc w cały ten przymysł nostalgii, który wciąż ma się dobrze, a z drugiej robimy coś przeciw niemu. Natomiast nawet jeśli mówimy o zjawiskach, które były obiektywnie fatalne, to one wciąż wiążą się w naszej pamięci z dziecięcymi, ciepłymi wspomnieniami lat zerowych. Nie da się tego całkowicie oddzielić. Więcej: nie staramy się z tym walczyć.

©© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

My, z Erasmusa

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Liczba młodych Polaków, którzy wzięli udział w największym unijnym stypendium naukowym, uzasadnia pytanie, czy milenialsów nie powinno się jednak nazywać pokoleniem Erasmusa.

Historia ta rozpocząć winna się w popularnej ostatnio poetyce wyznania – dziennikarska uczciwość wymaga, abym jasno określiła swój stosunek do opisywanej materii. Na Erasmusie byłam cztery razy. Wykorzystałam wszystkie możliwości oferowane przez ten program jako studentka studiów licencjackich, magisterskich, doktoranckich, a także świeżo upieczona wykładowczyni. Przez cztery semestry studiów w Zagrzebiu czytałam tony literatury, zbierałam materiały do doktoratu o fantastyce naukowej, przesiadywałam z weteranami wojny na Bałkanach i uczyłam się, że kawa wypita w biegu z plastikowego kubka to cios prosto w serce tamtejszego stylu życia. W ramach programu Erasmus uczyłam też języka chorwackiego uchodzącego z Afganistanu, misjonarza z Nigerii i studentkę z Indii. Poza tym było standardowo: zaprzyjaźniałam się, zakochiwałam, prowadziłam intensywne życie towarzyskie, podróżowałam po kraju wszelkimi dostępnymi środkami transportu z naciskiem na autostop. Dzięki Erasmusowi spędziłam za granicą łącznie ponad dwa lata i zdobyłam większość umiejętności, które wykorzystuję dzisiaj w pracy i na co dzień. Bez emfazy mogę powiedzieć: ten program zmienił moje życie.

Nie jestem wyjątkiem. Kiedy siadałam do pisania tego tekstu, nurtowało mnie pytanie, czy moje pokolenie, ludzi urodzonych na przełomie lat 80. i 90., można określić nie tylko milenialsami, ale i „pokoleniem Erasmusa”. Kiedy studiowałam, wyjazdy na stypendium wydawały się zjawiskiem masowym, ale przecież byłam w specyficznej sytuacji – studiowałam na jednej z dwóch największych uczelni w kraju, w dodatku filologię, kierunek niejako predestynujący do wyjazdu za granicę. Zadałam więc w mediach społecznościowych pytanie o pobyt

na Erasmusie oraz jego wpływ na dalsze losy zawodowe i prywatne. Liczba odpowiedzi przerosła najśmielsze oczekiwania. Pisali do mnie bliżsi i dalsi znajomi, znajomi znajomych oraz obcy ludzie. Dzwonili, nagrywali wiadomości głosowe, wysyłali kilometrowe maile. Powtarzały się w nich frazy: „przygoda na całe życie”, „jedna z najlepszych rzeczy”, „każdy powinien”, „powtórzyłbym bez wahania”, a najczęściej, językowo w duchu nowej zjednoczonej Europy bez granic: „life-changing experience”. Uderzyło mnie, jak wielu ludzi ma potrzebę, aby o swoich erasmusowych doświadczeniach opowiedzieć – jak gdyby dotąd nie traktowano ich wystarczająco poważnie.

SAMA PAMIĘTAM TO WRAŻENIE – wyjazd na stypendium przez wielu uważane były za ostatni etap poprzedzający pełną dorosłość, okazja, żeby się wyszumieć. W 2012 r., kiedy wyjeżdżałam po raz pierwszy do Zagrzebia, wśród studentów krążył filmik. Studenci przychodzą do dziekana po zaliczenie, a ten tłumaczy zakłopotany: – Ale przecież nie chodzili państwo w ogóle na zajęcia.

Na co oni z przerażeniem w oczach odpowiadają: – Ale panie dziekanie, przecież Erasmus, Mołdawia, Kiszyniów...

Żart nie jest do końca precyzyjny, gdyż Mołdawia nie jest krajem Unii Europejskiej, choć nie jest niemożliwe, aby to tam udać się na stypendium (w 2022 r. z Polski do Mołdawii na Erasmusa wyjechało pięć osób). Wśród krajów spoza UE stowarzyszonych z programem znajdują się też Macedonia Północna, Serbia, Islandia, Liechtenstein, Norwegia i Turcja. Kolejnych kilkanaście krajów z całego świata może uczestniczyć jedynie w niektórych akcjach programu. Ironiczny wydźwięk, sugerujący, że kierunek wyjazdu na stypendium nie zawsze jest podyktowany jakością oferty uczelni przyjmującej, ale ta-

kimi kwestiami jak odległość od morza, stosunek cen w miejscowych kawiarniach do wysokości stypendium, pozostaje jednak w mocy. Dlatego kiedy zapytane o Erasmusa koleżanki ze śmiechem odpowiadają, jak pojechały do Francji praktycznie nie znając francuskiego, a na uczelnię dotarły może kilka razy, jestem gotowa na pouczającą historię o marnowaniu możliwości kształcenia się za granicą.

– Właściwie to był mój pomysł, chodziłam do francuskiego liceum i chciałam wyjechać do Francji, więc namówiłam koleżanki – opowiada Kaśka, dziś trzydziestopięcioletnia scenografka, wtedy studentka kulturoznawstwa na AGH. – A potem poznałam chłopaka, który słyszał, że na Erasmusie to tylko imprezy i poróbstwo, więc zabronił mi jechać, a ja głupia go posłuchałam. Do dzisiaj żałuję.

– Wymagana była znajomość francuskiego, więc coś, trochę podkoloryzowałyśmy nasz certyfikat – dopowiada Joanna. – Kilka miesięcy później pakowałyśmy się do autobusu, aby dotrzeć do Nantes. Na miejscu okazało się, że prawie wszystkie zajęcia były po francusku, a tamtejsi studenci nieskłonni do integracji. I wtedy w sklepie muzycznym poznałyśmy Guena.

Guen próbował swoich sił w muzyce, zaczął więc zabierać dziewczyny na jam sessions. Wkrótce (z potrzeby serca, a nie braku pieniędzy, jak zaznaczają) zaczęły śpiewać także na ulicach miasta.

– Właściwie to koleżanka śpiewała, a ja zbierałam pieniądze do kapelusza. Czasem pozwalała mi zagrać na trójkacie – śmieje się Joanna. – W końcu stałyśmy się rozpoznawalne i zaprosili nas do lokalnego radia, żebyśmy zaśpiewały jakąś tradycyjną polską pieśń. W panice wybrałyśmy „Teksańskiego” zespołu Hey.

W tej rozmowie o pozornie beztroskim i niezbyt produktywnym czasie na stypendium szybko wychodzi na jaw, że trzecią koleżanką, tą, która śpiewała



ANDREA RONCHINI / AFP / EAST NEWS

Parada studentów Erasmusa w centrum Rzymu, 11 listopada 2023 r.

na ulicach i we francuskim radiu, jest Joanna Możdżan: wokalistka jazzowa, absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach. Decyzję, aby radykalnie zmienić kierunek swojej edukacji, podjęła właśnie podczas Erasmusa.

– Mam wrażenie, że najbardziej dał mi do myślenia panujący we Francji klimat – wspomina. – Wszyscy zachęcali, aby realizować swoje marzenia, podczas gdy u nas stawiano jednak na zachowawczość i rozważanie, co będzie, jeśli się nie uda. Wróciłam z Francji, skończyłam kulturoznawstwo i postanowiłam spróbować swoich sił w muzyce, co okazało się najlepszą możliwą decyzją. Bez wyjazdu na Erasmusa raczej bym się nie odważyła.

W EUROPIE ERASMUS ISTNIEJE OD 37 LAT, więc jego najstarsi beneficjenci przebywają prawdopodobnie na emeryturze. Polska dołączyła w 1998 r., kiedy funkcjonował jeszcze pod nazwą Sokrates. Do 2005 r. z programu skorzystało ponad 30 tysięcy studentów z kilkudziesięciu uczelni.

– Dzięki Erasmus+ młodzi ludzie mają niepowtarzalną szansę na podróżowanie

po różnych krajach, poznawanie nowych kultur oraz zdobywanie wiedzy na renomowanych uczelniach zagranicznych. Kontakt z językiem obcym wpływa na rozwój umiejętności komunikacyjnych, co przekłada się na korzyści w życiu zawodowym i osobistym. Doświadczenie międzynarodowe może pomóc w zdobyciu atrakcyjnej pracy w przyszłości, sprzyja nawiązywaniu nowych przyjaźni z ludźmi z innych krajów i z różnych kultur. Ponadto, bycie samodzielnym w obcym kraju rozwija umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach oraz zwiększa pewność siebie.

Tę wieloaspektowość programu podkreślają także jego uczestnicy. Choć podstawowym walorem jest możliwość zdobycia wiedzy i kompetencji, na czele z językowymi, nabywana podczas wyjazdu umiejętność radzenia sobie w nowym środowisku, nawiązywanie międzynarodowych kontaktów i przełamywanie stereotypów okazuje się równie istotne, choć często trudniejsze do zmierzenia.

Innym skutkiem ubocznym często jest miłość. Wśród wielu historii o tym, jak Erasmus potrafi zmienić życie, opowieści

o związkach i rodzinach obecne są wyjątkowo często.

– Decyzję o Erasmusie podjąłem spontanicznie, przeniósłem się do Lizbony w środku pandemii. Miasto było puste, a bardzo chciałem podszkolić język, więc walczyłem z nieśmiałością i zmuszałem się do poznawania ludzi po sąsiedzku, na ulicy, w sklepie. Jedną z niewielu osób, które chciały ze mną rozmawiać po portugalsku, był Ricardo – opowiada Łukasz Kraj, redaktor, polonista i romanista. – Głównie narzekaliśmy na swoje kraje, to najbardziej łączy Polaków i Portugalczków. Zdałem sobie wtedy sprawę, że lubię Polskę, a polski charakter narodowy ma sporo pozytywnych cech, których wcześniej nie doceniałem, jak choćby sprawczość i energię.

Łukasz i Ricardo bali się zaryzykować związku na odległość, podjęli więc decyzję, że zostaną przyjaciółmi. Łukasz po zakończonym stypendium wrócił do Polski, niedługo potem podjął studia doktoranckie, ale nieustająco wracał do Lizbony.

– Podświadomie zacząłem tak kierować swoim życiem, żeby kręciło się wokół Portugalii. Tłumaczyłem portugalską →

→ poezję, przygotowałem projekt doktoratu na temat literatury portugalskiej. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy: zakochaliśmy się w sobie. Zacząłem wyszukiwać stypendia w Portugalii, a Ricardo, który jest reżyserem teatralnym, kursy i warsztaty w Europie Środkowej. Przez dwa lata krążyliśmy po kontynencie, przygotowując grunt pod wspólne życie, a dziś mieszkamy razem w Lizbonie i planujemy wspólną przyszłość.

Erasmus bywa oskarżany o sprzyjanie rozwiązłości seksualnej, zdradom i nadmiernej swobodzie obyczajowej: czasem nazywa się go nawet na wpół żartobliwie Orgasmusem, a internet pełen jest mizoginistycznych memów i żartów na ten temat. Ostatecznie okazuje się jednak, że jego dobry wpływ obejmuje także demografię. W 2014 r. Komisja Europejska szacowała, że dzięki programowi w Europie mogło urodzić się nawet milion dzieci, i to bynajmniej nie na skutek przypadkowych kontaktów seksualnych. Według ówczesnych szacunków, jedna trzecia byłych uczestników programu miała partnera z innego państwa, a aż 27 proc. pozostawało w wieloletnich związkach z osobami poznanymi na stypendium.

– Byłam dwa razy na wyjeździe w ramach studiów i raz na praktykach w Lublanie – mówi Małgorzata Mrković, Polka mieszkająca dziś w Słowenii. – Erasmus zaowocował mężem, dziećmi, przeprowadzką do innego kraju i psami.

Nie wszystkie historie opowiadają jednak o poznawaniu partnerów w innych krajach. Niekiedy wyjazd to po prostu przekroczenie granicy dorosłości – tej prawdziwej, a nie tylko metrykalnej.

– Na Erasmusa pojechaliśmy mniej typowo, bo jako para, z moją obecną żoną. Niespecjalnie nawet potrzebowaliśmy towarzystwa innych studentów, zachwycaliśmy się Słowenią i wspólnym czasem – wspomina Jakub Lewis, muzyk, członek zespołu Hańba. – Mimo to okazał się kluczowy dla naszych wyborów życiowych. Po raz pierwszy zamieszkaliśmy wtedy razem, a Kaja na zamku w Lublanie zdecydowała się na zwrot w swojej karierze zawodowej.

WEDŁUG RAPORTÓW EURACTIV Polacy wyjątkowo chętnie uczestniczą w programie Erasmus. W 2022 r. na wyjazd zdecydowało się ponad 12 tysięcy studentów oraz pracowników naukowych. Najchętniej wybieranym przez Polaków kierunkiem wyjazdu od lat pozostaje Hiszpania. Kolejne miejsca zajęły w 2022 r. Włochy, Portugalia i Niemcy. Najmniej osób wyjechało z kolei do Uzbekistanu, Ukrainy, Indii i Izraela oraz Czarnogóry, Mołdawii, Luksemburga i Kanady. Coraz popularniejszym kierunkiem staje się jednak także Polska. W początkowych latach programu stosunek wyjeżdżających Polaków do przyjmowanych na nasze uniwersytety obcokrajowców wynosił nawet dziesięć do jednego. Obecnie te liczby są porównywalne, a Polska znajduje się w czołówce najczęściej wybieranych krajów, szczególnie wśród „południowców”: Portugalczyków, Hiszpanów, Włochów i Turków.

O wyjeździe do Polski opowiada mi Anja Vladislavljević, pochodząca z Chorwacji dziennikarka, a wówczas studentka historii, która w 2015 r. spędziła dwa semestry w Poznaniu. Polskę wybrała przypadkowo, przede wszystkim ze względu na koszty życia. Śmieje się, że traktowała ją wówczas jak „Skandynawię dla ubogich”: zimno, ale tanio. Ostatecznie nauczyła się jednak języka, zyskała nowych przyjaciół, podróżowała po kraju. Dziś jako jedna z niewielu chorwackich dziennikarek może sama sprawdzać, co słychać w polskiej debacie publicznej.

– Nie miałam wielkich oczekiwań w stosunku do Polski, nie wydawała mi się szczególnie interesująca. Zależało mi, aby podróżować po Europie, a dotąd nie było mnie na to stać. Okazało się, że nie miałam racji: polskie miasta zrobiły na mnie wielkie wrażenie, zaczęłam interesować się współczesną historią naszego kraju, a ostatecznie zdecydowałam się nawet pisać pracę magisterską o transformacji ustrojowej. Od tego czasu w Polsce bywam regularnie, praktycznie co roku.

Historii o obcokrajowcach, którzy przyjeżdżają do pozornie „egzotycznego” eu-

ropejskiego kraju, a potem stają się jego znawcami i najlepszymi ambasadorami, jest wiele. Charlotte Pothuizen do Warszawy przyjechała z Belgii jako studentka trzeciego roku slawistyki. Kiedy stypendium się skończyło, przedłużyła je o rok, potem znalazła jeszcze inne i ostatecznie została w Polsce... na 15 lat. Choć dziś mieszka we Francji, zawodowo zajmuje się przekładem polskiej literatury na holenderski – na swoim koncie ma m.in. dzieła Olgi Tokarczuk i Szczepana Twardocha. – Nigdy nie nauczyłabym się porządnie polskiego, gdyby nie ten wyjazd. I na pewno nie miałabym takiej łatwości przemieszczania się po Europie. Poza tym, w moim przypadku propaganda proeuropejska zadziałała: najbardziej czuję się (północno) Europejką – tłumaczy.

ROZMOWA Z ANJĄ VLADISLAVLJEVIĆ pobudza mnie do jeszcze jednej refleksji – zastanawiam się nad ekonomicznym wymiarem wyjazdu na Erasmusa. Wysokość stypendium zależy od tego, z jakiego państwa student wyjeżdża, oraz dokąd jedzie: waha się od 225 euro do nawet 674 euro miesięcznie. Weterani programu, sprzed wejścia Polski do Unii, opowiadają mi szeptem historie o dorabianiu do stypendium przewożeniem przez granicę papierosów. W czasach wielkiego erasmusowego boomu, kiedy sama wyjeżdżałam do Chorwacji, naszym głównym pomysłem było nieustające cięcie kosztów: jeździliśmy stopem, korzystaliśmy ze wszelkich możliwych zniżek i udogodnień, których wówczas nie brakowało.

Dziś jednak, rozmawiając z dwudziestolatkami, z którymi pracuję na uniwersytecie, coraz częściej słyszę, że nie mogą wyjechać na pół roku, bo oznaczałoby to rezygnację z pracy. Tymczasem rosnące koszty życia, przede wszystkim najmu mieszkań, powodują, że coraz mniej osób może sobie pozwolić, aby zajmować się „tylko” studiowaniem, zdobywaniem doświadczeń i nowych umiejętności. Być może więc faktycznie jesteśmy pokoleniem Erasmusa – miejmy tylko nadzieję, że nie ostatnim.

© ALEKSANDRA WOJTASZEK

Ochrona uczuć europejskich

MAREK BIĘNCZYK, PISARZ:

**Uprawiam mistykę wspólnej Europy.
Miałem kilka dla mnie wyjątkowych, jak by to ująć,
doznań europejskich. Sytuacji o intensywności religijnej.
Ten mistycyzm jest jednak zarazem pragmatyzmem,
zwłaszcza w obliczu obecnych wypadków.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wróciłeś właśnie z Francji. Który to już raz?

MAREK BIĘNCZYK: Nie pamiętam.

A pierwszy raz pamiętasz?

Tak, 1975 rok, autostop, niekiedy spanie nad rzeką czy w rowie, puszka soczewicy na kolację, praca gdzie się da. Duma, że tam jestem. Trochę narcystyczna: jestem z Polski, jakoś się nie dajemy Ruskim, coś mi się od was należy, minimum uznania. Bagietką też nie pogardzę. Przez kolejne lata, aż do stanu wojennego. Podobne były pytania kierowców. Było wśród nich jeszcze dużo komunistów, chcieli się dowiedzieć, skąd te kartki na żywność w Polsce; niepokojili się. Po roku 1978 *bourgeois* pytali o papieża Polaka. Członkowie sekt pytali, czy wierzę w Antychrysta. Anarchiści i długowłosi nie pytali o nic, zapraszali na noc. Kiedyś próbowałem obliczyć, ile osób ze studiów, z mojego roku, zostało we Francji na stałe lub chociaż próbowało. Większość. To był owczy pęd. Studiujesz romanistykę – szykuj się do wyjazdu. Pęd na Zachód, bo nie mówiło się wówczas „Europa”; nie używało tego pojęcia w sensie symbolicznym, a tylko geograficznym. Też mi się zdawało, że skoro pęd owczy, to zostaną we Francji. Ale jako pasterz siebie samego doskonale wiedziałem, że nigdy nie wyemigruję.

Jak się zmieniała Francja – czy też Zachód – przez te lata?

Oczywiście na przestrzeni półwiecza Polska zmieniała się bardziej. Do tego stopnia, że powiedziałbym: dla wielu stała się dzisiaj całkiem dobrą przestrzenią do życia. U nas czuję się – mimo wiadomych trzydziestu tak na oko procent polskich antyeuropejczyków i ich krzyków, jakby było ich 80 procent – bardziej częścią wspólnej Europy niż we Francji. I to nie



JACENTY DEDEK / REPORTER

Na Wielkim Placu w Brukseli.
Belgia, luty 2006 r.

u nas, w naszej części kontynentu, w Europie postkomunistycznej, Europa jest najbardziej zagrożona. Mimo Orbána i Słowaków, którym zawsze dobrze w papuciach.

Rozumiem, ale wróćmy do Francji.

Politycznie, o czym dobrze wiemy, zmieniła się w ostatnim dwudziestoleciu istotnie. Poziomica przechyliła się na radykalnie prawą stronę. Wówczas, gdy wędrowałem po Francji z plecakiem, to było nie do pomyślenia. Właściwie jeszcze dzisiaj jest trudne do wyobrażenia; gdzie jak gdzie, ale tam? Mówię o prawicy nie gaullistowskiej, bo ta gaullistowska była wcześniej równie silna co lewica, tyle że na zewnątrz mniej widoczna i wytwarzała mniej kodów poprawnościowych. *Nota bene* zawsze mnie śmieszyły polskie utożsamienia Francji z „lewactwem”, skoro wybory wygrywał Chirac, Sarkozy, wreszcie Macron. Ale dla naszych głębokich myślicieli Macron to nadal gorysz.

Od czasów Mitteranda był tylko jeden prezydent wywodzący się z lewicy, Hollande, i to ledwie przez jedną kadencję. Tradycja gaullistowska w polskiej recepcji polityki francuskiej od dawna, zwłaszcza pod wpływem prawicy pisowskiej, jest niedoceniana. W każdym razie radykalne przemeblowanie francuskiej sceny politycznej, rozbicie rządzącego duopolu prawica (jedna partia postgaullistowska) – lewica (socjaldemokraci i komuniści) poprzedziło analogiczne przemiany gdzie indziej, w Hiszpanii, we Włoszech, być może wkrótce w Portugalii, no i, jak można się spodziewać czy obawiać, niebawem też w Niemczech.

A życie codzienne?

Niewątpliwie po roku 2004, statystycznie rzecz biorąc, Polakom poprawiło się o wiele bardziej niż Francuzom. Polakom, to znaczy, strzelam, 50-60 procentom naszej ludności. We Francji procentowo wyglądałoby to o wiele gorzej. Ale mimo inflacji i innych złych okoliczności siła nabywcza we Francji w roku 2023 wzrosła o 0,2 procent. Dla nich w tych warunkach to sporo.

Czyli jak wygląda dziś?

Ze społecznego punktu widzenia ostro wrze. Rzekłbym przekornie, że wrze jak zawsze i że to nie jest tylko skutkiem obecnej chwili, bo tam wrzeć musi, koniec kropka. A wizualnie i powierzchownie? W knajpach nadal dobrze. Kawa nadal kiepska, choć już tańsza niż w Polsce. Wystawy nadzwyczajne. Poprawiło się w piekarniach: dużo świetnego pieczywa, nie to co kiedyś. Bardzo dobrze w księgarniach, gdyby brać pod uwagę nie tylko fantastyczną liczbę poważnych książek, ale też liczbę odwiedzających je czytelników. I to nie szukających kryminałów. Bezdomni i żebracy na ulicy →

→ – na pewno nie mniej, niż było. Długo opowiadać. No i dla mnie jeden wizualny estetyczny szok, przed którym się chroniłem, ale wreszcie poszedłem zobaczyć: cerkiew przy wieży Eiffla. Pięć lśniących kołpuł pokrytych 90 tysiącami listków złota.

Jak do tego doszło?

Budowa tej katedry Świętej Trójcy została ukończona w roku 2016, dwa lata po aneksji Krymu. Zgodę wydał Nicolas Sarkozy w roku 2007, w chwili wielkiej przyjaźni z Putinem, który wywierał ogromną presję na podpisanie umowy. Były protesty, choćby ze strony ówczesnego mera Paryża, Delanoë, ale diabli je wzięli. Diabli, wiem, co mówię: nie tylko z politycznego, lecz i z samego urbanistycznego punktu widzenia to jest katastrofa. Pejzaż okolicy, kształtowany przez wieżę Eiffla, został tragicznie zdewastowany. A że wieża stała się dawno temu czymś więcej niż symbolem Paryża, uważam postawienie cerkwi akurat w tym miejscu za policzek wymierzony Europie. Nam wszystkim.

Czy to element słynnej francuskiej rusofilii?

Ona istnieje nadal, tak jakby klęska odwrotu Wielkiej Armii nie została wciąż przetrawiona przez zbiorową podświadomość. Syndrom sztokholmski, mówiąc półzartem. Wiadomo aż za dobrze o sponsorowaniu skrajnej prawicy francuskiej przez Moskwę. Mniej może, że pani Le Pen od roku 2014 została uznana przez Ukrainę za *persona non grata*, co nie przeszkodziło Morawieckiemu obcałowywać jej rączek na dwa miesiące przed napadnięciem rosyjską w lutym 2022 roku, o której nieuchronności już wiedział.

Francuski stosunek do wojny w Ukrainie jednak się radykalnie zmienił.

W roku 2014, gdy obserwowałem francuską scenę publiczną, szlag mnie trafiał. Dominujący dyskurs, czy to prawicowy, czy to lewicowy, był mniej więcej taki: owszem, nieładnie z tym Krymem, z Donbasem, ale ci ukraińscy faszysty i ta wszechobecna korupcja... Pamiętam odpowiedź pisarza ukraińskiego Kurkowa podczas telewizyjnej debaty: „no dobrze, to chociaż pozwólcie nam uprawiać korupcję na wasz zachodni sposób...”. Od roku 2022 faktycznie sporo się zmieniło, polityczna rusofobia z trudem bo z trudem, ale zaczyna być częścią politycznej poprawno-

ści, a może nawet wiary politycznej. Tak postgaullistowskiej, jak socjaldemokratycznej. To jest bardzo widoczne. Rusofilia jest w odwrocie i podejrzewam, że – procentowo – rusofilów jest teraz we Francji mniej niż w Polsce skrytych ukrajinofobów. Co nie znaczy, że rusofilia zeszła do podziemia. Ukazała się niedawno w Galimardzie książka znanego socjologa Emanuela Todda, który już dawno temu usprawiedliwiał aneksję Krymu i wojnę w Donbasie błędami europejskiej polityki wobec Rosji, zatytułowana „Klęska Zachodu”. Wykazuje miałość strategii europejskiej: należało wcześniej dać Rosji więcej przestrzeni witalnej, uwzględnić jej niedemokratyczną z naszego punktu widzenia odrębność ustrojową i nie doszłoby do tej wojny. A w ogóle nie ma czego się od strony Rosji obawiać, wystarczy spojrzeć na jej fatalny przyrost naturalny. Trzeba też pamiętać, że rusofilia francuska zawsze ujawniała się wespół w zespół z głębokim antyamerykanizmem, oba te uczucia tworzyły naczynia połączone. Teraz naczynia się zaczynają rozłączać. Rusofilia polityczna pozostaje przy tym, to oczywiste, częścią eurosceptycyzmu, nie tylko francuskiego.

We Francji popularne są też opowieści o zgnuśnialym, upadłym Zachodzie, najstraszniejsze chyba u Houellebecqa.

To Francja wymyśliła Europę, co nie zmienia faktu, że samoplugawienie się, ujawnianie własnej nicości należy do długiej tradycji francuskiej. Choć w Europie zaczęło się to od Nietzschego; tyle że kryzys człowieka europejskiego był dla niego początkiem nie dla jęków, lecz dla nowej konstrukcji myślowej. Później był Spengler. Można podejrzewać, że niemałą rolę we francuskiej tendencji do biczowania siebie odegrała klęska roku 1940, trauma Vichy: nie jesteśmy nic warci, więc nic nie jest warte czegośkolwiek. Można też zauważyć, że europejski masochizm, zwłaszcza w wydaniu francuskim – choć przecież nie tylko – ociera się w taki czy inny sposób o faszizm (Céline, Cioran) czy o radykalne skrajności: prawicowe (Houellebecq), lewicowe (niegdyś Sartre). Przy czym Cioran, autor słów, które by można uznać za fundamentalne dla najdalej idącej, ponadnarodowej wizji wspólnej Europy: „narody niestety istnieją” (powtarzał



to później Mitterrand), miał czas, by zamienić się w zbławianego, znużonego, ale jednak eurodemokratę.

Inna wizja Houellebecqa – Zachód to skansen.

Najpierw odpowiedź żartem. Jak to się powiada, najgorsze zdanie Tomasza Manna (czy Prousta, czy Joyce'a) jest lepsze niż najlepsze zdanie wielu innych pisarzy. Więc skansen francuski byłby lepszy niż niejedna fabryka werwy gdzie indziej. I jeszcze dwa słowa. Właśnie przypomniał mi się agresywny, ale też niedorzeczny esej Oksany Zabuzko o literaturze francuskiej. Zabuzko atakuje – bardzo głupio – Derridę i oszczędza w nim dwóch pisarzy: Céline'a i Houellebecqa jako tych, którzy odważnie zdarli zasłony, by ukazać prawdziwe oblicze Francji. Céline'a zostawiam na inną okazję, natomiast w przypadku Houellebecqa mam rosnące przekonanie, że ten pisarz, z pewnością istotny, niczego nie odsłonił, lecz tylko wpadł w sidła kliszy przejętej od poprzedników: Francji w letargu czy w domu pogodnej starości.

Czyli Francuzi wciąż czują się jeszcze częścią „projektu Europa”?

W Polsce tożsamość europejska wciąż jest bardzo silna. A tam?



ARDEL BERTRAND / HEMISFER / AFP / EAST NEWS

Rosyjskie Prawosławne Centrum Kultury i Duchowości w Paryżu. Francja, maj 2017 r.

Według ostatnich sondaży ponad połowa Francuzów jest w taki czy inny sposób antyunijna. Tyleż zabawne, co smutne wydaje się to, że przeciw są tak lepeniści, co na przykład – w dużej części – Francuzi wyznania muzułmańskiego. Przypomnę, że pierwsze referendum francuskie mające zatwierdzić traktat z Maastricht utopiło ten projekt. Trzeba było odkręcać. Istnieje we Francji mocny, powiedziałbym, nierefleksyjny eurosceptycyzm, wynikający z braku czucia Europy: jesteśmy Francuzami, jednym z pępków świata, o co chodzi? Teraz eurosceptycyzm jest oczywiście podkreślony przez uwarunkowania ekonomiczne oraz demografię, czytaj: imigrację. Ale też istnieje o wiele mocniejszy niż u nas eurosceptycyzm intelektualny. Mocniejszy nie tylko pod względem ilościowym, ale jakościowym: nie chodzi o resentymenty i fobie ani o hasłowe pohukiwania, lecz o głębokie analizy.

Nasz rodzimy eurosceptycyzm jest prostszy?

Tak. Francuski eurosceptycyzm jest o wiele trudniej identyfikowalny politycznie. W Polsce sytuuje się niemal wyłącznie po prawej stronie. I jest częścią jednego obszernego paradygmatu: antyeuropejskość, anty-LGBT, wierność Kościołowi

episkopatu i Jędraszewskiego, prorydykizm, antyemigranckość, antywokizm, antyelitaryzm, pozorny socjalizm ekonomiczny i nacjonalistyczny pod nadzorem scentralizowanego państwa, kłamstwo smoleńskie. We Francji natomiast eurosceptycyzm idzie w dużej mierze w poprzek wyborów politycznych.

Przykład?

W Polsce ci, którzy nie chcą Unii, są w ogromnej części wyborcami PiS-u i Konfederacji. We Francji istnieje antyeuropeizm lewicowy i prawicowy; istnieje prounijność konserwatywna czy wręcz prounijność reakcyjna i prounijność lewicowa. Przykład taki: książki i pozycja Alaina Finkielkrauta, jednego z czołowych intelektualistów, rozmówcy Macrona. Chłopiec do bicia dla każdej strony politycznej. Uznawany od umiarkowanych konserwatystów po skrajną lewicę za reakcjonistę. Bo krytykuje wokizm, bo przypisuje mu się wypowiedzi rasistowskie względem imigrantów (a raczej ich dzieci i edukacji tychże), bo żywi nostalgę wobec archaicznych wartości budujących kulturę podstawę narodu, a do tego jeszcze Żyd (zresztą poszturchano go parę lat temu na ulicy). No ale gorący proeuropejczyk, przez lepenistów uznawany za macronistę.

Emigracja to osobny duży temat.

Prawdopodobnie ważniejsza od kwestii ekonomicznej, gdy szukamy przyczyn francuskiego eurosceptycyzmu, tak prawicowego, jak lewicowego: otóż francuski problem w mniejszym stopniu polega na rozwiązywaniu kłopotów związanych z nową emigracją, a bardziej kłopotów związanych z potomkami emigrantów, pokoleniami urodzonymi już we Francji. To wiąże się jeszcze z innym problemem: duchowymi podstawami Europy, mówiąc szumnie. Najgorsza może rzecz – w moim odczuciu – jaka mogła przytrafić się wspólnej Europie, to, po pierwsze, jej utożsamienie z neoliberalizmem w szerokim pojęciu słowa. Po drugie, jej utożsamienie ze strukturami brukselskimi. I po trzecie, ogromne trudności z powrotnym transferem idei politycznych i ekonomicznych do założycielskich idei duchowych.

Czyli jakich?

Pozwolisz, że chwilkę o „mojej” Europie. Dwadzieścia lat temu napisałem dla „Tygodnika” felieton na nasze wejście do UE. Ostrożnie entuzjastyczny, mocno naiwny. Później uświadomiłem sobie, że pisałem mniej więcej o swoim pokoleniu i pokoleniach sąsiednich, i mniej więcej o tych z nas, dla których pojęcie wolności podróżowania było podstawowe i oderwane od rzeczywistości ekonomicznej. Nazywałem to pokolenie „paszportowcami”. Dla nas niezauważalne przekraczanie granicy – bez oczekiwania na paszport, bez kontaktu z ubekim spojrzeniem, bez irracjonalnego strachu itd. – jest wciąż rozkosznym doznaniem. Europa pozwoliła mi – że tak powiem – odzyskać ciało; zlikwidować pewne lęki. Kiedy w roku 1980 tworzyliśmy NZS, kumpel na czoło listy postulatów wpisał: paszport w domu. Wydawało mi się to wtedy równie realne, co wejście do NATO. Wolne związki, tak, brak cenzury, tak, wszystko do wyobrażenia, ale że paszport w szufladzie? Później zostałem sprowadzony z mojego felietonu na ziemię, pamiętam, jak profesor Adam Leszczyński kpił z takiego „paszportowego” podejścia do Europy, podczas gdy tyłu rodaków, w tym ludność postpeegierowska, przeżywało doprawdy inne fundamentalne problemy. Miał oczywiście absolutną rację, choć odbieranie walczącym o ekonomiczne przeżycie →

→ prawa do marzenia o politycznej wolności może być dla nich uwłaczające.

Paszport jako wartość duchowa?

Jako „paszportowy” czy „schengenowy” Europejczyk uprawiam mistykę wspólnej Europy. Dlatego spośród wielu karygodnych wypowiedzi obecnego prezydenta, począwszy od pierwszego zdania w debacie z Komorowskim po ostatnie atrybucje krystaliczności dla politycznych kumpli, zdanie o Europie jako „wymagowanej wspólnoty” rozsierdziło mnie bodaj najbardziej. Poczułem, że skoro można mówić o „obrazie uczuć religijnych”, to można też mówić o „obrazie uczuć europejskich”. Poczułem się ciężko obrażony. Muszę ci też przyznać – niech profesor Leszczyński wybaczy – że miałem kilka dla mnie wyjątkowych, jak by to ująć, doznań europejskich. Sytuacji o intensywności religijnej. Ten mistycyzm jest jednak zarazem pragmatyzmem, zwłaszcza w obliczu obecnych wypadków. I dalej: mimo bezgranicznego przywiązania do kulturowych fundamentów Europy, irytuje mnie coś, co nazywam dualizmem i gnostycyzmem zwolenników Europy: „jestem za Europą, ale ta Bruksela...”. Czyli: „kocham duszę Europy, lecz jej ciało... okropne ono jest”...

A kwestie związane z klasycznie rozumianą kulturą?

Mam greckich przyjaciół, uczniów Kundery, którzy 35 lat temu założyli w Paryżu pismo literackie poświęcone powieści. Pismo paneuropejskie; publikują tam ludzie z dwudziestu krajów. Co roku pismo organizowało w Grecji międzynarodowe spotkania literackie; językiem wspólnym był francuski. Przyszła grecka kryzys, zdecydowana reakcja UE z Niemcami na czele, przykręcenie finansowej śruby. Dla moich Greków był to niejako symboliczny kres Europy; w geście buntu odstąpili od spotkań, dla nich Europa się skończyła. Byłem rozdarty, mieli rację, choć doskonale wiedziałem, że w żadnym miejscu w Grecji nie wydawało się rachunków fiskalnych – czyli nie płacono podatków. Nie wcho-



GRAŻYNA MAKARA

MAREK BIEŃCZYK jest pisarzem, eseistą, historykiem literatury i tłumaczem z języka francuskiego. Jako historyk literatury pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk.

dę w szczegóły – chodzi mi o to, że dla takich jak oni fundament duchowy Europy: literatura, sztuka, różnorodność pod wspólnym dachem kultury zostały nieważnione. Bo też ich idea tego, czym jest fundament europejski, konsekwentnie realizowała przesłanie słynnego eseju Kundery o porwaniu Europy.

Pisałeś, że bez niego być może nie byłoby rozszerzenia UE na kraje Europy Środkowej.

Tak eliptycznie mówiąc. Tekst Kundery, rok 1983, był pisany dla Francuzów, dla Zachodu. Sam Kundera go nie cenił, uważał za publicystyczny; zresztą polemikom nie było końca. Ale dzisiaj paradoksalnie, gdy konieczne staje się odnalezienie fundamentalnego zwornika, który scali Europę wobec zagrożenia rosyjskiego, ten cokolwiek utopijny tekst znowu nabrał kolorów. Zachód potrzebo-

wał zrozumieć tę naszą część świata, Kundera napisał jakby podręcznikową, idealistyczną wykładnię, teraz ożywioną. Macron, intelektualnie postać mocna i otaczająca się intelektualistami, powiedziałbym oględnie, z prawdziwszego zdarzenia niż doradcy naszego obecnego prezydenta, czytał Kunderę i w kręgu pokrewnych jemu idei europejskich pozostaje.

Kundera jako „prawdziwszy” Europejczyk niż jego koledzy z Zachodu?

Wyznawca Europy i jednocześnie jej nostalgik. „Europejczyk: ktoś, kto odczuwa tęsknotę za Europą”. Kundera szukał jej ducha na swój sposób, w dziejach europejskiej kultury, którą kochał ponad wszystko; szczerze mówiąc, uważał, że już jest pozamiatane. Przy czym nigdy nie był „prawomysłny”; był jak Flaubert politycznie nie do określenia, stąd łatka reakcjonisty, którą i jemu niekiedy przyklejano.

Czy z naszej rozmowy wynika, że jest nadzieja dla Europy? Jesteś optymistą?

Najtrudniejsze pytanie. Historiozoficznie rzecz biorąc, w skali globalnej, raczej jestem Kasandrą. To, co myślę o ludzkiej historii, nie jest bardzo fajne. Wiesz, nawet jak mnie pytają o wynik meczu, zawsze mówię: „Do przerwy 0:1”. Więc na razie jest 0:1, a później? Trzeba dotrzeć do przerwy. Mam już taki pesel, że chodzę po jego liczbach jak po rozżarzonych węglach i twoje pytanie nie spędza mi snu z powiek.

A co spędza?

Kiedy dnia pamiętnego kładłem się spać uspokojony wynikami *exit poll*, a obudziłem już bez Wielkiej Brytanii w Europie, poczułem, że to dopiero początek krzywej pochyłej. Przecucie było trafne. Ale jest coś, co nazywamy za Jonathanem Learem „nadzieją radykalną”. Nadzieją, która nie wiadomo, z czego wynika, nie ma racjonalnych przesłanek, nie wiadomo nawet, czego dotyczy, ale jakoś istnieje. Więc mówię jej przebłyski. A na naszą małą polską skalę i omijając politykę globalną, widać, że coś drgnęło. Mam na myśli dobrą energię w tak zwanym oddolnym organizowaniu się, ruchach mikrowspólnotowych, może to się jakoś rozszerzy, zacznie po przerwie choć trochę działać.

©® Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

ZNAM MIESZKAŃCÓW LIVERPOOLU, KTÓrzy wspominają 26 stycznia 2024 r. jak inni obywatele Zjednoczonego Królestwa dzień śmierci królowej albo wypadku Diany w paryskim tunelu, a my tutaj katastrofę smoleńską i odejście Jana Pawła II. Pamiętają, co robili, kiedy gruchnęła zła wiadomość. Pamiętają, że nie mogli się po niej pozbierać. Że płakali. Mówią, że jedyne, co mogło złagodzić ich ból, to świadomość, że nie są w tym sami: jeśli np. byli w pracy, widzieli, że podobnie zachowują się ich koleżanki i koledzy.

Zdumiewające, prawda? Nic poważnego się przecież nie wydarzyło. Ot, trener miejscowego klubu dzieli się wiadomością, owszem, niespodziewaną, ale w gruncie rzeczy banalną. „Jürgen, jesteśmy tutaj, bo masz coś ważnego do przekazania kibicom” – mówi pracownik klubowej telewizji. „Tak, muszę” – odpowiada 56-letni Niemiec, który na tę okazję przywdział znoszony szary sweterek i džinsy. Spogląda prosto w kamerę. Nabiera powietrza. „Po zakończeniu sezonu odejdę z klubu” – mówi w końcu, pozwalając wybrzmieć tej frazie.

Wzruszyliście ramionami? Nawet jeśli powody decyzji o niewypełnieniu obowiązującego do 2026 r. kontraktu brzmiały poważnie („Jestem sportowym autem, może nie najlepszym, ale cały czas niezłym – wyjaśniał w charakterystycznym dla siebie stylu Jürgen Klopp. – Wciąż potrafię jechać szybko, ale jako jedyny widzę, że kończy mi się paliwo”), to porównania do żałoby po śmierci najważniejszych person współczesności każdemu neutralnemu obserwatorowi powinny wydawać się niepoważne.

Słuchając metalu

Rzecz w tym, że w przypadku trenera Liverpoolu trudno o neutralnych obserwatorów. I konstatacja ta nie ogranicza się jedynie do świata futbolu, bo opinie Kloppa na temat bezsensowności brexitu czy sensowności szczepień na covid powtarzały media niezajmujące się sportem.

Chodzi więc o coś więcej niż to, że jego pomysł na futbol, jeszcze gdy w latach 2008-15 prowadził Borussię Dortmund z Robertem Lewandowskim, Jakubem Błaszczykowskim i Łukaszem Piszczkiem w składzie, wydawał się tak bardzo świeży. W epoce naznaczonej przez rywalizację trenerów Guardiola i Mourinho (ten pierwszy, odświeżający

w Barcelonie dogmaty gry opartej na posiadaniu piłki, ten drugi, pozbawiony szans na pracę w Katalonii, więc robiący wszystko, by podważyć te dogmaty) postawił na coś, co sam określił mianem „heavy metal football”, fachowcy zaś nazwali „gegenpressingiem”; u Kloppa piłkarze rzucają się do ataku na rywala w momencie, gdy sami stracili piłkę,

PORTRET

KOMUNIA KLOPPA

Powiedział, że czuje się wypalony i musi odejść, a świat zadrżał, bo zawsze dostawał od niego mnóstwo pozytywnej energii. Oto człowiek, którego chcielibyście mieć za trenera, nawet jeśli nie jesteście kibicami.

MICHAŁ OKOŃSKI



a po jej odzyskaniu pędzą ze wszystkich sił pod bramkę.

Intensywność była słowem kluczem nie tylko do takich akcji na boisku: przy linii bocznej Klopp rozgrywał je z drużyną, biegał, skakał, wyklócał się z sędziami, wpadał w ramiona współpracowników, gubiąc z nadmiaru entuzjazmu nie tylko okulary, ale też... słubną ob-



*Jürgen Klopp podczas parady
po wygraniu Ligi Mistrzów.
Liverpool, czerwiec 2019 r.*

czasie gry. W Liverpoolu ceni się je bardziej nawet niż wielobramkowe zwycięstwa z odwiecznym rywalem, Manchesterem United, ogrywanym za czasów Kloppa 5:0 (na wyjeździe, w październiku 2021) i 7:0 (u siebie, w marcu 2023).

Zakładając rodzinę

Wspomnienia emocji, jakie dał kibicom podczas takich meczów, są dla Niemca ważniejsze od wyliczenia trofeów, które zdobył dla Liverpoolu – choć było wśród nich pierwsze od 30 lat mistrzostwo kraju, a do tego wygrana Liga Mistrzów, klubowe mistrzostwo świata, Superpuchar Europy, Puchar Anglii czy Puchar Ligi – ten ostatni, wywalczony ostatnio (po raz drugi podczas dziewięcioletniej pracy Kloppa na Wyspach) przy pomocy zawodników, z których połowa nie skończyła jeszcze 21 lat. Mało który trener byłby w stanie złożyć losy walki o trofeum w ręce nastolatków, ale darząc ich zaufaniem, Niemiec sprawił, że – wprowadzani na decydujące minuty finału z Chelsea – przeszli samych siebie.

Na tę jego cechę wskazuje wielu obserwatorów: Klopp widzi mocne strony zawodników i na nich się skupia, zostawiając z boku to, co mają do poprawienia. „Piłka nożna jest grą błędów – powtarza, ignorując prześladowającą Guardiolię obsesję doskonałości. – Bez pogodzenia się z tym w ogóle nie możesz się nią zajmować”. Podkreśla, że niewykorzystana sytuacja bramkowa nie jest winą strzelca, ale informacją, którą będzie mógł wykorzystać przy kolejnej próbie. Nawet jeśli na skutek czyjegoś kiksów pada gol dla rywali, będzie czas odrobić straty.

To kolejny z kluczy do sukcesów Kloppa: bardziej niż na technicznym kunstwie czy kompetencjach taktycznych (znaczenie tych ostatnich zresztą umniejsza, podkreślając, że kiedy drużyna gra w weekendy i w środku tygodnia, zostaje jej czas jedynie na regenerację i podróż, a bardziej specjalistyczne treningi musi ograniczać do minimum) bazuje na relacjach. „Jürgen zakłada rodzinę. Zawsze mówimy, że taktyka to 30 procent, a 70 procent – budowa drużyny” – wyjaśniał kiedyś jego asystent Pep Lijnders; jeszcze jako młody szkoleniowiec

rączkę (przed burą od ukochanej Ulli uratował go przytomny kamerzysta, który wypatrzył zgubę).

Są i inne słowa kluczowe. Np. odwaga, by nie rzec: brawura. I straceńcza wręcz wiara. Dla piłkarzy Kloppa nigdy nie było strat nie do odrobienia. Już w Liverpoolu, gdzie przeprowadził się w 2015 r., po porażce z Barceloną 3:0 w pierwszym me-

czu półfinałowym Ligi Mistrzów 2018/19 wygrał rewanżowe spotkanie 4:0 i awansował do finału. Wyniki typu 5:4 (z Norwich, w styczniu 2016), 4:3 (z Borussią, w kwietniu 2016; żeby grać dalej w europejskich pucharach jego piłkarze musieli wówczas strzelić 3 gole w drugiej połowie meczu) były tu codziennością, podobnie jak bramki zdobywane w doliczonym

PAUL COOPER / GETTY IMAGES

→ Mainz, Klopp zabrał swoich piłkarzy na coś w rodzaju obozu przetrwania w Szwecji, gdzie odcięci od świata jedli tylko to, co sami złowili.

O to, żeby spędzali wspólnie czas także poza boiskiem, dba w każdej kolejnej drużynie, podobnie jak o to, żeby znali z imienia i z szacunkiem odnosili się do każdego szeregowego pracownika klubu. Efekty? Piłkarze, którym raczej nie wrócono statusu supergwiazd, zanim nie trafili pod skrzydła Kloppa – Andy Robertson, Trent Alexander-Arnold, Virgil van Dijk, a nade wszystko Mohamed Salah, niechciany niegdyś w prowadzonej przez Mourinho Chelsea – podbijają świat.

Głosząc dobrą nowinę

Warto przypomnieć, że kariera Roberta Lewandowskiego eksplodowała dopiero po tym, jak pozbawiony męskiego wzorca na skutek wczesnej śmierci ojca napastnik zdecydował się otworzyć przed Kloppem, odkrywając (jak wspomina w „Nienasyconym” Pawła Wilkowicza) „siłę dobrej rozmowy”. Każdego z piłkarzy Niemiec stara się poznać jak najlepiej i jest właściwie czymś niebywałym to, jak człowiek tak skupiony na kolektywie potrafi zarazem widzieć jego członków jako wyjątkowe i niepowtarzalne jednostki.

Patrząc na sukcesy Borussii i Liverpoolu, częściej niż o myśli szkoleniowej Kloppa wypada więc mówić o jego charyzmie. Grze jego zespołów zarzuca się chaotyczność, ale w tym chaosie jest metoda.

Jak czasem mówi sam trener: „chodzą o to, by z wątpliwych zrobić wierzących”, co skądinąd wskazuje na wątek, którego dotyka z niezwykłą jak na niego powściągliwością: mamy do czynienia z człowiekiem głęboko religijnym. Kimś, dla kogo futbol jest rytuałem, umożliwiającym nawiązanie kontaktu, by nie powiedzieć: komunę z bliźnimi. Kimś, kto za swoje powołanie uważa „zrobienie naszego kawałka ziemi piękniejszym”, jak powiedział jeszcze w 2007 r. w wywiadzie dla „Westfälische Nachrichten”. I kimś, kto – choć deklaruje, że nie uważa się za misjonarza – kiedy robi rachunek sumienia z tego, co dotąd osiągnął (a robi go, jak mówi, codziennie), ma poczucie, że jest „w niewiarygodnie dobrych rękach”.

Dziennikarze od zawsze spijali z jego ust każde słowo, co nie jest dziwne. W relacjach z mediami (w zasadzie nieustannych: „od dziewięciu lat miałem sześć kon-

ferencji prasowych tygodniowo” – mówi, dodając to do listy powodów swojego wypalenia) dawał z siebie równie wiele, jak podczas meczów przy linii bocznej.

Albo w trakcie spotkań z robotnikami fabryki Opla i rozmów ze zwykłymi mieszkańcami miasta – zawsze dbał o to, by nie dać się zamknąć za murami ośrodka treningowego. Nade wszystko jednak w relacjach z piłkarzami: pierwszego dnia w Liverpoolu, kiedy już skrzywił się na smak kawy i oznajmił, że klub potrzebuje porządnego ekspresu, napisał wielkimi literami na tablicy słowo „okropnie”. W tym przypadku chodziło jednak o utrwalenie przez zawodników tego, jak mają się czuć ich rywale podczas meczów z Liverpoolem.

W zasadzie w każdym towarzystwie sprawiał wrażenie kogoś najbardziej pełnego życia. Spontaniczny, wiecznie uśmiechnięty (ba: wyszczerzony wręcz swoimi olśniewająco białymi zębami), nawet jeśli nieco zbyt hałaśliwy, wydawał się wymarzoną partnerem na wieczorną wyprawę do pubu; internet pełen jest zresztą zdjęć Kloppa z kuflem pszenicznego.

Jak jednak widać, nieustanne inspirowanie innych miało swoją cenę. „Moje umiejętności trenerskie opierają się na energii i emocjach, ale pracując w ten sposób, dajesz z siebie wszystko – tłumaczył potrzebę odejścia po tym sezonie. – Zrozumiałem, że moje zasoby nie są nieskończone. Nie jestem już króliczkiem, który może hasać do woli”.

Faktycznie, nie jest: kiedy wiosną 2023 r. świętował kolejne szalone zwycięstwo (w meczu z Tottenhamem jego piłkarze strzelili w kwadrans trzy bramki, ale później dali sobie wydrzeć prowadzenie i dopiero w doliczonym czasie gry zdobyli czwartego gola), ruszył sprintem wzdłuż linii bocznej, a potem gwałtownie zahamował i zaczął utykać: naciągnął mięsień uda.

Zabierając bogatym

Jest jednak jeszcze coś, co rozpało miłość mieszkańców Liverpoolu do niemieckiego trenera. Bo choć np. dziennikarz „Economista”, pisząc o odchodzeniu Kloppa, porównywał go do ustępującego niegdyś z podobnych przyczyn zwierzchnika Pfizera Jeffa Kindlera (a także do wypalonej szefowej rządu Nowej Zelandii Jacindy Ardern), to nie mieliśmy przecież do czynienia z kimś, kto kręcił się

w trybach wielkiej korporacji. Fenomen tego trenera polega też na tym, że nawet w przeżartym komercją świecie zawodowego sportu zdołał ocalić – wedle jego własnych słów – „serce po lewej stronie”.

Jasne, Liverpool ma zamożnego właściciela – amerykański holding FSG, którego twórcę, Johna W. Henry’ego, sportretowano niegdyś jako wizjonerskiego szefa Boston Red Sox w filmie „Moneyball”. Jego pozycja finansowa nie może się jednak równać z potęgą zarządzanego przez szejków ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich Manchesteru City – tak jak status Borussii ustępuje w Niemczech ekonomicznej dominacji Bayernu.

Lata pobytu Kloppa na Wyspach otwierają nowy etap wyścigu o prymat wśród szkoleniowców, w którym to właśnie Niemiec przejął po Mourinho rolę największego konkurenta Guardioli (pracującego teraz w Manchesterze City). „Sprawił, że stałem się lepszym trenerem” – mówią o sobie nawzajem opiekunowie MC i Liverpoolu, i trzeba powiedzieć, że przez ostatnie lata jeden uczył się od drugiego, a futbol tylko na tym skorzystał. Dodajmy, że rywalizacja Guardioli i Kloppa nie stała się nigdy toksyczna; niejeden dziennikarz snuje dziś wizję przyjacielskich kolacji Jürgena i Pepa na zasłużonej emeryturze.

Guardiola jednak pracuje dla superklubu: kolekcyjonowane przezeń seryjne mistrzostwa Anglii (a wcześniej Niemiec z Bayernem; to w Bundeslidze starli się z Kloppem po raz pierwszy) są efektem nie tylko trenerskiego geniuszu, ale też niemal nieograniczonych możliwości finansowych. Autor książki „Gegenpressing i tiki-taka” Michael Cox uważa za największe osiągnięcie Kloppa właśnie to, że nie tylko dzielnie walczył, ale też potrafił wygrywać w boju, w którym szanse były od początku nierówne.

To właśnie Coxowi zawdzięczam obserwację, że światopogląd szkoleniowca przekłada się na grę jego drużyny. Klopp, zwolennik państwa opiekuńczego i wyznawca koncepcji, w której troska o dobro wspólne powinna wieść prym nad ścieżką indywidualnego bogacenia, zawsze budował drużyny wyróżniające się etosem pracy, a rzec można także: etyką solidarności. Znam zresztą i takich kronikarzy angielskiego futbolu, którzy nazwali go sumieniem tego sportu. Zestawienie z Billem Shanklym – innym socjalistą i chrześcija-

JÜRGEN KLOPP:

Nie mogę wykonywać tej pracy bez końca. Szanuję was wszystkich i kocham, dlatego powinniście znać prawdę.



YOUTUBE / LIVERPOOL FC

ninem, który przed laty dał Liverpoolowi wielkie sukcesy – narzuca się samo.

Dając szczęście

Wielu obawiało się, że odejdzie wcześniej. Nie tylko dlatego, że futbolowi poświęcił całe życie i w końcu musiał zrobić sobie przerwę. Kryzys dopadł go już po siedmiu latach pracy z Borussią, kiedy znakomita dotąd drużyna wpadła nagle w dołek – wydawało się nawet, że grozi jej spadek z ligi.

Z Liverpoolem walczył o kolejne mistrzostwo i kolejny triumf w Lidze Mistrzów do ostatniego tygodnia sezonu 2021/22, ale na ostatniej prostej musiał uznać wyższość Manchesteru City i Realu. W kolejnym roku wszystko wskazywało na powtórkę scenariusza z Dortmundu, ale Klopp wyprowadził zespół z tarapatów, a w dobiegającym końca sezonie 2023/24 jego piłkarze zaczęli grać tak spektakularnie, że zaczęto mówić o „Liverpoolu 2.0”. Odmłodził drużynę, w której z dawnego tercetu ofensywnego Sadio Mané – Roberto Firmino – Mohamed Salah został tylko Egipcjanin.

Przebudował drugą linię, w której imponują Argentyńczyk Mac Allister i Węgień Szoboszlai, wspierani przez schodzącego tam z prawej obrony (to jedna z taktycznych innowacji Kloppa) Anglika Alexandra-Arnolda. Także dlatego zapowiedź odejścia była szokiem: wydawało się, że znów jest na fali wznoszącej.

Zanim znalazł się w Dortmundzie, był szybkim, ale niezbyt utalentowanym napastnikiem, przesuniętym z czasem na obronę w drugoligowym Mainz. Kilka dni po rozegraniu tam ostatniego meczu

w roli piłkarza przejął drużynę jako trener. Awansował z nią do Bundesligi, co mieszkańcy Moguncji świętowali przez tydzień, a co on sam, nawet jako zwycięzca Ligi Mistrzów i mistrz Anglii, opisuje jako swój największy sukces w karierze. Ci, którzy znają go bliżej, potwierdzają szczerść tych słów: oto człowiek, dla którego od dumy z wywalczonych trofeów ważniejsze jest poczucie, że dał komuś szczęście.

„Nie gracie dla siebie” – powtarzał zawsze piłkarzom. Przypominał, że służą ludziom, w których życiu klub naprawdę może być całym światem, co zresztą z historią Liverpoolu (drużyny, której 97 kibiców poniosło śmierć podczas tragedii na stadionie Hillsborough, w 1989 r.) wspólnie szczególnie. Jeden z jego biografów, Raphael Honigstein, przywołuje opinię starego przyjaciela Kloppa, że najwięcej o trenerze Liverpoolu mówi zdjęcie, którego używa do rozdawania autografów: nie widać na nim twarzy, jest odwrócony plecami do obiektywu, trzyma nad głową Puchar Europy, a przed nim widać rzeszę wiwatujących kibiców. To oni są tu najważniejsi.

Jeden z nich, dziennikarz „Guardiana” Sachin Nakrani, podsumowując pobyt Niemca w Liverpoolu, wyznał, że kilka lat temu zmagał się z ciężką depresją. „Były chwile, kiedy nie sądziłem, że uda mi się przez to przejść – pisał. – Ale dałem radę, w dużej mierze dzięki miłości i wsparciu bliskich, ale także dzięki radości, jaką czerpałem z oglądania gry mojej drużyny. Sprawili to wiele osób, ale najbardziej Jürgen Klopp”.

Podczas wywiadu, w którym poinformował, że po zakończeniu sezonu odejdzie z Liverpoolu, styczeń 2024 r.

Wygrywając życie

Kiedy w styczniu zapowiadał odejście, wydawało się, że na pożegnanie z Liverpoolem może wygrać jeszcze cztery trofea, dziś jednak wygląda na to, że ostatni sezon skończy tylko z Pucharem Ligi. Najpierw po zaciętym boju z Manchesterem United odpadł z Pucharu Anglii, teraz w Lidze Europy musiał uznać wyższość Atalanty, a stracone punkty w ligowym meczu z Crystal Palace sprawiły, że inicjatywa w wyścigu o mistrzostwo kraju znów należy do Manchesteru City.

I choć nie brakuje opinii, że to ogłoszenie przez niego decyzji o odejściu mogło być przyczyną takich rozstrzygnięć, bo osłabiło morale drużyny (w starciu z Atalantą wyglądała, jakby to jej kończyła się energia), w Liverpoolu wciąż dominują głosy pełne empatii. Są zresztą i tacy, którzy widzą w Niemcu nowy wzorzec męskości; takiej, która nie musi już umierać z wyczerpania na posterunku. „Nie chcę być za stary na normalne życie” – powiedział i co ciekawe: choć kibicowska łaska zwykła jeździć na pstrym koniu, jego ta zasada nie dotyczy.

Lepiej więc przy okazji historii Kloppa zastanowić się nad relatywnością takich pojęć jak zwycięstwo i porażka. Były przecież w rywalizacji Liverpoolu z City sezony, w których do zdobycia mistrzostwa drużynie Kloppa nie wystarczyło nawet strzelenie 135 bramek i zdobycie 97 punktów – nigdy dotąd w historii europejskich lig nie zdarzyło się, by podobna zdobycz nie dała pierwszego miejsca. Czy można mówić, że ktoś był w tym wyścigu gorszy?

To jeszcze jeden z jego talentów: choć przegrał dwa finały Ligi Mistrzów, za każdym razem potrafił zamienić pogrzebowy nastrój w imprezę. „Jeszcze tu wrócimy” – powtarzał. Zapewne po naładowaniu baterii wróci po raz kolejny, nawet jeśli już nie pod Żółtą Ścianę ze stadionu Borussia czy równie słynną trybunę The Kop na Anfield, to może do pracy z reprezentacją Niemiec. A jeśli w Liverpoolu nie postawi mu pomnika, to tylko dlatego, że powiedział kiedyś, że pomniki nadają się wyłącznie (wybaczenie, ale w tej frazie jest cały Klopp) do obsyrywania przez ptaki i obsikiwania przez psy. ©© MICHAŁ OKOŃSKI

WIARA



IRMINA WOLNIAK podczas modlitwy w kościele Radość Północ, Gdańsk, kwiecień 2024 r.

AUTOSTRADA DO NIEBA

IRMINA WOLNIAK, PASTOROWA OD EMOCJI:

Religijny system kar i nagród okrada z głębi duchowej i utrudnia zbudowanie żywej więzi z Bogiem. Tymczasem łaska Boga jest skandaliczna, burzy schematy religijne.

MACIEJ MÜLLER: Mówisz, że emocje są ważne w przeżywaniu wiary. A ja znam ludzi, którzy spowiadają się z uczuć – złości, gniewu.

IRMINA WOLNIAK: Emocje Bóg nam dał, stwarzając nas na swój obraz. W Księdze Rodzaju czytamy aż pięć razy, że wszystko, co On stworzył, było dobre – i to dotyczy też człowieka. W Kościołach pokutuje jednak przekonanie, że emocje od Boga oddzielają. Mówi się: „nie pozwól, żeby emocje nad tobą zapanowały”, albo że przez kogoś „przemawiają emocje”. Tak, jakby to było coś złego. W modlitwie zdarza się nam zapłakać, zaśmiać się, odczuć ulgę, nadzieję – to wszystko jest w porządku. Uczucia nam pomagają w przeżywaniu więzi z Bogiem.

We wszystkich księgach Starego Testamentu spotykamy ludzi, którzy się gniewali, cieszyli, świętowali... Dawid tak się cieszył przed Bogiem, że aż się rozebrał i zatańczył. Prorok Jonasz powiedział, że gniewa się na Boga „słusznie” i „na śmierć”. W żadnej z tych sytuacji Bóg nie negował tego, co czuje człowiek.

Kiedy Chrystus mówił „nie lękajcie się”, np. podczas burzy na jeziorze – to jednak polemizował z uczuciami, i to adekwatnymi do sytuacji.

Nie, bo przecież w tych sytuacjach dawał słowa: „Bo ja jestem z wami”. Bóg chce, żebyśmy dostrzegli nadzieję i czuli się bezpiecznie. Kiedy sługa Elizeusza był przerażony liczebnością wojsk Aramejczyków oblegających miasto, prorok pomodlił się: „Panie! Racz otworzyć oczy jego, aby widział”, i sługa wtedy zobaczył, że „góra pełna była ognistych rumaków i rydwanów otaczających Elizeusza”. W Biblii wielokrotnie też czytamy o emocjach samego Boga. O tym, że kocha, ale też że jest zazdrosny o człowieka.

Jezus, kiedy demolował stragany w świątyni, musiał być wściekły.

Tak, a wiemy, że przeżywał też smutek – po śmierci Łazarza albo w Ogrójcu, czując się opuszczony przez uczniów. Ale było i tak, że chciał być sam i prosił, by wszyscy sobie poszli. Emocje to informacje, dzięki którym rozumiemy własne potrzeby i czujemy, kiedy ktoś przekracza granice. Są potrzebne także do przeżywania wiary. Niestety wielu ludzi ma wyniesiony z rodziny czy ze szkoły odruch tłumienia uczuć.

Na czym on polega?

Ktoś np. bardzo się boi, ale wmawia sobie, że to nieprawda. Czasem dochodzi do tego komponent religijny: nie przyzna sam przed sobą, że się boi, bo jest przekonany, że człowiek wierzący nie powinien odczuwać strachu. Że to coś złego, grzesznego. Przy takim podejściu lęk będzie się kumulował i zapanuje nad człowiekiem. Jeśli coś odpychasz, wypierasz, to nie masz nad tym żadnej kontroli. Traktowanie integralnej części naszego życia, jaką są emocje, jako wrogiej, ma dewastujący wpływ na życie i wiarę.

Jaki na przykład?

Przejawem tego będzie „przeduchawianie”, czyli dostrzeganie we wszystkim walki duchowej między dobrem a złem, widzenie w każdej przeżywanej trudności działania diabła. To wypychanie na zewnątrz odpowiedzialności za to, co się ze mną dzieje, za to, co przeżywam. Albo niemożność podjęcia decyzji: spotkałam człowieka, który nawet zanim usiadł na krześle, czuł, że musi spytać Boga o pozwolenie.

Rozmawiałem kiedyś z osobą, która należała do katolickiego Ruchu Odnowy w Duchu Świętym. Na wszystko szukała odpowiedzi w Biblii. Kiedyś musiała wybrać między jedno i dwupokojowym mieszkaniem na wynajem. Otwarta Biblię na chybił trafił, przeczytała „pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam” – i wybrała dwupokojowe.

Nie chcę oceniać duchowych doświadczeń ludzi. Jeśli jej to pomogło, to wszystko okej. Problem pojawia się wtedy, kiedy takie podejście zaczyna być uciążliwe, paraliżujące. Znam osoby, które ewidentnie cierpiały na zaburzenia psychiczne, ale jedynym lekarstwem, na jakie sobie pozwalały, była zwiłokrotniona modlitwa. Chciały zasłużyć na to, żeby Pan Bóg się nad nimi zlitował.

Niestety taką postawę wzmacniają czasem duszpasterze – zamiast poradzić takiej osobie, by skontaktowała się ze specjalistą. Nigdy za mało przypominania, że to nie jest wyraz braku wiary – przecież Bóg działa poprzez nowoczesną medycynę i psychoterapię, poprzez ludzkie talenty.

Od takiej historii zaczęła się moja działalność edukacyjna na Instagramie. Napisała do mnie dziewczyna z niewielkiej miejscowości. Miała przemocowego męża, który zaniedbywał ją i dwójkę małych dzieci. Pisała, że chyba ma depresję i traci wolę życia. W odruchu ratunkowym poszła do spowiedzi – a tam usłyszała, że ma się więcej modlić i częściej chodzić do kościoła. I że to na niej spoczywa obowiązek dbania o „ognisko domowe”.

Udało Ci się jej pomóc?

Pocieszałam ją, przekonywałam, że nie jest w tym sama, doradziłam rozmowę z terapeutą. Tłumaczyłam, że to, co przeżywa, nie jest wynikiem jej zaniedbania czy grzechu. Bo często szukamy w sobie winy za przeżywane trudności. To poczucie oddziela od Boga.

Tamten ksiądz wykazał się empatyczną ignorancją. Chciał tej przytłoczonej życiem kobiecie jeszcze przymnożyć obowiązków. Duchowni, jeśli nie mają odpowiedniego wykształcenia, nie mogą rościć sobie prawa do doradzania w tematach związanych bezpośrednio ze zdrowiem psychicznym. To nie jest bynajmniej problem wyłącznie katolicki: wiele środowisk chrześcijańskich silnie łączy kwestie zdrowia psychicznego i duchowości. I dopatruje się np. w depresji przyczyn duchowych, podczas gdy może chodzić o toksyczne otoczenie, brak wsparcia, wahania hormonalne czy niezdrowy tryb życia.

Wróćmy do przeżywania emocji w życiu duchowym. Weźmy taką sytuację: nudzę się w kościele. Ale mam przekonanie, że muszę wysiedzieć swoje do końca, więc staram się wytłumić to, co czuję.

A zadaj sobie raczej pytanie, co ci mówi ta nuda. Co takiego się dzieje w tym kościele, że nie możesz w nim wytrzymać? Czy otrzymujesz tam dobrą strawę duchową, czy może słyszysz rzeczy, od których cię odrzuca? Trzeba naprawdę wiele zaniedbania, bylejałości ze strony duchownych, żeby znudzić człowieka, który wierzy w Pana Boga i przychodzi do kościoła. To w nich jest problem. Frazesy nikogo nie nakarmią.

A może w ogóle nie chodzi o nudę, tylko o zmęczenie? Może nie dospałeś i musisz zmienić tryb dnia, bo się zajeżdżasz pracą i trudno ci przeżyć dobry czas w kościele? Mądre patrzenie na własne emocje →

→ poprowadzi cię do Boga. Może wybierz nabożeństwo wieczorne, skoro przysypiasz na porannym. Bóg kocha cię tak samo rano i wieczorem. Będzie cię też kochał, jeśli nie przyjdiesz do kościoła.

No a to nie grzech?

Włączyliśmy życie duchowe w system kar i nagród. To wychowanie, w którym funkcjonuje groźba albo nagroda za spełnianie, lub nie, czyichś oczekiwań. Nie ma natomiast wsparcia w przeżywaniu trudnych chwil. System kar i nagród nie kształtuje motywacji wewnętrznej, okrada z głębi duchowej, utrudnia zbudowanie żywej więzi z Bogiem. Fascynuje mnie historia Iotry, który wisiał na krzyżu obok Jezusa. Ona zupełnie rozwała system, w którym na pierwszym planie są uczynki i przekonanie, że musimy zasłużyć na zbawienie. Ten człowiek nie miał cienia szansy, żeby już cokolwiek zrobić, na wszystko było za późno. Nie wiemy, dlaczego skazano go na krzyż, niewykluczone, że miał na sumieniu bardzo ciężkie przestępstwo. Ale uwierzył w Jezusa, a On go zapewnił, że dziś będzie z Nim w raju. Łaska Boga jest skandaliczna, burzy schematy religijne.

Słyszałaś kiedyś hasło, że jeśli Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko będzie na swoim miejscu? Mnie ono irytuje.

Może irytować, jeśli ktoś za jego pomocą ocenia i poucza innych. Ale samo w sobie nie jest głupie. Ważne, co właściwie rozumiemy przez to, że Bóg jest na pierwszym miejscu. Paweł pisze w Liście do Rzymian, że jesteśmy współdziedzicami Jezusa. Dla mnie to oznacza, że łączy mnie z Bogiem więź. Chcę, żeby był obecny w każdym wydarzeniu mojego życia, chcę czuć Jego bliskość. Kiedy przeżywam problem moralny, kłopoty w przyjaźni czy w małżeństwie, staram się szukać odpowiedzi w relacji z Bogiem.

W jaki sposób można doświadczyć bliskości Boga?

Każdy z nas może przeżywać ją inaczej, bo Pan Bóg jest nieograniczony i może dotykać nas na różne sposoby. Ja mogę tylko powiedzieć o moim własnym doświadczeniu. Jako trzynastolatka podczas modlitwy przeżyłam fizyczne dotknięcie przez Boga. Byłam obciążona wieloma traumami, w rodzinie doświadczałam

Chrześcijanin powinien być
motywowany pozytywnie,
a nie gnany do kościoła
poczuciem winy.

W miłości nie ma strachu.

przemocy fizycznej i psychicznej. To się zdarzyło podczas modlitwy na wakacyjnym obozie ekumenicznym. Ludzie, którzy się nade mną modlili, mówili coś w rodzaju: „Duchu Święty, zdejmij z niej ten cały ciężar, wlej w nią miłość”. Poczulałam, jakby ktoś oblał mnie ciepłą wodą i nałożył mi na plecy płaszcz.

Czyli to było doświadczenie zmysłowe?

Tak. A po nim przyszły uczucia – radość i pokój. Pan Bóg działa przez emocje. Wiele wspólnego z nimi mają owoce Ducha Świętego, które wymienia Paweł: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie... W Kościele niestety mówimy czasem o nich tak wzniosłym językiem, że miłość przestaje być uczuciem i staje się czymś, przed czym można co najwyżej nabożnie przykleknąć.

Wspomnienie o tamtym dotyku i uczuciach utrzymywało mnie w pewnością, że Jezus jest przy mnie. Tamte traumy wyniesione z domu przepracowywałam przez lata. W tym, że z nich ostatecznie po wielu latach terapii wyszłam, widzę rękę Bożą. Niedawno przyjaciółka mi powiedziała: „Irmiona, to naprawdę cud, że ty jesteś normalna”.

Przyznam, że mam uczulenie na tzw. świadectwa: kiedy ktoś podchodzi do mikrofonu i zaczyna na wysokim „C” opowiadać, że coś strasznego się zdarzyło, ale Pan Jezus go ocalał.

Jestem ostatnią osobą, która chciałaby przekonywać kogoś do Jezusa na podstawie własnych doświadczeń. Nie zagłębiałam się w swoją historię, bo ona może paradoksalnie osłabić moją wiarygodność. Ważne jest jedno: żeby wierzyć, trzeba mieć osobiste doświadczenie Jezusa. Czasem ktoś przychodzi do mnie na rozmowę i martwi się np. o swoje dzieci, które odwracają się od Boga. Albo obserwuję, jak ludzie znikają z nabożeństw, bo wiara

traci w ich życiu znaczenie. Pytam wtedy: czy przeżyli osobiste spotkanie z Jezusem? Czy jako Kościół pomagaliśmy im w tym? Nie mam pretensji do ludzi, którzy odchodzą, i nie mamy prawa jako wspólnota ich oceniać. Każdy z nas musi jednak zastanowić się, czy dołożył kiedyś cegiełkę do tego, żeby ta osoba spotkała Boga.

A czy takie doświadczenie nie wynika z inicjatywy Jezusa?

Tak, ale dostaliśmy przecież wskazówkę: „Szukajcie, a znajdziecie”. Dlatego szanuję ludzi prowadzących misje, opowiadających o wierze na ulicach, na festiwalach muzycznych. Wychodzą ze swojej strefy komfortu i starają się działać wśród ludzi na sposób Jezusa – wspierająco, nienachalnie.

W głoszeniu wiary nieraz pojawia się straszenie potępieniem.

A nie powinno. Nie o to chodzi. W doskonałej miłości nie ma strachu. Głosząc, mamy prowadzić ludzi do spotkania z Jezusem, bez żadnych oczekiwań co do ich życia – że oni się staną „jacyś” w Kościele, że włączą się w nasz typ pobożności, nasze rytuały. Zupełnie inaczej pracuje się z ludźmi, którzy są zmotywowani pozytywnie, a nie gnani do kościołów poczuciem winy.

No dobrze, ale Jezus też straszy. Mówi: „jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie”.

Zawsze zwróć uwagę, do kogo On mówi i w jakich okolicznościach. Inaczej zwraca się do poszukujących, a inaczej do tych, którzy uważają się za najpobożniejszych i najlepiej rozumiejących Boga i Jego wolę. W działalności Jezusa zawsze najpierw idzie łaska, a potem prawda. Kiedy już doświadczymy tego, że Jezus nas zbawia, jesteśmy gotowi usłyszeć przestrogi – takie jak ta, że jeśli się nie nawrócimy, marny będzie nasz los. Tu nie chodzi o wiarę pod groźbą. Są ludzie, którzy używają tylko prawdy i okładają innych Ewangelią po głowach. Są też tacy, którzy powiedzą, że wszystko jedno, w co wierzysz i jak postępujesz, bo Bóg jest miłością i zawsze każdego przyjmie. Żadne z tych podejść nie jest Jezusowe.

Po tym wydarzeniu w wieku 13 lat wyszłaś na prostą, jeśli chodzi o wiarę?



KAMIL JASIŃSKI DLA „TP”

Nie, to nie jest tak, że silne doświadczenie Boga sprawia, że lądujesz na autostradzie do nieba. Pokonywałam wiele zakrętów, przeżyłam po drodze totalne rozczarowanie Kościołem, a nawet już jako duchowna mierzyłam się z wątpliwościami, czy to, co robię, ma sens. Przez wiele lat szukałam wspólnoty dla siebie. Pomagało poczucie, że Bóg mi w tym wszystkim towarzyszy. Wszystko mogło się rozsypać, wybuchnąć, ale Jego obecność była niezmieniana.

Miałam w sobie dużo gniewu na Niego, bo osobom, które mnie krzywdziły, w moim mniemaniu powodziło się świetnie. Ale po tamtej modlitwie nade mną zaczął się we mnie jakiś proces. Przyszło zrozumienie, że potrzebuję Boga do życia. Kiedyś Mu powiedziałam: Boże, oddaję Ci wszystko, co mam. Wtedy już nie miałam siły dźwigać swojego życia. Czulałam się zmaltretowana, zagubiona, śmiertelnie zmęczona, bez wsparcia ze strony otoczenia. Przemówiły do mnie czyjeś słowa, że Bóg nigdzie nie zapewniał, że mnie na świecie nie spotkają trudności. Powiedział natomiast, że mnie nie opuści. Apostołowie byli blisko Boga, a przecież cierpieli. No i wyobrażasz sobie mieć tak silną wiarę i nadzieję, żeby oddać za nią życie? Modlę się, żeby nigdy nie musiała być w takiej sytuacji.

Czy takie tłumaczenie nie jest próbą usprawiedliwiania bezczynności Boga wobec zła? Pewna dziewczyna opowiedziała mi o takiej wymyślonej sytuacji: jest na podwórku przed domem, podchodzi do niej grupa chuliganów

IRMINA WOLNIAK (ur. 1988), znana jako „pastorowa od emocji”, jest duchowną Kościoła Zielonoświątkowego, misjonarką, autorką książek (m.in. „Żyć świadomie, wierzyć świadomie”, „Zdrowy emocjonalnie plan czytania Biblii”; można je znaleźć w internetowej księgarni autorki) i podcastu „Porozmawiajmy”. Absolwentka międzynarodowej szkoły biblijnej Christ for The Nations Poland, studentka mediacji sądowych i pozasądowych. Razem z mężem prowadzi w Gdańsku kościół Radość Północ. Od trzech lat na instagramowym profilu @irmi.wol szerzy wiedzę na temat zdrowia psychicznego i emocjonalnego wśród osób wierzących, prowadzi też warsztaty o duchowości zdrowej emocjonalnie. Pasjonatka Porozumienia bez Przemocy.

Irmina Wolniak z wiernymi Kościoła Radość, Gdańsk, kwiecień 2024 r.

i zaczyna jej grozić. Widzi to z okna jej ojciec, ale nic nie robi. Według niej taki właśnie jest Bóg. Słyszała w kościele, że On szanuje wolność człowieka – i że w związku z tym jej nie uratuje. Co najwyżej będzie „cierpieć z cierpiącymi”.

Nie jesteśmy w stanie znaleźć satysfakcjonujących odpowiedzi na takie pytania. Myślę, że Bóg nie ingeruje w wolną wolę człowieka, bo bez niej nie mogłaby zaistnieć miłość. Nie byłoby możliwości wybrania Jego. Ale to brzmi teoretycznie, sucho, nie odpowiada na wątpliwo-

ści tej dziewczyny. Chciałabym się z nią spotkać, porozmawiać i zobaczyć, w jaki sposób ona patrzy na świat i życie. Jakie obawy, rozczarowania stoją za jej pytaniami. W tej opisanym sytuacji widzę wiele nieoczywistych elementów. Kim są ci chuligani, dlaczego oni tam przyszli? Może ten ojciec w oknie jest ojcem także tych chłopaków? Jeśli dla tego ojca wszyscy na podwórku są dziećmi – co powinien zrobić? Chcielibyśmy, żeby zbiegł na dół i rozwiązał tę sytuację, bo patrzymy bardzo po ludzku. Przykładamy ludzką miarę do duchowych spraw. Chcielibyśmy, żeby Bóg wyciągał rękę z chmury i rozdzielał ludzi.

Chyba wszyscy mamy takie marzenia w kontekście Ukrainy czy Gazy.

Chcemy, żeby nie było na świecie cierpienia, ale ono jest. Mamy dwie ścieżki do wyboru. Albo się poddamy i powiemy, że to wszystko nie ma sensu, że Bóg jest zły albo obojętny, albo zastanowimy się – do czego powołał mnie czy ciebie? W mojej relacji z Bogiem czuję, że on mi mówi: „Irmina, zrób to, co możesz, gdzie możesz, w swojej mikroskali”. Może się zdarzyć, że opowiesz komuś o Jezusie, ten ktoś przyjmie ideę miłości, pokoju. Potem spotka jakiegoś celebrytę, który pod jego wpływem się nawróci. A on już ma szerokie zasięgi. Usłyszy go jakiś polityk, w którego gestii będą starania o pokój... Jeśli masz wpływ lokalny, będziesz mieć globalny. Efekt motyla. Gdyby każdy z nas, chrześcijan, przyjmował swój kawałek odpowiedzialności, to ta dziewczyna by nie spotkała na podwórku żadnych prześladowców.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER



ZOFIA BAZAK / EAST NEWS

Nabożeństwo majowe na warszawskiej Pradze. 5 maja 2020 r.

Majówka w środku miasta

ARTUR SPORNIAK

Wystarczy zaprosić na nabożeństwo majowe w internecie, by ludzie przyszli i modlili się w środku miasta. Co to mówi o potrzebach religijnych?

ZDARZAŁO SIĘ, ŻE NAWET 60 OSÓB MO-dliło się przy figurze Matki Bożej Łaskawej na krakowskich Plantach nieopodal Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 2008 r. XVIII-wieczna barokowa figura wpadła w oko studentowi teologii Papieskiej Akademii Teologicznej (obecnie Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II) Dawidowi Gospodarkowi. Przypuszczał, że kiedyś pod tą figurą w majowe wieczory tradycyjnie śpiewano litanie loretańską.

**Chwalcie łąki umajone,
góry, doliny zielone**

Dawid, rocznik 1988, pochodzi z religijnej rodziny z kaszubskiego Bytowa. Jego mama skończyła teologię, była nauczycielką, uczyła też religii. Siostra ojca jest zakonnicą. Był ministrem, przeszedł

formację oazową. Na przełomie gimnazjum i liceum przeżył kilkuletni okres religijnego buntu. Nawrócenie przyszło podczas festiwalu Woodstock („w miejscu, w którym się nie spodziewałem”).

Z dzieciństwa pamiętał, że w okolicznych wsiach w maju śpiewało się pieśni maryjne pod kapliczkami. To było mocno wpisane w kaszubski krajobraz. Jego babcia opowiadała, że części litanii na zmianę śpiewały kobiety i mężczyźni.

Chciał przywrócić życie figurze na krakowskich Plantach. Któregoś wieczora zaprosił znajomych na Facebooku na nabożeństwo majowe. Pomysł wypalił. Zaczęło przychodzić coraz więcej osób, m.in. studenci z dominikańskiego duszpasterstwa „Beczka” czy z duszpasterstwa akademickiego ze św. Anny. Do śpiewu dołączali też przypadkowi spacerowicze.

– Pewnego razu przyszły niewierzące studentki zaangażowane w grupę badającą śpiewy ludowe – opowiada Gospodarek. – Potraktowały to jako kontakt z żywym dziedzictwem kulturowym w jego naturalnym środowisku. Interesowały się barokowymi pieśniami, które były dla nich muzycznie i poetycko wartościowe, a tu miały okazję usłyszeć je na żywo. Zaskoczyło mnie, że majowe nabożeństwa mogą być atrakcyjne także dla ateistów.

W parafii nabożeństwo majowe łączone jest z wystawieniem najświętszego sakramentu, więc ma nieco inny charakter. Pod figurą nie jest potrzebny ksiądz. Dawid, który obecnie mieszka w Warszawie, zauważył ostatnio, że także w parafiach nabożeństwo majowe coraz częściej przenoszone jest pod pobliskie maryjne figury.

**Chwalcie cieniste gaiki,
źródła i kręte strumyki**

W Krakowie na Plantach majówki odbywały się od 2008 do 2014 r. Gdy Dawid po studiach przeniósł się do Warszawy, zetknął się z inicjatywą młodych „więziowców”, by odprawiać nabożeństwa majowe pod warszawskimi kapliczkami. – Uliczne modlitwy udawało się inicjować przez trzy lata, do roku 2017 – mówi Ewa Kiedio, redaktorka „Więzi”.

W kolejnym roku pałeczkę przejął Gospodarek i zapoczątkował praktykę nabożeństw majowych przy figurze Matki Bożej Passawskiej na Krakowskim Przedmieściu. Dlaczego tu? – Figura jest piękna i historycznie ważna – odpowiada. To drugi po kolumnie Zygmunta najstarszy pomnik warszawski – pochodzi z końca XVII wieku. Stanowi wotum za zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. Przerwała powstanie warszawskie.

Gospodarek co roku zaprasza ludzi w mediach społecznościowych. Zaczął też drukować tekst litanii i wybranych pieśni. – Ostatnio nie trzeba tego robić, bo wszystko jest w internecie.

Uczestników modlitwy jest zwykle mniej niż w Krakowie („taka specyfika Warszawy”). Ale także i tu pojawia się wiele zaciekawionych osób. – Podchodzą osoby bezdomne, by pośpiewać z nami – opowiada Dawid. – Dołączają wzruszone starsze panie, które pamiętają z dawnych czasów nabożeństwa majowe. Przyprawiają koleżanki. Przychodzą bardzo różni ludzie. Byli np. Wojownicy Maryi, a także osoby LGBT+ związane z Wiarą i Tęczę. Czasem zatrzymują się też siostry zakonne, bardzo rzadko jacyś księża.

Modlitwa czasem przybiera charakter spontanicznie ekumeniczny – Dawid modlił się z mariawitami czy z członkami Reformowanego Kościoła Katolickiego.

W tym roku także zamierza rozpocząć modlitwy od drugiej majowej środy, czyli 8 maja. Prawdopodobnie o 18. Jak to wygląda? Na początku zachęta do wzbudzenia intencji. Potem jakaś krótsza pieśń maryjna – na rozśpiewanie, np. „Matko Niebieskiego Pana”. Następnie litania loretańska śpiewana na jedną z wielu melodii, niekoniecznie tych „parafialnych”. Po litanii modlitwa „Pod Twoją obronę” – także śpiewana. I na zakończenie zestaw wybranych pieśni maryjnych. – A potem, gdy ktoś ma chęć, idziemy na herbatę czy piwo.

Chwalcie z nami Panią świata, Jej dłoń nasza wieniec spleta

Historyczne korzenie nabożeństwa majowego sięgają średniowiecza – wtedy maj zaczęto uważać za miesiąc maryjny. W Polsce nabożeństwo jest znane od XVIII w. Rozkwitło w wieku XIX – głównie za sprawą jezuitów i misjonarzy ludowych.

Część grupy modlitewnej przy figurze Matki Bożej Passawskiej to stali by-

walcy. Wśród nich członkowie amatorskiej Scholi Śpiewaków bł. Władysława z Gielniowa, która kultywuje tradycje muzyczne Kościoła łacińskiego. – To też jest znamienne: na nabożeństwach spotykają się osoby z różnych środowisk, także tradycjonalistów – komentuje Dawid.

Śpiewaków można co tydzień usłyszeć podczas niedzielnych mszy sprawowanych w tradycyjnym rycie w kościele środowisk twórczych przy placu Teatralnym w Warszawie.

– Co nas przyciąga? Wspólna modlitwa śpiewem. Śpiew jest autonomiczną formą modlitwy, a świadomość tego coraz bardziej zanika w naszej kulturze – mówi Piotr Ulrich (rocznik 2000). – Nabożeństwa majowe w mieście są w pewnym sensie czymś egzotycznym, to domena raczej terenów wiejskich. Mam wrażenie, że tutaj niektórzy za tym tęsknią.

Lider scholi wylicza zalety miejskich majówek. Zaspokajają głód rytuałów. Poza tym taka wspólna modlitwa integruje. Fakt, że do takiego nabożeństwa nie potrzeba księdza, wpisuje się dodatkowo w szeroko pojętą synodalność, na którą kładzie się obecnie duży nacisk.

Ona, dzieł Boskich korona, nad Anioły wywyższona

Maryjne pieśni, choć piękne, nie wszystkie są teologicznie poprawne. Maryja przedstawiana jest w nich często jako zbawiająca bogini. „Oknem się stałaś do nieba, / Smucić się nam nie potrzeba. (...) Wszyscy jej ludzie śpiewajcie, / Bo przez nią zbawienie macie” – brzmią słowa jednej z tych bardziej popularnych.

– Owszem, przeszkadza mi to – odpowiada Dawid, teolog. – Zdarzają się wątki zniekształcające obraz Boga. Przyjmuję to jako wyraz czci i pobożności minionych pokoleń, ich wrażliwości, którą staram się uszanować.

Czasem w przygotowywanych tekstach Gospodarek pomija niektóre wezwania, podobnie jak antysemityczne motywy w pieśniach wielkopostnych. W pieśniach typu „Serdeczna Matko” pozwala sobie na autorskie zmiany tekstu, np. frazę „Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości, By nas Bóg karał różgą surowości, Lecz kiedy Ojciec rozgniewany siecze, Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze” na: „Zasłużyliśmy, to prawda, przez złość, By nas Bóg karał różgą surowości, Lecz Miłosierny Ojciec nasz – nie gniewny, W Synu ratunek znaleźć

można pewny”. Zdarza się, że po majówce uczestnicy rozmawiają o tym.

I co czuje, i co żyje, niech z nami ślawi Maryję

Jezuita o. Wacław Oszajca podczas studiów teologicznych zajmował się m.in. obrzędowością ludową. – Dwa czynniki odgrywają tutaj rolę: niedosyt racjonalnej formacji biblijnej i teologicznej oraz głód emocjonalny w przeżywaniu wiary – tłumaczy.

Duchowny twierdzi, że drugi czynnik przeważa. Kazania i katecheza nie dostarczają przeżyć uczuciowych czy estetycznych, są na zbyt wysokim poziomie abstrakcji. Wywołują co najwyżej zniechęcenie i poczucie jałowości.

– „Pod figurą” – jak to się mówiło u nas na wsi – ludzie mogli wyśpiewać swoje emocje. Byli skazani na zmienną pogodę, bezbronni wobec chorób. To było jedyne miejsce, gdzie mogli wypowiedzieć swoje skargi.

Jezuita uważa, że teraz jest podobnie – świat jest jeszcze bardziej skomplikowany i niepewny niż tamten sprzed soboru. – Modlitwa „Pod Twoją obronę” jakby na powrót zyskuje na aktualności. Co prawda dalej nie bardzo rozumiemy niektóre wezwania litanii loretańskiej (np. „Wieżo z kości słoniowej...”), ale to nam nie przeszkadza.

Popularność nabożeństw majowych pokazuje według niego, że ludzie nie znajdują w kościołach tego, czego potrzebują. Podczas majówek odnajdują poczucie wspólnoty modlitewnej. Co ciekawe – bez księdza, ale – dodaje Oszajca – zawsze z liderem. – U nas majówkowym liturgiom przewodniczyła kobieta. To nie był awans urzędowy, tylko lider zaakceptowany i mianowany przez wspólnotę. I przede wszystkim – umiejący śpiewać.

– Majówki to znak, że istnieje wciąż życie religijne – ocenia Oszajca. – Ktoś mógłby powiedzieć, że jest ono teraz poza Kościołem. Ja wolę mówić, że to żywy Kościół można odnaleźć teraz pod figurami.

Zdaniem jezuita odpowiedzialni za Kościół powinni to przemyśleć. Nie chodzi o to, żeby powracać do krzewienia pobożności ludowej. Potrzebne jest nowe myślenie. Trzeba stworzyć w Kościele warunki, by liturgia pomagała współczesnemu człowiekowi odnajdywać się w świecie. ©P

Stara wiara

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN

Dlaczego wśród nas jest coraz więcej rodzimowierców? Brak ścisłych reguł życia, rytuały zgodne z naturą i tożsamość przedchrześcijańska – to przyciąga do współczesnego pogaństwa.

WSTYCZNIU ZWIĄZEK WYZNANIOWY Rodzimowierców Polskich Ród został wpisany do rejestru Kościołów i innych związków wyznaniowych. Jednak rodzimowiercza historia na naszych ziemiach zaczyna się dużo wcześniej, a Ród nie jest ani jedynym, ani pierwszym zarejestrowanym związkiem rodzimowierczym w Polsce.

Święty krąg

Kilkusobowy pochód niesie słomianą kukłę, która symbolicznie zostanie utopiona w jurajskim potoku. – Tu jest park krajobrazowy, nie możemy jej wrzucić do wody i zostawić – tłumaczy Magdalena Mojmira Błażejewska, która przewodniczy obrzędowi. – Dlatego topienie będzie tylko symboliczne, za chwilę spalimy ją w świętym ogniu.

Na polanie, pomiędzy skałami pod Krakowem płoną dwa ogniska – jedno kuchenne, które służy do przygotowania posiłku, i drugie – święty ogień. Rozpala go Racimir, który w związku pełni funkcję ogniomistrza. Pomimo ulewnego deszczu ogień zaczyna wreszcie płonąć. Bogowie nam sprzyjają. Do ognia nie mogą trafić żadne nieczystości, bo zanim spłonie w nim truchło Marzanny, poświęcone zostaną w nim ofiary dla bóstw.

Mojmira daje znak do zawiązania świętego kręgu. Uczestnicy stają wokół ognia. Od tej pory, aż do zakończenia ceremonii nikt nie może kręgu opuścić ani do niego wejść. Przerwanie kręgu groziłoby wypuszczeniem do niego demonów. Po wrzuceniu do ognia ofiar – ziół, mąki, miodu, chleba – Mojmira zaczyna śpiewać:

*Włóczył się Jaryło po całym świecie
Rodził żyto w polu,*

*dawał ludziom dzieci
A gdzież on nogą, tam żyto kopą
A gdzież on na ziarnie,*

*Tam kłós zakwitnie...
Ja po polu chodziłem, rosę rosilem,
Ja po miedzy chodziłem,
żyto rodziłem,*

*Ja po borze chodziłem,
roje osadzałem,
Ja do chat zaglądałem,
pociech przysparzałem.*

To wiosenne święto Jarych Godów. Jedno z czterech najważniejszych w rodzimowierczym kalendarzu liturgicznym, rozpoczynające początek okresu wegetacyjnego. Obchodzi się je 21 marca, w noc przesilenia wiosennego. Jednym z jego symboli jest Marzanna – bóstwo związane ze śmiercią przyrody, z ciemną porą roku.

Jednak to nie znana nam wszystkim zimowa panna, ale Jaryło i Mokosz są najważniejszymi bohaterami tego dnia. Jaryło to bóg płodności, dzietności. Wraz z przesileniem otwiera jasną porę roku.

Po śmierci Marzanny do życia budzi się też bogini Mokosz, matka ziemia. Zapłodniona przez Peruna podczas pierwszej wiosennej burzy, ziemia zacznie rodzić i przynosić plony.

– Ważną częścią Jarych Godów są porządki wokół siebie i w swoim wnętrzu. Trzeba brać wzór z przyrody, która oczyszcza się po zimie. Powinniśmy zrobić to samo – tłumaczy Mojmira.

By wam ogień płonął jasno

Mojmira jest wołchwinią (w przybliżeniu można porównać to do funkcji diakona; wyżej w hierarchii stoi żerca, czyli pełnoprawny kapłan). Jest członkinią Rodzimego Kościoła Polskiego. To związek wyznaniowy zarejestrowany już w 1995 r. W tej chwili w Polsce istnieje pięć oficjalnie zarejestrowanych związków rodzimowierczych. Najaktywniejsze dotąd były Rodzima Wiara i Rodzimy Kościół Polski. Dołącza do nich zarejestrowany w tym roku Związek Wyznaniowy Rodzimowierców Polskich Ród.

Jako że rodzimowierstwo nie narzuca jednego wspólnego systemu etycznego, nie kieruje się jedynie słusznym świa-





topogłędem, grupy te są dość zróżnicowane. Od skrajnie prawicowych, nacjonalistycznych (za taką uchodzi w środowisku Rodzima Wiara), przez apolityczne, do bardziej liberalnych czy nawet lewicowych, jak Rodzimy Kościół Polski. Różnią się między sobą poglądami na rolę pochodzenia etnicznego i na obyczajowość, ale łączy je wspólna wiara w słowiańskich bogów i obrzędy ściśle powiązane z porami roku.

– My nie mówimy nikomu, z kim ma żyć, nie zaglądamy do łóżka ani do do wodu, nie pytamy, jakie ma obywatelstwo – mówi Mojmira. – Najważniejsze to żyć w zgodzie z naturalnym porządkiem, nikogo nie krzywdzić. To nasza etyka i najważniejsze prawo. Dlatego Rodzimy Kościół Polski był mi najbliższy. W innych związkach te kwestie traktowane są bardziej konserwatywnie.

Do związku (Kościola) wstąpić może każdy, kto z szacunkiem odnosi się do rodzimych bóstw i duchów przodków. Wystarczy zacząć uczestniczyć w ceremoniach obrzędowych i jeśli jest się przekonany, podjąć decyzję o przystąpieniu. Ceremonia włączenia to po-

strzyżyny dla mężczyzn i zapleciny dla kobiet. Wtedy też wybiera się dla siebie nowe, słowiańskie imię. W czasach słowiańskich zwyczaj te świętowano wraz z siódmymi urodzinami, dziś są po prostu ceremonią inicjacji, stosowaną bez względu na wiek. Zdecydowana większość członków grup rodzimowierczych to byli katolicy.

Mojmira była ochrzczona, przystąpiła do pierwszej komunii. Nie czuła się jednak dobrze w Kościele katolickim. – Zawsze byłam osobą poszukującą – mówi – i czułam, że Kościół nie daje mi wolności w tych poszukiwaniach. Narzuca formy, z którymi nie można dyskutować. Szukałam różnego rodzaju informacji, poszukiwałam ludzi z innych wyznań. Również z innych odłamów chrześcijaństwa. Przełom nastąpił, kiedy podjęłam studia na filologii rosyjskiej. Zaczęło mnie to interesować. Czułam, że o wiele bardziej jestem związana z tym, co słowiańskie, niż z tym, co egipskie czy greckie. Zaczęłam szukać we własnym zakresie. I znalazłam ludzi, którzy nadal w to wierzą.

To samo mówi Magda, studentka fizjoterapii z Nowego Targu, która w obcho-

Obchody Jarych Godów, topienie marzanny. Okolice Krakowa, 23 marca 2024 r.

Po lewej:

Mojmira, Magda, Miłogost i Racimir.

Po prawej:

Miłogost wznosi zdrowicę.

dach Jarych Godów uczestniczy pierwszy raz. – Żle się czułam w Kościele katolickim, to wszystko, co się tam dzieje, hipokryzja, to było dla mnie odpychające. Znalazłam na Facebooku informacje o Jarych Godach i bardzo mnie to zainteresowało, podoba mi się tu. Magda przywiozła ze sobą karton pełen własnoręcznie upieczonych drożdżówek. Zostaną zjedzone podczas kończącej obchody święta biesiady.

By nie brakło wam kołacza

Święta obchodzone są przez rodzimowierców w ścisłym powiązaniu z porami roku. Cykl wegetacyjny zaczyna właśnie Jare Gody, święto budzącej się przyrody. Od tej pory następuje wyczekiwanie na pierwszy wiosenny grom, którym Perun uderza w ziemię, zapładniając w ten sposób Matkę Mokosz, dzięki czemu ta może rodzić nowe plony. Następna jest Kupała, czyli obchody przesilenia letniego. To święto obchodzi się najdłużej, noc jest krótka, biesiady trwają czasami do białego rana. Ze świętem Kupały wiąże się wiele nieporozumień związanych z obyczajowością. Mojmira mówi: – Tu nie ma żadnych orgii, rozwiązłości, to nieprawdziwe legendy. Prawdą jest jednak, że ta noc ma magiczną moc.

Noc Kupały bywa nazywana słowiańskimi walentynkami. Dzieje się tak dlatego, że to święto dawało możliwość wchodzenia w związki, na które niekoniecznie godziło się społeczeństwo. Można było też wypłacać się ze związku zaaranżowanego przez rodzinę. Gdy wianek rzucony przez pannę na rzekę został złapany przez wybranka serca, miało to większą moc niż plany rodziców i nie mogli się oni sprzeciwić sile tradycji.

W dzień przesilenia jesienno obchodzone jest Święto Plonów. Wyznawcy składają podziękowania Matce Mokosz i wszystkim bóstwom, które przyczyniły się do obfitych plonów.

Ostatnim świętem roku wegetacyjnego są Szczodre Gody, wiążące się z przesileniem zimowym. Bóstwa przynależące

→ do tego okresu to Swaróg i jego syn Swarżyc. To święto, w którym rodzi się nowe słońce. Od tego dnia rozpoczyna się oczekiwanie na Jare Gody i ponowne przebudzenie Mokoszy.

To te najważniejsze obchody. Oprócz nich odbywają się mniejsze, często prowadzone w zaciszu domowego ogniska, jak choćby listopadowe święta dziadów. Ważną częścią każdego święta jest kończąca je biesiada. Jej znaczenie jest bardzo ważne dla tworzenia społeczności. Poza tym, jak wyjaśnia Mojmira: – Ofiary do bogów mogą iść w różny sposób. Można je wrzucić do ognia, ale mogą też tam trafić przez ich uroczyste spożycie. Rodzimowiercy nie mają wyznaczonego dnia w tygodniu, który należy poświęcić modlitwie. Ofiary bogom można składać, kiedy czuje się taką potrzebę.

Wszystka wasza dobra praca

W serialu „1670” jest scena, w której ksiądz Jakub z inkwizytorskim zacięciem tropi innowierców. Jeden z chłopów przynajmniej się do wiary w Kapelusznika. Pada pytanie – co wasz bóg obiecuje po śmierci? Kapelusznik po śmierci dobrym daje wór ziemniaków, złych każe taplać w błocie. Odpowiedź rodzimowierców na to pytanie jest bardziej skomplikowana. Nie ma tu prostego podziału na piekło dla złych i niebo dla dobrych. Za złe uczynki wyrządzone za życia karę ponosi się tutaj. I za życia złe czyny powinny zostać naprawione czy wynagrodzone tym, których skrzywdziliśmy.

Świat widzialny i niewidzialny składa się z trzech poziomów symbolizowanych przez drzewo życia. Pień, czyli Jawia – to jest to, co dzieje się tu i teraz, nasze życie. Ponadto są dwa zaświaty, oba dobre. Jeden to Nawia (korzenie drzewa), a drugi Wyraj (korona). Po śmierci nasza dusza rozdziela się na dwa pierwiastki. Jeden z nich trafia do Nawii, gdzie łączy się z duchami przodków i tam zostaje. Czasami może pojawić się w naszym świecie, czyli w Jawii, na przykład podczas święta dziadów. Rodzimowiercy wierzą, że wtedy dusze przodków przychodzą, żeby się z nami spotkać. Natomiast drugi pierwiastek wędruje na górę do Wyraju, gdzie łączy się z bogami, ale po to, żeby po pewnym czasie z powrotem zejść na ziemię. To forma reinkarnacji, która odbywa się wyłącznie pod postacią

Grupy rodzimowiercze są dość zróżnicowane.

Od skrajnie prawicowych, nacjonalistycznych, do bardziej liberalnych i lewicowych.

człowieka i w obrębie tej samej rodziny. Duch dziada może wstąpić w prawnuka. Nigdy w zwierzę.

Plon stukrotny wniosła

Ruchy rodzimowiercze w Polsce zaczęły być widoczne już w XIX wieku. Działo się to głównie za sprawą Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego (1784-1825), uznawanego dziś za prekursora powrotu do słowiańszczyzny. Dołęga-Chodakowski badał ludowość polską i jej korzenie mitologiczne. Jego praca „O Sławiańszczyźnie przed chrześcijaństwem” z 1818 r. przyniosła propozycję odrodzenia duchowego narodu poprzez oparcie się na kulturze ludowej i elementach z czasów przedchrześcijańskich.

Kolejna fala zainteresowań pogańskim dziedzictwem Słowian wezbrała wraz z popularnością nacjonalistycznego czasopisma „Zadruga”, wydawanego od 1937 r. przez Jana Stachniuka, filozofa i publicystę. Wokół niego skupiły się ruchy pogańskie i nacjonalistyczne. Czasopismo wychodziło do 1939 r.

Dzisiaj rejestr związków wyznaniowych prowadzi Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Aby uzyskać wpis, należy dostarczyć informacje o doktrynie i obrzędowości, statut oraz zebrać minimum sto podpisów od członków związku. Jak mówi dr Joanna Malita-Król, religioznawczyni z Uniwersytetu Jagiellońskiego: – Badacze klasyfikują rodzimowierstwo jako część zjawiska, jakim jest współczesne pogaństwo. Termin „poganin” (z łacińskiego *paganus* – mieszkaniec wsi) funkcjonował jako pogardliwe określenie osób spoza kręgu chrześcijańskiego. Dziś niektórzy wyznawcy odczytują ten termin jako pozytywne określenie swojej tożsamości religijnej.

Współcześni poganie odwołują się do etnicznych mieszkańców danych terenów z czasów przedchrześcijańskich. W przypadku rodzimowierców słowiańskich chodzi oczywiście o Słowian i o rekonstrukcję praktyk. Źródłami wiedzy stają się kroniki i artykuły naukowe, stanowiska archeologiczne i źródła etnograficzne.

Trudno podać dokładną liczbę rodzimowierców w Polsce. Bazując na danych statystycznych, można przyjąć, że jest to nieco ponad dziesięć tysięcy osób, ale tendencja jest rosnąca. Do wzrostu zainteresowania pogańską obrzędowością przyczyniają się osobiste poszukiwania alternatywnej formy duchowości oraz rozczarowanie instytucjonalnym Kościołem, co zresztą bardzo często przyznają sami rodzimowiercy.

Nie czyń drugiemu

Ceremonia Jarych Godów dobiega końca. Po modlitwach czas na zdrowicę, czyli wzniesienie toastu wraz z życzeniem. Uczestnicy biorą róg z miodem pitnym i wypowiadają prośbę do Jaryły, upijając z niego kilka kropel, a kilka wlewając do ognia. Róg krąży z rąk do rąk – niektórzy wypowiadają swoje życzenia na głos, inni tylko w myślach. Wreszcie nadszedł czas na wrzucenie do ognia słomianej kukły. Zima odchodzi. Przychodzi wiosna, a wraz z nią Mokosz i Jaryło. Mojmira recytuje życzenia dla wszystkich uczestników ceremonii:

*By Wam Ogień płonął jasno,
By nie brakło Wam kołacza,
I by plon stukrotny wniosła,
Wszystka Wasza dobra praca.*

Teraz czas na biesiadę, która w symbolicznym wymiarze jest kontynuacją składanej wcześniej do ognia ofiary.

Dla kogo jest rodzimowierstwo? Dołączyć może każdy, ale Magdalena Mojmira Błażejewska wyraźnie rozgranicza, czym w sferze etycznej różnią się współcześni poganie od chrześcijan. Mówi tak: – Nie mamy żadnych gotowych przykazań. Kierujemy się ogólnie pojętą etyką. I taką główną zasadą jest po prostu „nie rób drugiemu człowiekowi tego, czego ty nie chciałbyś doświadczyć”. A jeżeli coś już się stało z głupoty czy przypadku lub nieświadomości, napraw to, nie czekaj, aż umrzesz.

© JACEK TARAN

WOJCIECH

Bonowicz: Niepotrzebny



MĘCZYZNA SIEDZI I PALI. O PRAWĄ NOGĘ oparł niewielki pękaty plecak. Ubrany jest w spłowiałą kurtkę z licznymi kieszeniami. Jego papieros jest krótki, więc to zapewne pet znaleziony w koszu lub na chodniku. Trzyma go w zwiniętej dłoni, tak by przyjemność trwała jak najdłużej. Kiedy papieros się kończy, sięga do kieszeni na piersi i wyciąga kilka niedopałków. Przez chwilę je ogląda, wybiera jednego i znów zapala.

Alejką nadchodzi młoda para z psem. Oboje nienaturalnie wyprostowani, on w białej koszulce polo, ona w kremowej bluzce i kurteczce w panterkę. Dziewczyna chce ominąć palącego, ale pies podbiega do niego, macha ogonem, rozpoznaje. „Spacerek”, odzywa się mężczyzna tak, że nie wiadomo, czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu. „Twoja pani pozwala ci ze mną rozmawiać?”. Przez moment myślę, że zwraca się do psa, ale odpowiada chłopak: „Pozwala, pozwala, nic się nie martw”. Dziewczyna jednak nie chce się zatrzymywać przy siedzącym, krzywi się i pociąga za smycz. Psu nie przeszkadza zapach mężczyzny, obwąchuje jego plecak, opiera przednie łapy o udo i szczeka przyjaźnie. Mężczyzna nie odważa się go pogłaskać, ale przygląda mu się z uśmiechem. Potem podnosi wzrok na chłopaka, jakby chciał powiedzieć: „Každy ma swoją smycz”.

Nadchodzą dwie dziewczyny w glanach i czarnych skórach, szczupłe, z turkusowymi powiekami i kolczykami

w ustach. Obie mają nastroszone włosy, a w rękach identyczne zapiekanki z sosem czosnkowym i szczypiorkiem. Idą szybko i równo, każda w swoim rytmie. Wyższa garbi się i napina, jakby musiała pokonywać jakiś opór gdzieś wewnątrz ciała. Niższa stawia długie kroki, od czasu do czasu zahaczając kolanem o kolano. Jest niedziela, idą w stronę dworca, zapewne wracają do swojego miasta po weekendowej imprezie. Niższa niespodziewanie odwraca się w moją stronę i widząc, że wszystko rejestruje, uśmiecha się ustami pełnymi szczypiorku.

Mężczyzna z wózkiem i dzieckiem, dziecko z łukiem. Chłopczyk ma gęste loki, wygląda trochę jak amarek z kreskówki, czyhający ze strzałą na napotkane pary. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek widziałem łuk w rękach małej dziewczynki. Mężczyzna jest przystojnym, wysportowanym blondynem, popycha wózek jedną ręką, a drugą trzyma w pogotowiu, na wypadek, gdyby chłopiec stracił równowagę. Malec celuje w drzewo, strzała odbija się od pnia i spada na ziemię tuż obok siedzącego na ławce, który właśnie skończył palić. Młody mężczyzna schyla się po nią i przez chwilę oczy obu spotykają się.

Świat jest na krawędzi i takie zwykłe patrzenie może się wydać czynnością niemoralną. Cóż wielkiego wynika z patrzenia? Nikomu nie pomagam, nie interweniuję, zajmuję się niczym. Może nawet trochę przeszkadzam, zajmuję miejsce, gapiąc się – zawstydzam. Staram się być dyskretny, ale wiadomo – nie sposób nie zauważyć, że ktoś bez zajęcia gapi się na przechodzących. Człowiek beczynny jest jakoś beczelny, nawet jeśli to niedzielne popołudnie, czas, kiedy ludzie mają prawo się nie spieszyć, nie robić niczego konkretnego.

Odpoczywam. Jestem zbędny. Ale świat nabiera we mnie konturów, intensywności. Siedzę i patrzę. Nikomu nie zagrażam. Niczego nie niszczyć. Jestem spojrzaniem. ©

REKLAMA



FORUM
BEZPIECZEŃSTWA

FORUM BEZPIECZEŃSTWA WSZYSTKIE LINIE FRONTU

14-15 maja 2024, Łódź
www.forumbezpieczenstwa.pl

powszechna obrona | odporna infrastruktura | cyberbezpieczeństwo | ochrona sygnalistów
bezpieczeństwo energetyczne | walka z nadużyciami gospodarczymi | migracje



SKOK PRZEZ BERET

Adopcja starego zwierzęcia to dojrzały wybór. Pies nie będzie już tak aktywny jak szczeniak, trzeba mu będzie poświęcić dużo uwagi i wydać na niego więcej pieniędzy. Ale możemy liczyć na pomoc innych.

MONIKA OCHĘDOWSKA

UMASZCZENIE: PIEPRZ I SÓL. NA KARKU sterzące we wszystkie strony białe igiełki. Uszy jak radary. Nie upomina się o uwagę, nie przepada za głośnymi, tłoczonymi miejscami, jest wycofana i statyczna. Pozycję medytacyjną – najchętniej w pełnym słońcu – potrafi utrzymać tak długo, że znajomi ludzie wołają na nią „kamień”. Z warszawskiego schroniska na Paluchu do Oli Toczyskiej trafiła ponad pięć lat temu, jako ośmioletnia suczka, wedle definicji Światowej Organizacji Zdrowia Zwierząt: seniorka.

– Powiedziałaś jej: stara, wezmę cię, tylko musisz się dogadać z kotami. Bez mrugnięcia okiem przyjęła warunki.

Tabliczka przy boksie Fridy informowała, że suczka jest w schronisku praktycznie od urodzenia. – Poruszyło mnie, że urodziła się na Paluchu i spędziła w nim całe życie, dlatego ją wybrałam – opowiada Ola. – Kiedy już podjęłam decyzję o adopcji, pani ze schroniska była nieco zdziwiona i długo upewniała się, czy na pewno chodzi o to małe, gremlinowate stworzonko. Okazało się, że data jej przyjęcia do schroniska na Paluchu była błędna, więc Fridka miała farta, wzięła mnie na litość – śmieje się Ola.

Senior 7 plus

Z najnowszego raportu głównego lekarza weterynarii wynika, że na przestrzeni ostatnich kilku lat nowy dom dostaje coraz więcej porzuconych albo osieroconych zwierząt: do adopcji trafia nawet 65 proc. psów. Najwięcej przysposobień zanotowano cztery lata temu, kiedy wybuchła pandemia – nowych opiekunów znalazło wówczas aż 70 proc. podopiecznych polskich schronisk. To dużo, biorąc pod uwagę, że dziesięć lat wcześniej tylko nieco ponad połowa bezpańskich zwierząt dostawała szansę na nową rodzinę.

Chętniej adoptujemy dziś także seniorki i seniorów, czyli psy, które ukończyły 7. rok życia. To właśnie zwierzęta w takim wieku stanowią większość pacjentów w prowadzonym od 35 lat gabinecie Jacka Szulca, członka zarządu Polskiego Stowarzyszenia Lekarzy Weterynarii Małych Zwierząt.

– Rzeczywiście seniorów jest u nas trzykrotnie więcej niż juniorów – opowiada Szulc. – Dobrze to świadczy o nas jako opiekunach, jesteśmy coraz bardziej świadomi



ARCHIWUM PRYWATNE

Buba, suczka Karoliny i Karola Kowalczyków

domi potrzeb zwierzęcia, które mamy pod opieką. Wiemy, że należy wykonywać profilaktyczne badania, dostosowywać dietę do wieku pupila. Zwierzęta mają coraz lepsze warunki życia.

Adopcja starego zwierzęcia to też najbardziej świadomy, dojrzały wybór, mówi Szulc. Dlaczego?

– Wiemy, że pies nie będzie już tak aktywny jak szczeniak, że trzeba mu będzie poświęcić dużo więcej uwagi i – mówiąc wprost – wydać na niego dużo więcej pieniędzy.

W stadzie różnie

Tak było w przypadku Fridy, która po kilku miesiącach pobytu u Oli zaczęła poważnie chorować, choć objawy początkowo wydawały się niewinne.

– Wyczułam u niej małe bąbelki na skórze brzucha, w okolicy klatki piersiowej. Po kilku tygodniach diagnostyki znaleźliśmy lecnice, w której guzki usunięto chirurgicznie – mówi opiekunka Fridy. – Niestety już podczas operacji okazało się, że nie były to torbiele, jak z początku sądzono, tylko zmiany nowotworowe.

Poza widocznymi na skórze guzkami Frida miała duże, sześciocentymetrowy przerzut w klatkę piersiową, tuż przy sercu. Operacja była bardzo długa, ryzykowna i kosztowna – rachunek za sam zabieg opiewał na 10 tys. złotych. Potem Fridę czekała jeszcze, wciąż trwająca, długotrwała terapia. Frida już zawsze będzie musiała być pod opieką weterynarzy.

– I wtedy właśnie zadziałała magia, bo Instagram, który prowadzimy sobie od jakiegoś czasu w ramach hobby, opowiadając o życiu Fridy po wyjściu ze schroniska, okazał się przestrzenią wspólnych, pomocnych ludzi, którzy napisali, że nie mam się nad niczym zastanawiać, tylko otwierać zbórkę na leczenie – mówi Ola.

Podobną historię opowiada opiekunka pewnej gadatliwej sznaucerki.

– Buba do końca życia odbywała z nami całe konwersacje w swoim języku – wzrusza się Karolina Kowalczyk. – Cały czas była niezwykle energicznym psem, biegała z nami półmaratony. Jak zaczęła chorować? Podczas spaceru zraniła sobie łapkę, rana nie chciała się goić, ostatecznie okazało się, że Buba ma czerniaka. ➔

Aleksandra Toczyska z Fridą

**JACEK SZULC:**

Psy które ukończyły 7. rok życia, powinny przechodzić badania kontrolne raz w roku, natomiast zwierzęta powyżej 11. roku życia – nawet co 6 miesięcy. To wystarczające do wykrycia choroby na wczesnym etapie. Senior ma inne zapotrzebowanie na składniki pokarmowe, witaminy, aktywność fizyczną. To ważne, by do końca swoich dni cieszył się jak najlepszym życiem.

→ Kiedy Karolina trafiła z suczką do onkologa, sznaucerka miała już przerzuty do węzłów chłonnych.

– Lekarz zdecydował o amputacji łapki. Należało wyciąć wszystkie zmiany, z dużym marginesem. Bardzo się baliśmy tego zabiegu – przyznaje Karolina – ale Buba szybko zaczęła wstawać. W ciągu tygodnia nauczyła się chodzić na trzech łapkach, wróciła cała jej charakterność.

Drugim etapem leczenia suczki miała być immunoterapia. Niestety szczepionki, którą zalecił weterynarz, nie było wtedy w Polsce – lek należało sprowadzić ze Słowenii. Ze względu na jego koszty Karolina zdecydowała się poprosić o pomoc, organizując zbiórkę w serwisie Pomagam.pl.

– To było dla nas trudne, bo oboje z mężem jesteśmy przyzwyczajeni, że ze wszystkim zawsze radziliśmy sobie sami. Ale w tamtym czasie byliśmy w trochę trudniejszej sytuacji finansowej, dosłownie parę miesięcy wcześniej przebywałam na długim zwolnieniu lekarskim, a jak ktoś prowadzi własną działalność, to w takiej sytuacji po prostu nie zarabia.

„Nie możemy mieć własnych dzieci, więc Buba jest nie tylko naszą psią przyjaciółką i towarzyszką, ale jest naszą rodziną.

A my jesteśmy jej stadem” – napisała Karolina w ogłoszeniu na Pomagam.pl. „Rola Buby było strzec nas przed każdym cieniem na wieczornych spacerach. A naszą ochraniać ją przed każdym liściem gnanyim jesiennym wiatrem”. Na leczenie Buby przekazano ponad 11 tys. zł. Schnaucerka odeszła niedawno, w wieku 14 lat.

Co ludzie powiedzą

Frida dostała od swoich ponad trzystu wielbicieli wsparcie w wysokości 28 tys. zł.

– Miałam dużo wątpliwości, zakładając zbiórkę – przyznaje Ola. – Dlaczego? Uważam się za osobę, która praktycznie nie ma problemów, za to stara się pomagać innym. Byłam wolontariuszką w schronisku dla zwierząt, także wtedy, kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie. Stawaliśmy na głowie, żeby zorganizować opiekę, znaleźć odpowiednią klatkę dla papużek, które przyjechały w jakiejś skrzyneczce, uciekając przed wojną. Gorzej radzę sobie, kiedy sama muszę poprosić o pomoc. Tym bardziej że w przypadku Fridy ta pomoc to nie było dwa czy pięć, a trzydzieści tysięcy.

Najgorsza, jak przyznaje Ola, była myśl: „co ludzie powiedzą”.

– Pracuję zawodowo, więc powinnam sobie radzić. I pewnie rzeczywiście bym sobie poradziła, biorąc kredyt. W każdym razie na pewno bym Fridę leczyła, do końca. W tej całej sytuacji zdenerwowania, obaw o jej zdrowie, nie chciałam sobie dokładać emocji związanych z reakcją obcych ludzi na moje problemy. Ale potem pomyślałam, że skoro tyle razy sama przelewałam pieniądze na przeróżne cele, to warto spróbować. Nawet jeśli ludzie będą gadać za plecami, to jakie to ma znaczenie?

Ostatecznie Ola nie zaznała ani hejtu, ani pretensji ze strony nieznajomych. Przeciwnie, na stronie zbiórki pisano: „Trzymajcie się, Dziewczyny. Wierzę, że uda się Wam cieszyć sobą jeszcze długo”, „Frida! Jesteś super dzielna, trzymamy za Ciebie kciuki”.

– Wiele osób, które znam tylko wirtualnie, przekonało mnie, że to żaden wstyd poprosić o pomoc, każda i każdy z nas, opiekunek i opiekunów zwierzątek, może się znaleźć w takiej sytuacji. Wspierajmy się.

Jak wynika z danych Pomagam.pl, zakładamy coraz więcej zbiorów na leczenie czworonożnych przyjaciół. Chcemy zapewnić im jak najlepszą opiekę, również tę medyczną. Zbiórki działają szybko, pozwalając zebrać konieczną do leczenia sumę kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy. Każdy cel jest ważny i warty wsparcia.

Psi fitness

W zgierskiej klinice dr. Szulca poza lekarami weterynarii przyjmują też psi dietetyk i behawiorysta. Na konsultacje przychodzą starsi pacjenci, których opiekunowie dbają o sprawność i suplementację witamin swoich czworonożnych przyjaciół. Z wiekiem psi seniorzy mają mniej chęci do zabaw, wolniej reagują na otoczenie. Coraz dłużej polegają, więcej śpią, bywa, że mają mniejszy apetyt. To normalne.

Frida od jakiegoś czasu chodzi z Olą na fitness – skacze po dmuchanych beretach, wspina się na podesty. Ponieważ jest dość długa i niska, wzmacnia mięśnie kregosłupa. No i najważniejsze – spędza czas ze swoją opiekunką nie tylko podczas podróży do weterynarza, którego odwiedza regularnie, wykonując profilaktyczne badania.

– Zawsze marzyłam o psie, z którym będę uprawiać sport – śmieje się Ola. – No i się udało.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Mecenasem tekstu jest Pomagam.pl, serwis do zakładania zbiorów pieniędzy dla siebie, swoich bliskich i na inicjatywy bliskie Twojemu sercu.

Pomagam.pl



FILOZOFIA JEST NA FALI

Schopenhauer powraca do Gdańska! Już 24 maja rozpocznie się druga, tym razem wiosenna odsłona wyjątkowego festiwalu filozoficznego. Po sukcesie edycji jesiennej, podczas której rozmawialiśmy o tym, jak odnaleźć się w czasie zamętu i chaosu, Katarzyna Kasia i Piotr Augustyniak zapraszają do Instytutu Kultury Miejskiej na dyskusję o bliskości i relacjach.

MATERIAŁY PRASOWE

DAGNY KURDWANOWSKA: To już druga edycja Festiwalu Schopenhauera. Jesienią kilkaset osób słuchało Waszych rozmów m.in. z Renatą Lis, Andrzejem Lederem czy Edwinem Bendykem. Tym razem wspólnie z gośćmi przyjrzyście się relacjom i bliskości.

PIOTR AUGUSTYNIAK: Bardzo się cieszymy, że nasza inicjatywa spotkała się z takim zainteresowaniem. Okazuje się, że filozofia jest na fali. Pewnie dlatego, że czasy są trudne, ale może też trochę dlatego, że jako społeczeństwo rozwijamy się i dojrzewamy do tego, by myśleć o życiu w sposób pogłębiony. Jeśli chodzi o temat, to warto go trochę doprecyzować. „Rozmawianie o relacjach” może nasuwać skojarzenia jednostronnie psychologiczne, a nawet coachingowe: jak sobie lepiej w relacjach radzić, jak unikać porażek i rozczarowań, jak czerpać z nich maksimum satysfakcji. No cóż, nam chodzi o coś trochę innego. Chcemy zapytać o pewną nieuchronną ambiwalencję odniesień międzyludzkich. Jesteśmy istotami społecznymi, które bez owych odniesień nie mogą się obyć, z drugiej strony jednak wielu z nas ma poczucie, że ogotacają nas, frustrują, są opresyjne etc. Zaryzykowałbym tezę, że jest to istotna cecha owych relacji. Chcemy poświęcić najbliższą edycję festiwalu próbie odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak jest i co mówi o nas jako ludziach. Stąd też tytuł: „Rozkosz i udręka. O byciu wśród ludzi”.

A co sam Schopenhauer pisał na ten temat?

KATARZYNA KASIA: Zależy nam na tym, żeby przywołanie myśli Schopenhauera stało się punktem wyjścia dla pogłębionego namysłu nad tym, jak to właściwie jest z naszymi kontaktami z innymi ludźmi. Co nas do nich zachęca, co je nam utrudnia i czego tak naprawdę w nich szukamy. Patron naszego festiwalu również w sprawie relacji nie był zbyt wielkim optymistą. Wśród ludzi nie tyle szukamy, jego zdaniem, przyjemności, ile raczej ucieczki od samych siebie, od piętrzącej kolejne żądania woli i przede wszystkim od najgorszej emocji, nudy – bezlitośnie

zmuszającej nas do podejmowania konfrontacji z samymi sobą i uświadamiającej bezsens egzystencji. Chociaż na szczęście zdarzają się takie sytuacje, w których spotkania z innymi dostarczają nam rozkoszy.

Poprzednio widać było, jak wiele współczesnych odniesień jest w filozofii Schopenhauera. Czy jego rozważania o miłości, bliskości w podobny sposób będą czytelne dla nas tu i teraz?

PA: W filozofii na szczęście czas biegnie inaczej i o czasach nam intelektualnie współczesnych mówić możemy przynajmniej od połowy wieku XIX. Schopenhauer, choć ubrany w surdut i noszący wydatne bokobrody, należy do naszych czasów. Potwierdza to jego popkulturowa nośność. Nie chodzi tylko o to, że jego ekscentryczna postawa życiowa jest dziś tematem popularnych memów. W moim przekonaniu ta popularność warunkowana jest jego myślą, która zarazem przyciąga i budzi sprzeciw. Nasz świat jest napędzany mroczną, ślepą wolą, która w swej istocie jest egocentryczną żądzą. To ona decyduje o naszych zachowaniach, aspiracjach, odruchach. Wola ta sama się pożera, a więc pożera nas, ale tak, że to my sami siebie pożeramy, pożerając innych. Czy nie taki właśnie jest los człowieka kształtowanego mechanizmami turbokapitalizmu? Czujemy, że tak jest, a zarazem zaprzeczamy, ironizując i „memizując”. Nic dziwnego, to nie jest przyjemna diagnoza. A jednak zarazem ten pozbawiony złudzeń do siebie i ludzi, urodzony w Gdańsku myśliciel widzi głęboki sens współczucia do innych, dobroczynności, a nawet solidarności.

**Instytut
kultury
miejskiej**

Festiwal Schopenhauera
Rozkosz i udręka. O byciu wśród ludzi
24-25 maja 2024
Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku.
Program i bilety można znaleźć na ikm.gda.pl



Zamek w Malborku. Na pierwszym planie budynek Przedzamcza.

NOWE PRZEDZAMCZE

JANUSZ TRUPINDA, DYREKTOR ZAMKU W MALBORKU:

Kładziemy nacisk na edukację nowych pokoleń, tłumacząc im, na czym polega historia ziem północnej Polski. Pokazujemy, że dziedzictwo pokrzyżackie jest istotnym elementem tradycji narodowych – Polski, Niemiec, Litwy.

KINGA DAWIDOWICZ: Malbork nieodłącznie kojarzymy z Krzyżakami. Dlaczego powinniśmy pielęgnować pamięć o dziedzictwie pokrzyżackim?

JANUSZ TRUPINDA: Dlatego, że jest to nierozdzielna część historii ziem północnych Polski. W sensie materialnym ceglane budowle pokrzyżackie, podobnie jak architektura pruska – urzędy, dworce kolejowe – to dziedzictwo wpisane w historię lokalną, lokalny krajobraz kulturowy. Składają się na nie zamki komturskie, wójtowskie, prokuratorskie, a także zamki biskupów pruskich, kapituł, kościoły parafialne. Również miasta, takie jak Elbląg, Toruń, Gdańsk i ich średniowieczny kształt, to namacalne dziedzictwo pokrzyżackie. Warto wspomnieć o zabytkach techniki, z najbardziej sztandarowym, jak Wielki Młyn w Gdańsku – największy średniowieczny obiekt tego typu. Wszelkie zabytki hydrotechniczne na Żuławach dopełniają ten obraz: częściowo zachowane miniakwedukty, kanał, który prowadzi z Pruszcza Gdańskiego, o długości ponad 10 km, doprowadzający wodę do Wielkiego Młyna, a także kanał, który zapewniał dopływ wody do fos malborskich.

A dziedzictwo niematerialne?

Jest jeszcze bardziej pasjonujące, ponieważ zostało jakby wpisane w DNA tych ziem. Pomimo faktu, że na przestrzeni wieków zmieniło się wiele, a zmiany najistotniejsze zaszły w roku 1945 – nastąpiła niemal całkowita wymiana ludności. Odeszła ludność niemiecka, którą zastąpili osadnicy, często wbrew swojej woli. Rozpoczął się proces adaptacji zastanego dziedzictwa, uczenia się go. Ten proces jest trudnym tematem, ale pasjonującym, również od strony naukowej. Stąd potrzeba stworzenia Centrum Badań nad Dziedzictwem Pokrzyżackim, które będzie tłumaczyło to dziedzictwo, wyjaśniało jego znaczenie.

Na niematerialne dziedzictwo składa się m.in. liturgia, która została na tych ziemiach i funkcjonowała długo po tym, jak Krzyżacy odeszli. Sieć kościołów gotyckich na Żuławach i Mazurach zbudowanych przez Krzyżaków istnieje od średniowiecza, zachowując oryginalne elementy wystroju, rzeźby, otłarze. Historia odcisnęła swoje piętno na tych ziemiach, widzieli one przemarsz wielu wojsk, były użytkowane przez protestantów i katolików, a jednak cały czas są miejsca, gdzie kult zaszczycony przez Krzyżaków trwa.

Po wojnie naturalnie budziło to silne emocje i budzi niekiedy dalej, bo często krzyżackie oznacza niemieckie, a więc złe. Taką mamy chyba wszyscy kalkę myślową, nie do końca prawdziwą, ale utrwaloną. Dlatego trzeba tłumaczyć, na czym polegała działalność Krzyżaków w średniowieczu, ale też co po nich zostało. Jeżeli sobie uświadomimy, że dziedzictwo pokrzyżackie jest istotnym elementem tradycji narodowych – Polski, Niemiec, Litwy, okazuje się, że dotykamy bardzo poważnych tematów: stereotypów, różnego rodzaju uprzedzeń, fobii, mitów. Mamy do czynienia z pokaznym zasobem wiedzy, który nie tylko trzeba badać, ponieważ jest to jeden z naszych obowiązków, ale także o nich opowiadać, tłumaczyć, wyjaśniać. To niezwykle aktualne zadanie.

Kilkuletni projekt dotyczył przebudowy Przedzamcza zamku w Malborku. Na czym dokładnie polegał?

Do tej pory koncentrowaliśmy się na sprawach konserwatorskich, na odbudowie przestrzeni. Obecnie na bazie tego, że uratowaliśmy dwie częścieczki Przedzamcza, które od wojny właściwie nie były ruszone, chcemy stworzyć

przestrzeń umożliwiającą prowadzenie różnego rodzaju zajęć warsztatowych i rozszerzenie oferty edukacyjnej realizowanej stacjonarnie i online. Idea odbudowy Przedzamcza nakierowana była na społeczność lokalną. W ten projekt wpisanych jest mnóstwo działań edukacyjnych związanych z opowieścią o dziedzictwie. Procesy adaptacji dziedzictwa są skomplikowane, obecne w codziennym życiu i często nietatwe.

Starsze pokolenie, które mieszka w Malborku i okolicy, wciąż traktuje zamek krzyżacki jako coś obcego, wrogiego wręcz. Całą naszą siłę wkładamy w edukację nowych pokoleń, tłumacząc im, na czym polega historia tych ziem, pokazujemy, że nie jest to dziedzictwo obce, że jesteśmy jego częścią. Zamek w 1945 roku został w 60% zniszczony i to, co widzimy dzisiaj, jest owocem pracy polskich konserwatorów, wspólnym dziełem osób, które mieszkają w regionie, włączając się w udostępnianie, są przewodnikami, edukatorami.

W tym procesie edukacyjnym na pewno pomoże nowa biblioteka cyfrowa.

Tak, zwiększamy bardzo mocno nasz potencjał naukowy. Do tej pory zgromadziliśmy ponad 40 tysięcy woluminów i niewątpliwie potrzebowaliśmy większej przestrzeni. Biblioteka stanowi mózg zamku i jego zaplecze naukowe. Działamy globalnie, ale co warto podkreślić, na rynku lokalnym biblioteka prowadzi od wielu lat działalność edukacyjną, nie tylko historyczną. Dzieci i młodzież mogą obcować ze starodrukami, zobaczyć rękopisy. Nowa przestrzeń będzie stale dostępna, a digitalizacja umożliwi zwiększenie dostępności do rzadkich zbiorów studentom, pracownikom naukowym, a także osobom z ograniczeniami ruchowymi.

Co konkretnie będzie się mieścić w dawnych budynkach gospodarczych Przedzamcza?

Biblioteka Cyfrowa jest najbardziej efektywnym tworem, płucem tego, co robimy, ale w ramach odbudowy powstały również Pracownia Konserwatorskie, Centrum Digitalizacji, Centrum Badań nad Dziedzictwem Pokrzyżackim, Platforma Cyfrowa dla prezentacji muzealiów. Poza celami muzealno-naukowymi Przedzamcze nakierowane jest na działania edukacyjne, popularyzatorskie. W weekend otwarcia, ale także w późniejszej działalności przewidzieliśmy działania łączące naukę z jej popularyzacją, z opowieścią. Zadaniem muzealnika jest opowiadanie, przekazywanie historii. Staramy się wypełniać to zadanie nie tylko przy użyciu eksponatów. Cały czas pojawia się mnóstwo pytań związanych z dziedzictwem pokrzyżackim. Pretekstem do tego bywa choćby zobaczenie gotyckiego kościoła albo zamku. Naturalnym odruchem jest skierowanie się do Malborka i szukanie informacji. Na tych ziemiach pojawia się również sporo właścicieli, którzy przejmują obiekty pokrzyżackie i nie zawsze wiedzą, jaka była ich historia i w związku z tym jak się z nimi obchodzić. Do nich też skierowana jest oferta Przedzamcza i zamku w Malborku.

Mamy ambicję stworzyć bazę danych, nie tylko informacji historycznych, ale także wszystkich dokumentacji archeologicznych, konserwatorskich. Jesteśmy w trakcie rozmów z urzędami konserwatorskimi, synchronizujemy nasze działania z Międzynarodową Komisją Badań nad Zakonem Krzyżackim, z Centrum Badawczym nad Zakonem w Würzburgu. Myślę, że będzie to otwarcie Malborka także w sferze cyfrowej.

Przedzamcze otwiera się też na działania międzynarodowe?

Jesteśmy instytucją globalną, więc musimy myśleć w takich kategoriach. Chcemy się maksymalnie otworzyć, zatem projektujemy działania biblioteki, wszystkich pracowni i Centrum Badań nad Dziedzictwem Pokrzyżackim w skali międzynarodowej. Od wielu lat działamy w Stowarzyszeniu Muzeów i Zamków Nadbałtyckich, posiadamy również wypracowaną platformę współpracy i w oparciu o nią jeden z pierwszych projektów będzie projektem badawczym i edukacyjnym związanym z funkcjonowaniem zamków i pałaców wokół Morza Bałtyckiego po II wojnie światowej. Dotyczy to różnorodnych doświadczeń, nie tylko samej odbudowy, ale także rewitalizacji, kwestii adaptacji obiektów na różne cele.

Przebudowa Przedzamcza była możliwa m.in. dzięki funduszom norweskim. Czy nastąpiła wymiana doświadczeń z partnerami z północy?

Z naszymi norweskimi partnerami mieliśmy szansę wiele się od siebie nauczyć, choć problemy, z którymi się zmagamy, posiadają inny charakter. Łączy nas jednak wspólny mianownik – dziedzictwo materialne i niematerialne. Norwegowie pokazali nam naturalne podejście do konserwacji, ochrony obiektów. Starają się jak najmniej używać związków sztucznych, chemicznych. Uważają, że zabytki mają prawo się starzeć, że upływ czasu jest naturalny i nie ma sensu na siłę walczyć z przemijaniem. My z kolei zaimponowaliśmy im naszymi dokonaniem w dziedzinie konserwacji, odbudowy architektury ceglanej.

Jakie plany na przyszłość kreśli muzeum?

Nie zatrzymujemy się. Mamy przygotowany projekt rewitalizacji całego Przedzamcza. Następnym krokiem będzie dokończenie rewitalizacji zachodniego ciągu gospodarczego na Przedzamczu, który składa się z czterech części. Dwie oddajemy do użytku w kwietniu. Wśród pozostałych części, bardzo interesujących od strony historycznej, mamy kościół św. Wawrzyńca, jedną z siedmiu świątyń znajdujących się w średniowieczu na terenie zamku. Bardzo ważny obiekt w średniowieczu zarówno dla Krzyżaków, jak i w okresie nowożytnym – stanowił ostoję katolicyzmu w czasach reformacji. Po wojnie został przeznaczony na cele rozrywkowe, gastronomiczne. Chcielibyśmy przywrócić mu godność i uczynić z niego miejsce wystawiennicze. Życzylibyśmy sobie, by zamek wraz z Przedzamczem zachęcał do odwiedzin zarówno dzięki niezwyklej architekturze, jak i atrakcyjnej ofercie edukacyjno-kulturalnej.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

Zrealizowano ze środków projektu „Przebudowa zabytkowych budynków gospodarczych na Przedzamczu zamku Malbork wraz z ich dostosowaniem do funkcji kulturalno-edukacyjnych” współfinansowany jest ze środków Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego na lata 2014-2021 w ramach programu Kultura.



Janusz Trupinda – muzealnik, historyk, menadżer kultury. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Autor i współautor ponad stu publikacji naukowych i popularnonaukowych.

WROGOWIE IDEALNI

Skąd wziął się egzystencjalny konflikt między Iranem a Izraelem?

Czy oba kraje łączy tylko wrogość?

I co może z tego wszystkiego wyniknąć?

KRZYSZTOF STRACHOTA



NOCĄ Z 13 NA 14 KWIETNIA WYDARZENIA na Bliskim Wschodzie przyspieszyły. W kierunku Izraela ruszyło ponad 330 irańskich dronów, pocisków manewrujących i rakiet balistycznych. Takiego natężenia ataku świat dotąd nie widział. Prerażająca była otwartość, z jaką Iran go przeprowadził: uprzedzając o nim, po raz pierwszy manifestacyjnie używając swego terytorium i całej gamy dostępnych środków. Występując z otwartą przyłbicą, pokazał determinację, gotowość do eskalacji i wyraźnie zarysował – jako perspektywę – wizję regionalnego (a może i globalnego) konfliktu.

Równie potężna była obrona. Izrael był przygotowany, a ramię w ramię stanęli z nim USA, Wielka Brytania, Francja i Jordania. Strącono 97 proc. nadlatujących obiektów i na koniec skutkiem ataku była jedna ranna dziewczynka i lekko zniszczony pas startowy wojskowego lotniska. Potęga technologiczna i siła sojuszu były imponujące. A zapowiedź izraelskiego odwetu aż nadto wiarygodna.

Nocą z 18 na 19 kwietnia nad irańskim miastem Isfahan pojawiło się kilka obiektów i słychać było wybuchy. Wkrótce potem Iran ogłosił, że jego obrona przeciwlotnicza zestrzeliła kilka izraelskich dronów, które nie wyrządziły szkód. Z chwilą oddawania tego tekstu do druku, 19 kwietnia w południe, trudno było ocenić, jakie mogą być dalsze kroki obu stron. Że stawką może być niewyobrażalny konflikt regionalny, który wciągnąłby wszystkich dookoła, i którego skutki odczułby cały świat – to wiedzą wszyscy.

Skąd bierze się cały ten konflikt między Iranem a Izraelem? I skąd ten jego strategiczny – a właściwie: egzystencjalny – charakter?

Gaza: grona gniewu

Aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba sięgnąć kilka dekad wstecz. Zaczniemy jednak od tego, co dzieje się tu i teraz.

Obecna konfrontacja irańsko-izraelska wyrasta bezpośrednio z trwającego od pół roku konfliktu w Gazie. 7 października 2023 r. Izrael został zaskoczony atakiem bojowników Hamasu, którzy zabili ponad 1100 żołnierzy i cywilów. Wizerunek

Izraelska obrona przeciwlotnicza kontra irańskie drony nad Aszkelonem, noc 13/14 kwietnia 2024 r.

bezpiecznego, czujnego i silnego Izraela zachwiał się w posadach.

Izrael oskarżył Iran o wsparcie i inspirację działań Hamasu, i jednocześnie szykował się na atak kolejnego sojusznika Teheranu – libańskiego Hezbollahu (jeśli taki atak był szykowany, to zapobiegła mu natychmiastowa relokacja US Navy do regionu). Irańscy klienci w regionie faktycznie się zaktywizowali: jemeńscy Huti ostrzeliwali i porywali statki płynące przez Morze Czerwone, irackie milicje ostrzeliwały bazy USA, Hezbollah ostrzeliwał izraelskie pogranicze. Skutki dla Izraela były ograniczone, ucierpiał światowy handel, państwa Zachodu zaczęły zwalczać Hutich i irackie milicje.

Za to odpowiedź Izraela na atak Hamasu była równie bezlitosna i bezprecedensowa jak on sam, przy uwzględnieniu różnicy potencjałów: od pół roku Gaza jest równana z ziemią, zginęło ponad 33 tys. Palestyńczyków (z których co najmniej dwie trzecie to cywile), a ponad 2 mln ludzi w Gazie doświadcza katastrofy humanitarnej.

Damaszek: kreowanie pretekstu

Izrael zajął się też Hezbollahem (bilans ponad 500 zabitych na terenie Libanu, z czego połowa to członkowie Hezbollahu) i samym Iranem. Według Teheranu Izraelczycy mieli więc wesprzeć przeciwników reżimu i współorganizować zamachy w Iranie: ten największy w Kermanie (94 zabitych; odpowiedzialność za niego wzięło Państwo Islamskie Chorasany) i szereg mniejszych, organizowanych przez Beludżów czy Kurdów.

Przede wszystkim jednak Izrael rozpoczął – przy intrygującej bierności Rosji, która chroni syryjską przestrzeń powietrzną – zabijanie ważnych oficerów irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji działających w Syrii. Zginęło kilku generałów, w tym szef wywiadu jednostki specjalnej Al-Qods. Zwieńczeniem działań izraelskich był – również bezprecedensowy – raketowy atak na irański konsulat w Damaszku, gdzie zginęło m.in. dwóch kolejnych generałów. To właśnie stało się przyczyną irańskich ataków z 13/14 kwietnia.

O ile formą irańskiej odpowiedzi Izrael mógł być zaskoczony, o tyle samym faktem nie. Więcej: działania Izraela pozwalają zakładać, że oczekiwał on ostrej reakcji Iranu. Tyle że chyba innej: spodzie-

wano się, że to Hezbollah zaatakuje, z terenu Libanu.

Przy braku pomysłu Izraela na sensowne zakończenie wojny w Gazie, przy zszarganym wizerunku międzynarodowym, wreszcie przy palącej potrzebie sukcesu, który przywróciłby Izraelczynom wiarę w siebie, a w regionie odbudował wizerunek potężnego Izraela – pretekst do zniszczenia Hezbollahu (i upokorzenia tym irańskiego arcywroga) był na wagę złota.

Tyle że Hezbollah (i Iran) nie dali takiego pretekstu. Teheran podbił stawkę, atakując Izrael bezpośrednio i jak na razie przeliczywał go.

Przyjrzyjmy się obu głównym graczom.

Izrael: kwestia priorytetu

Bezpieczeństwo państwa i narodu nad wszystkimi innymi kwestiami – to priorytet Izraela, parareligijny dogmat. A tym, co dziś uosabia największe zagrożenie, jest Islamska Republika Iranu. Dla Izraela to jego negatyw: fanatyczne państwo religijne, autorytaryzm opętany ideą zniszczenia Izraela („syjonistycznego reżimu”, jak mówią w Iranie).

Faktycznie, Iran upstrzony jest antyizraelskimi muralami, a „śmierć Izraelowi, śmierć Ameryce” to refren powtarzany przy tysiącu okazji. Prezydent Iranu faktycznie powiedział w 2006 r., że Izrael będzie wymazany z mapy jak Związek Sowiecki (także później wielokrotnie wracały hasła jego fizycznej likwidacji).

Iran jest demonicznym demiurgiem światowego terroryzmu. Stworzył Hezbollah, siłę militarną, która odpowiada i za ostrzały Izraela, i za ataki terrorystyczne (w tym na żydowskie cele na całym świecie). Irańczycy mają być też odpowiedzialni za działalność Hamasu i innych organizacji, stać za wszystkimi konfliktami, które Izrael toczył w ostatnich dekadach.

Iran wreszcie otwarcie pracuje nad – nielegalnym z punktu widzenia społeczności światowej – programem nuklearnym i programem rakiet balistycznych (skutecznie, jak pokazały naloty z 13/14 kwietnia). Broń nuklearna, przy wrogiej wobec Izraela retoryce, nie pozostawia złudzeń, przeciw komu mogłaby zostać użyta.

Izraelskie zarzuty wobec Iranu nie są gołosłowne. Te dotyczące terroryzmu znajdują potwierdzenie w niezliczonych

→ wyrokach, raportach, sankcjach. Programy nuklearny i balistyczny były przedmiotem kilku rezolucji i pakietów sankcyjnych ONZ, UE i USA. Strach przed Iranem dzielają z Izraelem prawie wszyscy jego sąsiedzi. Niemal każdy element polityki Izraela w ostatnich dekadach pośrednio lub wprost odnosi się do Iranu.

Po atakach z 13/14 kwietnia widmo zagłady stało się wyraźniejsze – izraelska determinacja, by problem irański „ostatecznie” rozwiązać, sięga zenitu.

Iran: w imię zasad

Tak jak Izrael powstał, by zapewnić bezpieczeństwo Żydom, tak Islamska Republika Iranu powstała w 1979 r., by zaprowadzić – w Iranie i na świecie – sprawiedliwy porządek wyrastający z praw boskich. A uosobieniem niesprawiedliwości jest właśnie Izrael: państwo, które dla Iranu jest produktem europejskiego kolonializmu i arogancji, zachodnim wyrzutem sumienia za Holokaust wyeksportowanym na Bliski Wschód, krajem systemowo poniżającym islam i muzułmanów.

Szycki porewolucyjny Iran swoją misję widział m.in. we wsparciu dla szczytów, marginalizowanych i pogardzanych. Szycki Hezbollah powstał tuż po izraelskiej agresji na Liban w 1982 r. i wzrastał na wojnie, której celem było wyparcie Izraela z Libanu. Podobny schemat Iran stosował (z różnym skutkiem) wobec szczytów w Iraku, Jemenie, Afganistanie, Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie. Rozszerzył też swoje załoty o sunnickich Palestyńczyków (w tym wrogi mu religijnie Hamas) i na tym budował sympatię arabskiej i muzułmańskiej ulicy. Dzięki sprawie palestyńskiej Iran wychodził z szyckiego getta.

To Izrael i proizraelskie lobby w USA są traktowane w Iranie jako główna przyczyna utrzymującej się wrogości irańsko-amerykańskiej. Izrael był inicjatorem i ordędownikiem sankcji wymierzonych w Iran. Forsował pariasyzację Iranu w świecie i odpowiadał za utracenie prób normalizacji z USA (gdy po 11 września 2001 r. Iran oferował Stanom swoje lotniska do operacji w Afganistanie czy rezygnację z programu nuklearnego w zamian za gwarancje bezpieczeństwa, wreszcie gdy podpisywał porozumienie nuklearne w 2015 r. z Radą Bezpieczeństwa ONZ i UE, które wkrótce zerwał Trump).

Wojny Izrael–Iran nie wygrałby nikt.

Pragmatyzm powinien więc skłaniać obie strony do deeskalacji.

Izrael oskarżany jest o wspieranie wrogów irańskiego reżimu (Mudżahedinów Ludowych, separatystów beludżyjskich, kurdyjskich i innych), a także o kampanię zabijania naukowców zaangażowanych w program nuklearny i balistyczny. W deklaracjach o konieczności zniszczenia Iranu Izrael wiele nie ustępuje Irańczykom.

Z perspektywy Iranu środki odstraszenia (od sieci klientów po broń nuklearną) to niezbędna polisa ubezpieczeniowa, a determinacja w presji na Izrael to nadzieja na dominację w świecie islamu i na Bliskim Wschodzie, na godne miejsce w świecie. Dziś – po Gazie i prowokacjach Izraela, które mają ściągnąć gniew Waszyngtonu – walka z Izraelem to też być albo nie być dla Iranu. Tak to widzą.

Tak różni, tak podobni

Dramatyzm obecnej sytuacji nie sprzyja spokojnemu spojrzeniu na układ, jaki Izrael i Iran tworzą na Bliskim Wschodzie. Nie sprzyja, ale pokusa jest nie do odparcia. Spróbujmy.

Trudno dziś uwierzyć, ale przez tysiące lat relacjom persko-żydowskim patronował dobry król Cyrus (uwolnił Żydów z niewoli babilońskiej i odbudował im świątynię), biblijni Tobiasz i Estera (jej historię przypomina święto Purim). Ich dalekim echem są przyjazne rozmowy po persku prezydentów obu krajów na pogrzebie Jana Pawła II (Kacaw i Chatami pochodzą z irańskiego Jazdu).

Ben Gurion, współtwórca Izraela, tę bliskość przekuł w formułę „sojuszu peryferii”. Dla Izraela i Iranu wspólnym zagrożeniem byli Arabowie (zwłaszcza ci popierani przez Sowiety). Iran wspierał Izrael w czasie jego kolejnych wojen z Arabami. Współpraca polityczna i wojskowa przetrwała rewolucję Chomejniego – Izrael dozbierał Iran w czasie jego wojny z Irakiem (lata 1980-88). Przez lata kontentował się nawet radykalnymi (zwłaszcza szyickimi) organizacjami zbrojnymi,

bo były przeciwwagą dla świeckich i uznanych międzynarodowo Palestyńczyków Arafata. Dla prawicy izraelskiej Iran był wręcz usprawiedliwieniem nieistnienia państwa palestyńskiego.

Bliskie obu państwom i narodom (i różne od sąsiadów) są też starożytny rodowód i kumulacja mądrości pokoleń, której wyrazem jest wyrafinowana, łącząca sprzeczności, ale też bezwzględna polityka (zagraniczna), tak obca choćby Europie. Paradoksalnie, wspólny jest silny komponent religijny i mesjanistyczny leżący u źródeł państwa (Izrael odwołuje się do praw wywodzonych z Biblii, Iran do islamu), a jednocześnie rewolucyjne poszukiwanie unikalnych nowoczesnych form ustrojowych (niepowtarzalne demokracja izraelska i republika islamska).

Bliska jest obsesja bezpieczeństwa i rola elit wyrastających ze służb specjalnych w obu krajach. Bliskie jest wyobcowanie w regionie (etniczne, religijne, kulturowe) oraz poszukiwanie wsparcia (nierzwykają skutecznie w przypadku Izraela) i uznania oraz akceptacji (dalece nieskutecznie w przypadku Iranu) w USA.

Bliskość znajduje wreszcie wyraz w przerażającym magnetyzmie, który pozwala obu państwom być dla siebie idealnymi wrogami.

Bezwzględny pragmatyzm

Przy wszystkich emocjach, dramatach, mitach i eschatologicznych ciągach, Iran i Izrael łączy też bezwzględny pragmatyzm. Nieoczywiste jest jednak, jak jest on dziś rozumiany w obu krajach.

Ostatnia wymiana ciosów pokazuje, że obie strony stać na przekraczanie kolejnych „czerwonych linii”. Obie są świadome swoich słabości i siły wroga. Izrael pokazał, że jest w stanie likwidować obecność Irańczyków w regionie i ma duże szanse, by uzyskać pomoc USA. Z kolei Iran udowodnił, że ma potencjał, by dokonać zmasowanych ataków powietrznych, których Izrael na dłuższą metę nie przetrzyma. Sama tylko obrona Izraela nocą 13/14 kwietnia kosztowała około miliard dolarów (to cena zużytych środków). Izrael nie sprostałby tej liczbie rakiet i dronów, które ma Iran (i Hezbollah, posiadający własny potencjał raketowy).

Wojny Izrael–Iran nie wygrałby nikt. Mocno zdają sobie z tego sprawę w Waszyngtonie (dla USA taka wojna byłaby i nie w porę, i bez sensu). Pragmatyzm po-

winien więc pchać obie strony ku deeskalacji. Czyli ku kontynuowaniu konfliktu w oparciu o dotychczasowe metody.

Jest też jednak inny poziom pragmatyzmu: to doraźny interes elit rządzących. W obu krajach sytuacja jest kryzysowa. Iran doświadcza kolejnych fal kryzysu gospodarczego i protestów, legitymacja władzy jest najgorsza w historii. Zła jest też sytuacja w Izraelu: od lat pogłębia się kryzys polityczny i tożsamościowy państwa, naderwane są filary zaufania do władzy, większość rządu wisi na włosku, a premier walczy o byt.

Zarówno w Iranie, jak w Izraelu presja wewnętrzna jest więc ogromna. Łatwo tu o nerwowy ruch. Łatwo o prymat korzyści doraźnych, nawet za cenę ogromnego ryzyka.

Egzamin dla supermocarstwa

Ten rozgrywający się na naszych oczach thriller ma jeszcze jednego aktora, w ostatecznym rachunku może najważniejszego. To Stany Zjednoczone, które los skazał dzisiaj na powtórkowy egzamin z roli światowego supermocarstwa.

Przy oczywistych i zrozumiałych sympatiach Waszyngtonu i jego stronnictwo, przy całej jego bezradności wobec wojny w Gazie, Ameryka zapobiegła jak dotąd regionalnemu konfliktowi. Otwarte jest pytanie, czy uda jej się – na początek – narzucić i wyegzekwować ramy dla obecnych napięć na Bliskim Wschodzie, pchnąć Izrael na bardziej konstruktywne niż dzisiaj tory i znaleźć „miękki” sposób na neutralizację Iranu. Czy też porwie ją wir wypadków.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Tekst ukończono 19 kwietnia w południe.



ABEDIN TAHERENAREH / EPA / PAP

Na ulicy Teheranu, 19 kwietnia 2024 r.

Głosy z Iranu

Zapytaliśmy kilkoro Irańczyków, co myślą o ataku Iranu na Izrael i sytuację na Bliskim Wschodzie (imiona na ich prośbę zostały zmienione).

KURUSZ, analityk finansowy z miasta Karadż:

Dla Irańczyków sytuacja jest skomplikowana, jak zawsze. Co widać choćby w tym, że wybory w USA interesują nas bardziej niż te w Iranie. Na żadne z nich nie mamy wpływu, ale te pierwsze mają większy wpływ na nas.

Iran odgrażał się od dawna, nasz stosunek do Izraela jest negatywny od 45 lat, a jednak byliśmy w szoku, gdy dowiedzieliśmy się, co się stało. Wielu znajomych, oglądając wiadomości, dziękowało Bogu, że atak [na Izrael] został odparty i nikt

nie zginął. Nie życzymy Żydom śmierci. Rząd nie mówi w imieniu moim ani większości ludzi, których znam. Nie chcemy brać udziału w tym konflikcie. Cena dolara znów idzie w górę. Dla Irańczyków, którzy zmagają się z dużymi problemami gospodarczymi, to tragedia. Niby przywykliśmy do takich sytuacji, ale jesteśmy zmęczeni. Ludzie boją się wojny z Izraelem, nikt jej nie chce, może jedynie ci, co wspierają rząd, czyli mniejszość. Mam nadzieję, że po nocy nadejdzie dzień i wszystko się jakoś ułoży.

SASAN, pracownik bankowości z Teheranu:

Jest mi wstyd za mój rząd, który marnuje miliony dolarów na rakiety, a nie ma pieniędzy, by poprawić sytuację swoich obywateli. Większość moich znajomych jest przeciwna rządowi i nie chce mieć nic wspólnego

z tą wojną. Jestem pewny, że Izrael dokona odwetu, sytuacja przez chwilę będzie napięta, ale w końcu jakoś się to ułoży. Irańska dyktatura jest sprytna i nie zależy jej na pełnoskalowym konflikcie. Chcieli pokazać, że mają coś do powiedzenia w regionie.

Martwi mnie los Palestyńczyków w Gazie. Nie popieram Izraela, nie popieram żadnej przemocy i konfliktu. Ale uważam, że Iran nie powinien się w to mieszać. A generał zabity w Damaszku? To morderca, nie szkoda mi go. Odpowiadał za śmierć wielu Irańczyków, którzy protestowali przeciw władzy.

ALI, pracownik korporacji z Isfahanu:

Nie chcę się wypowiadać na ten temat. Powiem tylko, że nie chcę wojny.

DŻAMSZID, biznesmen z Isfahanu:

W ostatnich latach Izrael był zaangażowany w sabotaż irańskiej technologii, a nawet zabójstwa naszych naukowców. Z kolei Irańczycy wspierają sprawę palestyńską, która jest nie do pogodzenia z ambicjami Izraela. Gdy Izrael zaatakował nasz konsulat w Syrii, ludzie się zdenerwowali i pod presją opinii publicznej rząd został zmuszony, by odpowiedzieć. Zachowaliśmy się honorowo, bo poinformowaliśmy wcze-

śniej o ataku. Celem były obiekty wojskowe, nikt nie zginął. Mam nadzieję, że nie dojdzie do wojny. Jestem przeciwny wojnie i w ogóle wrogości do innych krajów i religii. Nasze przysłowie mówi, że „polityka nie ma ojca i matki”, to znaczy, że jest nieludzka.

AHMED, nauczyciel i aktywista z miasta Sziraz:

Irański atak to był prezent dla Izraela, który fatalnie radzi sobie w Gazie. Nie dość, że nie osiągnął swoich celów, tj. zniszczenia Hamasu i wyzwolenia zakładników, to traci poparcie świata. Rząd Iranu nie jest głupi. Pozwolił sobie na atak, który nie przekroczył pewnej granicy. Chodziło o to, by uspokoić sytuację w kraju. Nic tak przecież nie łączy jak wspólny wróg. Rząd wie, że nie ma poparcia, ale wie też o powszechnej niechęci w Iranie do Izraela. Pytanie tylko, co zrobi Izrael. Bo sprawy mogą wymknąć się spod kontroli.

Niestety Irańczycy mają sprzeczne opinie w sprawie wojny w Gazie. Niektórzy są obojętni albo milczą w kwestii palestyńskich ofiar, bo nie chcą popierać rządu, który jednak teraz ma rację. Bo przecież ludobójstwa nie da się usprawiedliwić i niechęć do irańskiego rządu nie ma tu nic do rzeczy.

© Pytał MACIEJ AUGUSTYN

Leżak w leżak z agresorem

MAŁGORZATA WRYK Z ANTALYI (TURCJA)

Niewiele jest miejsc w Europie, dokąd z objętej sankcjami Rosji może wyjechać na wypoczynek jej zamożny obywatel. Jednym z nich jest Turcja. Tam Polacy stają oko w oko z Rosjanami. Co wynika z takiego spotkania?

LECIMY DO ANTALYI, TURYSTYCZNEJ Lmekki nad Morzem Śródziemnym. Zostawiamy za sobą na tydzień wojnę na Ukrainie, skłóconą Polskę i świat zmierzający ku niewiadomej. Radość z perspektywy wypoczynku w „wypasionym” hotelu przyćmiewa myśl, że jedziemy do kraju, którym rządzi autokrata Erdoğan, przyjaciel Putina, i że pewnie przyjdzie nam się zderzyć, to znaczy po prostu spotkać, z wczasowiczami z Rosji. Ci zaś, jak większość Rosjan, popierają zbrodniczą wojnę przeciw Ukrainie.

Hotel marzenie: prześwietlona słońcem lekka architektura, z widokiem na góry i morze. W drodze do restauracji, na późną kolację, mijamy eleganckie butik. Uśmiechnięci tureccy sprzedawcy wychodzą na próg. – *Zachodite, požalujsta!* – zapraszają.

– *No Russian, we are not Russians!* – odpowiadam zirytowana i robię się zła na siebie. Bo przecież jestem rusycystką. Z wyboru, z miłości do tego melodyjnego języka, jego literatury, sztuki i muzyki. Studiowałam go 50 lat temu, potem uczyłam go przez 30 lat studentów. Spotkania z Rosjanami mam w najlepszej pamięci.

Dzisiaj jednak rosyjski jest u mnie, najwyraźniej podświadomie, na indeksie. Czuję się w obowiązku, by tłumaczyć sklepikarzom, że my, Polacy, uważamy Rosjan za agresorów i solidaryzujemy się z Ukrainą. – *We support Ukrainian people* – mówię



Kompleks hotelowy Kremlin Palace w Larze koło Antalyi (Turcja) z repliką moskiewskiego Soboru Wasyla Błogosławionego

niezbyt uprzejmym tonem i dokładam ekspresyjną gestykulację. W ich oczach – zdziwienie i niezrozumienie.

90 PROCENT | Wchodzimy do restauracji. Jak z „Z tysiąca i jednej nocy”: orgia smaków i zapachów. Zapominam o zniewadze uznawania nas za Rosjan, dają się uwieść atmosferze. Siadamy przy dużym stoliku. Na jego końcu rozgościło się kilka elegancko ubranych osób. Nadstawiam uszu. No tak, Rosjanie. Czuję się nieswojo, znika miły nastrój.

Tego wieczora jeszcze nie wiem, że 90 proc. gości hotelu to Rosjanie. Dowiem się tego od naszej rezydentki następnego dnia po śniadaniu. Wtedy też dotrze do mnie, że będziemy musieli spędzić tydzień „talerz w talerz” i „leżak w leżak” na plaży z przedstawicielami narodu, którego armia morduje Ukraińców i który w swej masie akceptuje te zbrodnie.

Kombinujemy, jak by tu trzymać się z dala od „naszych” Rosjan. Ale są wszędzie. Na plaży, przy basenie. Już nie wiem, czy ich widok bardziej mnie drażni, czy

smuci? Przyglądam się im niechętnie, choć z zaciekawieniem. Jacy są? Co myślą?

INNY NARÓD | Jedno jest pewne: ci tutaj zupełnie nie przypominają Rosjan, których poznałam w trakcie studiów i na praktykach w Rosji. Ileż to serdecznych rozmów się wtedy odbyło, ile przyjaźni zawarło, ile wina i szampana wypilo, ile piosenek naśpiewało w obu językach? A przecież czas był niełatwy. Mimo to znajdowało się wspólny język, jak w piosence Okudźawy „Pożegnanie z Polską”, dedykowanej Osieckiej. *My swiazany, Agnieszka, dawno odnoj sud'boju* (Związani jesteście, Agnieszko, od dawna jednym losem).

Ale ci tutaj to jakby inny naród. Europejski z wyglądu i zachowania. Z dystansem, chłodny, skupiony na sobie, zniechęcający do ewentualnej rozmowy. Gdzie się podziała ta klasyczna rosyjska dusza naraspaszku (serce na dłoni)?

Spacerują niespiesznie, elegancko ubrani. Młode, szczupłe Rosjanki na wysokich szpilkach poruszają się jak modelki na wybiegu. Ich ślicznie ubrane dzieci mogłyby występować w dziecięcych rewiach mody. Ich mężowie, z rozkołysanym „biodrowym” chodem, istne wcielenie klasycznego macho.

WOJNA KIEDYŚ I DZIŚ | Ale przecież nie w tym rzecz, proszę, niech sobie paradują, jak lubią, *cztoby ljudej uwidet' i se-bja pokazat'* (ludzi spotkać i samemu się pokazać). Ale, na litość boską... Żeby choć w ich postawie ciała, w oczach był jakiś niepokój, jakaś oznaka wyrzutów sumienia. Ale nie. Sprawiają wrażenie zadowolonych z siebie.

A przecież wiedzą, co to wojna, jej skutki. Przerabiali to, zdawałoby się, do znudzenia na kolejnych rocznicowo-państwowych uroczystościach, w podręcznikach, w muzeach, w prozie i poezji. I w ogóle, na *wiecznuju pamjat'* (ku wiecznej pamięci).

Tamci moi Rosjanie, sprzed dekad, rozmowy na temat wojny kończyli poruszającym: *Wojna, prokljataja wojna* (wojna, przeklęta wojna). A teraz? Jak to możliwe, że obecna barbarzyńska wojna, którą prowadzą pod wodzą okrutnika, nowego Hitlera, już nie tylko nie jest przeklęta, ale nawet nie jest nią nazywana? Dlaczego udają, że nie wiedzą, iż jej ofiary cierpią tak samo, jak cierpieli ich dziadowie i ojcowie podczas drugiej światowej? I że te-

raz, w tej ich „specoperacji”, giną pospół z Ukraińcami ich rodacy?

Wieczorem, mimo zmęczenia, długo nie mogę zasnąć. Sięgam po lekturę, ale szybko łapię się na tym, że bezmyślnie przerzucam kartki. Moje myśli są w Moskwie. Tamtej Moskwy.

TAMTA WIOSNA | Jest rok 1988, w Związku Sowieckim trwa *otpetiel'* (odwilż). W świecie ten historyczny zwrot zwany jest z rosyjska *pierestrojka* (przebudowa). Właśnie wtedy spędzam w Moskwie dwa wiosenne miesiące na kursach doszkalających dla wykładowców rosyjskiego, organizowanych przez Uniwersytet im. Łomonosowa. Zjechaliśmy do Moskwy, praktycy i metodycy rosyjskiego z całej komunistycznej Europy, nawet z Kuby.

O tamta wiosno! Cóż to był za piękny czas!

– Ludzie, posłuchajcie, co u nas się dzieje! – to nasi wykładowcy wpadają rano z gazetami pod pachą. Podekscytowani, szczęśliwi! Trudno im się dziwić: w „Prawdzie” coraz więcej prawdy, a w „Izwestijach” coraz więcej wiadomości, a przecież dotąd było odwrotnie!

Cieszymy się razem z nimi. W końcu ich *pierestrojka* to i nasz interes. Choć nie do końca podzielamy ich entuzjazm. – Myśmy odwilż już kilka razy przechodzili i wiemy, że zdarza się jej przymarzać – tłumaczymy im. Ale i tak wzruszamy się wraz z wykładowczynią od literatury, gdy na nasze pytanie, czy czytała już takie a takie lektury zwolnione z cenzury, odpowiada ze łzami, że nie zdążyła: – Przyjaciele, u nas rozlało się morze literatury i my nie nadążamy czytać.

ŁZY W KINIE | W kinach grają pierwszy film rozrachunkowy z krwawą sowiecką przeszłością. To słynna „Pokuta” gruzińskiego reżysera Tengiza Abuladzego, baśniowo-groteskowy obraz, symbol epoki przemian, próba rozliczenia z terrorem. My, Polacy-kursanci, też wybieramy się go obejrzeć. U nas jeszcze z cenzuralnych półek nie zwolnili „Przesłuchania” Bugajskiego, czekamy na niego w Polsce już cztery lata, wypatrują go sędziwi akowcy, więźniowie stalinowscy i ich rodziny.

Na „Pokutę” do kasy biletowej trzeba stać trzy godziny w kolejce na mrozie i wietrze, ta wiosna (pogodowo) jest chłodna. Ale nikt nie narzeka, wszyscy

stoją cierpliwie, bez szemrania. Rosjanie ciągle nie dowierzają, że ten film naprawdę trafił do dystrybucji. A nuż go wycofają? Albo mało to razy tak było? Pograli coś kilka dni i zniknęło to z ekranów jak kamfora.

Podczas seansu w kinie co rusz ktoś wyjmuje chusteczkę i dyskretnie wyciera oczy. Trauma nieludzkiego reżimu jest żywa, a pokolenie, które jej doświadczało, siedzi obok nas na widowni. Jeszcze wtedy nie wiem, że „Przesłuchanie” trafi na ekrany w Polsce rok później, w 1989 r. Mój ojciec, powstaniec warszawski, żołnierz AK, harcmistrz Szarych Szeregów, więzień ubowskich kazamatów, jednak nie będzie chciał go obejrzeć.

PASCHA | Na naszych oczach odbywa się też „cerkiewny przewrót”, odrodzenie religijne. Coraz więcej Rosjan, i to z młodszego pokolenia, zagląda do świątyń, tych niezburzonych i tych, co ich nie zdążono zamienić na muzeum ateizmu lub w punkt podnoszenia oczek w rajstopach. Teraz do cerkwi można chodzić już bezkarnie. Gorbaczow, pierwszy sekretarz partii, w 1988 r. po spotkaniu z patriarchą Cerkwi prawosławnej Pimenem przyznaje wierzącym równe prawa.

Jednak proces powrotu wiernych do Cerkwi po dekadach represji nie odbywa się bezboleśnie, czego my, kursanci-Polacy, jesteśmy świadkami w czasie nabożeństwa w Wielką Sobotę. Wejście do cerkwi utrudnia kordon milicji. W ten sposób władza stara się zniechęcić młodzież do udziału we mszy, która, jak to młodzież, chyba trochę na przekór, przejawia zainteresowanie życiem religijnym.

Przepychamy się dzielnie przez szeregi żołnierzy do wrót świątyni z naszymi paschalnymi koszyczkami – przygotowaną w akademiku święconką. Atmosfera nerwowa, wrzawa, pokrzykiwania. Ale i tak radosne, wielkanocne pozdrowienie, które przekazują sobie wierni, przebija się przez ten harmider: *Christos woskres! Woistinu woskres!* (Chrystus zmartwychwstał! Naprawdę zmartwychwstał!).

W komunistycznej Rosji zmartwychwstał! A przynajmniej wtedy, wiosną 1988 r.

ŁYZKA DZIEGCIU | Tymczasem na uniwersytecie odbywa się pokaz filmu dokumentalnego o Włodzimierzu Wysockim – poecie walczącym gitarą z reżimem, wykonawcy →

*O tamta wiosna, cóż to był za piękny czas! Nasi wykładowcy wpadają rano z gazetami, szczęśliwi. Trudno im się dziwić: w „Prawdzie” coraz więcej prawdy, a przecież dotąd było odwrotnie!
Na zdjęciu: Moskwa, 1990 r.*

→ ballad wyrażających tęsknotę za wolnością i prawdą. Trzeba uważać, by nie dać się strącić w tłumie atakującym drzwi do sali kinowej. Widownia, głównie studenci, okupuje każdy skrawek podłogi.

W naszym akademiku *Na Szabałowie* (przy ul. Szabałowskiej) wieczorna sensacja: będzie transmisja wywiadu z Okudżawą, co prawda chyba jeszcze konspiracyjna, bo nie przez radio, lecz tzw. kuku-rużnik, radiowęzeł. Ale dla nas, Polaków, to i tak wielkie wzruszenie.

Jest też łyżka dziegciu w tym pełnym nadziei czasie odwilży. Oto zaproszony przez współlokatorkę z pokoju gość, młody Rosjanin Andriej, naukowiec z uniwersytetu, zaraz na początku wizyty, gdy pojawia się temat pierestrojki, torpeduje rozmowę: – Wiecie, już mi się znudziło wciąż gadać o tym, jakim to Stalin był łajdakiem. Osłupienie. Halo, jakże to tak? Przecież właśnie o tym trzeba mówić, wyjaśniać, badać. Rosjanie mają tu dużo do zrobienia!

TRZY LATA PÓŹNIEJ | Rok 1991. Jestem w Moskwie na kolejnym kursie językowym. Atmosfera już inna: niepokój społeczny, kryzys gospodarczy i fale niezadowolonych. Bo rewolucja zaczyna żyć własnym życiem i mocarstwo chwieje się w posadach.

Ale w stolicy Rosji i tak jest super, wreszcie powiało prawdziwym Zachodem. A raczej końcem zimnej wojny. Właśnie otwarli pierwszą w Rosji restaurację McDonald’s na placu Puszkina. Ale emocje! Toż to kompletnie inny świat! Prawdziwie amerykański! Kolorowy! I jeszcze do tego pogodny! Pogodny, bo obsługują gości przy ladzie szybko i sprawnie, z uśmiechem na twarzy młode dziewczęta i chłopcy w schludnych strojach firmowych, a nie umięczone, poirytowane, odziane w brudne fartuchy, starsze z reguły sprzedawczynie albo niegrzeczni i niechlujni kelnerzy.

Moskwianie stoją w gigantycznych kolejkach po 2-3 godziny, by dostać bułkę z wołowiną, frytki z ketchupem i mityczną colę. Te kolejki do restauracji są



WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

dłuższe niż do mauzoleum Lenina na placu Czerwonym...

„KALINKA” | Przez te moje „moskiewskie rekolekcje” zasypiam w tureckim hotelowym łóżku późno i następnego dnia rano z trudem wstaję na śniadanie. W południe guzdrzę się jeszcze w pokoju, pakując się na plażę, kiedy mąż czymś bardzo zaaferowany, pojawia się w drzwiach: – Wiesz, przez megafony leci „Kalinka”... – rzuca niepewnie.

Nie dowierzam, otwieram okno. Tak, to „Kalinka”, radosna, roztańczona, rozkołysana... Ludzie, jak tak można? Gdzie się podziała zwykła przyzwoitość?

Ze zgrozą myślę, że to dopiero pierwszy dzień moich długo wyczekiwanych wczasów. Trzeba było słuchać własnych dzieci, jak odradzały wyjazd do Turcji.

PÓŁMROK | Dzień wyjazdu. Na lotnisku rozmawiamy z Polakami z innych hoteli. Są zadowoleni z pobytu, ale poirytowani, że obsługa hoteli zwracała się do nich bez skrępowania po rosyjsku. Że tzw. wieczorne animacje, również te dla dzieci, odbywały się tylko w języku rosyjskim. A sklepy bezwstydnie reklamowały swoje towary w języku Putina.

Już w samolocie uwagę przyciągają dwaj sąsiedzi, towarzysze podróży z mojego trzyosobowego rzędu. Chyba ojciec i syn, może 18-letni. Siedzą cicho jak myszki i to zaczyna mnie niepokoić. Chłopak włącza komórkę, zerkam, no tak, bukwy.

W samolocie cisza i półmrok, palą się tylko lamki nad niektórymi fotelami. Współtowarzysze śpią, a może tylko drzemią? Nasze ramiona niemal stykają się na wspólnym oparciu fotela. Jeszcze 30 lat temu pewnie byśmy sobie mile przegadali całą drogę.

Zamykam oczy. Znów wracają pogodne obrazy, migawki sprzed 30 lat z beztrudnych wypraw do Związku Sowieckiego. Wszystkie ze wspaniałą oprawą kulturalną, bo mocarstwo jest rozmiłowane w kulturze, nauce i sztuce, i ma genialnych reprezentantów w każdej z tych dziedzin. W kraju zniewolonym przez komunistyczną cenzurę sztuka odgrywa wielką rolę. Rosjanie oczekują od jej twórców, by przemawiali za nich, wyrażali ich skryte myśli, stłumione pragnienia i emocje, tłumaczyli, gdzie dobro, a gdzie zło.

APOKALIPSA | Na myśl przychodzą mi koncerty w Pałacu Zjazdów na Kremlu, poruszające przedstawienia w teatrze na Tagance, spektakle operowe w Teatrze Bolszom, Galeria Tretiakowska, fascynujące rozmowy o literaturze rosyjskiej na wydziale Uniwersytetu Łomonosowa, uroczą kolację w ekskluzywnej restauracji „Sadko” w byłym Leningradzie i wiele innych miłych wydarzeń. Przed oczyma stają mi obrazy moich ulubionych malarzy: Repina, Surikowa, Ajwazowskiego; w uszach dźwięczą arie z „Pikowej Damy” Czajkowskiego. Fragmenty „Wańki” Czechowa ciągle mogę cytować z pamięci.

Jednak te miłe sercu artystyczne rekolekcje sprzed kilkudziesięciu lat szybko są wypierane przez krańcowo inne współczesne obrazy. W głowie wyświetlają się sceny: pomordowani cywile z Buczy, kikuty bloków mieszkalnych z Borodzianki, zbombardowany teatr w Mariupolu, kobiety z dziećmi na rękach w kolumnie ewakuacyjnej, chłopczyk trzymający ukochanego chomika, z którym ruszył na wojenną tułaczkę, oddziały położnicze w piwnicach szpitalnych, łuny pożarów po nalotach. Apokalipsa.

ZŁO WRACA | Czy te dramatyczne sprzeczności w obrębie jednego narodu da się jakoś wytłumaczyć, bo przecież nie pogodzić? Co się stało, że Rosjanie zbroczyli, po krótkim okresie euforii, z drogi ku wolności i demokracji?

Myślę teraz, że chyba się tej wolności i demokracji przestraszyli. Bo nigdy tak naprawdę nie zaznali ani jednego, ani drugiego. A skoro zrezygnowali z dociekania prawdy o istocie reżimów totalitarnych, więc zło, nierozdzielnie z nimi związane, skryło się w ich podświadomości.

Również ich uporanie się z traumą drugiej światowej (dla nich: wielkiej ojczyźnianej) było pozorne. Owszem, rozpoznali wtedy diabła, ale tylko u tych, którzy ich mordowali, w III Rzeszy. Bo już nie we własnym państwie, dyktaturze sowieckiej. Dlatego Rosjanin mógł sporo dowiedzieć się o Hitlerze, jakim był potworem, ale o Stalinie już nie. Dlatego pełno w Rosji pomników upamiętniających *pobiedę* nad III Rzeszą, ale nie pomników ofiar sowieckiego terroru. Własnych przecież ofiar.

Czy nie tak myślał Andriej 35 lat temu, gdy kwestionował potrzebę badań nad nocą stalinowską? A może też to „okienko wolności” trwało za krótko, by większość Rosjan zdążyła przeczytać choćby „Archipelag Gułag” Sołżenicyna albo „Dzieci Arbatu” Rybakowa? W każdym razie: dziś to nieprzepracowane zło do nich wraca, także pod postacią milczącego przyzwolenia na zbrodnie Putina.

CIĄG DALSZY NASTĄPI? | Zerkam na moich towarzyszy podróży, już nie śpią. Co bym dała za to, aby się dowiedzieć, co naprawdę myślą. A może trzeba się przełamać i po prostu ich zapytać? Może milczą dlatego, że czują się z tą przeklętą wojną niekomfortowo? Może oni, ten nieszczęsny naród, spróbują kiedyś zawalczyć jeszcze raz – jak za czasów pierestrojki – o wolność? O zniesienie jarzma? Otwieram usta, by zagaic rozmowę, gdy z głośników rozlega się głos kapitana: „Dobry wieczór państwu! Jest godzina 22.40, schodzimy do lądowania, proszę zapiąć pasy”.

© MAŁGORZATA WRYK

Autorka wydała w 2023 r. wspomnieniową książkę „Opowieść mojej mamy” (wyd. Znak).

Karabiny w goździkach

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z PÓŁWYSPU IBERYJSKIEGO

Dyktaturę, która trwała tu ponad 40 lat, obalono w jeden dzień. Zamiast krwi na ulicach były kwiaty. 25 kwietnia mija pół wieku od rewolucji goździków. Jak pamiętają ją Portugalczycy? Zapytaliśmy uczestników i świadków wydarzeń.

MIAŁ WTEDY 20 LAT I STUDIOWAŁ ANtropologię. Jednak João wiedział, że studiów może nigdy nie skończyć. Choć do obrony końcowej pracy pozostały mu tylko dwa lata, w domu czekało już na niego wezwanie do wojska.

Dziś wspomina, że była to kara za jego działalność w studenckim samorządzie. Władzom chodziło o to, aby niepokornych i przeciwnych dyktaturze studentów wysłać gdzieś daleko poza kraj – najlepiej do walki w obronie portugalskich kolonii (tych było wówczas jeszcze trochę).

Reżim liczył też, że wojsko wpoi młodym ludziom kanon, do którego tak chętnie odwoływała się portugalska dyktatura. Zwłaszcza ten, który w swoim motcie powtarzał ciągle odwieczny – jak się zdało, bo rządzący od roku 1932 – dyktator António Salazar: „Bóg, ojczyzna i rodzina”.

„Czuliśmy, że idzie zmiana”

João przyznaje dziś, że miał w życiu dużo szczęścia. Na szkolenie do wojska miał stawić się we wrześniu 1974 r. Tymczasem tamten kwiecień zmienił wszystko.

Wcześniej, w marcu, do domu jego rodziców wkroczyła policja polityczna. João akurat był nieobecny. Skończyło się na przeszukaniu jego pokoju i przerażeniu rodziców.

Chłopak już wcześniej był zawieszany w prawach studenta przez władze uczelni za działalność, która nie podobała się władzom. Koledzy z jego organizacji spędzali wtedy w portugalskich więzieniach miesiące, a nawet lata. Jemu szczęśliwie udało się tego uniknąć.

Wspomina, że jego pokoleniu zakazywano nawet niektórych lektur, zwłaszcza Marksa i Engelsa.

– Zobacz, jakie to ciekawe. Wy Polacy i my Portugalczycy byliśmy wtedy w dwóch przeciwnych blokach poli-

tycznych. Nam zabraniano czytania prawie wszystkich rosyjskich książek, a wy w Polsce mieliście dyktaturę komunistów – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” João Leal, dziś 70-letni profesor antropologii na Uniwersytecie Nova w Lizbonie.

Choć niedemokratyczna, Portugalia była wtedy członkiem NATO od początku istnienia Sojuszu. Za to do ówczesnej Wspólnoty (dziś Unii) Europejskiej miała wejść dopiero kilka lat po zaprowadzeniu demokracji, w 1986 r.

João wspomina, że mimo represji reżimu, mimo cenzury prasy i książek, w tamtym czasie już od miesięcy czuło się, że nadchodzi jakaś zmiana: – Byliśmy pełni nadziei. A kiedy 25 kwietnia 1974 r. wspólnie z innymi studentami wychodziliśmy na ulice, początkowo nie wiedzieliśmy, co się dzieje i czyj to zamach, lewicowy czy prawicowy. Ale wyszliśmy i dołączyliśmy do żołnierzy, którzy stali na czele tej rewolucji. To był perfekcyjny dzień, tak jak opisywali to nasi pisarze.

Goździk zamiast papierosa

Celeste Caeiro miała wtedy 40 lat i tamten 25 kwietnia miał być dla niej po prostu kolejnym czwartkiem spędzonym w pracy.

Restauracja, w której była kelnerką, obchodziła akurat rocznicę swojego istnienia. Był sezon na goździki, więc szefostwo restauracji kupiło te czerwone, aby rozdać je wśród klientów. Kiedy było już pewne, że rozpoczęła się rewolucja, jej szef postanowił zamknąć restaurację. Kobiecie pozostały więc zbędne bukiety kwiatów. Zabrała je ze sobą.

W drodze do domu Celeste natknęła się na żołnierzy, a jeden z nich poprosił ją o papierosa. Ona nie paliła, za to zaproponowała mu kwiat. Ten włożył go do lufy swojego karabinu. Inni żołnierze zaczęli naśladować ten gest. Wkrótce kwaciarki →



BETTMANN / GETTY IMAGES

→ z dzielnicy Baixa, historycznego centrum Lizbony, zaczęły rozdawać zbuntowanym żołnierzom kolejne kwiaty.

Teorii na temat tego, skąd wzięły się akurat goździki w lufach – uwiecznione na licznych zdjęciach wykonanych tamtego dnia – nagromadziło się potem wiele. Ale, jak przekonuje João Leal, to ta związana z mieszkającą w Lizbonie dziś 90-letnią Celeste jest najbardziej popularna.

I jemu najbardziej się podoba.

„Každy jest równy, a rządzi naród”

Sygnałem do rozpoczęcia rewolucji miało być nadanie w radiu – wówczas podstawowym środkiem medialnej komunikacji – piosenki „Grândola, vila morena”.

Ten zabroniony wcześniej przez reżim utwór, autorstwa nauczyciela i piosenkarza folkowego Joségo Afonso, opowiada o trudnym życiu i braterstwie mieszkańców niewielkiego miasteczka Grândola z południa Portugalii. Słowa piosenki: „Grândola, vila morena, Em cada rosto igualdade / O povo é quem mais ordena!” można przetłumaczyć jako: „Každy jest równy, a rządzi naród”.

Młodzi oficerowie, którzy w koszarach zaplanowali tę rewolucję, ustalili, że ta właśnie pieśń będzie sygnałem do rozpoczęcia zbrojnego przewrotu. Utwór wyemitowano 25 kwietnia tuż po północy.

Usłyszał go Alfredo Cunha, wówczas fotograf-stażysta w jednej z portugalskich gazet. O tym, czego był potem świadkiem, wspominał w rozmowie z Tereixą Constenlą z dziennika „El País”: „Usłyszałem o rewolucji w radio. Mieszkałem w mieście Amadora, to niedaleko Lizbony. Na-

tychmiast wsiadłem w pociąg, a kiedy spotkałem pierwszych ludzi na ulicach [Lizbony] i wojsko, nie było jeszcze siódmej rano. Funkcjonariusze PIDE [tajnej portugalskiej policji politycznej] strzelali z ręcznej broni, były ofiary śmiertelne. Na szczęście wojsko nie strzelało. Żołnierze byli świadomi, że jeśli czołgi zaczną strzelać, to dojdzie do masowego rozlewu krwi”.

Czasy nadchodzą nowe

Zbuntowanych wojskowych było wtedy na ulicach niewielu, raptem ponad dwa tysiące. Jednak dzięki dobrej organizacji szybko udało im się przejąć siedzibę władz i rządowe media. Do południa było po wszystkim.

Rewolucja dokonała się w sposób niemal bezkrwawy, zginęły cztery osoby.

Marcelo Caetano, premier i następca Salazara (ten zmarł kilka lat wcześniej), po krótkim okresie ukrywania się oddał się w ręce rewolucjonistów. Potem pozwolono mu wraz z najbliższymi współpracownikami wyjechać z kraju (osiadł aż w Brazylii, dawniej portugalskiej kolonii, gdzie zmarł parę lat później).

W Portugalii zaczęły się nowe rządy. Do władzy doszły partie lewicowe, w tym także komuniści.

– Byłem wtedy małym chłopcem i wraz z rodzicami wyemigrowaliśmy do USA. U nas w domu dużo mówiło się o polityce. Wielu Portugalczyków żyjących na emigracji bało się, że gdy władzę przejmą komuniści, dojdzie do kolejnej dyktatury. Snuto czarne scenariusze, że być może nie będziemy mogli już wrócić do kraju i zobaczyć naszych rodzin. Wielu bało się też o swoje domy, które

Od lewej: Sprzedawcy kwiatów na ulicach portugalskiej stolicy. Lizbona, 1 maja 1974 r. Portugalscy wojskowi na ulicach Lizbony kilka dni po udanym przewrocie, 29 kwietnia 1974 r.

mieli w Portugalii – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem” Miguel Moniz, dziś doktor antropologii z Instytutu Nauk Społecznych w Lizbonie.

Szczęśliwie tak się jednak nie stało. W 1975 r. przeprowadzono demokratyczne wybory, po których skrajnie lewicowy rząd został odsunięty. Nowy utworzyli socjaliści i umiarkowani konserwatyści. Wprawdzie nie był to już „koniec historii” – w międzyczasie doszło do próby buntu żołnierzy związanych ze skrajną lewicą – ale kraj wszedł na drogę, która była zaprzeczeniem tego, co działo się przed 25 kwietnia 1974 r.

Autorytarne państwo Salazara

Bo wcześniej, od roku 1932, Portugalia rządzona była naprawdę twardą ręką.

Wtedy to premierem został António de Oliveira Salazar, konserwatywny katolik (za młodu był w seminarium, ale ostatecznie duchownym nie został) i z zawodu ekonomista. Rok później oficjalnie stworzono tzw. Nowe Państwo, *Estado Novo*.

Zanim jeszcze dyktator umarł – cztery lata przed wybuchem rewolucji goździków – schedę polityczną po nim w 1968 r. przejął Caetano, który kontynuował jego linię. W książce o Salazarze historyk Ribeiro de Meneses porównuje dyktatury w Portugalii i sąsiedniej Hiszpanii: „W Portugalii nie było wojny domowej, Salazar nie zdobył władzy jako Franco. Były represje, ale nie podzielono tak kraju ani jego rodzin. W Portugalii nie doszło do takiego rozlewu krwi”.

Jednak w autorytarnym ustroju (opartym na rządach jednej partii) i umowie społecznej (opartej z kolei na korporacjach zawodowych i społecznych) nie można było prowadzić żadnej alternatywnej działalności politycznej ani strajkować, opozycję tłamszono, przeciwników zaś wsadzano do więzień.

Represje i emigracja

Obserwując, co wówczas działo się na wschodzie Europy, Salazar bał się zwłaszcza komunistów. Dlatego Álvaro Cunhal, sekretarz generalny Portugalskiej Partii Komunistycznej, odsiedział w więzie-



BETTMANN / GETTY IMAGES

niu 13 lat, w tym osiem w izolatce. Kolejnych 22 członków komitetu centralnego tej partii spędziło łącznie w więzieniach 308 lat. To również bezwzględność pozwoliła utrzymać się u władzy Salazarowi oraz jego następcy przez ponad 40 lat.

Wielu Portugalczyków za czasów dyktatury musiało emigrować nie tylko z powodów politycznych, ale przede wszystkim ekonomicznych. Salazar, choć z wykształcenia profesor ekonomii, doprowadził kraj do ubóstwa, co zmusiło wielu mieszkańców do emigracji zarobkowej – zwłaszcza tych najbiedniejszych, robotników i rolników. Dla przykładu: wśród emigrantów, którzy w 1970 r. dotarli do Francji, ponad 50 proc. stanowili Portugalczycy.

– Moje pokolenie marzyło o pójściu na koncert rockowy, ale w dyktaturze nie było na to szansy. Były osobne szkoły dla dziewczyn i chłopaków, a gdy któraś z placówek nie chciała się dostosować, to ją natychmiast zamykano. Nie podobał nam się ten moralny ton, ten konserwatywny katolicyzm, podkreślanie na każdym kroku wartości rodzinnych. Jak większość moich rówieśników, byłem też przeciwko wojnom w koloniach – mówi mi João Leal.

Zwijanie kolonialnego imperium

Portugalczycy – niegdyś w pierwszym szeregu europejskich odkrywców, potem kolonizatorów – trwali wtedy jeszcze przy swoim kolonialnym imperium. Wprawdzie największa kolonia, Brazy-

lia, wybiła się na niepodległość jeszcze na początku XIX wieku. Jednak po II wojnie światowej Lizbona wciąż miała pod swoją kontrolą Angolę, Mozambik, Gwineę Bissau, Wyspy Zielonego Przylądka i Timor Wschodni.

Wydatki na utrzymanie kolonii – w tym dławienie ruchów niepodległościowych – pochłaniały nawet 40 proc. budżetu rocznie. Większość Portugalczyków chciała pokoju, zakończenia wojen kolonialnych, na których wygranie szanse i tak były niewielkie.

Czarę goryczy przelał kryzys naftowy w 1973 r. Dotąd państwo subsydiowało gaz. Kryzys sprawił, że ceny poszły ostro w górę, co bardzo odczuli mieszkańcy. Niezadowolenie budził fakt, że władze wołały wydawać pieniądze na kolejne działania zbrojne w koloniach, zamiast pomagać obywatelom na miejscu.

Na początku 1974 r. generał António de Spínola, dowódca wojsk stacjonujących w Gwinei Bissau, wezwał do zakończenia wojen kolonialnych na drodze negocjacji; wyrzucono go za to z wojska. Poparło go jednak wielu żołnierzy, co było widać także na ulicach 25 kwietnia 1974 r.

Pierwsze lata demokracji

Rewolucja goździków położyła kres izolacjonizmowi, na który Portugalia była skazana, i przyczyniła się do narodzin nowych niepodległych państw. Pokazała też, że siły zbrojne nie muszą być wyłącznie narzędziem ucisku, ale mogą być siłą

wyzwalającą. Przez kilka pierwszych miesięcy po rewolucji Spínola pełnił funkcję prezydenta. Zniósł cenzurę, zlikwidował inwigilację przez służby.

Jednak gospodarka wciąż była w poważnych tarapatach. W czerwcu 1975 r. tak pisał lizboński korespondent John Paton Davies na łamach dziennika „New York Times”: „Powszechna nacjonalizacja zakłóciła przemysł, bankowość i handel. Inwestycje wyschły. Bezrobocie wzrasta wraz z napływem uchodźców z Angoli i demobilizacją żołnierzy. Dochody z drugiego co do wielkości sektora gospodarki, czyli turystyki, spadły o około 75 proc.”.

W 1976 r. uchwalono nową konstytucję, powstała III Republika. Odbyły się też wspomniane wybory (parlamentarne, a także prezydenckie). Władze nowego państwa długo jeszcze musiały mierzyć się z protestami, gdy grupy społeczne i zawodowe upominały się o swoje prawa.

Ale to już inna opowieść.

Echa przeszłości

Minęło pół wieku, a kampanie wyborcze z ostatnich lat pokazują, że w polityce są ugrupowania, które wciąż darzą sympatią tamten reżim. W 2022 r. lider skrajnie prawicowej partii Chega w swoim hasle „Bóg, ojczyzna, rodzina i praca” wprost nawiązał do Salazara.

– To polityczna gra, aby przypodobać się najbardziej prawicowym wyborcom. Większość osób, które głosowały na

→ Chega, ma bardziej demokratyczne poglądy, ale ich głos miał być symbolem protestu przeciw rządzącym elitom – mówi mi prof. João Leal.

Tak wyrażony protest dał jednak niedawno partii Chega ponad 18 proc. głosów i 50 mandatów w 230-osobowym parlamencie. Ostatecznie Luís Montenegro, lider zwycięskiego centroprawicowego bloku Sojusz Demokratyczny, dotrzymał słowa i nie zaprosił polityków Chegi do rządu. Stanie więc na czele gabinetu mniejszościowego.

Tymczasem 50 lat po rewolucji goździków historycy wciąż odkrywają nowe fakty. Teraz skupiają się na mniejszych, czasem symbolicznych wydarzeniach i zaangażowaniu poszczególnych grup społecznych. I tak prof. Leal twierdzi, że w istocie odbyło się wtedy „wiele mniejszych rewolucji”, jak ta na jego uczelni, która miała na celu wymianę kadry oraz zliberalizowanie i poszerzenie programów nauczania.

Słodko-gorzko

Dziś Portugalczycy przypominają sobie też piosenkę „Grândola, vila morena”. Czasem można ją usłyszeć podczas demonstracji przeciw niepopularnym decyzjom – jak w 2012 r., podczas kryzysu w strefie euro, gdy ówczesny rząd wprowadził cięcia w budżecie.

64-letni Paulo mówi mi, że choć popiera rewolucję, to nie rozwiązała ona wszystkich problemów: – Salazar był biedny i umarł biedny, a to bardzo portugalskie. On zakazywał nam nawet coca-coli, bo był przeciw konsumpcjonizmowi.

Podobnie uważa Alfredo Cunha, jeden z fotografów rewolucji. W rozmowie z „El País” mówił: „Jestem usatysfakcjonowany wolnością, demokracją, końcem wojny i tym, jacy byliśmy wtedy szczęśliwi. Ale jestem niezadowolony ze społeczeństwa, które stworzyliśmy, z nierówności, korupcji. Nie winię nowych rządów, ale system, który zamiast produkować bogactwo, produkuje bogatych ludzi”.

Tylko czy są w ogóle takie rewolucje, które rozwiązują wszystkie problemy?

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



Czy Twój podatek rozlicza ZUS?

Czy wiesz, że i Ty także możesz przekazać 1,5% swojego podatku wybranej przez siebie organizacji pożytku publicznego?

Jak to zrobić bez żadnego wysiłku?

Wystarczy, że dodatkowo złożysz PIT-OP, w którym wpiszesz numer KRS wybranej organizacji. Na przykład Fundacji Tygodnika Powszechnego.

Może potrzebujesz pomocy?

Zadzwoń do nas na specjalny numer 880 768 065

Czekamy

1,5%

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

» **KRS 0000 125 605**

**Wesprzyj „Tygodnik Powszechny”,
by Twój 1,5% mógł skutecznie działać. Naprawdę**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 17-18/2024



EMILIA SZANIECKA (1804–1896)
ROMANTYCZNA POZYTYWISTKA

Panna Emilia

MAREK REZLER

Ziemianka, konspiratorka i społeczniczka, podczas kolejnych polskich powstań organizowała ich służby medyczne.

Dlaczego Emilia Szczaniecka już za życia uważana była za najważniejszą kobietę w dziejach XIX-wiecznej Wielkopolski?

Znaczenie kobiet w dziejach polskich to temat coraz częściej poruszany – choć, jak się zdaje, wciąż czekający na swego autora. Ich rolę, a zwłaszcza ocenę ich działalności, warto widzieć na tle mentalnościowych realiów ich epok. O ile więc w dziejach Wielkopolski było wiele kobiet zasłużonych nie tylko dla swych rodzin, o tyle mentalność ich czasów wyznaczała im główną rolę przede wszystkim w domu i najbliższym otoczeniu, a ich społeczna aktywność miała określone granice.

W czasie zaborów wiele z nich angażowało się w działalność zarówno pozytywistyczną, jak też powstańczą. Czołowe miejsce wśród nich zajmuje Emilia Szczaniecka.

Rodzina

Urodziła się 220 lat temu, 20 maja 1804 r., w Brodach w Nowotomyskiem, w znanej wielkopolskiej rodzinie szlacheckiej (potem ziemiańskiej) Łukasza i Weroniki Szczanieckich. Zgodnie z obowiązującymi wtedy regułami kształcona była przez nauczycieli i guwernantki. W 1813 r. uczyła się w Poznaniu na żeńskiej pensji kierowanej przez Jana Samuela Kaulfussa.

To wtedy uformowała się postawa nastolatki, która w 1815 r. ostentacyjnie odmówiła udziału w uroczystości powitania wojsk pruskich wkraczających do Poznania i ceremonii zmiany godła na ratuszu z polskiego na pruskie. Kolejną próbą był jej udział w obchodzie żałobnym ku czci Tadeusza Kościuszki w grudniu 1817 r., a w następnym roku w pogrzebie generała Jana Henryka Dąbrowskiego w Winnej Górze koło Środy.

W sierpniu 1818 r. Emilia uzyskała zgodę rady rodzinnej na podjęcie edukacji na pensji Laforgue'ów w Dreźnie. Wciąż były tam żywe związki Polski z Saksonią, a ów zakład wychowawczy

utrzymywał te nastroje, dając podstawy wykształcenia i życia towarzyskiego.

Własny styl

W 1823 r. Emilia ukończyła edukację w Dreźnie i wróciła do domu. Wkrótce też zapadły decyzje w sprawie podziału majątku rodzinnego. Jej przypadły Pakosław, Michorzewo i Michorzewko.

Wtedy to, jak można sądzić, związała się na jakiś czas z Karolem Marcinkowskim, jednym z czołowych później działaczy organiczników w zaborze pruskim. Choć po powstaniu listopadowym prywatnie ich drogi się rozeszły, panna Emilia (jak powszechnie ją nazywano – nigdy nie wyszła za mąż) popierała inicjatywy tego lekarza i społecznika.

W końcu lat 20. XIX w. Szczaniecka ustaliła własny styl postępowania z ludźmi zatrudnionymi w jej majątkach. Swoje powinności w tej kwestii traktowała poważnie, wręcz uczyniła z nich jeden z filarów własnej postawy życiowej. Rządziła służbą i robotnikami folwarcznymi, a jednocześnie dbała o nich. Służbie zależało na zachowaniu majątku w rękach lubianej i szanowanej panny Emilii, a ona mogła liczyć na lojalność podwładnych.

Do walczącej Warszawy

Po wybuchu powstania w Królestwie Polskim w listopadzie 1830 r. 26-letnia Emilia najpierw zaangażowała się w pomoc finansową i materialną dla ochotników, którzy z Wielkopolski przedostawali się do zaboru rosyjskiego. A potem postanowiła osobiście wyruszyć do Warszawy. Tu zaangażowała się w szpitalu umieszczonym w pałacu Łubieńskich i Towarzystwie Dobroczynności Patriotycznej Kobiet.

Po rozpoczęciu walk o stolicę Szczaniecka pracowała w lazarecie w pałacu Łubieńskich, a potem w Szpitalu Wol-

skim. Początkowo z rolą pielęgniarki radziła sobie dobrze, ale z czasem ciągły stres doprowadził do kryzysu. Wyszła z niego i odtąd już nigdy miała się nie zalać. Znana stała się z tego, że działała spokojnie i rzeczowo – co nie znaczy, że obojętnie na cierpienie.

Z pracą pielęgniarki związana była też działalność organizacyjna i zaopatrzeniowa – nowość dla młodej kobiety. Z czasem panna Emilia została zauważona, zdobyła szacunek i uznanie.

Odtąd, ze względów praktycznych, zaczęła coraz częściej chodzić w czarnej sukni. Okres romantyzmu i panujące nastroje sprawiły, że zaczęto ją nazywać „czarną panią”, a wygląd samarytanki – nieco przesadnie, ale zgodnie z duchem epoki – kojarzono z żałobą po utracionej ojczyźnie.

Pod okiem pruskiej policji

Represje popowstaniowe w Wielkim Księstwie Poznańskim objęły także Emilię Szczaniecką. Została skazana przez pruski sąd na więzienie i grzywnę; jej główna siedziba, wieś Pakosław, została objęta sekwestresem. Ostatecznie nie musiała odbywać kary w więzieniu – i wiosną 1833 r. mogła wrócić do Pakosławia – ale pruska policja miała na nią baczenie.

Zabroniono jej też wyjazdu z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Jednak pannie Emilii przez pośredników udało się utrzymać kontakt listowny z polskimi środowiskami we Francji i Dreźnie. Angażowała się też w Komitecie Dam Wielkopolskich, który organizował pomoc materialną dla żołnierzy polskich internowanych na obszarze Prus.

W tym okresie ukształtowała się ostatecznie postawa Szczanieckiej: była zwoleńniczką walki zbrojnej o niepodległość i konsekwentnie przygotowań do czynnej walki z zaborcami. Utrzymywała kontakt ze środowiskami emigracyjnymi,



MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Sobieska jako Emilia Szczaniecka oraz Mariusz Benoit jako Karol Marcinkowski w serialu TVP „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”, emitowanym w latach 1979-1981.

kolportowała nielegalne druki, opracowała metody przeciwdziałania częstym kontrolom i rewizjom policji w Pakosławiu.

Polityczna kontrabanda

Stała się znana także za granicą. W 1833 r. powstało w Paryżu międzynarodowe Towarzystwo Montyona i Franklina, zajmujące się wyróżnianiem osób zasłużonych w pracy humanitarnej. Ustanowiony przez to gremium medal „Dobroczyńca ludzkości” wręczono pannie Emilii w 1839 r., gdy mogła już wyjeżdżać poza Prusy.

W tym okresie stała się na tyle znana, że o jej poparcie zabiegali czołowi działacze emigracyjni, jak książę Adam Jerzy Czartoryski i Joachim Lelewel. Politycznie blisko było jej do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego – organizacji republikańsko-demokratycznej, założonej w Paryżu w 1832 r. – oraz jej programu społecznego. Choć równocześnie unikała ostentacji i radykalnych działań.

Podróżując i podtrzymując nielegalne kontakty z polskimi środowiskami emigracyjnymi, Szczaniecka zajmowała się pośrednictwem i kolportażem druków zabronionych w Księstwie. Niektóre jej akcje – choćby stosowane przez nią metody przemycania politycznej kontrabandy przez granicę – mogłyby stać się materiałem dla powieści sensacyjnej.

W 1840 r. ostatecznie wróciła do Wielkopolski i zajęła się administrowaniem majątku. Jednak nie zaniedbała kontaktów ze środowiskami emigracyjnymi. W tym czasie otoczona już była tak powszechnym szacunkiem, że wizyta u niej w Pakosławiu miała wręcz charakter bardziej lub mniej uroczysty.

Wielkopolska trójca

Powstańcza próba z marca 1846 r. zakończyła się w Wielkopolsce niepowodzeniem, czołowi przywódcy planowanego ruchu znaleźli się w więzieniu, a potem stanęli przed sądem. W wyniku nieostrożnych zeznań Ludwika Mierosławskiego, jednego z liderów konspiracji, do Pakosławia zjechała komisja śledcza, która miała zebrać dowody obciążające pannę Emilię. Jednak chłopci i służba, nawet za cenę krzywoprzysięstwa, osłonili dziedziczkę: wszyscy zgodnie przeczyli, jakoby w pakosławskim pałacyku miały miejsce wizyty obcych osób.

Dla policji nie był to wcale dowód niewinności panny Emilii – z innych źródeł doskonale wiedziała o jej kontaktach. Jednak przekonała się o sile narodowej solidarności, jaką udało się Szczanieckiej zaszczepić ludziom z jej otoczenia, także tym jej podwładnym.

Skończyło się na zakazie opuszczania Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Lecz wciąż pozostawała pod obserwacją poli-

cji. Był to czas, gdy w Wielkopolsce powtarzano sobie wierszyk „Kto rządzi Księstwem, mówmy bez przekąsów: doktor, kobieta i para wąsów” – czyli Karol Marcinkowski, Emilia Szczaniecka i Maciej Mielżyński (także organicznik i działacz gospodarczy).

Poznańska wiosna 1848 roku

Dwa lata później wybuchła Wiosna Ludów, szereg zrywów powstańczo-rewolucyjnych, które objęły sporą część Europy.

Początkowo okoliczności wskazywały na możliwość wybuchu wojny prusko-rosyjskiej, w której u boku wojsk pruskich mógłby wystąpić korpus polski. W Wielkopolsce powstały obozy, w których gromadzili się ochotnicy. Doszło wtedy do krótkiego, bo trwającego zaledwie dwa tygodnie solidaryzmu polsko-pruskiego.

Wkrótce jednak zorientowano się, że taka wojna skończyłaby się nieuchronną klęską Prus. Nastąpiło odwrócenie nastrojów i administracja zaborcy przystąpiła do pacyfikacji regionu. Najpierw w końcu kwietnia 1848 r. Prusacy zbrojnie spacyfikowali obóz w Książu, a potem stoczyli bitwy pod Miłosławiem i Sokołowem z siłami polskimi dowodzonymi przez Mierosławskiego. Ostatecznie zryw zakończył się niepowodzeniem. Doszło do tzw. drugiego procesu moabickiego, zlikwidowano nazwę Wielkie Księstwo →

→ Poznańskie, wprowadzając Prowinz Posen; ograniczono też autonomię dla Polaków.

Emilia Szczaniecka była zaangażowana w te wydarzenia, w tym w przygotowania – choć tym razem nie była przekonana do skuteczności działań zbrojnych. Policja pruska obserwowała jej aktywność, ale nie udało się przechwycić jej korespondencji z emigracją.

Naczelną medyczką

Rankiem 20 marca 1848 r. dotarła do Poznania wiadomość o wybuchu rewolucji w Berlinie. Powołano Komitet Narodowy z udziałem głównych polskich działaczy z regionu. Zaangażowała się też Emilia Szczaniecka, wykorzystując swoje doświadczenia z roku 1831.

24 marca powstał Komitet Opieki nad Rannymi, z dyрекcją na czele i filiami w terenie. Bazą centrali Komitetu stał się duży lazaret założony w obozie we

Wrześni, który wkrótce, po rozpoczęciu walk i spacyfikowaniu obozu w Książu, zapelniał się rannymi. Panna Emilia się nie oszczędzała: zarządzała i udzielała pomocy. W lazaretach Komitetu pomagano rannym bez względu na narodowość, co docenili dowódcy pruscy, którzy 9 maja wizytowali szpital we Wrześni.

Działalność panny Emilii nie kończyła się na pracy we Wrześni. Szczaniecka krążyła między Trzemesznem, Wrześnią, Środą, Miłosławiem, Nowym Miastem, Lubomierzem i Śremem, nadzorując pracę szpitali. Gdy policja pruska zaczęła aresztować opuszczających je rekonwalescentów, Szczaniecka i jej współpracownicy organizowały dla nich pieniądze i odzież, a potem ekspediowały za granicę.

Z czasem nie było już potrzeby utrzymywania aż takiej jak dotąd liczby lazaretów. Lżej rannych i rekonwalescentów przenoszono do zbiorczego szpitala w Poznaniu, w pałacu Działyńskich przy Starym Rynku.



Kartka pocztowa z serii „Bohaterki polskie” poświęcona Emilii Szczanieckiej i jej pomocy dla rannych podczas powstania listopadowego. Kraków, 1906 r.

Wiosna Ludów w Wielkopolsce upadła. Za to autorytet Emilii Szczanieckiej stał się jeszcze bardziej niekwestionowany.

Nowe pokolenie

W latach poprzedzających wybuch kolejnego polskiego powstania – styczniowego, tym razem znów w zaborze rosyjskim – Szczaniecka musiała dostosować swoją aktywność do sytuacji w państwie pruskim. Trzeba było od nowa przemyśleć zasady działania.

Licząc się z możliwością nowej walki, odnowiono w Poznaniu swoistą ideę lazaretową i uruchomiono kursy pielęgniarskie dla kobiet. Zajęcia odbywały się w mieszkaniach prywatnych. U boku panny Emilii stało też nowe pokolenie kobiet-samarytanek, m.in. Konstancja Jarochowska i Wanda z Kwileckich Niegołewska.

Gdy w styczniu 1863 r. antyrosyjskie powstanie istotnie wybuchło, udało się uzyskać zgodę władz prowincji na utwo-

rzenie w Wielkopolsce lazaretów udzielających pomocy rannym powstańcom (władzom pruskim ułatwiało to także orientację w polskim środowisku niepodległościowym).

Na czele utworzonego wtedy Wielkopolskiego Komitetu Niewiast stała Gryzelda Celestyna z Zamoyskich Działyńska, a centrala organizacji znalazła się w poznańskim pałacu jej rodziny. Emilia Szczaniecka i Teofil Matecki kierowali wydziałem pierwszym Komitetu, lekarskim, który zajmował się udzielaniem pomocy medycznej i gromadzeniem środków potrzebnych do funkcjonowania lazaretu.

Za kordon

Od lutego 1863 r. zaczęła się więc praca znana panie Emilii z lat 1831 i 1848. Zespoły kobiece udzielały pomocy rannym za kordnem, na polach bitew, a potem organizowały ich prze-

rzut do tymczasowych lazaretów organizowanych w Wielkopolsce. Szczaniecka uczestniczyła w tych akcjach, trudnych i wyczerpujących.

Tym razem główny szpital umieszczono w Strzelnie, w pobliżu granicy z Królestwem Polskim. Opiekę nad rannymi objął tam doktor Matecki, a Szczaniecka wzięła na siebie obowiązki zaopatrzeniowe. Gdy była taka potrzeba, przystępowała do pracy pielęgnarskiej.

Z czasem okazało się, że trzeba organizować lazarety także w innych miejscowościach, m.in. Trzemesznem, Inowrocławiu, Gnieźnie, Pleszewie i Ostrzeszowie. Od kwietnia były wręcz przeciążone, a po bitwach pod Brdowem i Nową Wsią liczba rannych była tak wielka, że sanitariuszki nie wytrzymały natężenia pracy.

Ostatecznie panna Emilia ograniczyła wyjazdy na pola walk i zajęła się głównie organizacją. Podobnie jak w 1848 r., zorganizowała też system ochrony rekonwalescentów przed aresztowaniem.



Bitwa pod Miłostawiem w 1848 r. była jednym z największych starć wielkopolskiej Wiosny Ludów.

Sędzia podaje krzesło

Aktywność Szczanieckiej jeszcze bardziej umocniła jej pozycję w Wielkopolsce. A jej działania spotkały się z uznaniem nawet strony pruskiej. Kiedy wezwano ją do Berlina w celu złożenia zeznań w sprawie kwot przekazywanych przez jej siostrzeńca Władysława Łęckiego na cele powstańcze, sala zareagowała jednoznacznie.

Oddajmy głos ówczesnej prasie: „Gdy panna Emilia Szczaniecka, powołana na świadectwo, weszła do sali, wszyscy Polacy bez wyjątku, bez namowy, jednym uczuciem głębokiej czci wiedzeni, tak samo adwokaci – powstałi ze swych miejsc (...). Sędziowie zdumieni się, widoczne na ich twarzach malowało się wrażenie (...). Przewodniczący sądu kazał podać krzesło panie Emilii, która – po oddaniu świadectwa wychodząc – tego samego uczczenia była przedmiotem”.

Panna Emilia liczyła sobie wtedy 60 lat; w owych czasach był to wiek słuszny.

Praca u podstaw

Po upadku powstania styczniowego Emilia Szczaniecka kontynuowała wypraktykowane wcześniej metody działania. Nadal kontaktowała się ze środowiskami emigracyjnymi, wspierała je też finansowo. Nie przerwała aktywności społecznej, aktywizującej polską społeczność w zaborze pruskim. Wspierała Spółkę Bazarową i Towarzystwo Naukowe Pomocy, myślała nad możliwością utwo-

żenia podobnej organizacji dla dziewcząt. Uczestniczyła w pracy społecznych stowarzyszeń kobiecych w Krakowie i Lwowie.

Panna Emilia uważnie obserwowała też rozwój wydarzeń i tendencje pojawiające się w zaborze pruskim. Choć bardzo religijna, była przeciwna klerykalizacji i ultramontanizmowi [w XIX w. kierunek postulujący podporządkowanie polityki Kościołom katolickim w różnych krajach Watykanowi – red.], tak aktywnym w Wielkopolsce w okresie pruskiego Kulturkampfu. Ważniejsze było dla niej zachowanie polskiej ziemi w polskich rękach. Wysoko ceniła działalność ks. Piotra Wawrzyniaka i Maksymiliana Jackowskiego. Zakładała placówki charytatywne, troszczyła się o wykształcenie dzieci pracowników jej majątków.

W 1880 r. odbyły się w Poznaniu uroczystości 50. rocznicy wybuchu powstania listopadowego. 76-letnia panna Emilia nie mogła dołączyć do weteranów zebranych w Bazarze. Uhonorowali ją więc wieniec i fotografią pamiątkową opatrzoną dedykacją.

Polska Florence

Ostatni okres życia był trudny dla Emilii Szczanieckiej. Zachowała trzeźwość umysłu, ale utraciła władzę w nogach i była wożona w wózku; na tydzień przed śmiercią straciła słuch. Ale do końca za-

chowała charakterystyczne spojrzenie i bystrość oceny.

Zmarła 11 maja 1896 r. w pakosławskim pałacyku. Mimo życzenia wyrażonego w testamencie jej pogrzeb stał się manifestacją szacunku i poparcia; kondukt żałobny ciągnął się kilkanaście kilometrów. Spoczęła na cmentarzu przykościelnym w Michorzewie.

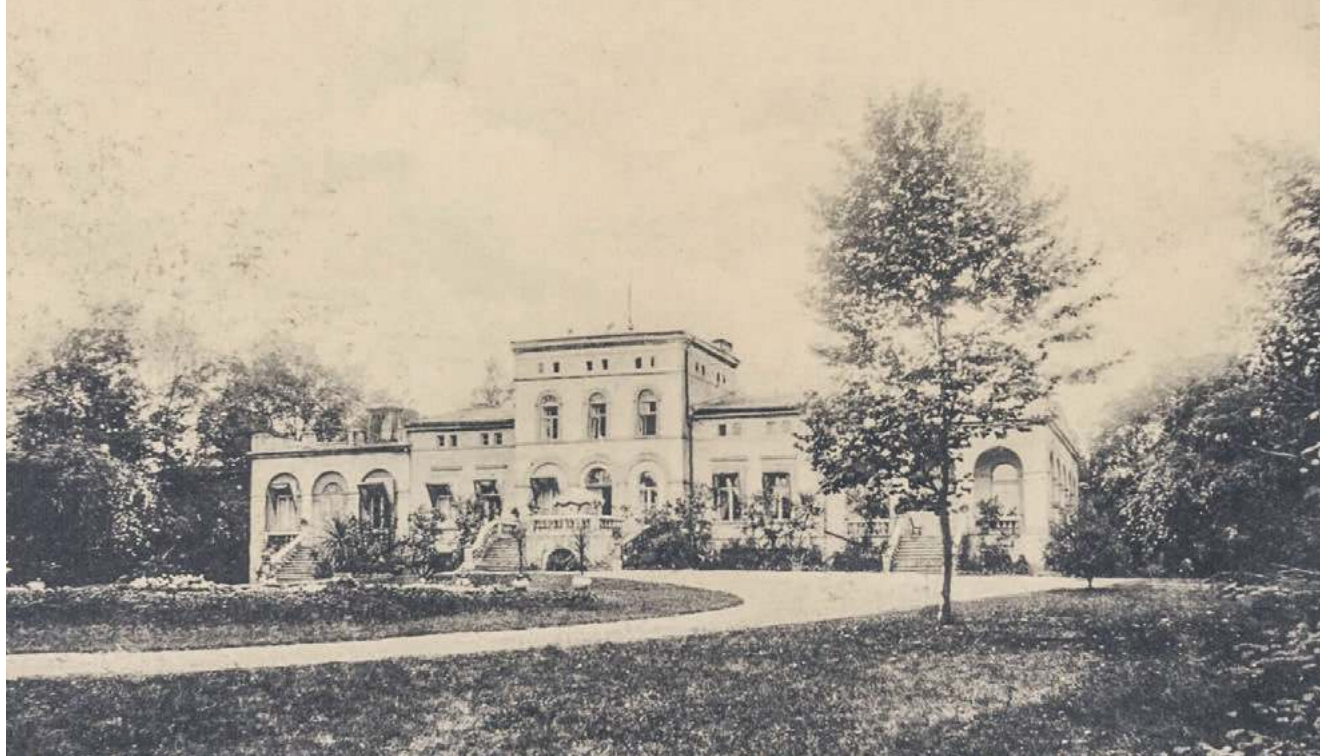
Zasłużona dla sprawy niepodległości, samarytanka, organizatorka opieki nad rannymi, działaczka charytatywna. Szlachetna i ofiarna, niezłomna, ale nie ostentacyjna patriotka, wymykała się stereotypowym pojęciom i ocenom związanym z ziemiankami owego czasu. Bywa porównywana do Florence Nightingale, angielskiej pielęgniarki i działaczki społecznej, która podczas wojny krymskiej (1853-1856) zorganizowała opiekę nad rannymi żołnierzami, a w 1860 r. założyła pierwszą szkołę tej specjalności. Od 1912 r. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża przyznaje Medal Florence Nightingale: najwyższe odznaczenie zawodowe przyznawane pielęgniarkom.

Czas na pamięć

Od urodzin Emilii Szczanieckiej upłynęło 220 lat. To okazja, by przypomnieć tę najwybitniejszą Wielkopolankę XIX wieku. Wielka szkoda, że aby pokazać dziś jej zasługi, trzeba ją porównywać z innymi podobnymi jej działaczkami z odległych państw, którym w niczym zasługami nie ustępowała (a o wstydzie, jaki budzi stan pałacyku w Pakosławiu, lepiej nie wspominać).

Czas najwyższy, by w Poznaniu stanął jej pomnik. A przynajmniej popiersie, np. w hallu poznańskiego Bazaru. W tym miejscu stała kiedyś kamieniczka siostry panny Emilii, w której ona zatrzymywała się przy okazji pobytu w stolicy Wielkopolski. ©

MAREK REZLER jest historykiem i publicystą regionalnym, autorem szeregu książek poświęconych dziejom Wielkopolski, w tym cyklu opracowań o udziale wielkopolan w powstaniach narodowych, zwłaszcza w powstaniu wielkopolskim lat 1918-1919, dziejom Poznania i Wielkopolski w XIX i XX wieku, artykułów, audycji radiowych i telewizyjnych; wygłasza na te tematy wykłady i prelekcje.



Pałac Emilii Szanieckiej w Pakosławiu. Ilustracja z książki Leonarda Durczykiewicza „Dwory polskie w Wielkim Księstwie Poznańskim”, wydanej w Poznaniu w 1912 r.

Najdłuższe życie nowoczesnej Europy

STANISŁAW ZASADA

**W swoich dawnych dobrach Emilia Szaniecka
patronuje szkołom i ulicom, ma pomniki – oraz swój grób.
Tutaj o niej słyszał każdy. Wyruszmy przez Wielkopolskę
śladem miejsc z nią związanych.**

Takieś trzydzieści lat temu Robert Jans zajechał do wielkopolskiej wsi Pakosław (dziś powiat Nowy Tomyśl). Przed sklepem GS-u za-
pytał dwóch mężczyzn o pałac Szaniec-
kiej.

– Panna Emilia Szaniecka! – poderwali się z ławki i poprawili go.

– Jednemu aż butelka z ręki wypadła ze wzburzenia – dodaje Jans. Zrozumiał, jakim szacunkiem mieszkańcy dawnych posiadłości Szanieckich darzą arystokratę sprzed dwóch stuleci.

Tutaj się urodziła, tu dbała o miejscową ludność: założyła szpital, szkołę, ochronkę. A gdy trzeba było – spiskowała. Po długim życiu na tych ziemiach chciała być tutaj pochowana.

Ruszyłem wielkopolskim szlakiem panny Emilii.

BRODY POZNAŃSKIE: lipa pamięta

Zegar na placu przy głównym skrzyżowaniu pokazuje dziewiątą dziesięć.

W Brodach rześki wiosenny poranek. Cisza. Słyszeć tylko, jak ptaki śpiewają. I głos wuefisty, który zaraz wypuści uczennice do biegu koło szkoły. – Minuta dwadzieścia, minuta dwadzieścia pięć – odmierza czas biegaczkom.

A jak było dwieście dwadzieścia lat temu, gdy rodziła się Emilia Szaniecka?

Napoleon nie był cesarzem jeszcze, Mickiewicz miał kilka lat. Słowacki, Chopin i Norwid mieli się dopiero urodzić.

W Brodach stał już kościół z modrzewia pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła. Tabliczka przed świątynią informuje, że w 1804 r. została w nim ochrzczona Emilia

Szaniecka – „lokalna patriotka”, a w roku 1939 – Zenon Grocholewski (późniejszy kardynał i prefekt watykańskiej Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej pochodził z pobliskich Bródek).

W środku pachnie starym, trochę zatęchłym drewnem – jak to w drewnianych kościołach. Proboszcz ksiądz Konrad Jędrzejczak mówi, że nie ma już chrzcielnicy, przy której jego odległy poprzednik chrzczył Emilię. Ani ksiąg parafialnych sprzed dwustu lat – tych trzeba by szukać w diecezjalnym archiwum.

Pokaże mi za to trumienne tablice Szanieckich, które wiszą w kościele. Jedna należy do zmarłego w 1810 r. Łukasza, ojca Emilii. To pierwsza życiowa tragedia, jaka ją spotkała. Sześćioletnia, mocno przeżywała jego śmierć. Niedługo potem

straci matkę. Wychowa ją babka, Anastazja ze Skórzewskich.

Proboszcz wspomina czasem Emilię w kazaniach, przeważnie z okazji patriotycznych świąt. Okazji jest sporo. Na zewnętrznej ścianie kościoła wisi tablica z nazwiskami powstańców wielkopolskich z tych terenów. Naprzeciw pomnik z nazwiskami ponad 250 tych, którzy zginęli również na wojnie z bolszewikami i obu wojnach światowych.

Drewniany kościół przyciąga nowożeńców. Proboszcz mówi, że ma śluby „z całego świata”.

Nie ma już za to dworu, w którym Emilia przyszła na świat. Stojący przy wjeździe do wsi neorenesansowy pałac postawił Paul Pflug, który odkupił Brody od Szczanieckich. Należy teraz do Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Czasy Emilii pamiętają za to dwa dzwony w drewnianej dzwonnicy o pochylonych ścianach. I stara lipa przy kościele: czterechsetletni pomnik przyrody rozrósł się, w obwodzie ma ponad sześć i pół metra. Lipa była już wiekowa, gdy 220 lat temu przyniesiono do kościoła na chrzest małą Emilkę.

Kiedys odprawia tu za nią pogrzebową mszę. Ale to później.

PAKOŚLAW: powstańczy szpital

– Pomagała biednym, szpitalik założyła – dwóch sąsiadów, którzy zesłali się na pogawędkę, chwali się przede mną znajomością biografii Szczanieckiej.

W Pakoślawiu takie samo senne przedpołudnie jak w niedalekich Brodach. Największy ruch koło dyskontu, ludzie od rana podjeżdżają autami po zakupy.

Sołtys Andrzej Basiński mówi, że najsłynniejszą obywatelkę Pakoślawia zna każdy mieszkaniec. A to z opowieści w domu, a to ze szkoły, której Emilia Szczaniecka patronuje. To stąd prowadziła „najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy” z pruskim zaborcą – jak nazwali zmagania wielkopolskich organiczników twórcy słynnego serialu (wyprodukowanego przez Telewizję Polską na przełomie lat 70. i 80. XX w.). Tutaj przyjmowała emisariuszy z Ludwikiem Mierowskim.

Na skwerku przy rozstaju dróg postument z jej popiersiem (włosy upięte w kok, z wplecionym kwiatem, odsło-



Spółka „Bazar Poznański” była jednym z bastionów polskości; tu na zdjęciu z dwudziestolecia międzywojennego.

nięty dekolt, krzyżyk na łabędziej szyi). Na brukowej kostce wiązanka sztucznych kwiatów, białych i czerwonych. Wyblakła już, zapewne z ostatniego Święta Niepodległości.

Obok szkoła – a jakże, też nosi imię Szczanieckiej. Na pamiątkę tej, którą sama założyła. Tak jak ochronkę.

– Żeby wiejskie dzieciaki też zdobywały wiedzę – powie mi potem Robert Jans.

Emilia z postumentu patrzy na starą wiejską chałupę, krytą czerwoną dachówką, otoczoną resztkami muru i żywopłotem. „W 1834 roku w tym budynku z inicjatywy Emilii Szczanieckiej powstał szpital – przytułek dla kalek i weteranów działań powstańczych” – czytamy na tabliczce. Jedynie plastikowe okna zaburzają trochę historię.

To ten szpitalik, o którym mówili dwaj zagadani sąsiedzi. Szczaniecka założyła go dla listopadowych powstańców, którzy odnieśli ciężkie rany. Dwóch z nich zabrała ze sobą z powstańczego lazaretu: Antoni Golec był bezręki, niejaki Krawczyk stracił nogę.

– Jakby tu ludzie nie mieszkali, toby się dawno rozleciało – kobieta w średnim wieku usłyszała dzwonek, rozmawia w progu. Mówi, że sama mieszka w tym budynku „ze trzydzieści lat”.

Pytam, czy jest dumna z historycznego miejsca. – A z czego mam być dumna, jak ciągle za przewodniczkę robię? – nie kryje drobnej pretensji, bo oderwałem ją od pracy.

Znowu

PAKOŚLAW: teren prywatny

Moim przewodnikiem jest Szymon Koniczny. Młody historyk i regionalista, prowadzi Ośrodek Wiedzy o Regionie we Lwówku. – Tutaj wszyscy mają ją za bohaterkę – mówi o pannie Szczanieckiej.

Pomiędzy dawnymi folwarcznymi zabudowaniami idziemy obejrzeć dawny pałac, który Emilia zbudowała. Ten, o który Robert Jans pytał pijących tanie wino pod gieesem.

Pałac postawiono na lekkim wzniesieniu, otoczono parkiem. Kiedys w nim spacerowała. Pod koniec życia na wózku inwalidzkim. Raz spotkała zarządcę majątku: urodziła mu się czwarta córka, był markotny, że znów nie doczekał się syna. Kazała mu pójść do oranżerii i ściąć dla żony bukiet róż.

Dziś w dawnym pałacowym parku tabliczki ostrzegają, że to teren prywatny, wstęp wzbroniony – posiadłość ktoś kupił. Z Szymonem łamiemy zakaz, podchodzimy blisko. Budynek opuszczony, w ruinie, straszą puste okna. Żadnych robót nie widać.

– Wstyd – miejscowi narzekają na zrujnowany pałac. Ale sołtys Basiński jest dobrej myśli: nowi właściciele obiecali otworzyć w nim ośrodek dla dzieci i młodzieży z problemami psychicznymi.

– To bardzo na czasie i w duchu Szczanieckiej.

Co będzie, zobaczymy... Na razie straszny ruina.

WĄSOWO: o uczuciach

→ Miejsce na weselne przyjęcie idealne. Nawet jeśli miłość między Emilią a Karolem Marcinkowskim się nie zdarzyła – romantyczna legenda została.

Miała może 16 lat, gdy go poznała. O cztery lata starszy Karol był korepetytorem jej braci i bywał w Wąsowie. Ponoć wtedy się zakochali.

A może gdy miała lat 24, zapadła na tyfus i straciła przytomność? Wezwano doktora Marcinkowskiego. Zaryzykował staroświecki już zabieg: pacjentka wybudziła się z letargu, gdy przyłożył rozpalone żelazko do jej kości ciemieniowej.

Pisał o tej miłości Maurycy Mann w polowie tamtego stulecia. W dwuaktowym dramacie „Sztuka i miłość” opisał romans niejakiego Karola i Kassylidy. Wszyscy się domyślali, że o Marcinkowskiego i Szczaniecką chodzi. On już nie żył, ona zbyła historię milczeniem. Sztuka była słaba, szybko o niej zapomniano.

Do uczucia między Karolem i Emilią odwołali się też twórcy „Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”. Jego gra Mariusz Benoit, ją Joanna Sobieska. Ona posyła mu powłóczyście spojrzenia, inwestuje w założoną przez niego Spółkę Akcyjną „Bazar Poznański”.

Ich filmowy dialog, gdy zagłosowała za jego pomysłem:

– *Dziękuję ci, Emilio.*

– *Przecież wiesz, że zawsze cię będę popierał.*

– *Dlaczego?*

– *Bo zawsze masz rację.*

Powstało sporo innych opowieści. Że Emilia i Karol do końca życia pozostali w samotności z wierności. Albo że niešťczęśliwą miłość przelali na tę do ojczyzny – jak u Maurycego Manna.

Do miłosnego wątku Marcinkowskiego i Szczanieckiej historycy odnoszą się z dystansem.

– Takie tam legendy – regionalista Szymon Konieczny sprowadza mnie na ziemię. – Wiadome było, że nie mogą być razem – historyk ma na myśli różnice stanowe obojga. Emilia była arystokratką,

Karol drobnym mieszczańcem. Takie czasy.

Zresztą z innego powodu są te wesela w Wąsowie: bo pałac, park, romantyzm. Weselni goście bawią się w odrestaurowanym spichlerzu. Ilu z nich wie o pannie Emilii i doktorze Marcinie?

W dawnym pałacu (pastelowa białozłota elewacja, nad głównym wejściem herb Skórzewskich i Szczanieckich) jest hotel.

– Niektórzy specjalnie tu przyjeżdżają z powodu Szczanieckiej, a niektórzy dopiero na miejscu się dowiadują, co to za miejsce – mówi recepcjonistka.

Tabliczka przed pałacem – na wzór tych w Brodach i Pakosławiu, z tym samym portretem Emilii – informuje tylko, że to „rodowa siedziba Szczanieckich”. O legendzie na temat Emilii i Karola ani słowa.

LWÓWEK: czekanie na wyrok

– Na pewno w tych stallach siedziała – Szymon Konieczny pokazuje zdobione ławy w prezbiterium kościoła we Lwówku, trzytysięcznym miasteczku w powiecie Nowy Tomyśl.

Gotycka świątynia stoi blisko rynku. Ma aż trzy wezwania: Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i dwóch Janów, Chrzciela i Ewangelisty. To najstarszy zabytek Lwówka. Szczaniecka zamówiła tu żałobne nabożeństwa za duszę niejakiego porucznika Conrada – był jej znajomym, poległ w powstaniu listopadowym, gdy bronił Warszawy przed Rosjanami.

We Lwówku spędziła dwa lata. Po klęsce tamtego powstania mieszkała w dawnym pałacu Łackich (to krewni ze strony jej matki). W odnowionym budynku są teraz mieszkania i przychodnie lekarskie. Dwieście lat temu też zajmowano się tutaj chorymi: Emilia przywiozła ze sobą z Warszawy dwóch inwalidów. To z ich powodu założył szpitalik w Pakosławiu.

– Łamię krzywdzące stereotypy o wielkopolanach, że nie robili powstań, że tylko pracą organiczną się zajmowali – regionalista Konieczny wraca do opowieści o Emilii. – Ona miała swój udział przy trzech powstaniach.

Siedzimy w przeszklonym pawilonie na schludnym po wielkopolsku rynku. Szymon opowiada, że dwieście lat temu leżący w zaborze pruskim Lwówek był centrum polskości. Miał tyle mieszkańców co dziś, a zdecydowaną większość stanowili Polacy.

Przypomina, że Emilia przeżywała we Lwówku trudny czas: za udział w powstaniu listopadowym Prusacy nałożyli sekwestr na majątek w Pakosławiu, ją skazali na pół roku więzienia. Czekala w tym miejscu na egzekucję obu wyroków. W końcu sekwestr zdjęto, amnestia cofnęła karę więzienia.

Wychodzimy na pusty w południe rynek. Pogoda jakby chciała się dostosować do popowstaniowego nastroju panny Szczanieckiej: chmury zakrywają słońce, zaraz spadnie drobna mżawka.

POZNAŃ: czekając na pomnik

W stolicy Wielkopolski Emilia wraz z siostrą pobierała nauki w żeńskiej pensji. Mieszkała wtedy przy rynku. Wiadomo, że jako dziesięciolatka widziała w Poznaniu przejazd żałobnej kolumny z ciałem księcia Józefa Poniatowskiego (w 1813 r. poległ w bitwie pod Lipskiem, jego szczątki sprowadzono przez Poznań na Wawel). Później często bywała w Poznaniu; zatrzymywała się wtedy w kamienicy siostry.

Dziś Emilia ma swoją ulicę w dzielnicy Łazarz. Jest tu kilka zabytkowych kamienic, przeważa nowoczesna zabudowa. Pytam przechodniów, czy kojarzą patronkę ulicy. Okazuje się, że nie za bardzo:

– Dziewiętnasty wiek? – młody adwokat po namyśle.

– Nie – trzy nastolatki, zdziwione pytaniem.

– Jakaś działaczka. Ale co robiła, to nie wiem – jowialny mężczyzna w średnim wieku.

W Poznaniu Emilia ma również epitafium. Ufundowały je w 1898 r., dwa lata po jej śmierci, wielkopolanki (tak się podpisały). Znajduje się na murze okalającym kościół św. Wojciecha. Tablica jest we wnęce, trochę popękana. „Wiernej Bogu

i Ojczyźnie” – tak ją nazywały fundatorki. „Światłość wiekuista niech Jej świeci” – kazały napisać u dołu.

Poznańska Skalka – tak nazywają kościół św. Wojciecha. Sto lat temu ówczesny proboszcz zaczął przenosić do niego szczątki znanych Wielkopolan. Kogo tu nie ma. W Krypcie Zasłużonych: Józef Wybicki, uczestnik szarży pod Somosierrą Andrzej Niegolewski, Feliks Nowowiejski, podróżnik Paweł Edmund Strzelecki. I serce generała Jana Henryka Dąbrowskiego. W kościele grób Karola Marcinkowskiego. Ma on również swoje epitafium na świątynnym murze. Kilkanaście kroków od epitafium Emilii.

Jest projekt, aby w Poznaniu wreszcie stanął jej pomnik lub choćby popiersie. Pomysłodawcy uważają, że najlepszą lokalizacją byłby Bazar – miejsce tak ważne dla wielkopolskich wysiłków niepodległościowych, w sąsiedztwie rynku, a przy tym łączące postacie i Szczanieckiej, i Marcinkowskiego.

MICHORZEWO: jak komornica

W szkolnym hallu patrzy z wielkiego kolorowego portretu. Uczesana w kok, we włosach ten sam kwiat, na piersiach krzyżyk – jak na postumencie w Pakosławiu. Przed szkołą kamień z tablicą i jej słowami: „Ojczyznę kochać, jej służyć, dla niej życie poświęcić”.

W dawnym dworcu jest dom opieki. Główna ulica w Michorzewie nosi jej imię.

Niedaleko stąd Robert Jans założył swój ośrodek szkoleniowo-rekreacyjny. „Jansowo” leży w dawnych dobrach Szczanieckich.

„Poznańczyk” i „fan Emilii Szczanieckiej” – mówi o sobie Jans. W jednej z sal zebrał pamiątki z jej epoki. Uważa, że mała Emilka musiała biegać po tutejszych łąkach, gdy wracała z kościoła w Michorzewie.

Świątynię ufundowała jej babka Anstazja Szczaniecka. W zakrystii wisi portret babki, a przy kościelnym murze jest jej grób. Wnuczka też chciała być tutaj pochowana. I tak się stało: spoczywa zaraz przy kościele. Grób z czarnego granitu, ze złożonymi literami, otoczony żeliwnym łańcuchem. Od razu widać, że ktoś zacytował.

Nie tak chciała. Ale testamentu nikt nie posłuchał.



Portret młodego doktora Karola Marcinkowskiego autorstwa Stanisława Łukomskiego.

POLONA.PL



Emilia Szczaniecka w ostatnich latach życia. Zdjęcie wykonane w Zakładzie Fotograficznym A. i F. Zeuschnerów w Poznaniu.

POLONA.PL



Epitafium Emilii Szczanieckiej przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu.

WIKIPEDIA.ORG

Ona zadysponowała, że trumna miała być jak „dla komornic” (komornica – tak nazywano wówczas bezrolne chłopki, pomieszkujące u kogoś w domu, czyli w cudzej komorze). Ale zamiast prostej, z „jesionowych desek”, była zdaje się bardziej godna.

Pogrzeb miał być „bez żadnej pompy”. A żałobny kondukt ciągnął się na 12 kilometrów. Tyle jest z Pakosławia do Michorzewa. Arcybiskup Florian Stablewski zjechał, żeby ją żegnać.

„Śmierć moja nie ma być ogłoszona w dziennikach” – tak chciała. Dwa dni po śmierci „Kurier Poznański” wydrukował jej testament, „Dziennik Poznański” dał nekrolog, że umarła „iście polska niewiasta, obywatelka, patriotka, która w niedoli ogólnej brała czynny udział”.

Gdy odchodziła w 1896 r., miała 92 lata. Przeżyła prawie całe stulecie.

Ile za jej życia się wydarzyło? Gdy umiera, Francją rządzą prezydenci, nie ma już romantyków, kończy się pozytywizm, zaczyna Młoda Polska, maluje już Malczewski, na świat zdążyli przyjść poeci Skamandra (Iwaszkiewicz, Słonimski, Tuwim, Wierzyński). Za kilka lat dzieci we Wrześni nie będą chciały mówić *Vater unser* zamiast „Ojciec nasz”. Pewnie poparłaby ich strajk.

Nagrobek niedawno odnowiono: lśni, jakby kamieniarz wczoraj go skończył. Pałą się znicze. W wazonie siedem czerwonych róż. Świeże, jakby przed chwilą ktoś je przyniósł. Na plebanii dowiem się, że to pamiątka po niedawnej wizytacji biskupa.

„Strażniczka wiary, mienia i języka polskiego”, „organizatorka pomocy i służby samarytańskiej”, „propagatorka oświaty, edukacji i czytelnictwa” – czytam złożoną inskrypcję na płycie. Pewnie skrzywiłaby się i na to. Powiedziała by może, że wystarczy zdanie na krzyżu pod imieniem i nazwiskiem, gdzie o modlitwę prosi.

Spełnię jej życzenie, zostawię znicz. ©

STANISŁAW ZASADA jest reporterem, mieszka w Poznaniu. Ukończył polonistykę na UMK w Toruniu i Polską Szkołę Reportażu. Ostatnio w wydawnictwie Agora ukazała się jego książka „Kurierka. Historia kobiety, która mogła zatrzymać Holocaust”. Publikuje w „Press”, „Gazecie Wyborczej” i „W drodze”. Stale współpracuje z „TP”.

EWOLUCJA NIE MOŻE SIĘ ZDECYDOWAĆ

MARLENE ZUK, BIOŁOŻKA:

Ludzie się śmieją, że chrząszcze próbują spółkować z butelką po piwie.

Ale wyobraźmy sobie samca odrzucającego wszystkie samice, które trochę odbiegają od normy.

To dopiero byłby błąd!

MARIA HAWRANEK: Mówi Pani często, że owady przełamują wiele barier w seksie, które mają ludzie. Choćby ważki.

MARLENE ZUK: Niektórzy ludzie zarzucają mi, że nie ma czegoś takiego jak bycie samcem i samicą, bo płciowość to spektrum. Ale pod wieloma względami stoi to w sprzeczności z tym, co przyroda, a szczególnie owady, nam pokazują.

spektrum zachowań kojarzonych z każdą z tych płci. Gdybyśmy lepiej rozumieli ten podział, zaoszczędzilibyśmy sobie wiele nieporozumień.

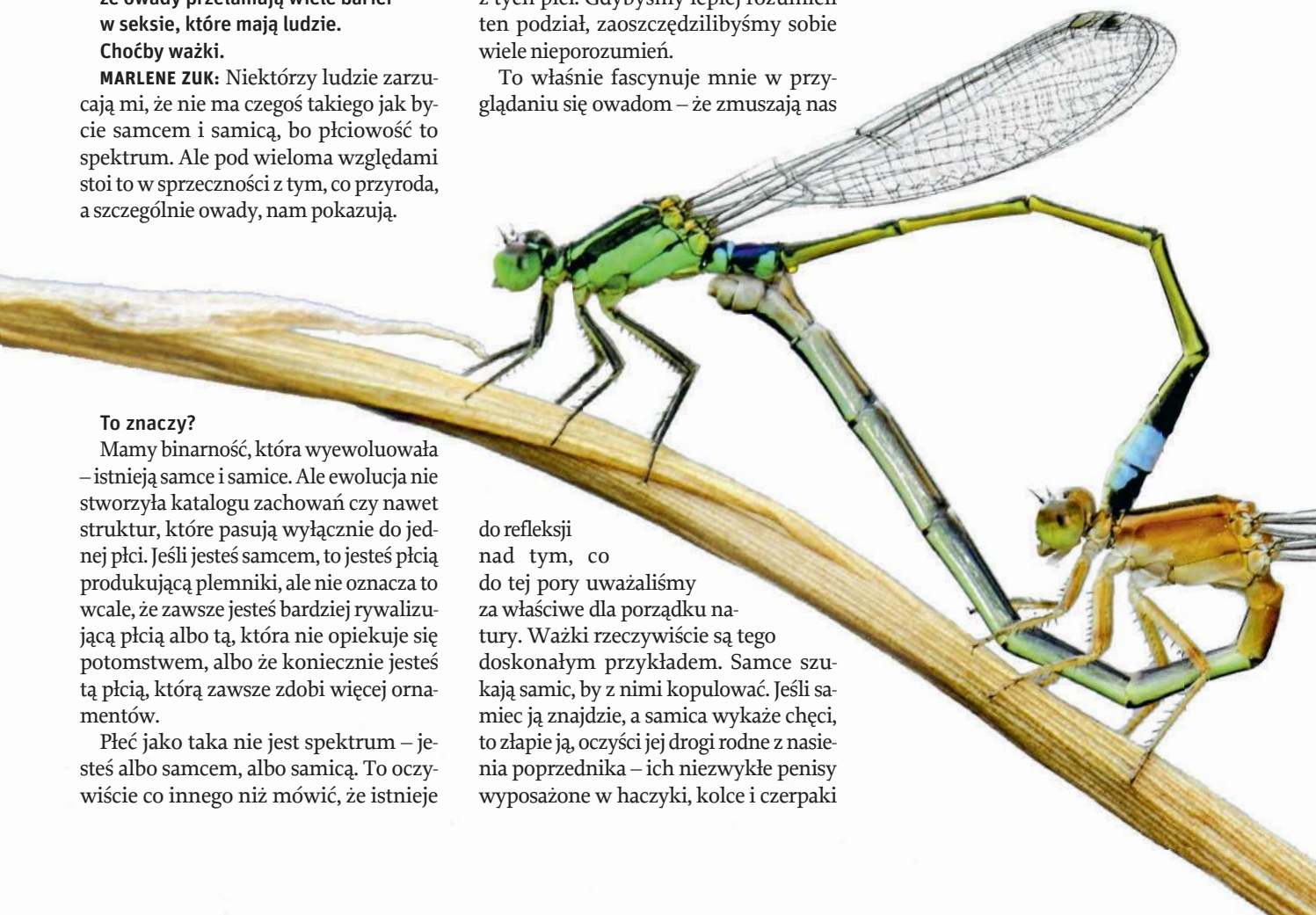
To właśnie fascynuje mnie w przyglądaniu się owadom – że zmuszają nas

To znaczy?

Mamy binarność, która wyewoluowała – istnieją samce i samice. Ale ewolucja nie stworzyła katalogu zachowań czy nawet struktur, które pasują wyłącznie do jednej płci. Jeśli jesteś samcem, to jesteś płcią produkującą plemniki, ale nie oznacza to wcale, że zawsze jesteś bardziej rywalizującą płcią albo tą, która nie opiekuje się potomstwem, albo że koniecznie jesteś tą płcią, którą zawsze zdobi więcej ornamentów.

Płeć jako taka nie jest spektrum – jesteś albo samcem, albo samicą. To oczywiście co innego niż mówić, że istnieje

do refleksji nad tym, co do tej pory uważaliśmy za właściwe dla porządku natury. Ważki rzeczywiście są tego doskonałym przykładem. Samce szukają samic, by z nimi kopulować. Jeśli samiec ją znajdzie, a samica wykaże chęć, to złapie ją, oczyści jej drogi rodne z nasienia poprzednika – ich niezwykle penisy wyposażone w haczyki, kolce i czerpaki



przypominają szwajcarskie scyzoryki – i następnie złoży swoją spermę. Oczywiście między samcami toczy się rywalizacja i jedne odganiają drugich od samic. A co się stanie, jeśli niektóre samce nie będą wyglądać jak samce? Nie będą odganiane.

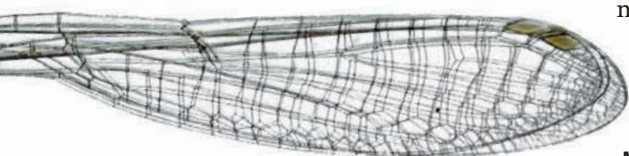
Czyli mamy samce wyglądające jak samice.

Dobór naturalny doprowadził do powstania samca, który go nie przypomina – nie ma charakterystycznych dla samców kolorów – ale nadal nim jest, czyli produkuje spermę i zapładnia. Dzięki temu samce przypominające samice mają swobodniejszy dostęp do samic – mogą z nimi spółkować bez przyciągania uwagi innych samców, chcących walczyć o ich względy. Czyli robią to, co zawsze robią samce, ale nie wpisując się w założenia, które mają ludzie.

Dobrze rozumiem, że niektóre samce wyglądają jak samice, a inne pozostają dalej ubarwione w typowy sposób? Ewolucja nie zdecydowała, która ścieżka jest bardziej owocna?

Najbardziej interesujące jest to, że ewolucja nie może się zdecydować! Gdyby miała podjąć taką decyzję, zrobiłaby to już dawno temu. Ten przykład wspaniale pokazuje kolejne wyzwanie, które przed nami stoi – próbę zrozumienia, jak jest utrzymywane zróżnicowanie wewnątrzgatunkowe. Nie ma jednego najlepszego sposobu na działanie, mogą być dwa, trzy lub kto wie ile, i wszystkie mogą przetrwać ze względu na relacje, w jakich z sobą pozostają.

Nie da się rozstrzygnąć, która strategia jest lepsza, tak jak nie da się odpowiedzieć na klasyczne pytanie, czy lepiej być drapieżcą czy ofiarą. Każdy z tych stylów życia ma swoje wady i zalety.



Ważki *Ischnura senegalensis*.

Niektóre samice tego gatunku upodabniają się do samców, co pozwala im unikać uciążliwych zalotów.

Inny interesujący przypadek to chrząszcz trojszyk ulec. Samce czasem spółkują z innymi samcami. Bywa, że później samiec przystępuje do kopulacji z samicą i w efekcie zapładnia ją dwoma rodzajami nasienia – swoim i cudzym. Bardzo się to kłóci z kolejnym ludzkim przekonaniem o zbędności homoseksualizmu jako ścieżki ewolucyjnej.

Powinniśmy tu mówić o zachowaniach homoseksualnych, a nie homoseksualizmie czy orientacji homoseksualnej. Bo nie wiemy, co dzieje się w głowach tych zwierząt, możemy tylko obserwować ich zachowanie.

W zeszłym roku opublikowałam z Jonem Richardsonem artykuł o zachowaniach homoseksualnych owadów. Samcom świerszczy prezentowaliśmy cztery rodzaje osobników: samice, samców, młodych, których płci nie mogliśmy rozróżnić, oraz małe plastikowe chrząszcze. Okazało się, że reagują na wiele różnych osobników, z wyjątkiem plastikowych.

Zaproponowaliśmy, by do opisu ich zachowania wykorzystać pojęcie filtra kopulacyjnego (*mating filter*). Ten filtr może mieć różne właściwości: jeśli jest szeroki, to osobniki próbują się zalecać do wszystkiego, co choć trochę przypomina potencjalnego partnera. Dzięki takiemu podejściu nie ładujemy w myśleniu: oto mamy wielką ewolucyjną zagwozdkę, skąd się wzięły biseksualne ślimaki. Nie wydaje mi się, żeby to była produktywna ścieżka myślenia.

Kiedy myślisz o osobnikach łączących się w pary, to podstawą jest, by kojarzyły się z partnerami należącymi do tego samego gatunku – inaczej zazwyczaj nie będzie płodnego potomstwa lub też potomstwa w ogóle. Sposób, w jaki osobniki rozpoznają gatunki, i co się dzieje, gdy ta identyfikacja się załamuje, to wielki obszar badań. Ale kluczowe jest to, że osobniki kierują się pewnymi charakterystykami. I gdy ich filtr uwzględnia większą różnorodność, to może dojść do błędu.

Możemy to pokazać na przykładzie?

Powiedzmy, że będziesz spółkować z niebieskimi osobnikami. Ale w przyrodzie są też inne niebieskie przedmioty. Zwykle, gdy będziesz spółkować z kółkiem niebieskim, będzie to przedstawiciel

twojego gatunku – ale czasem zobaczysz coś niebieskiego, co jest przedstawicielem innego gatunku. Wiele osób słyszało o chrząszczach próbujących spółkować z butelką po piwie, bo jej dno ma kształt i kolor przypominający samicę chrząszcza. Ludzie myślą: to żalosna i śmieszna pomyłka. Z pewnością w tym kontekście jest to błąd. Ale wyobraźmy sobie chrząszcza odrzucającego samice, które trochę odbiegają od normy. Gdyby ciągle tak robił, nieustannie traciłby szanse na kopulację. To dopiero byłby błąd! Mówi się w tym kontekście o zasadzie czujnika dymu: lepiej parę razy odpowiedzieć na fałszywy sygnał niż raz przeoczyć ten prawdziwy.

Z drugiej strony są takie pasikonikowate, które składają samicom kosztowne prezenty ślubne.

Gdy samice je spożywają, one spokojnie z nimi kopulują. Te samce z kolei dokonują bardzo wyrafinowanej selekcji. Czyli znowu: różnorodność?

Dokładnie tak! Przyroda nam pokazuje, że bycie samcem wcale nie oznacza, że spółkujesz z czym się da. Nadal jesteś samcem, nawet jeśli produkujesz gigantyczny prezent ślubny – spermatofor – który waży tyle, co jedna trzecia twojego ciała. Nadal jesteś samcem i nadal produkujesz spermę. I w tym przypadku dobór naturalny będzie wspierał te samce, które bardziej uważnie wybiorą samice, niż te, które dadzą spermatofor pierwszej z brzegu, bo to te wybredne spłodzą więcej dzieci.

Co ciekawe, samice nie są biernymi adresatkami zalotów. Ewolucja stworzyła mechanizmy, które pozwalają im nawet po kopulacji wpływać na ich reprodukcję.

U ludzi sprawa jest prosta: jest kopulacja, dochodzi do zapłodnienia albo nie. Jeśli tak, będzie z tego jedno, może dwoje dzieci. Ponieważ owady mogą spółkować wiele razy i mogą przechowywać spermę wielu różnych samców i to nawet przez długie lata – jak królowe pszczoł czy termitów – otwierają się przed nimi niewyobrażalne dla nas opcje.

Samice mogą wybierać spermę.

Wspomniany w Pani książce „Seks na sześciu nogach” badacz Randy Thornhill nazwał to „tajnym

→ **wyborem samicy". Przytacza też Pani badanie Tatyany Fediny, która obserwowała kopulację samców trojszka z martwymi samicami, samicami sparaliżowanymi i samicami zdrowymi. Unieruchomienie mięśni samicy spowodowało zmiany w zakresie rozkładu liczebności plemników trafiających do różnych części układu rozrodczego. Jeśli mogła kopulować z dwoma samcami, ojcem większej liczby potomstwa zawsze pozostawał większy z nich, niezależnie od kolejności, w jakiej kopulowali. Asymetria musi być efektem działania samicy.**

Założmy, że samica spółkuje z pięcioma samcami, ale jej potomstwo nie jest między nich równo podzielone – przeważać będzie potomstwo jednego lub dwóch – i będzie to zależeć nie tylko od rywalizacji plemników, ale też od jej działań, oczywiście nieświadomych. Uwielbiam owady, bo stawiają nas przed wyzwaniem zaprzestania wymyślania historii, które opierają się na założeniu, że owady to małeńcy ludzie. Nie możesz powiedzieć: ach, samicy bardziej podobał się Joe niż Greg, więc skorzysta ze spermy Joego i podejmuje w tym obszarze świadomą decyzję. To absurdalne myśleć, że coś takiego mogłoby się wydarzyć u ludzi, a co dopiero u owadów, u których mózg jest wielkości ziarenka maku. Jak niesamowita jest ewolucja tworząca tak złożone zachowania!

Owady przełamują również stereotypy dotyczące rodzicielstwa – znamy przypadki dzieciobójstwa i kanibalizmu. Ale są też takie, które troskliwie opiekują się potomstwem. Nawet ojcowie.

Kandydatką na idealną matkę mogłaby być samica skorka. Po złożeniu jajeczek pozostaje przy nich, usuwa z nich grzyby i wszystkie zanieczyszczenia, a także chroni przed rabusiami. Gdy się

wylęgną młode, mama udaje się na polowanie, by zdobyć mszyce lub inne bezkręgowce. U niektórych gatunków matka częściowo trawi pokarm i dopiero potem go zwraca żebrzącym młodym.

Wśród kandydatów na idealnych rodziców wymieniałabym też chrząszcze zwane grabarzami pospolitymi. Najpierw szukają padliny, by stworzyć zapasy dla swoich przyszłych młodych. Jeśli pierwszy przy padlinie pojawia się samiec, wysyła chemiczne sygnały zapachowe zapraszające samicę. Usuwają z truchła resztki piór, futra i lepią kulkę. Pokrywają ją specjalną wydzieliną, chroniącą przed pleśnieniem. Następnie wykopują dołek i toczą do niego kulkę. Po wykonaniu tej pracy para kopuluje i samica składa jaja tuż przy zakonserwowanej padlinie. Młodziutkie larwy żerują o pokarm, a rodzice w odpowiedzi podają im po odrobinie przygotowanych wcześniej zapasów.

Nieźłym tatą wydaje się też pluskwiak z rodziny *Belostomatidae*. Samce pozwalają samicom przyklejać sobie na plecach jaja i noszą je do czasu, aż młode się wylęgną. Z kolei biedronki, jak wiele owadów, oprócz normalnych jaj produkują też tzw. jaja troficzne, niezapłodnione, które mogą stanowić zapas pożywienia dla żarłocznych larw.

Arystoteles nie mógł pojąć, że pszczoły żołnierki są samicami. Zna Pani bardziej współczesne przykłady tego, jak nasze uprzedzenia utrudniają nam zrozumienie owadów?

Opowiem może o jednym z uprzedzeń, które, jak sądzę, naprawdę obaliliśmy. To założenie, że owady są jak roboty, nie są w żaden sposób inteligentne i nie potrafią uczyć się złożonych rzeczy. Interesuje mnie to, co ludzie sądzą o inteligencji jako takiej i jej ewolucji – piszę o tym trochę w mojej ostatniej książce. Teraz jest trochę tak, że co chwilę mamy zwierzę-bohatera miesiąca. Pojawiają się badania które mają dowodzić jego inteligencji, i nagle wszyscy się tym ekscytują: kruki, papugi, szopy. A jednocześnie ludzie mają przekonanie, że mrówki, pszczoły czy karaluchy nie mogą być inteligentne.

Tymczasem pszczoły potrafią liczyć.

Potrafią nauczyć się wielu rzeczy – np. rozpoznawać ludzkie twarze i rozwiązywać zagadki. Niedawno czytałam artykuł

o bawiących się trzmielach, w którym postawiono pytanie: czy mają świadomość?

Czasem porównuję to do takiego wyobrażenia: mamy kosz, w którym sami jesteśmy, i wkładamy do niego kolejne gatunki. Oczywiście są tam już szympansy, delfiny, kruki i papugi. Jakiś czas temu pojawił się w „New York Timesie” tekst o sępach – więc dorzucamy sępy. I tak dalej. W efekcie będziemy mieć kosz pełen zwierząt, o których zdecydowaliśmy, że robią rzeczy jak ludzie. I co w związku z tym? Ludzie chcą postrzegać zwierzęta jako robiące coś jak ludzie, tymczasem coraz bardziej zdajemy sobie sprawę z tego, że granice między ludźmi a zwierzętami do nich podobnymi lub niepodobnymi są bardzo nieostre. Dlatego owady stanowią doskonały obszar badań. Ich mózgi są tak małe, ich układ nerwowy nie jest tak złożony jak kręgowców, a jednak potrafią robić naprawdę złożone rzeczy.

Mają swoją własną prozę życia – i własne problemy do rozwiązania.

W swoich wykładach opowiadam o tym, jak myślimy o inteligencji zwierząt i jak określamy, czy są inteligentne. Robimy to np. poprzez test lustrzanego odbicia. I wciąż trwa debata na temat tego, które zwierzęta to potrafią, a które nie. Ale co to właściwie pokazuje? Naukowcy sprzecząją się, czy ten test mówi nam coś o samym mózgu, czy nie. Kolejne kryterium, które stosują naukowcy: używanie narzędzi. Niedawno odkryto, że mrówki potrafią używać narzędzi. Piją słodką wodę i kiedy to robią, zwykle dryfują po powierzchni wody. Ale jeśli do tej wody dodać mydła, co obniży napięcie powierzchniowe, zaczynają tonąć. Żeby tego uniknąć, tworzą z piasku syfony i filtrują słodką wodę, by mogły się jej napić. Autorzy tego badania stwierdzili, że to zachowanie świadczy o wysokich zdolnościach poznawczych. Co to znaczy? Nie jestem pewna.

Poznałam australijskiego filozofa, Petera Singera, działacza na rzecz praw zwierząt. Pierwsze, o co mnie spytał, gdy dowiedział się o moich badaniach, to czy sądzę, że świerszcze są świadome. Ludzi kwestia świadomości ogromnie zajmuje, a ja nie zajmuję się tym wcale, podobnie jak kwestią wolnej woli. Świadomość to mglisty obszar nawet w badaniach człowieka.

Z kolei pewien psycholog stwierdził, że to, jak szybko dany organizm się



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycje

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM



XBlickwinkel / EAST NEWS

Po lewej:
Para ważek różowoskrzydłych
Husarza władcy (Anax imperator)

Po prawej:
Para rohatyńców borneańskich
(Xylotrupes gideon).
Samce tych chrząszczy
silnie rywalizują
o partnerki,
w czym pomagają
im ich rogi.



PAN XUNBIN / EAST NEWS

**Zastanawiała się Pani kiedyś,
jak by to było, gdyby ludzie podążali
ścieżką ewolucyjną bardziej zbliżoną
do owadów?**

Ale ludzie to tylko jeden gatunek! Jak porównać życie jednego gatunku do dziesięciu milionów lub więcej? Do którego owada? Czy to możliwe, że byłoby 10 milionów gatunków istot ludzkich, na tyle podobnych, byśmy wciąż uważali je za ludzi? Naprawdę, owady to nie mali ludzie. Ale oczywiście gdybyście chcieli odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by powiedzieć, że musielibyśmy być o wiele, wiele mniejsi – istoty o szkieletcie zewnętrznym nie mogą być duże.

Dwie dekady temu była Pani na Hawajach razem z mężem. Wpadliście na samce pacyficznych świerszczy polnych, które nie mogły wydawać dźwięku godowego. Założyła Pani wówczas, że to adaptacja służąca unikaniu pasożytów – co zostało potwierdzone. Wciąż jednak nie wiem, jak świerszcze rozwiązują dylemat: brak dźwięku chroni przed zarażeniem pasożytem, ale uniemożliwia przywołanie samicy. Jak radzą sobie z utratą sygnału seksualnego?

Samce niezdolne do wykonania pieśni trzymają się blisko samców grających i przechwytyują nadlatujące do nich samice. To dla mnie niesamowite, jak szybko pojawiła się ta strategia.

Jak nieme samce je przechwytyują?

Mówiłam, że owady nie są jak roboty – ale jednak są dość proste. Gdy przypo-

minam moim studentom: „pamiętajcie, to tylko świerszcze”, to wywracają oczami. Ale chodzi mi o to, że one nie siedzą i nie analizują swoich działań. Jeśli samica usłyszała samca, uruchamia się u niej cała seria neurobiologicznych odpowiedzi, które mają związek z jej układem ruchu, układem rozrodczym i wieloma innymi. Czyli usłyszała samca, podchodzi, wpada na jakiegoś i nie będzie się zastanawiać: czy to właśnie ten, którego usłyszałam? Po prostu skorzysta z okazji. Szczególnie, jeśli przebywa w środowisku, w którym nie ma zbyt wielu samców śpiewających. A samiec niemy znajduje się blisko samca śpiewającego, to zwiększy szanse na taką sytuację. To jest część jego wewnętrznego algorytmu.

Niedawno odkryliśmy coś ogromnie ciekawego, ale jeszcze nie wiem, jak to rozumieć. Otóż różne typy samców, które nie potrafią wzywać samic, płodzą więcej potomstwa niż samce śpiewające. Musi być za to odpowiedzialne pewne białko, które samiec produkuje razem ze spermą, odpowiadające albo za ilość plemników albo za ich przyczepność, ale mechanizm tej zależności pozostaje na razie niezrozumiały. Jak zawsze – myślisz, że znalazłaś odpowiedź na jakieś pytanie, tymczasem pojawia się dwadzieścia nowych pytań.

Czy tylko świerszcze pacyficzne wykazują tę adaptację braku wykonywania śpiewu?

Z tego, co wiemy – tak. I tylko występuje ona u tych żyjących na wolności, gdzie obecność much wprowadza

uczy, o niczym nie świadczy, bo pszczoły miodne mogą się nauczyć kolorów bardzo szybko, ich osiągnięcia tutaj przekraczają możliwości kręgowców, zatem to nie może być wskaźnikiem inteligencji – przecież pszczoły miodne nie mogą być mądrzejsze od ludzi.

Powinniśmy zatem podejść do owadów z większą pokorą.

Uważam, że nie powinniśmy oczekiwać, że inne gatunki będą usprawiedliwiać swoje istnienie. Nie każde zwierzę musi do nas machać: hej, to ja, zobacz, jaki jestem przydatny! My nie musimy się tłumaczyć ze swojej użyteczności innym gatunkom – może gdybyśmy musieli, życie na Ziemi wyglądałoby inaczej. Wydaje mi się, że zbyt często działania na rzecz ochrony przyrody idą pod tym względem zbyt daleko, np. kładąc tak wielki nacisk na zapylanie. Oczywiście, zapylenie jest niezbędne do życia w formie, w jakiej je znamy. Ale nie wszystkie owady są zapylaczami i nie wszystkie muszą nimi być. Zresztą fakt, że zapyłają, choć cudowny w skutkach, nie jest powodem ich istnienia.

→ bardzo silną selekcję. Wystarczyło mniej niż 20 pokoleń, by ta adaptacja zmieniła genotyp, fenotyp i zachowanie tego gatunku.

Myśli Pani, że kiedyś nie będą w ogóle wydawać sygnału dźwiękowego? Czy będzie występowała różnorodność, jak u ważek – jedne samce będą przyciągać samice dźwiękiem, inne nie?

Tego chcemy się dowiedzieć. I dlatego to taki ciekawy system do przyglądania się. Jestem też ogromnie zadowolona, że inni ludzie postanowili zbadać świerszcze pacyficzne od stron, które mi nie przysły do głowy. Nathan Bailey, który pracował w moim zespole, przyszedł do mnie i powiedział: sądzę, że środowisko akustyczne, w jakim przebywają, wpływa na zachowanie samców, że to nie jest kwestia zupełnie innego zestawu genów, tylko pewnej elastyczności. Zaproponował, by hodować je w warunkach słuchania pieśni i jej braku. Ja odpowiedziałam: to absurdalny pomysł! Nie wyobrażałam sobie, żeby to miało mieć jakikolwiek wpływ. Ale mnie namówił. I okazało się, że to była jedna z najlepszych ścieżek badawczych, która ogromnie dużo nas nauczyła.

Świerszcze uczą się pieśni z otoczenia?

Nie, nie uczą się pieśni. Skłaniałabym się ku twierdzeniu, że większość zwierząt jest elastyczna, a środowisko



AFRAY PHOTO / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. MARLENE ZUK pracuje na Uniwersytecie Minnesoty. Bada mechanizmy selekcji naturalnej, zachowania zwierząt, głównie owadów, oraz ich interakcje z pasożytami. W 1982 r. wspólnie z Williamem Hamiltonem zaproponowała koncepcję, zgodnie z którą ornamenty płciowe samców są uczciwym sygnałem świadczącym o ich odporności na pasożyty. Doktor *honoris causa* Uniwersytetu w Uppsali i Uniwersytetu w Jyväskylä. Popularyzatorka nauki, autorka wielu książek, m.in. „Riddled with Life: Friendly Worms, Ladybug Sex, and the Parasites That Make Us Who We Are” czy „Dancing Cockatoos and the Dead Man Test: How Behavior Evolves and Why It Matters” (2022). W Polsce w 2012 r. ukazała się książka „Seks na sześciu nogach. Kto bzyka w trawie”.

aktualne lub to, w którym wzrastały, uruchamia w nich określone ścieżki zachowania. Możemy o tym myśleć jako o wewnętrznym algorytmie. Sądzimy, że w przypadku świerszczy jest tak: jeśli wzrastają w otoczeniu dźwięków pieśni, oznacza to, że jest wiele potencjalnych partnerów w okolicy i wielu potencjalnych rywali, generalnie gęstość populacji jest odpowiednia. Mógłby się też znaleźć w cichym środowisku – może to tylko zły habitat? A może niedawno przeszła burza? Nie słyszysz wiele, czyli nie ma wielu potencjalnych partnerek, ale też rywali. Powiedzmy, że jako samica świerszcza masz taki wewnętrzny algorytm: jeśli wokół jest cicho, powinienam być bardziej akceptująca wobec samców, które nie śpiewają. Nie będąc wybrednymi, zwiększają szansę na znalezienie partnera. A to wskazywałoby na istniejącą wcześniej elastyczność w zachowaniu. Czyli świerszcze nie uczą się w miarę dorastania, tylko mają wgraną taką wewnętrzną zasadę. To bardzo częste u zwierząt.

Jeśli zwierzęta dorastają wśród dźwięków, rozwiną inne zachowania lub nawet struktury niż te, które dorastają bez nich. To zjawisko nazywa się plastycznością fenotypową i jest to bardzo dobrze rozumiany w biologii koncept. I z jednej strony to niesamowite, że świerszcze straciły możliwość wzywania samic – ale jednocześnie właśnie tak działa biologia.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas

Sprawdź: TygodnikPowszechny.pl/historieludowe



Drożej? Wręcz przeciwnie!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Dziś mamy dla Was wiosennie
świeżą ofertę prenumeraty!

Tym razem kwartalną. Dla kogo?
Dla wszystkich! Możecie ją
wykupić, nawet jeśli macie już inną
aktywną prenumeratę „Tygodnika
Powszechnego”. Jedynym warunkiem
jest to, żeby ta promocyjna prenumerata została
aktywowana przed 30 września 2025 roku, a zakończyła
się przed końcem roku 2025.

TWOJA KWARTALNA PRENUMERATA. TAK JĄ ZAMÓWISZ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ

CENA

Z WYSYŁKĄ
EKONOMICZNĄ Z WYSYŁKĄ
PRIORYTETOWĄ

■ Kwartał – 13 wydań	160 zł 140 zł	180 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ 52 wydania plus 8 wydań, czyli 2 miesiące gratis w ofercie POKOLENIA*	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALES  **manago**
marketing automation

ERUDYTA Z PODWÓRKA

„Lakuna” nie jest tylko nową płytą Pablopavo i Ludzików. To kolejna księga Małego Testamentu według Pawła Sołtysa, czyli opowieści o zbawieniu od zapomnienia i obojętności.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

NIE TAK DAWNO KTOŚ NIEOBEZNANY kompletnie z autorem Pawłem Sołtysem, nazwijmy go Irek, zagadnął go wprost: „Ale co to za gatunek, w którym piszesz? Kryminały czy coś takiego?”. Siedziałem obok i w pierwszym odruchu wezbrało we mnie politowanie dla Irka, któremu rynek sformatował myślenie. Jednak dwie godziny później przyszło mi do głowy, że może nikt mu dotąd nie pokazał literatury starszej niż gatunki, zdolnej uwieść bez gotowych schematów fabularnych.

Jak więc mógłbym cię, Irku, zaprosić do świata Sołtysa? Może najpierw posłuchaj „Lakuny”. Dwunastu utworów rozmaitych jak linie papilarne. Piosenek o różnych symptomach choroby zwanej miłością, o ciemnych ulicach, o kalece samobójcy, który zostawił w mieszkaniu psa, o śniącym Prosperze i nieprzyjemnej miejskiej kakofonii.

A potem sięgnij po inne płyty Pablopavo, z Ludzikami i nie tylko. I po dwie jego książki: nagrodzone w Gdyni „Mikrotyki” (2017) i równie niezwykłą „Nieradość” (2019).

Życie spychane do PSZOK-ów

Kiedy Paweł Sołtys i ja stoimy na ulicy obok siebie i palimy jego szluko, on czynnie, ja biernie, przechodnie raczej gapią się na mnie, bo znana gęba z ich życiowego paleozoiku. I oni, i ty, Irku, powin-

nićcie jednak patrzeć raczej na Sołtysa, gościa w czapce z daszkiem, w to jego pozornie beznamienne, a naprawdę sprytnie spojrzenie.

Pod tym daszkiem mieszka nie tylko literatura, ale wyrzucona na śmietnik historia, poraniona wiara, nieodwzajemniana miłość i beznadziejna nadzieja. Mieszka tam wszystko to, czego sami w swoich uregulowanych hiperłączami, już nieco cyfrowych życiach, nie potrafimy odnaleźć albo o czym woleliśmy zapomnieć – na własną zgubę.

Mieszka tam życie spychane do Punktów Selektynego Zbierania Odpadów Komunalnych i załączki tego, co mogło się narodzić, ale my wolimy je zasypać wapnem nowoczesności. A także wielkie mity odbite w prostych gestach, impulsach, zachceniach i przemilczeniach. Jak w finale tragedii greckiej umiejscowionej na peryferyjnym Grochowie: „bo ta ulica jest jak z jakiejś legendy / tylko że na końcu nie ma królewicza/ światła z Grochowskiej jak płomień znicza” („Boczna” z płyty Pablopavo i Praczasza „Głodne kawałki”, 2011).

Tam mieszkają te wszystkie i ci wszyscy, o których nikt nie napisze biografii i nie nakręci kosztownego filmu. Osoby gotujące zwykłą zupę na zwykłej włoszczyźnie, czytające dyskontowe gazety, topiące złe sny na jawie w butelkowanym szczęściu i szukające dobra.

Tam znajdziesz też miejsca, które Historia i jej demiurgiczni pomagierzy – urbaniści, deweloperzy – wywabili z realu, wszywając w nie nowoświeckość, choć ona zestarzeje się znacznie szybciej niż to, co zastąpiła. Ulice, domy, przestrzenie, w których najpierw tętniło, potem tliło się, a w końcu zasnęło życie.

Tam znajdziesz wszystko to, co ma i miało swój charakter. Jak przedmioty, które kiedyś były użyteczne i nieważne, a dziś kurzą się na wysypisku, na strychu lub na dnie szuflady i emanują niepowtarzalną magią listu w butelce z innego świata. Paweł Sołtys w opowiadaniach, felietonach i miniaturach literackich oraz Pablopavo w tekstach piosenek przypominają o życiu pozateamsowym i pozatiktokowym.

Dla dorosłych

Pablopavo-Sołtys miksuje świat według receptur niedostępnych na kursach kreatywnego pisania. Jego piosenki i prozy są alternatywą zarówno dla, skądinąd potrzebnej, korpuliteratury gatunkowej dowolnego autoramentu, jak i dla twórczości epokowej, pisanej z cołu i obliczonej na pozłacane grzbiety. ➔

Paweł Pablopavo Sołtys.
Warszawa, 9 października 2018 r.



→ Sołtys pisze dla dorosłych – nie peselowo, a mentalnie. Nawet piosenki stworzone przezeń w wieku dwudziestu kilku lat ujawniają duszę, która zdążyła się pomarszczyć wskutek obserwacji świata, obserwacji uczestniczącej, a więc tym wiarygodniejszej. Piosenki rozpięte pomiędzy poetycką rzetelnością ballady podwórkowej, metafizyką Jacka Kleyffa, wędchem Agnieszki Osieckiej i dosadną wnikliwością Łony. A zarazem piosenki osobne, niepodrabialne i bez żyrantów.

Przykład? „Piosenka ze śmieci” z debiutanckiego albumu Pablopavo i Ludzików „Telehon” (2009), tworząca naraz kilka perspektyw czasowych – z wolna porastającą chwastami, ale wciąż promieniującą przeszłość, kołącą i słodko-gorzką teraźniejszość oraz wykazującą symptomy kilku chorób przyszłość. Albo „Jurek Mech”, tak częsta u Sołtysa miniatura fabularna, gdzie z anegdoty o pojedynczym, przetrąconym losie wyrastają jak macki dojrzale pytania o regułę przetrwania i o to, kto ją ustala.

Jak mówi o nim znany varsavianista, krytyk literacki i wydawca Paweł Dunin-Wąsowicz, „Pablo to najlepszy liryczny w prozie i epik w piosenkach”. (Nb. to zrobione przez P.D.-W. zdjęcie szykowanej do rozbiórki warszawskiej fabryki Kabel zdobi okładkę płyty Pablopavo i Ludzików „Mozaika” sprzed dwóch lat). Co ciekawe – zarówno Dunin-Wąsowicz, jak i ja poznaliśmy Pablopavo jako śpiewającego poetę dzięki rekomendacji innych ważnych poetów. Dunio usłyszał nagrania z „Telehonu” dzięki Marcinowi Świetlickiemu, mnie na Sołtysa i jego płytę „10 piosenek” z Ludzikami (2011) uwagę zwrócił Piotr Bratkowski.

We wciąż nieopublikowanych prozach Sołtysa kokonią się jeszcze opowieści mistyczne i mitologiczne. Nie bój się więc, Irku, że wciągam cię tu w prowincjonalność, bo to także autor o homeryckim rozmachu. Jak Piotr Wojciechowski, Tadeusz Nowak czy Stanisław Grochowiak.

Sołtys znajdzie płaszczyznę do wymiany zdań z każdą osobą, z którą da się pogadać o rzeczach najprostszych. Z niejednego pieca jadał chleb i z niejednej dłoni zaliczył liścia.

Dobrze zna lewą stronę tkanki życia.

Lewa strona miejskiej tkaniny

Sołtys, niedoszły magister rusycystyki, habilitował się ze znajomości niedostrzeganego dla sytej mniejszości życia mniej sytej większości. Realistyczny nurt dominujący w mediach literatury, czy to drukowanej, czy śpiewanej, ukazuje z reguły awers świata – czasem oleodrukowy, czasem zniuansowany, bywa, że szpetny lub wręcz okrutny, ale w znany sposób konkretny. Sołtys natomiast najchętniej zagląda na lewą stronę tego gobelinu i proponuje nam wycieczkę w krainę, gdzie zwisają nitki nieopisanych życiorysów i zwichniętych marzeń. Niekiedy odsłania też przed nami podszewkę własnych przeżyć.

To także nauczyciel pamięci. Pamięci, z której rysuje portrety, miejsca, opowieści, dawne burze i chwilowe rozpogodzenia. „Cały się czuję akapit temu”, jak mówi narrator opowiadania „Raz”, otwierającego tom „Nieradość”. Jest zarazem nowoczesny, bo operuje wywiedzionym jeszcze z nowej fali skrótem poetyckim i motorycznym rymem hiphopowym, i staroświecki w nadbudowie poetyckiej. Chętniej spogląda za siebie, czując może, że tam wciąż są pytania, które także dziś powinniśmy sobie zadawać.

I ma coś, co może na wyrost nazywam czeskim spojrzeniem, bardzo dobrym dla zdrowia. Kiedyś, w czasach mojej młodości, podczas ognistych dyskusji o filmach „małego realizmu”, które dziś nazywamy często kultowymi, nieraz do jednego worka wrzucano nasz „Rejs”, „Dziewczyny do wzięcia” bądź „Przyjście na dziesięć osób plus trzy” oraz czeskie „Miłość blondynki”, „Skowronki na uwięzi” i „Pali się, moja panno”. Ja w pew-

nym momencie zrozumiałem, że fundamentalna różnica sprowadza się tu do spojrzenia. Nie darmo mówi się, że najbardziej polskim słowem jest „żółć”, bo nie dość, że zawiera same polskie znaki, to jeszcze ilustruje polską cechę narodową. Reżyserzy polskich filmów spoglądają na swoje postacie z dystansem, by nie rzec – szyderstwem. Czescy twórcy natomiast to nosiciele empatii. Ich bohaterowie są śmieszni, ale Miłoś Forman czy Jiří Menzel, a w późniejszych czasach Zdeněk i Jan Svěrákowie, życzą im dobrze. I tak jest z postaciami w piosenkach i opowiadaniach Sołtysa. Tam nie ma miejsca na pogardę.

Lubi podkreślać, że on tylko obserwuje. A ponieważ ma dobre ucho i dzięki wyglądowni everymana potrafi wtopić się w każdą scenografię, jego opowieści gwarantują wiarygodną fikcję wysokiej rozdzielczości. Za sprawą znanego w fizyce efektu obserwatora Pablopavo-Sołtys oswaja opisywane losy i postacie, byś mógł, Irku, pomyśleć przez chwilę, że pisze także o tobie: „Traf chciał, że to wszystko widziałem, traf zawsze chce wszystkiego, nie bierze jeńców” („Miasta i wsie” z tomu „Nieradość”).

Z pieca i z liścia

„Bardzo trudno jest uwierzyć w taki autobus i w każdego z pasażerów w nim, dokądś jadących. Jakby dosiedli się z czytanej przez dziewczynę na ostatnim siedzeniu powieści. Jest dzień przed wigilią, dzień przed przed”. Tego być może nie przeczytasz, Irku, nigdzie poza tym artykułem. Należę do grona uprzywilejowanych, z którymi Sołtys raz na kiedy-niekiedy dzieli się pisanymi utworami. Ten trafił do planowanej książki, która na razie nabiera mocy w szufladzie twardego dysku i nie wiadomo, czy w ogóle wyjdzie.

A tymczasem w przywołanych trzech zdaniach znajdziemy bardzo dużo z tego, co czyni Sołtysa twórcą potrzebnym i zarazem niepodobnym do nikogo, choć to wszak erudyta i sam ma własnych bogów literackich. Niech was nie zwiedzie ta czapka z daszkiem i warszawski Grochów w helisie jego DNA. Z Sołtysiem pogadasz o wielkiej i niewielkiej literaturze, o piłce nożnej, o polskim undergroundzie muzycznym, o wczesnośredniowiecznych heretykach i rosyjskich jurodiwych, o wymazanych z mapy Warszawy miej-



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

scach, o starych filmach i o korzennym bluesie. Niech cię nie zwiedzie podwórkowy sznyt – Sołtys jest synem wieloletniego szefa jednej z najważniejszych polskich oficyn wydawniczych, wyspecjalizowanych w historii i filozofii.

I też niech cię nie zwiedzie jego erudycja – Sołtys znajdzie płaszczyznę do wymiany zdań z każdą osobą, z którą da się pogadać o rzeczach najprostszych. Tak jakby z niejednego pieca jadł chleb i z niejednej dłoni zaliczył liścia. Sam po prostu zna tę lewą stronę tkanki życia.

Czytelnik świata

Ale miało być o tych trzech zdaniach. Zatem najpierw autobus: kometa przebijająca się przez miasto, mijająca ludzki pył i inne asteroidy, płataninę losów i snuty marzeń. Autobus jest zarazem dilerem historii, które czekają na swój cel, i karawanem, który wywozi inne w czarne dziury, by tam pogrzebać je w zajezdni niespełnienia i zapomnienia.

Teraz pasażerowie: molekuly losu, każda niby autonomiczna, a jakże często splątane kwantowo ze sobą, obijające się o siebie jak kule bilardowe. Dokąś jadą. To też jeden z kluczy do zrozumienia fenomenu Sołtysa.

Kilkanaście lat temu przez ekrany przemknął wybitny, a zlekceważony przez publiczność film „Zero” Pawła Borowskiego. Konstrukcja fabularna filmu, złożonego z kilku odrębnych historii, ale toczących się w tym samym kosmosie, sprowadzała się do genialnego w swej prostocie patentu: koniec jednej sceny stawał się początkiem kolejnej za sprawą postaci, która wchodziła w kadr i wypowiadała jakieś, z reguły niezwiązane z fabułą sceny słowa – teraz kamera śledziła jej perypetie. Opowieści oczywiście przeplatały się, wiodąc do całej serii finałów. Moim objawieniem płynącym z „Zera” była myśl, że idąc ulicą i mijając inne osoby, w rzeczywistości nieświadomie mijam inne fabuły, inne losy, kto wie, jak ważkie i jakie pytania rodzące.

Sołtys idzie dalej. Przysiada się do tej jadącej autobusem rzeczywistości i pyta sam siebie: dokąd jadą? Dążą? Może uciekają? Albo po prostu chcą przecze-kać? I czy na pewno ich podróż jest jazdą po chleb czy po wódkę, czy może od lekarza? Czy wiszą nad nimi pytania najprostsze, czy niebiosiężne, eschatologia codzienności?

Cztery debiuty Pawła Sołtysa



■ TELEHON (2009)

Pierwsza płyta z Ludzikami ujawniła od razu twórcę dojrzałego do

stawiania pytań i diagnoz, choć bez moralizatorskiego zacięcia. Twórcę, który bodaj pierwszy w polskim rocku złożył hołd „bohaterom obu powstań” warszawskich („Nomada”). Ragga, hip-hop, rock, ballada i taneczny pop tworzą mozaikowe tło dla kilkunastu opowieści zapadających w duszę.



■ TYLKO (2011)

Pablopavo bardziej prywatny, *sauté*, z gitarą i dyskretnym akompaniamentem

efektów studyjnych autorstwa Mothashippa. Trwająca pół godziny płyta zdradza też mniej dotąd czytelne inspiracje artysty, jak folk czy blues.

Świat przedstawiony za to nieodmiennie żywy, krwisty i wiarygodny, opisany bez pozerstwa i na napiętej strunie.



■ GŁODNE KAWAŁKI (2011)

Pierwszy album nagrany we współpracy z producentem Rafałem

Kołacińskim „Praczasem” (Masala Sound System), wyspecjalizowanym w etniczności i elektronice. Karuzela dubstepu, hip-hopu i jungle, doprawiona globalnym instrumentarium ludowym. Do tego gościnnie Spięty – i kaskada obrazków z miasta, które ćmią sumienie jak ząb albo sieją tęsknotę.



■ MIKROTYKI (2017)

Zdobyć Nagrodę Literacką Gdynia debiutem książkowym to sztuka raczej niespotykana. Paweł Sołtys wygrał w 2018 r. m.in. z innym

debiutantem Grzegorzem Bogdatem. Wygrał zbiorem 23 opowiadań, w których nadał pochwyconym niemal mimochodem historyjkom wymiar mityczny. Był Hłasko, był Nowakowski, jest Sołtys. Późniejsza „Nieradość” jest równie smakowita.

Nieświadomie, samymi sobą, możemy tworzyć poezję lub prozę, o czym w drugim zacytowanym zdaniu dopowiada Sołtys-uważny czytelnik. Pasażerowie nie tyle wsiedli do autobusu, ile dosiedli się – schodząc z kart czytanej w tymże autobusie książki. To nie tylko hymn na cześć dobrze pojętej literackości naszego bytu – a ściślej: ontologicznej prawdy literatury – ale także pochwała czytania jako aktu powoływania świata i losów.

I jeszcze ten „dzień przed wigilią, dzień przed przed”. Sołtysa nie interesują typowe kamienie milowe porządku chronologicznego i roku świętego, ale te chwile pomiędzy. Myśląc o Bożym Narodzeniu, oczami wyobraźni widzimy wieczerzę wigilijną, choinkę, może ferwor zakupów w irytującym harmidrze dzwonek i duszących nas zewsząd krismasów. Sołtys zatrzymuje się na szarej godzinie 23 grudnia, na chwili zasadniczo zbędnej, ostatniej zadyszce Adwentu.

Załątać ubytek

Nie wiem, Irku, czy cię przekonałem. Mogłbym ci jeszcze podsuwać cytaty z ponad pięćdziesięciu opowiadań i innych próz, ze stu kilkudziesięciu piosenek. Może zachwycisz się innym jego zespołem, Vavamuffin, grającym znacznie bardziej energetycznie, choć mniej poetycko, bo tam teksty pozostają najczęściej w elektrycznej relacji z teraźniejszością? A może zatonesz w kameralnej, solowej płycie Pablopavo „Tyłko” (2014), będącej jakby werandowym raptularzem, pozornie szkicowym, a w rzeczywistości równie przemysłowym i skończonym jak płyty z Ludzikami czy producentem Praczasem?

Sołtys chciałby tylko pokazać ci, że świat wciąż pęcznieje od nieopowiedzianych historii i że są wśród nich takie, które czasem ci się śnią – albo ty śnisz się im. O złamanych sercach i o tym, że czasem nie całkiem jesteś (jak usłyszysz na „Lakunie”). Nie całkiem – bo czy my wszyscy po trosze nie jesteśmy fabrykami do rozbiórki? By na koniec szepnąć, jak Sołtys w niewydanej prozie poetyckiej: „I już nic nie wiem na pewno, co jest prawdą, a co melodią zwodniczą tych wołań napróżnych”...

„Lakuna” to znaczy ubytek tekstu powstały wskutek usterki w przekazie. Pablopavo-Sołtys może jest jedną z niewielu osób, które usiłują te ubytki w świecie za-łatać.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Inna strona czasu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nowy Teatr Krzysztofa Warlikowskiego wbrew nazwie nie jest już nowy. Zmęczony sam sobą wszedł w smugę cienia. Ratuje go głos z dalekiej przeszłości.

DAWNO NIE BYŁEM PRZY MADALIŃSKIEGO. Nie składało się. Po dość długiej przerwie to miejsce – Nowy Teatr w Warszawie – przed kilkoma jeszcze laty gorące, tętniące dynamicznym życiem, wydało mi się okrzepłe, dojrzałe – tak, ale i wystygnięte. Nowości już nie potrząsa kwiatem, ale sprawnie robi swoje, w pełni świadome, że jest częścią europejskiej, ba – globalnej sieci instytucji teatralnych. Wiadomo – Krzysztof Warlikowski to mocna międzynarodowa marka, więc jego nowe przedstawienie, pierwsze tu od trzech lat, od razu kupione zostało na festiwalu do Awinionu, Barcelony i Aten, a pewnie pokazywane będzie w wielu innych miejscach. Ale w naszym lokalnym stawie wiadomość o premierze „Elizabeth Costello” nie wydawała się wywoływać jakiegos szczególnego poruszenia. Zapowiedź, że reżyser zamierza wrócić do postaci fikcyjnej pisarki stworzonej przez Johna Maxwella Coetzee’a, była co najwyżej odnotowywana zabójczym słówkiem „ciekawe”.

Słowa, słowa, słowa

Zaiste ciekawe: noblista z RPA stał się w tym samym sezonie inspiracją do przedstawień dwóch polskich reżyserów kiedys skupiających na sobie uwagę teatralnego świata: niegdysiejszego nauczyciela i niegdysiejszego ucznia. Krystian Lupa w „Balkonach” nawet Coetzee’go uśmiercił. Warlikowski nie idzie tak daleko, ale też stopniowo skunieważnia żywego i żyjącego pisarza, skupiając się na stworzonej przez niego postaci, której nadaje realność i historyczne znaczenie. Nawet plac przy



MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

Maja Komorowska w przedstawieniu „Elizabeth Costello” J.M. Coetzee. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem w reż. Krzysztofa Warlikowskiego.

teatrze nazwano z okazji premiery imieniem Elizabeth Costello. To pewnie chwyt promocyjny, ale mnie się od razu przypomniał Gałczyński. No tak: żywy pisarz to jest problem dziki...

Coetzee jako postać pojawia się na początku przedstawienia (gra go Mariusz Bonaszewski), by zarysować – mało oryginalną i nie bardzo wiem, do czego potrzebną – ramę całości: publiczne odczytywanie fragmentów utworów o Elizabeth Costello na „rodzimym” uniwersytecie w Kapsztadzie. Szybko się o nim jednak zapomina i skupia na kolejnych wykładach i opowieściach tytułowej bohaterki, uobecnianej kolejno przez Jadwigę Jankowską-Cieślak, Małgorzatę Hajew-

ską-Krzysztofik, Ewę Dałkowską, Maję Ostaszewską, Ewę Dałkowską znów, Andrzeja Chyrę (tak, tak), a w końcu przez Maję Komorowską. Samo rozpisanie tych Elżbiet już wskazuje, że dramaturgicznie przedstawienie rozpada się na kolejne, względnie autonomiczne części, o czym zresztą lojalnie uprzedza jego podtytuł: „Siedem wykładów i pięć bajek z morałem”. Czy rzeczywiście liczby się zgadzają – nie jestem pewien, bo pogubiłem się w rozróżnianiu „wykładu” i „bajki”.

Ważniejsze, że ta parada kolejnych scen trwa cztery godziny, że chwilami (i to wcale licznymi) wydają się one nużące do długie i irytująco przewidywalne, a wypełniającej je gadaniny nie są w sta-

nie na dłużej ożywić znakomite i znakomici przecież aktorki i aktorzy. Mieć taki zespół i kazać mu wygłaszać bez końca akademicko-literackie koncepty i idee przeżute na papkę nawet na najbardziej prowincjonalnych uczelniach humanistycznych – toż to czyste marnotrawstwo! Tak, oczywiście – na festiwalach opłacanych i uczęszczanych przez członków tej samej globalnej siatki komiwojażerów intelektualnych problemów pierwszego świata zostanie to zapewne przyjęte z uznaniem. I na pewno są osoby, którym wysłuchiwanie tego wszystkiego podnieśnie samoocenę, a może nawet zastanowi – nie neguję. I nie odmawiam zastanowieniu temu wartości, broń Boże.

Mój kłopot nie w odklejeniu spektaklu od życia tu-oto, ale w tym, że nawet jeśli z życiem tu-oto ma to wszystko coś wspólnego, to zagadane jest tak literacko-akademickim językiem, że ten żywy związek ledwo dyszy. I nie są mu w stanie oddechu przywrócić, resuscytować go nie mogą znakomite osoby na scenie występujące, bo szelest papieru zagłusza wszystko.

Zastanawiające – teatr, który kiedyś wzbudzał sensację i skandal wbijaniem w ciało, wydaje się dziś sam wbijać w papier i żuć literaturę aż do mdłości. Gada, gada, gada i gada – tak straszliwie, że nawet gdy ciało dopuści do głosu, to prawie go nie słyszać, choć zostaje obnażone. Jak w sekwencji, w której Elizabeth Costello Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik może o pożądaniu jedynie opowiadać, i to tylko o tyle, o ile użyje figur należycie mitycznych i erudytom znanych. Nic dziwnego, że w finale jej ciało i pragnienie znikają (dosłownie: unieobecnia je projekcja), bo w tym teatrze kształt i wyraz mieć mogą tylko efektowne i erudycyjne należycie wywody, w stylu wygłaszanej przez pisarkę interpretacji mitu o Anchizesie i jego spółkowaniu z boginią.

Portret artysty z czasów starości

Przewodni temat tych wszystkich przemów stanowi sens uprawiania sztuki i możliwość dotarcia przez nią do jakiejś prawdy, tudzież odpowiedzialność za wpływ, jaki wywiera na innych. Nic w sumie nowego i – powiedzmy sobie szczerze – nic tak znów pasjonującego dla osób artystami nie będących. Zagadnienia czysto modernistyczne, więc już anachroniczne.

Nowością jest to, że są one rozwijane i rozpracowywane w nieuchronnie wiążącej nad całym spektaklem smudze cienia nadchodzącej, a nawet już obecnej – starości. To jej realność niesie ze sobą szansę czegoś autentycznego i dotykającego. Ale – co znów zaskakujące – zamiast stać się tematem przedstawienia, starość pozostaje tylko cieniem. A przecież – powtórzmy – zespół świetny, sytuacja zaś Nowego Teatru właśnie taka, że nowy to on nie jest, a choć przecie nie stary, to nie sposób w nim poczuć tej energii, jaką nowość wnosi przez samo to, że jest nowością. Wydawałoby się, że refleksja nad tym, co już się zrobiło i co znane jest dobrze od lat, co było oryginalnością, a stało się manierą, niosło, a zaczyna ograniczać – mogła dać temu przedstawieniu ostrość rozliczenia z sobą, z własną pozycją, z tym, co się wydarzyło między protestami przeciw „Hamletowi bez majtek” a wykupowaniem na pniu przez największe festiwale. Czy coś się naprawę wydarzyło? Coś zostało naprawę zrobione (poza marką), coś zmienione (poza pozycją)? Czy to już wszystko?

Te pytania wiszą w powietrzu, ale zagłusza je gadanina Elizabeth, która ma z tymi pytaniami coś może wspólnego, ale tylko teoretycznie, a nie organicznie. Tu chyba jest problem – twórcy tego spektaklu rzetelnie i w dobrym stylu, fachowo pracę swoją wykonują, swój zawód spełniają i przez to właśnie zawodzą. Podobnie jak – taka analogia to dopiero zaskoczenie! – w „Królu Learze” w Narodowym: świetni aktorzy o wielkim doświadczeniu profesjonalnie omijają szereg aktorskim łukiem szansę na zmierzenie się z sobą, a te aktorskie uniki sprawiają wrażenie zgodnych ze zwodami reżyserskimi i dramaturgicznymi. Wszyscy uciekają w te pędy w literaturę i straszliwie literacki teatr tworzą.

No – przesadziłem. Nie wszyscy. Nie wszystkie. W tych pochodach słów, w tych słów taśmociągach wyróżnia się ostatnia sekwencja części pierwszej, w której Elizabeth Costello uosobiona zostaje przez Maję Ostaszewską. O ile przez wszystkie sceny poprzednie mogłem do znudzenia i w znudzeniu powtarzać „rozumieć, ale nie wierzyć” (ktoś jeszcze pamięta, kto tak mówił do aktorów? odpowiedź za chwilę), o tyle tu wreszcie uwierzyłem, że aktorka nie tylko cytuje, ale też mówi myśląc. Protest przeciwko zanu-

rzaniu się przez sztukę w okrucieństwo i zło, przeciwko zła i okrucieństwa przez sztukę uatrakcyjnianiu i ożywianiu, przechodzący w scenę, w której Elizabeth jest żeńskim Faustem, a jej adwersarz (Andrzej Chyra) Mefistem, przyniosła powiew tego, czym mogło być to przedstawienie, gdyby nie zostało zagadane. Nawet tak do bólu stereotypowe dla tego teatru „wstrząsające wyznanie traumatycznych doznań w toalecie” (wiadomo – scenografia Małgorzaty Szczęśniak) nie psuje wrażenia, że podejmując próbę zmierzenia się ze złem, ten teatr dotyka czegoś, co naprawdę dla niego trudne i bolesne. Ale to niemal jedyna taka pulsująca życiem żywym sekwencja.

A może to tak już jest i inaczej być nie może? Czy jednym ze znaków starości nie jest to, że w lęku przed rozpaczą nie konfrontujemy się naprawdę sami z sobą, choć zarazem nieustannie siebie analizujemy opowiadając sobie (i innym) wciąż i wciąż te historie z przeszłości, w których wydają nam się tkwić jakieś ziarna uwierające? Czy nie na tym polega udręka zastarzanych ran owijanych ze strachu w słowa i tworzących opowieści powtarzane po raz kolejny, za każdym razem w nieco innej wersji?

Może tak i może gadanina teatru w smudze cienia daje się tak usprawiedliwić, a nawet – uzasadnić. Ale przecież mamy takie doświadczenia i wiemy – młodzi i starzy – że tych historii opowiadanych przez „seniorów” prawie nikt poza samymi opowiadającymi słuchać nie chce. Więc proszę się nie dziwić, że kiedy (któryż to już raz w tym teatrze!) zbliżamy się przez meandryczny labirynt opowieści do „niewypowiadalnej traumy”, zamiast wstrząsu pojawia się znużenie, a gdy po szczególnie długiej i nużącej sekwencji znecierpliwiona postać grana przez Magdalenę Popławską mówi „dość!” – mamy ochotę bić jej brawo.

Przed ścianą

Byłem już niemal pewien, że właśnie zmarnowałem niepowtarzalne cztery godziny życia, gdy wydarzyło się coś, co sprawiło, że stracony czas został odnaleziony. Po okrzyku „dość!” i miłosiernym wyciśnięciu na scenę wchodzi Maja Komorowska.

Jak to napisać? Bo nie o znakomite aktorstwo tu idzie – że Maja Komorowska jest aktorką znakomitą, wiadomo od



MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Elizabeth Costello” J.M. Coetzee. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem”, reż. Krzysztof Warlikowski, Nowy Teatr, Warszawa, premiera 11 kwietnia 2024 r.

→ dawna i nikt tego powtarzać nie potrzebuje. O coś radykalnie innego właśnie chodzi – że to aktorka tak znakomita, że aktorstwo w niej znika, wypala się i wytapia w bezpośredniość, wobec której wszystko milknie, choć to, co i jak robi, co i jak dzięki niej się wydarza, jest proste, prościutkie. Tak prościutkie, że wszystko, co można by zrelacjonować i opisać, będzie nieuchronnie brzmieć banałem.

Ale też – ta prostota wynika z tego, że wreszcie pyta się tu o rzeczy najważniejsze, przed którymi broniono się uparcie a nieskutecznie czterogodzinnym szelestem słów. I że te pytania Maja Komorowska zadawać się zdaje nie jako Elizabeth Costello, choć w tej postaci i jej słowami mówi, ale jako ta właśnie niezwykła i w niezwykłości swej uznana artystka, pytająca o sztukę, Boga i zbawienie z miejsca i z pozycji, do których dotarła całą swoją drogą. I to ona z tych pozycji, z tego miejsca rusza na samym końcu, by zobaczyć, co jest „z tamtej strony”.

I zdarza się nieprawdopodobne: Maja Komorowska staje przed szklaną ścianą naprzeciwko widowni. Jej twarz na wielkim zbliżeniu pokazuje ekran wypełniający tylny horyzont. I widzimy, że ona widzi, a choć nie wiemy, co (czy te oczy same wiedzą, co widzą? czy mogą wiedzieć już teraz?), to ściana znika i tamta strona – czykolwiek jest – odbija się

w tych oczach i tę twarz oświetla. W ciży tego światła teatr szeleszczących papierków zostaje cudem ocalony.

Ocalony jednak nie przez siebie. Prosta informacja, że Maja Komorowska w Nowym Teatrze występuje gościnnie, ma głębsze znaczenie, niżby się wydawało. Bo ona przychodzi z zupełnie innego teatru, w tym już nie nowym i nie tak wspaniałym świecie zasadniczo nieobecnego – z tego, w którym właśnie brzmiało podobno „rozumieć i wierzyć” i gdzie się szukało uparcie czegoś, co w języku niewydolnym nazywano organicznością i aktem całkowitym. I gdzie się nieustannie walczyło o przekroczenie wypracowanego już sposobu bycia „sobą”.

A kysz, upiorze?

Wiem, wiem – mnie się wszystko kojarzy z Grotowskim. Ale tu nie można chyba inaczej, bo przecież to oczywiste, że zaproszenie Mai Komorowskiej z całą jej artystyczną historią jest też i zaproszeniem wielkiego nieobecnego, a może nawet – wielkiego wyklętego polskiego teatru, który właśnie jako wyklęty, jako upiór, ten polski teatr, zwłaszcza ten „nowy”, zdaje się wciąż nawiedzać i prześladować.

Mówienie Mai Komorowskiej, a jeszcze bardziej jej milczenie – oznacza przekroczenie: siebie, tego teatru, tego świata. I dzięki temu także i my możemy dotknąć „drugiej strony”. Powtórzę: nie zobaczyć,

co tam jest, ale zobaczyć – że taka strona w ogóle istnieje. To wszystko. Ale to jest właśnie teatralny cud.

Grotowski, uważany za eksperymentatora, rewolucjonistę i awangardzistę, w pewnym momencie zaczął powtarzać, że nie wynajduje niczego nowego, ale wprost przeciwnie – odpomina coś bardzo starego, tak starego i tak zapoznanego, że przywrócenie tego doświadczenia wywołuje mylne wrażenie nowości. I właśnie takie odpomnienie, taka – świadomie używam tego słowa – anamneza dokonuje się dzięki Mai Komorowskiej i ocala zagadany na śmierć, kawiarnianie rewolucyjny i akademicko awangardowy świat Elizabeth Costello.

Ocala także teatr, który cierpi na dolegliwości i wątpliwości typowe dla nadchodzącej starości. Przed laty i przez lata niosły go młodość i inność, które składały się na porywającą nowość, nowość złudną i przemijającą szybko – tak typową dla świata rządzonego przez tyranie apdejtów, dyktaturę „nowego, lepszego”. Już nie niosą, bo nieś z natury swojej nie mogą. Kwiatem nowości nie można potrząsać zbyt długo – by żył, powinien stać się Kwiatem Prawdziwym (nie tylko tym, o którym nauczał mistrz nō, Zeami). A ten rośnie nie na gruncie zawodu, profesjonalizmu, ale czerpie życie z ich przekroczenia i unieważnienia. A także dążenia do tego, by zobaczyć, co jest „z drugiej strony”.

Prosto i bez osłonek: tym, co ocala już nienowoty teatr u progu starości, jest doświadczenie metafizyczne, transgresja, może nawet jakieś objawienie – nieważne, jak to nazwać, bo wszystkie nazwy są fałszywe, upraszczające i nie trafne. Każdy, kto sam tę potrzebę dzieli, a choćby i czuje u innych – wie, o co chodzi. Ta potrzeba i to doświadczenie – sądzę i próbowałem nieraz dowieść – stanowią szczególną tradycję polskiej sztuki przedstawień, którą z braku lepszego słowa nazywamy „teatrem”, choć z teatrem jako takim (czyli profesją produkcji i wystawiania „sztuk”) niewiele ma wspólnego. Przez dwa stulecia ta tradycja się rozwijała i największe, co się w polskiej kulturze wydarzało, było z nią związane. „Nowy teatr” programowo się jej wyrzekł i uznał za historyczną, więc należąca do przeszłości. Wygląda na to, że się pomylił.

Głowa z koszyka

OLGA ŻYMINKOWSKA

Dla Céline'a wojna to najgłębszy rodzaj wglądu w rzeczywistość i ludzką naturę. U podstaw jego metafizyki leży bezpośrednie i cielesne doznanie, które wojna gwarantuje w wymiarze traumatycznym.

AWIĘC WOJNA. W CZERWCU 1944 r., jedenaście dni po wylądowaniu aliantów w Normandii, Louis-Ferdinand Destouches (ps. Céline) w pośpiechu opuszcza swoje mieszkanie na Montmartrze i ucieka do Niemiec. W wielkiej skrzyni zostawia sześć tysięcy stron manuskryptów spiętych klamerkami do bielizny. Ucieka, bo spodziewa się kary za antysemityzm i kolaborację z okupantem.

„A wszystko zaczęło się tak”. Grudzień 1937 r. – Céline publikuje antysemicki pamflet „Bagatelles pour un massacre” („Przyczynki do pogromu”), w którym po raz pierwszy wybucha jego nienawiść do Żydów, i to w obliczu realnego zagrożenia hitleryzmem. W czasie okupacji „Bagatelles” osiąga, wstydlivy dziś, sukces sprzedażowy – siedemdziesiąt pięć tysięcy egzemplarzy. Książka skazuje go jednak na dożywotni ostracyzm, który stanie się motywem ucieczki – najpierw do Berlina, gdzie Céline spędza dwa tygodnie w więzieniu, potem do Sigmaringen, gdzie wraz z innymi podejrzanymi o kolaborację ukrywa się w zamku.

W marcu 1945 r. dociera do Danii, gdzie przez następne czternaście miesięcy przebywa w celi skazanych na śmierć. Céline umiera tam tylko po trochu, bierze „śmierć na kredyt” zgodnie z dewizą zawartą w debiutanckiej „Podróży do kresu nocy”: „Jedyną prawdą jest niekończąca się agonia”. Nawet po wojnie, gdy to do niego będą kierować złowrogie „accuse!” (m.in. Sartre w „Portrecie antysemity”), nie wyprze się publicznie swoich poglądów.

Z czasem jego styl coraz bardziej przypominać będzie szkielet wykrzykników i wielokropków, zdań pełnych resentymentu wobec tych, którzy skazali go na pogardę i zapomnienie.

Tajemnicza przesyłka

Céline do końca życia nie mógł pogodzić się z utratą rękopisów, które zostawił w Paryżu przy rue Girardon. Przez cały czas podtrzymywał wizję kradzieży, która pod jego nieobecność miała się dokonać przez „mścicieli, siepaczy i szkodników” francuskiej literatury.

Historia poszła jednak innym torem. W roku 1982 Jean-Pierre Thibaudat, krytyk i dziennikarz „Libération”, otrzymał tajemniczą przesyłkę z odnalezionymi rękopisami Céline'a. Depozytariusz skarbu zaznaczył jednak, by nie przekazywać tekstów wdowie po pisarzu, Lucette Destouches, która mogłaby zatuszować antysemickie fragmenty. Thibaudat godzi się na podejrzaną układ: po pierwsze, sam fakt odnalezienia zaginionego skarbu musi być utajniony; po drugie – jego zawartość trzeba ukrywać do śmierci Lucette; po trzecie – nikt do tego czasu nie może na tym zarobić. Na zwolnienie z tajemnicy czekał czterdzieści lat.

Lucette umiera w roku 2019 (w wieku 107 lat) i znów zaczyna się przeszłość, a raczej jej odkrywanie – Yvon Morandata, żołnierz ruchu oporu, wprowadza się w 1946 r. do mieszkania na Montmartrze i powiadamia więzionego w Danii Céline'a o możliwości odzyskania mebli i ineditów. Ten jednak nie wierzy w dobrą wolę Morandata i nadal wyznaje teorię o kradzieży („rękopisy sprzątnęli już czyściciele!”). Uznaje go za złodzieja i włamywacza. Do końca życia Céline złorzeczyć będzie na perfidny spisek gaullistów, którzy nie wybaczyli mu błyskotliwej kariery i „niepoprawnych” poglądów politycznych.

Po śmierci Morandata w 1972 r. jego córka odnajduje w piwnicy manuskrypty i przekazuje je Thibaudatowi. W skrzyni znalazła się m.in. trylogia „En-

fance” („Dzieciństwo”), na którą składają się fragmenty „Guerre” („Wojna”), „Londres” („Londyn”) i „Volonté du roi Krogold” („Wola króla Krogolda”). W 2022 r. wydawnictwo Gallimard ogłasza wielkie literackie święto (we francuskiej prasie mówi się nawet o „boskiej niespodziance”).

Dwa lata po francuskim wydaniu ukazuje się polski przekład autorstwa Anny Wasilewskiej. Oto po sześćdziesięciu latach od śmierci Céline'a na świat przychodzi „Wojna”, 150-stronicowa powieść napisana około roku 1934, zagubiony łącznik między „Podróżą...” a „Śmiercią na kredyt”. Niepokoi jedynie fakt, że pierwszych dziewięć rozdziałów zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach, a „Wojna”, którą znamy, zaczyna się od słów „Nie całkiem tak” („Pas tout à fait”). W oficjalnym wydaniu zdanie to usunięto, jak deklarują francuscy redaktorzy, ze względu na „komfort lektury”. A więc wygoda! Wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy.

Nie zrównany w traumach

Powieść rozpoczyna się w chwili, gdy dwudziestoletni Ferdinand cudem wydobyla się z wojennej masakry. Powtórka z pierwszych stron „Podróży do kresu nocy”: świst kul, zakrwawione usta, brudne rany, głowy podobne do nadpsutej brzoskwini. Krótkie i gwałtowne zdania wbijają na pal wojenną rzeczywistość. Ranny w głowę Ferdinand wlecze się z pomocą angielskiego żołnierza do Ypres, potem budzi się w bydłowym wagonie, by w końcu trafić do szpitala polowego, gdzie toczy się reszta akcji „Wojny”.

Trudno nie dostrzec podobieństw z przygodami wojaka Céline'a, który w czasie I wojny światowej został ranny na drodze z Ypres do Dunkierki. Powieść i życie – para z piekła rodem – w „Wojnie” jeszcze bardziej zacieśniają swoje więzy. W dziedzinie przeżyć traumatycznych Céline nie miał sobie równych: wojna, nędza, więzienie, kara śmierci w zawieszeniu, choroby, ostracyzm.

I tutaj dotykamy głównego nerwu jego pisarstwa, jakim jest „doznanie”, od którego zaczyna się każda rozmowa o niepowtarzalnym stylu autora. Nie chodzi tu tylko o wielokrotnie i do znudzenia powtarzane „zasypanie przepaści między językiem pisanym a mówionym”, ale bardziej o samą „morfologię” stylu Céline'a. ➔

→ W szpitalu polowym w Peurdu-sur-la-Lys Ferdinand cierpi (innym razem udaje, że cierpi) na halucynacje. Jego mózg („ta materia znudzona i szara”, jak pisze w „Podróży...”) miota się w odpryskach wojennych wspomnień. Céline z lekarską dokładnością (trzeba pamiętać o jego medycznym wykształceniu) oddaje gwałtowne poruszenia wewnętrzności Ferdinanda. Oto célinowska anatomia stylu: zmęczenie, które łamie składnię wraz z arytmia oddechu, nienawiść, która brutalizuje i „argotyzuje” słownik, rozczarowanie, które rozkłada tekstowe „bleble” na proste, molekularne prawdy. Zasada jest prosta: wskazywać i niczego nie tłumaczyć! Żadnych dysertacji! Rzucać zdaniem jak granatem i patrzeć, jak wybucha!

Źródłem tej „anatomii” jest rzecz jasna wojna. I to wojna niechwalebna, niesprawiedliwa i nierycerska, słowem – nowoczesna. To także walka ocalonego (lub mięścisiej: „przeżywcę”, *un survivant*) z sobą samym, z widmem zatrutej pamięci, które nigdy nie opanuje prostych technik *savoir-vivre*’u. Krótko mówiąc, nie pozwala żyć dalej.

Sztafeta nienawiści

W „Wojnie” to nie fakty są najważniejsze. Narrator myli nawet imiona głównych postaci – panna L’Espinasse raz jest Agatą, a raz Aline (prawdopodobnie inspirował się pielęgniarzką Alice David, z którą łączył go romans), z kolei kamrat Bébert nazywany jest Cascadem lub Gontranem (na końcu dowiadujemy się, że „tak naprawdę” to Julien Boisson).

Wszyscy oni chorują i umierają, kłócą się i godzą, a i tak największe znaczenie ma nieustający huk w głowie Ferdinanda, wojenny akompaniament każdej jego myśli (były to najprawdopodobniej objawy choroby Ménière’a). Nawet medal,

Wojna objawia „prawdę” ciała, bezpowrotnie zrzucając z niego ubranie i społeczny konwenans.

To dlatego tak wiele w tej powieści plugawych opisów seksu.

który dostaje za zasługi wojskowe, tylko chwilowo poprawia mu samopoczucie i schlebia pozornym awansem w hierarchii pacjentów.

Wizyta rodziców w szpitalu tylko go rozwściecza („nie słyszałem ich za dobrze przez ten mój ryk w uszach, ale wystarczająco”). To w końcu tylko dwoje naiwnych nieszczęśników z Paryża, którzy martwią się „interesami” i wysokimi cenami w sklepie, a w synu szukają potwierdzenia swojej „dobrej decyzji” o wydaniu na świat potomka. „Cholera, nie mam wam nic do powiedzenia, spadajcie”, kończy Ferdinand. Oni też nie przeżyli prawdziwej wojny.

„Z więzienia wychodzi się żywym, z wojny – nie”, stwierdza Bardamu, bohater „Podróży do kresu nocy”. Ferdinand oznajmia w podobnym duchu: „Wojna wskoczyła mi do głowy. I w mojej głowie siedzi”. Czasownik „siedzi” nie oddaje wy-czuwalnego w języku drgania bolesnych ruminacji. W głowie, tym „siedlisku infekcji”, wybuchają obrazy zgniecionych twarzy, połamanych kończyn, poharatanych pleców i wybebeszonych trzewi. Wojna objawia „prawdę” ciała, bezpowrotnie zrzucając z niego ubranie i społeczny konwenans. To dlatego tak wiele w tej powieści plugawych opisów seksu. W dzień erotyczne mięsopusty, w nocy

– bezsenność i szumy uszne. Już samo zakładanie cewnika jest dla wojennych „przeżywców” czynnością seksualną, szczególnie gdy wykonuje to panna L’Espinasse, obiekt pożądania wszystkich spragnionych dotyku i chwili „szczęścia”.

Kobiety u Céline’a (najczęściej nazywane po prostu „lalami”) zwiastują jednocześnie obietnicę i rozczarowanie. Ferdinand dostrzega w L’Espinasse i Angèle (żonie kolegi i prostytutce) szansę na wyrwanie się z czterech ścian okaleczonej głowy. Raz – to chwila rozrywki, podobnej do przyjemności nuciaenia prosiutkiej piosenki; dwa – możliwość wyładowania frustracji w libertyńskich „zabawach”. Céline’owi nie chodzi tu jednak o proste „epatowanie burżuazji” ani nawet o rozpustę, która przekracza zastany obyczaj. „Wojna” rozpoczyna sztafetę nienawiści skierowaną nie tylko do kobiet, ale także do Arabów (nazywanych tu pogardliwie kolonialnym wyzwiskiem „sidi”). Z czasem do grona prześladowanych dołączają Żydzi, a pod koniec życia Chińczycy, o których Céline nie będzie mówić inaczej niż „żółta zaraza”.

Ciało piszące

Dla Céline’a wojna to najgłębszy rodzaj wglądu w rzeczywistość i ludzką naturę (choć sam autor splunąłby na patos tych słów). U podstaw wpisanej w jego dzieło „metafizyki” leży doznanie, bezpośrednie i cielesne przeżycie, które wojna gwarantuje w wymiarze traumatycznym.

W liście do Milтона Hindusa, amerykańskiego krytyka, pisze o tym tak: „chciałem sprawić, aby francuski język literacki stał się bardziej doznaniowy, bardziej emocjonalny, jednym słowem chciałem go odakademizować”. Trudno o bardziej klasyczny postulat awangardy. W praktyce jednak Céline realizuje go na swój „doznaniowy” sposób, a więc prze-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **ŁÓDŹ**, piątek 25 kwietnia, godz. 19.30, spotkanie autorskie z Ignacym Dudkiewiczem o książce „Pastwisko”, aula klasztoru oo. dominikanów (ul. Zielona 13)

● **RZESZÓW**, piątek 25 kwietnia, godz. 19.00, spotkanie z o. Maksymilianem Nawarą, „Zachęta do medytacji”, aula klasztoru oo. dominikanów (ul. Dominikańska 15)

● **WROCŁAW**, poniedziałek 29 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie wokół tekstów abp. Grzegorza Rysia: „Bez zmiany człowieka nie będzie żadnej zmiany” i „Niemożliwe jest możliwe”, Tajne Komplet (Przejście Garncarskie 2)

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUB
TP
KLUBTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ROGER VIOLLET / GETTY IMAGES

Louis-Ferdinand Céline ze swoimi psami w Meudon. Francja, ok. 1955 r.

tworza wewnętrzny monolog mówiony na język literatury. „Trzeba wsłuchać się w swój system nerwowy”, pisze dalej. Język ma „wibrować, a nie rozumować”.

Należy uchwycić i zintensyfikować melodię codziennych rozmów, a nie zaślaniać się „profesorską frazą” zbudowaną z armatury podmiotu i orzeczenia, z kropką na końcu. Stąd wspomniane upodobanie Céline’a, szczególnie „późnego”, do wielokropków i wykrzykników. Pod względem interpunkcji „Wojna” jest jeszcze dość zachowawcza, zdania nie są poprzecinane trzykropkiem tak jak w „Z zamku do zamku”, nie ma jeszcze wzburzenia i narowistości właściwej starszemu Céline’owi. Narrator „Wojny” raczej konsekwentnie stawia kropki, ale nie ma w tym nic z akademickiej grzeczności. Nic z balzakowskiej intonacji typu: „Hrabina weszła do sypialni, nucąc frazę z »Pria che spunti«” („Jaszczur”). Raczej: „Przekonasz się, zdiro, czy nie zaśpiewam. Nawet jeśli mnie przez ciebie skrócą, usłyszysz, jak moja głowa nadal będzie śpiewać z koszyka, tylko po to, żeby cię wkurzyć”. A śpiewa się tu prościutki szlagier „Je sais que vous êtes jolies”...

To dlatego Céline’a tak irytuje Proust, który mozołnie wyszywa zdania (trzeba dodać: „tym zmanierowanym, łacińsko-niemiecko-żydowskim stylem”),

no i Sartre, któremu, jak stwierdza, „przyszyłyby się dwa lata więzienia i trzy lata okopów, by pojął, czym jest prawdziwy egzystencjalizm”. Ten wyczynowy anty-akademizm nie bulwersuje dziś wcale, ze swoim „prymatem doznania” trąci nawet naiwnością. Choć przecież wiele mamy przypadków „pisanania z trzewi” (jak Bernhard), to jednak Céline’owski russoizm, do jakiego przyznaje się w liście do Hindusa („człowiek jest w naturalny sposób poeta, tak jak istota pierwotna... edukacja przecina w nim tę poetycką nić – zaczyna wówczas myśleć i staje się nudny”), wzbudza uzasadnione wątpliwości. Teoria jakże łatwa do obalenia na poziomie teorii, wystarczy wspomnieć slogan „nie ma natury bez kultury” czy skrytykować możliwość dotarcia do „tajników ludzkiego serca” – i z grubsza pozamiatane.

Nie tak prosto jednak zganić Céline’a na poziomie literackiej roboty. Biologiczne sprzężenie słów i tkanki nerwowej jest wyczuwalne mimo teoretycznej niedoskonałości samej filozofii bezpośredniego doznania. „Jestem przede wszystkim stylistą”, oto mylące credo pisarza, któremu nie chodzi ani o zdobienie języka i zyskanie przychylności czytelnika, ani o intelektualne i moralne dywagacje. Chodzi mu o ciało piszące – i w tym jest współczesny, nawet dzisiejszym akade-

mikom spod znaku „zwrotu somatycznego” czy „filozofii życia”.

Gdy sięgamy do „Wojny” po osiemdziesiąt lat, znów robi nam się nieswojo. Céline wysłał wiadomość zza grobu i po raz kolejny niepokoi. Wciąż ma się w myślach jego podwójną twarz – powieściopisarza i pamfletystę. Wypada wtedy skrytykować pamfletystę, a pochwalić literata. Albo jak Kundera ubolewać nad autorem porzuconym na śmietniku Historii, który nigdy nie zaznał, jak czytamy w „Spotkaniu”, „doświadczenia ho ho ho”, czyli bycia po stronie sprawiedliwych wśród pisarzy świata.

Można też nie czytać w ogóle, bo w końcu to dzieło ideologicznie skażone. Albo zapomnieć o antysemityzmie i powiedzieć, parafrazując jego składnię, „niezły stylistą, ten Céline”. Albo rozgrzeszać kolektywnie: „takie czasy, przecież Blanchot pisał do prawicowych gazet, a Rebatet, Morand i Brasillach kolaborowali z Niemcami”. Tak czy inaczej „każdemu jego wojna”.

© OLGA ŻYMINKOWSKA



Louis-Ferdinand Céline
WOJNA
przełożyła Anna Wasilewska,
PIW, Warszawa 2024

Przemiany i olśnienia

ANITA PIOTROWSKA

Na tegoroczny festiwal Nowe Horyzonty celowo wybrano tytuły, które dopiero na dużym ekranie w pełni wybrzmiewają. I nie chodzi jedynie o format, ale o rodzaj skupienia, jakiego często wymagają te filmy.

MODNE SŁOWO „IMMERSJA” NAWIAZUje w tym przypadku nie do technologii światotwórczej, dającej jeszcze większą iluzję zanurzenia w wykreowanej rzeczywistości, lecz ekstremalną – estetycznie, intelektualnie i, nie ukrywamy, często także metrażowo – przygodę.

„Samsarę” Loisa Patiño zniecierpliwiony właściciel kina domowego mógłby wyłączyć po piętnastu minutach. Bo z początku ogląda się to jak średnio zajmujący dokument z życia buddyjskich nowicjuszy w Laosie. Zmysłowo piękne, nasycone kolorem kadry i powolny rytm składają do kontemplacji, choć przecież podobnych filmów widzieliśmy już wiele. Również takich, które zaglądają w ludzkie sny i refleksyjnym tonem opowiadają o duchowych przygotowaniach do zejścia z tego świata. Tylko który film przemówiłby do nas w pewnym momencie: „A teraz zamknijcie oczy”, otworzył przed nami przejście przez limbo i zamieniał się w niezwykle eksperyment optyczno-egzystencjalny? I który pozwalałby odbierać rzeczywistość z punktu widzenia



drzewa, zwierzęcia albo osoby świeżo zmarłej i nadal słyszającej odgłosy z otoczenia? Hiszpański reżyser czyta „Tybetańską księgę umarłych” na różnych kontynentach i w różnych kontekstach, by finalnie perspektywę głęboko transcendentną skojarzyć z percepcyjnym wyzwaniem i globalno-ekologicznym namysłem. „Samsara” jest też dowodem na to, że kino i galeria sztuki znajdują się mimo wszystko bardzo blisko siebie, więc nie ma co na siłę tych dwóch przestrzeni rozdzielać w naszych głowach. Kamera zaś może być narzędziem metafizycznych olśnień, niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w cykliczną naturę wszelkiego życia.

Zjawisko to powraca w „Eurece” Lisanra Alonso. Jej ekstremalność polega głównie na tym, iż twórca „La libertad” znowu się postarał, abyśmy zbyt łatwo nie wydali z siebie tytułowego okrzyku. Trudno bowiem połączyć czarno-biały antywestern z Viggo Mortensenem i Chiarą Mastroianni, ciężką noc z życia współczesnej policjantki z rezerwatu w Dakocie oraz utrzymaną w klimatach realizmu magicznego przypowieść o raj utraconym w amazońskiej dżungli. Na pewno, prócz wędrujących motywów z różnych porządków rzeczywistości, wspólne jest zarażenie pręmością, która przeniknęła do kultury popularnej i uległa skonwencjonalizowaniu, choć odciska się gwałtem na kolejnych pokoleniach rdzennych mieszkańców Ameryk. Tyle że już ta pierwsza, pozornie czysto kinofilski nowelka w staroświec-

kim formacie kadru przywraca tematowi jego ciężar. Historia opowiedziana przez argentyńskiego reżysera meandruje w czasie i przestrzeni, w realu i fantazji, między różnymi konwencjami kina, żeby pokazać, jak jedna cywilizacja doprowadziła do degeneracji innej, posiadającej własną bogatą duchowość. Przede wszystkim zniszczenie nastąpiło w imię pieniądza, który w innym filmie z Nowych Horyzontów staje się nieomal głównym bohaterem.

Nawiązania do klasycznego dzieła Roberta Bressona z 1983 roku są tutaj oczywiste. „Delikwenci” Rodriga Moreno, też Argentyńczyka, uhonorowane na ubiegłorocznych Nowych Horyzontach nagrodą główną, to istne filmowe tango, gdzie nieprzewidywalność kolejnych ruchów układa się z czasem w lustrzane historie, wątki, postacie. Oglądaliśmy trzygodzinny film w dużej mierze o... liczeniu pieniędzy. Jego bohater tak bardzo nienawidzi swej zrutynizowanej pracy w banku, że postanawia go obrabować – woli spędzić kilka lat w więzieniu niż dwadzieścia za kasą. Przy akompaniamencie Astora Piazzolli opowieść przeskakuje z jednych losów na drugie, skradziona gotówka wędruje z rąk do rąk i nie chodzi o moralitet spod znaku „chciwość nie popłaca”, ale o przewrotną w gruncie rzeczy pochwałę życia pocziwego, z dala od pracowniczego kieratu, miejskiego zgłębku, szelestu banknotów. Film pozwala wręcz organicznie poczuć zarówno ów kierat, jak i wysoką cenę, jaką trzeba zapłacić za wyzwolenie. A radyka-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE NOWE HORYZONTY

NOWE HORYZONTY TOURNEÉ 2024, 25–28 KWIECZNIA.

Lista 24 kin,
w których
odbywa się
przegląd, na
nowehoryzonty.pl.

Powyżej:
kadr z filmu
„Samsara”
Loisa Patiño.
Hiszpania, 2023 r.

lizm w wydaniu Moreno oznacza rzadkie w kinie połączenie formalnej samodyscypliny z łobuzerską anarchią. Albo inaczej: zrytmizowanego napięcia z rozkoszną sjęstą dla oka, ucha i umysłu.

Są jednak sporty dużo bardziej wyczynowe. Moim faworytem w tym zestawieniu jest nowy film Nuriego Bilge Ceylana „Wśród wyschniętych traw”, czyli coś dla wielbicieli kinematografii tureckiej, maksymalnego dogęszczania psychologii, inteligenckich rozkmin przy herbacie oraz ponadtrzygodzinnych posiadów w kinie. Twórca „Pewnego razu w Anatolii” tym razem zabiera nas na wschodnie rubieże kraju, gdzie cztery lata wcześniej otrzymał państwowy przydział nauczyciel plastyki o imieniu Samet. Cóż to za postać cudownie irytująca! Zgorzkniały trzydziestoparolatek czuje się w kurdyjskiej wiosce jak na zesłaniu. Nie rozumie specyfiki tych stron, zima zdaje się tu trwać bez końca, a prawdziwe życie – wiadomo – jest w dalekim Stambule. Kiedy bohater zostaje oskarżony o niestosowne zachowanie wobec siódmoklasistki, jeszcze mocniej chciałby się stamtąd wyrwać. Zanim będzie mu to dane, odsłoni przed nami swoje dość paskudne oblicze: małostkowego, narcystycznego manipulanta w przebraniu idealisty i mentora.

W najbardziej brawurowej, aż półgodzinnej scenie Samet, człowiek politycznie i emocjonalnie obojętny dyskutuje z zaangażowaną lewicowo koleżanką, która straciła nogę w zamachu terrorystycznym (gra ją świetna Merve Dizdar, nagrodzona Złotą Palmą w Cannes). Spierają się o życiowe pryncypia, lecz w kluczowym momencie Ceylan wyważa „czwartą ścianę”, odsłaniając na chwilę filmową maszynę. Ów artystowski gest przynosi doskonałe rozładowanie dla kina z gatunku *slow*. W dodatku stanowi rodzaj samousprawiedliwiającego się przypisu dla reżysera tej rozgadanej opowieści, w której co i raz próbuje się przykryć estetycznym zachwytem tytułową oschłość serca czy chorobliwą melancholię.

Jeśli coś, prócz spowolnienia czasu i osobliwie pomyślanych fabuł, łączy ze sobą te cztery różne filmy z minionego roku, to z pewnością ich zanurzenie w pejzażu, w którym ludzie i ich bracia mniejsi funkcjonują obok siebie na podobnych prawach. Laotańska staruszka odrodzona w ciele zanzibarskiego kozłatka, duchy autochtonów pod postacią amerykańskiego bociana zwanego żabiru, hiszpańscy „delikwenci” poszukujący schronienia w stadninie koni, wpatrzone w obiektyw bezpańskie psy marznące na kurdyjskim śniegu – ta intensywna obecność zwierząt również wyznacza jakieś nowe horyzonty, do których współczesne kino artystyczne coraz śміiej się przybliża. ©

Lektor: *Pożytki z uważności*



■ **Wojciech Bonowicz**
DZIENNIK POCIESZENIA
Znak, Kraków 2024,
ss. 208

NASZ ŚWIAT NAJPIERW PRZEORAŁA PANDEMIA, a teraz zawisła nad nim groźba wojny, dawno już tak mocno nieodczuwana. Niepokój, z jakim się codziennie budzimy, złączony ze świadomością ogromu cierpień, których doświadczają ludzie za naszą granicą, ale i na tej granicy, to dla niektórych ciężar nieznosny. „Są rzeczy, których ciało potrzebuje bardziej niż słów. Ale to nie znaczy, że słowa są bezsilne. Słowa też mogą obejmować, przysparzać; wtedy gdy spotkanie jest niemożliwe, słowa zastępują ręce. Piszę ten dziennik pocieszenia, ponieważ sam pocieszenia potrzebuję”.

I jeszcze takie zdanie: „Uczę się odpoczywać jak porzucona ziemia”. Ćwiczenie umiejętności zatrzymania się, znieruchomienia. Uważności, która uwrażliwia nas na szczegóły i wydobywa z chaosu emocji. Pokory wobec świata, która przecież nie oznacza odwrócenia się od niego ani lękliwego niezaangażowania. Lepiej jednak unikać ludzi, z którymi spotkanie daje wrażenie, „jakby ktoś złapał cię za szyję i dusił, nie używając dłoni”. I starać się opróżnić nasze głowy ze śmieci, którymi jesteśmy zasypany. W tej książce czytelnik „Tygodnika” odnajdzie wiele myśli formułowanych wcześniej przez Wojciecha Bonowicza w jego felietonach. Teraz ułożyły się w całość terapeutyczną i autoterapeutyczną, mocno przy tym zakorzenioną w realiach naszej codzienności.

Kiedy się zastanawiałem, co w dzienniku Bonowicza jest mi szczególnie bliskie, pomyślałem najpierw: jeden z jego bohaterów, kot Leon. Osiemnaście już lat towarzyszy mi rudy kot Garfield i – choć każdy kot jest inny – potrafię docenić trafność charakterystyki Leona. A ludzie? Pośród wielu autorów wspomnianych i cytowanych w tej terapii słowem ucieszyła mnie szczególnie obecność wielkiego czeskiego poety Vladimíra Holana.

Bonowicz odwiedza Kampe, praską dzielnicę na wyspie, gdzie Holan mieszkał przez wiele lat, ale też cytuje (w przekładzie Leszka Engelkinga) jego wiersz „Zmartwychwstanie” – dla mnie jeden z najpiękniejszych, jakie znam. Może początku wskrzeszenia nas wszystkich nie oznajmią „przeziębienie jęki trąb i rogów”, wyraża nadzieję Holan, ale po prostu pianie koguta? „Potem przez chwilę zostaniemy jeszcze w łóżku... / Pierwsza wstanie / mama... (...) Będziemy znowu w domu”. Wiara w życie pośmiertne dawno mnie opuściła – ale ten wiersz i tak krzepi. Tak, poezja też daje pocieszenie. ©P

OLGA

Drenda:

Niewygódka



ZDARZA SIĘ, ŻE STOSUNKOWO BŁAHA rzecz staje się przyczyną silnych i nieprzyjemnych emocji. Czasem dzieje się tak, bo zwyczajnie trafiło na zły czas i miejsce. Ale bywa też tak, że błahostka potrafi być na tyle

uciążliwa, że za każdym razem, gdy się na nią natykamy, rośnie i rośnie, brzydnie w oczach i staje się coraz bardziej obmierzła. Zwłaszcza gdy – chcąc nie chcąc – musimy się na nią natykać, bo ta podłostka, ta złośliwość losu, ta malutka pod nogą kłoda, ten wiatr w oczy biednemu dzieli nas np. od smacznego napoju.

Sądząc po zasłyszanej czy przeczytanej liczbie ubawionych przekleństwami narzekających, tym odbieraczem smaku życia stała się nakrętka przyczepiona trwale do plastikowej butelki napoju – zgodnie z zaleceniami unijnymi dotyczącymi recyklingu opakowań teraz będzie można kupić jedynie takie. Są z nami na dobre od niecałego roku, a już zdążyły napsuć wiele krwi. Nie jestem skłonna do unoszenia się, ale tu akurat potrafię zrozumieć przyczynę irytacji – jako zaprzysięgłej konsumentce świeżych i zdrowych soków owocowych wielokrotnie zdarzało mi się utracić powagę, gdy zawartość nakrętki (bo zawsze coś w niej osiada) znajdowała się na moim nosie. Przytwierdzona nakrętka niemiło drapie w twarz, a raz odkręciwszy, nie zawsze łatwo zamknąć butelkę z powrotem.

Z praktycznego punktu widzenia zmiana ma sens: chodzi o prewencję śmiecenia i bardziej efektywny przerób surowców wtórnych. Gdy cała butelka trafia

do sortowni, nakrętkę można oddzielić przemysłowo. Mniej luźnych nakrętek trafia też na ulice, do lasu, do wody. Te niewątpliwie plusy dodatnie w bezpośrednim doświadczeniu zostają jednak przesłonięte przez plusy ujemne, nie tylko związane z niewygodami użytkowania, ale też z odkręcaniem (a to ci gra słów) świeżo co zdobytych nawyków. Butelkę zgnieć i wyrzucić, nakrętkę zostaw i wrzucić do serduszka na zbiórkę charytatywną – uczyliśmy się tego pilnie przez kilka lat. Zbiórki nakrętek podobno nie były szczególnie efektywne, bo na jeden wózek inwalidzki trzeba byłoby zebrać kilkadziesiąt ton – ale miło dać się czasem ponieść „grywalizacji”. Osobiście prowadziłam listę miejscowości, w których opróżniałam siatkę ze zgromadzonych nakrętek prosto do serduszka (Lututów, Szczecinek, Rydzyna...). Teraz nietrudno poczuć się ofiarą kaprysu prawodawcy, który, owszem, ma sensowne uzasadnienie, ale i tak wygląda, jakby miał zwykłe muchy w nosie.

Podobno przyzwyczajanie się do nowego nawyku zajmuje przeciętnie 66 dni, jak głosi popularnonaukowe przekonanie. I to wszystko na nic, jak krew w piach! Kto by się nie zirytował. Obserwując nieproporcjonalnie silne reakcje na przeciwieństwo drobiazg, jakim jest nakrętka, odnoszę wrażenie, że dochodzi do kumulacji drobnych uciążliwości, które – akurat tak wypadło – teraz dopiero wysadzają korek, jak w starej bajce o rękawicze, do której schowało się mnóstwo zwierząt, a gdy na koniec próbowała wejść do niej jeszcze mrówka, rękawiczka się rozleciała.

Oczywiście można na denerwującą nakrętkę spojrzeć teraz inaczej. Np.: przynajmniej teraz nakrętka się nie zgubi, choćby podczas wycieczki, albo nie wpadnie pod siedzenie w samochodzie. Zawsze to coś. Pewnie stąd wzięła się sprytna nazwa, którą ostatnio zaobserwowałam: niezgubka albo nieodrywka. Pewnie to celowo nadana nazwa handlowa, która ma zamortyzować niedole korzystania z nowych opakowań. Naprawdę sprytnie pomyślane. Niezgubka! Pomysłowe jak kubek niekapek. Jak można się wściekać i kłąć na coś, co nazywa się „niezgubką”? Przecież to jak zabrać przedszkolakowi zabawkę. Okrucieństwo! Właściwie można nawet zacząć takie opakowanie odrobinę lubić, skoro tak się sympatycznie nazywa, a może nawet przyznać, że w sumie nie tak źle to wymyślili...

Zauważyłam, że mój własny stosunek do przytwierdzonej nakrętki zaczął ewoluować, od kiedy poznałam słowo „niezgubka”. Może nawet zmienił się wektor irytacji: zaczęłam denerwować się mniej na to rozwiązanie, a bardziej na siebie za własne czepialstwo. Cóż to za koronkowa operacja psychologiczna! Czy lepiej będzie, gdy przyspieszę swoją akceptację nowej rzeczywistości? A może, żeby bronić własnych przyzwyczajeń, powinnam jednak zacząć mówić „niewygódka”? ©

A może
najlepiej pić
z myszokubka?



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: Jak nie zginąć w zupie



ĆWIERĆ MILIONA LUDZI UZNAŁO, ŻE JEST SENS moknąć po drodze do lokalu wyborczego w celu wskazania, które mniejsze zło powinno porządzić Krakowem. Na razie przez pięć lat, ale z widokiem na co najmniej ćwierćwiecze i należy wtedy pomnik.

Ustępujący władarz już takowy sobie obstał – w postaci gigantycznego balonu kołyszającego się nad bulwarem przy obciachowym lunaparku z widokiem na Wawele, Skalki i inne świętości.

Ten z dwóch, ogłoszony zwycięzcą, miał przewagę ledwie pięciu tysięcy głosów. Logiczne, iż winien tego drugiego doprosić na swojego wice, aby dało się uzgodnić interesy całej tej niewielkiej populacji głosujących. To przecież nie kuchnia, gdzie nie da się mieszać ogórkowej z pomidorową, kiedy dzieci nie mogą się dogadać co do obiadu. Rodzinie można wprawdzie ugotować obydwie, miasta się jednak nie rozszepi na dwie fajerki, wszyscy i tak giniemy w jednej zupie.

Większość obywatelska zadziałała jednak w myśl hasła, które Maurizio Cattelan opublikował u progu kariery we włoskiej gazecie w trakcie jednej z kampanii wyborczych: „twój głos jest cenny, zachowaj go!”. Pamiętamy tego prowokatora z dwóch zwłaszcza interwencji w naszą przestrzeń symboliczną, poczynionych woskowymi figurami: Jana Pawła II przygniętego meteoritem i Adolfa Hitlera modlącego się na kolanach w bramie na obszarze warszawskiego getta. Wolę zdecydowanie jego lżejsze pomysły (np. zbiórka na stypendium fikcyjnej fundacji im. Obłomowa dla artysty, który obieca, iż przez rok nie będzie tworzył i wystawiał), ale w tych dniach dałem mu się sprowadzić na ziemię. „Stopy wraz z sercem dźwigają zmęczenie i brzemię życia” – to jego komentarz do muralu przedstawiającego parę steranych stóp widzianych od strony podeszwy. Nieprzypadkowo przypomina się podobnie ujęty od strony stóp Chrystus z „Opłakiwania” Mantegni, bo to element pawilonu Stolicy Apostolskiej na tegorocznym *biennale* w Wenecji. Mieści się on w więzieniu kobiecym w byłym klasztorze na wyspie Giudecca, a wielkie stopy na fasadzie kaplicy to jedyne, co widać na zewnątrz. Resztę wystawy zatytułowanej „Na własne oczy” trzeba, no właśnie, zobaczyć na własne oczy, odczuć i przemysleć jednostkowo. Z powodu więziennych obostrzeń goście (oprowadzani w grupach przez osadzone) zostawiają swoje komórki w depozycie.

Wystawa nieobecna na Instagramie – na to może się porwać instytucja, która nadal twierdzi, iż jest nie z tego świata. Takie umocowanie pozwala jej zainterweniować przewrotnie na rzecz zmysłowej doczesności, tego pocziwego cielesnego bycia, które ginie w tle naszych interakcji przez szybkość. Co każdy zobaczył w więzieniu i co zrozumiał z intencji zaproszonych artystów, to może tylko słowami opowiedzieć. To wręcz jego (i jej) powinność wobec nas, którym zabraknie drobnych w kieszeni na lot do Wenecji.

Z powrotem do zmysłów i słowa – to program w sumie wsteczny, beczelnie niedzisiejszy. Z analogicznym dowcipem Watykan zadziałał na wystawie światowej w Mediolanie dziewięć lat temu. Była ona – o czym donosił niezawodny wasz korespondent – poświęconą jedzeniu. Żarcie, żarcie, wielkie żarcie, kilometry kwadratowe gastrofazy, obłudnie tylko niekiedy opatrzonej kontekstami ekologicznymi i społecznymi. Pawilon papieski nosił hasło „Nie samym chlebem człowiek żyje”, ale w środku opowiadał przez zdjęcia i plansze właśnie o tym, jak ogromna liczba ludzi przeznaczą na chleb większość swojego bytowania, o tym, jak rozsądna dystrybucja marnowanych zasobów może uśmierzyć niejednego głód. Do czego potrzeba raczej rewolucji mentalnej, politycznej, ustrojowej, nie zaś wynalazków rolnictwa czwartej, piątej, entej generacji.

O tych wynalazkach sporo myślę w te dni, kiedy znajomi bliźni w ogrodach, w sadach, winnicach walczą z przymrozkami, które w jeden świt mogą pozabawić ich i nas czereśni albo wina. Oprócz sposobów znanych od stuleci niektórzy np. wynajmują helikoptery, by młóciły powietrze nad krzewami, podnosząc znad gruntu to gęste, lodowate. Myślmy o nich, myślimy ciepło, tak ciepło, aż ustąpi ziąb. A sami, cóż, mamy wszystkie potrzebne wynalazki – proste serce, rozum i umiar – byśmy za szybko nie zginęli w zupie. Ogień i tak już pod kociołkiem płonie. ©P



A kto do Wenecji jednak dotrze teraz, w okolicach dnia świętego Marka, niech zamówi tradycyjną potrawę podawaną na jego cześć – *risi e bisi*, czyli ryż ze świeżym groszkiem (ale nie gotowany jak *risotto*). Albo w dowolny inny dzień niech się nasyci *bigoli* (takie grubsze spaghetti) in *salsa*, czyli „w sosie” – albowiem ten nie ma żadnej specyficznej nazwy, taki jest prosty. Kroimy w cienkie piórka 2 duże cebule, dusimy na bardzo wolnym ogniu i bardzo cierpliwie na kilku łyżkach oliwy, aż prawie się rozpadną (dolewając łyżkę wody, gdyby groziło przypaleniem). Potem dodajemy 15 filecików anchois, podlewamy kieliszkiem białego wina, dusimy co najmniej 10 minut, aż rybki się rozpuszczą. Łączymy na gorąco z kłuskami (mogą być zwykłe spaghetti), rozprowadzając odrobiną wody z gotowania. Widuję w turystycznych knajpach, że posypują na natką dla urody – ale to danie w istocie szare, jak większość naszych dni.

Z JAK ZENDAYA

Choć ma na koncie Złoty Glob, dwie nagrody Emmy oraz tuzin innych statuetek, a firma Mattel zaprojektowała na jej podobieństwo lalkę Barbie, sama Zendaya wciąż jest większa niż te totemy sławy.

MICHAŁ WALKIEWICZ

PRZYMIOTNIKI, BĘDĄCE W KRYTYCE FILMOWEJ ŚWIADECTWEM bezradności, rzadko sprawdzają się w pisaniu o reżyserii – w tym kontekście myśli się raczej czasownikami, bo i profesja kojarzy się z działaniem, ruchem, przywództwem i okrzykiem „akcja!”. Co innego aktorstwo. Choć zazwyczaj pisze się o nim jak o sztuce zaklinania piasku i mgły, zaskakująco łatwo da się każdą emocję i przymiot charakteru ometkować.

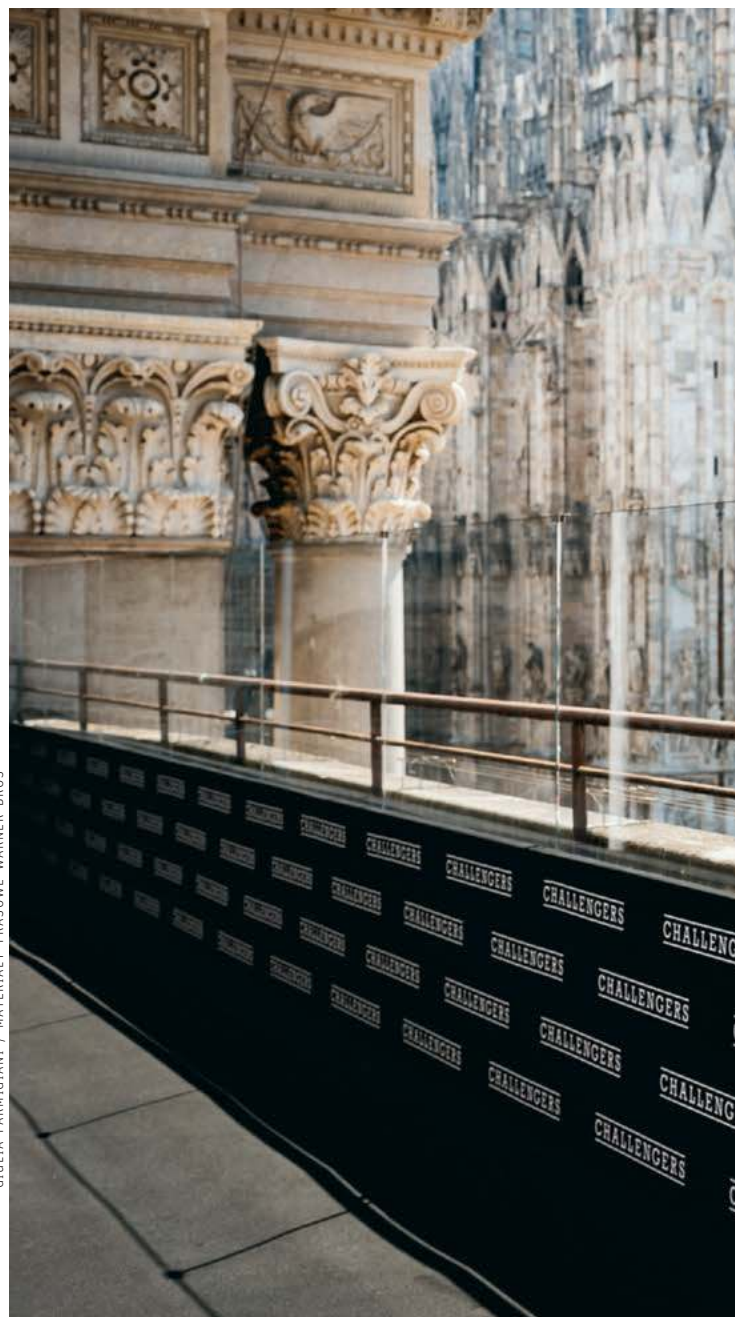
Zendaya – „disnejowska” gwiazdka, która na drodze „oszałamiającej” kariery zamieniła się w „prawdziwą” aktorkę – jest królową przymiotników. Jej luz jest „niewymuszony”, wdzięk „bezdyskusyjny”, a role skłóconych z życiem buntowniczek – „przeszywające”. Do kin wchodzi właśnie nowy film z jej udziałem, „Challengers” w reżyserii Luki Guadagnina. I ponoć jest w nim „magnetyzująca”.

Marie

Bette Davis mawiała, że „jeśli ludzie nie dostrzegają w tobie potwora, nie jesteś prawdziwą hollywoodzką gwiazdą”. Marlon Brando dodałby, że „najzdolniejsi artyści są zwykle porażką człowieczeństwa”. Ten starszkolny dekalog gwiazdorstwa – tożsamy z samozapłonem na scenie i w życiu prywatnym – zdążył się nieco zestarzeć. Dziś, w systemie zbudowanym na skrzyżowaniu kina, mediów społecznościowych, społecznego aktywizmu i marketingu, fotogeniczna autodestrukcja nie wystarczy. A w kontekście aktorek „gwiazdorstwo” oznacza intensyfikację generalnej kulturowej presji wywieranej na kobiety.

Bądź seksowna, lecz nie wyuzdana; wspieraj swojego partnera, ale go nie przyćmiewaj; bądź zabawna, ale nigdy śmieszna; ironizuj, ale szanuj patos; media społecznościowe traktuj z rezerwą, lecz zbijaj na nich kapitał; branżowe imprezy kwituj sarkazmem, ale dopiero, gdy zejdziesz ze ścianki; graj w dramatach o komunikacyjnej aporii wśród dwudziestolatków, ale nie pogardzaj kinem superbohaterskim. No i najważniejsze: złap wszystkie piłeczki, którymi żonglujesz.

Fenomen Zendayi polega na tym, że ma do tej żonglerki smykałkę. Z jednej strony jest doskonałym produktem amerykańskiej popkultury, zakochanej w afirmacyjnym imigranc-



GIULIA PARMIGIANI / MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

W najnowszym filmie „Challengers”, reż. Luca Guadagnino, 2024 r.

kim micie. Z drugiej strony, w medialnej optyce pozostaje „sobą”, czyli „zwyczajną” dziewczyną z sąsiedztwa, która nie straciła kontaktu z ulicą, lubi rzucić sarkastycznym żartem, a pozując do zdjęcia, wystawia środkowy palec.

Choć w wieku 27 lat ma koncie Złoty Glob, dwie nagrody Emmy oraz tuzin innych statuetek, a firma Mattel zaprojektowała na jej podobieństwo lalkę Barbie, skutecznie odwraca uwagę od totemów sławy. Jeśli się o niej mówi – a mówi się bez ustanku – to raczej w kontekście tego, jak zręcznie unika wilczych dołów. Wspomina się o wywiadzie w talk-show Ellen DeGeneres, który Zendaya zamieniła w opowieść o misyjnym charakterze aktorstwa; o rozmowie z Michelle Obamą na temat dostępu do edukacji dla dzieci z najbardziej potrzebujących rodzin; o nauce, udzielonej dziennikarce Giulianie Rancie, która w przedziwnym rasistowskim wysoku skrytykowała dredy nastoletniej aktorki. Wreszcie – o związku z aktorem Tomem Hollandem, ergo – jednym z najstarszych okołofilmowych archetypów, czyli miłości na planie filmowym.

Nie bez powodu w pandemicznym dramacie „Malcolm i Marie” to właśnie w usta Zendayi reżyser Sam Levinson wkłada zdroworoządkową krytykę artystycznego snobizmu; połamankę filmowca, który nie potrafi wyjrzeć poza czubek własnego nosa. „Twój brak ciekawości świata oraz drugiego człowieka jest jedynie przedłużeniem narcyzmu, megalomanii i egotyzmu” – krzyczy Marie, aktorka, o której jej partner (w typie wsobnego bubka, który zarzuca krytykom, że są jednonogimi teoretykami skoku wzwyż) nakręcił nagradzany film i którą pominął w mowie dziękczynnej.

I choć obraz Levinsona jest nieco szmirowaty – zwłaszcza gdy reżyser bierze się za definiowanie sztuki i lamentuje nad powinnościami artysty – to na barkach niesie go właśnie Zendaya. Aktorka dokopuje się do atawizmów i odruchów bezwarunkowych, które określają nas wszystkich, bez względu na kulturową świadomość. A łatwego zadania nie ma, gdyż bohaterowie kłócą się w czerni i bieli, pod płótnami Edwarda Hoppera, przy akompaniamencie muzyki Johna Coltrane’a.

→



Rue

→ Jako że ojciec pochodzi z Nigerii, a w żyłach matki płynie niemiecko-szkocka krew, ochrzczono ją jako Zendayę Marie Stoermer Coleman. Przyspieszony kurs dojrzewania zaliczyła w niezbyt zamożnej nauczycielskiej rodzinie z pięciorgiem rodzeństwa. Z kalifornijskiego Oakland do Fabryki Snów nie było wprawdzie daleko, ale kilka obowiązkowych przystanków musiała zaliczyć: taniec, śpiew, dziecięcy modeling, grupy teatralne. Jeden krok do przodu, dwa kroki wstecz – choć jej kariera rozkwitała, to jak utrzymuje w wywiadach, przez dłuższy czas pozostawała jedyną żywicielką rodziny. Bette Davis powiedziałaby o niej to samo, co o sobie: że jest „zahartowaną przez życie, dobrą osobą i z tego powodu świetnie wychodzi jej granie wywłok”. A następnie dodała, że pewnie dlatego Joan Crawford zawsze grała damy.

Na castingu do disneyowskiego serialu „Taniec rządzi” Zendaya zaśpiewała „Leave Me Alone” Michaela Jacksona – hymn artystów osaczonych przez krwiożerczy tłum, rzecz o paranoi towarzyszącej sławie. Disney Channel, fabryka wewnątrz Fabryki, impregnowała na podobny rodzaj presji całą generację małoletnich gwiazd (od braci Jonas, przez Zaca Efrona, po Miley Cyrus). Zendaya nie stała się tam gwiazdą światowego formatu. Udział w kolejnych musicalach, programach i filmach telewizyjnych scementował jednak jej status popkulturowej rzeczniczki pokolenia.

Do czasu debiutanckiej roli na srebrnym ekranie zdążyła wydać album muzyczny, nagrać kilka singli notowanych na liście „Billboardu”, zagrać w kilku filmach telewizyjnych (m.in. w kuriozalnym „Zapped” o smartfonie kontrolującym hormony szkolnych byczków), a także napisać analizowany przez kulturoznawców esej o rasowej dywersyfikacji. W sieci roi się nie tylko od poświęconych jej monografii, ale też od studenckich prac zaliczeniowych oraz szkolnych opracowań na temat: „Mój wzór do naśladowania”. To spory kapitał, zwłaszcza w kontekście piwotu, który – wzorem Miley Cyrus i innych pieśzczołów Disneya – wykonała pierwszego dnia dorosłości.

Rola Rue Bennett – 17-letniej narkomanki i lekomanki próbującej ułożyć sobie życie po odwyku – okazała się dla aktorki przełomowa. Serial „Euforia” Sama Levinsona zamknął ogrom doświadczeń pokolenia Z w jednej polifonicznej narracji i pozwolił odkryć w Zendayi artystkę o zaskakującej emocjonalnej skali. To coś więcej niż kolejna próba zerwania z dotychczasowym wizerunkiem, symboliczny skok na główkę w otchłań „narkotyków, seksu i przemocy”. To występ zbudowany na dynamicznych zmianach ekspresji, bezustannych cielesnych woltach – coraz gwałtowniejszych i obejmujących coraz mniejsze elementy struktury filmowej, od całych odcinków, przez rozbudowane sceny dialogowe, po pojedyncze linijki tekstu.

Stany lękowe, ADD, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, choroba dwubiegunowa – Rue taszczy na plecach cały worek schorzeń psychicznych. Nie chodzi jednak w tej roli o fotogeniczne napady agresji, kontrapunktowane momentami wyciszenia. A przynajmniej – nie tylko o nie. Równie ważna jest sfera liminalna, wszelkie stany pomiędzy skrajnościami, ciągłe balansowanie na granicy ulotnych emocji oraz kondensowanie ich w pojedynczych gestach, spojrzeń, tikach nerwowych.

W mojej ulubionej scenie z „Euforii” Rue bierze na celownik swoją matkę, która pozbyła się przeznaczonej na sprzedaż

heroiny. W blisko piętnastominutowej sekwencji niemal każde wycedzone przez zęby słowo jest wyrazem strachu i bezradności, wstydu i gniewu, miłości i nienawiści. W innej scenie, będącej naturalistyczną miniaturą o fizycznej gehennie uzależnienia, Rue mocuje się z zafoliowaną landrynką. Robi to tak, jakby kino miało się skończyć jutro, a od rozpakowania cukierka zależało jej życie.

Chani

O ile dwa sezony (i jeden odcinek specjalny) „Euforii” opowiadają o destylowaniu czarnego humoru z ponurej codzienności, o tyle filmowa trylogia o Spider-Manie jest historią tego, co zwyczajne w niezwykłym świecie superbohaterów. Zamiast kultowej Mary Jane Watson – po prostu MJ. Już samo imię sugeruje ciekawą zmianę w charakterze znanej z komiksów bohaterki. Choć według kanonu Zendaya wciela się w nową postać, fani wiedzą swoje.

W filmie „Spider-Man: Homecoming” MJ jest postacią trzecioplanową, zaś jej zadaniem jest uwiarygodnienie fabularnej zmyłki – Peter Parker wzdycha do innej dziewczyny, a plująca sarkastycznymi komentarzami jak z karabinu maszynowego MJ wprowadza do filmu nieco czerstwego humoru. W kolejnych częściach to MJ staje jednak u boku Człowieka-Pajaka i wędruje z nim aż do melodramatycznego finału. W ostatnim akcie bohater składa pamięć o wszystkich wspólnych chwilach na ołtarzu misji i celem ratowania rozszczępionego na najróżniejsze alternatywne rzeczywistości świata „resetuje” ich znajomość.

To ciekawa fabularna trajektoria, zwłaszcza w kontekście ról poprzednich ukochanych Spider-Mana. W filmach Sama Raimiego z początku wieku w Mary Jane wcielała się Kirsten Dunst. Później, u Marca Webba, Emma Stone wystąpiła w roli Gwen Stacy. Dwie świetne aktorki w zasadzie zagrały w gruncie rzeczy tę samą postać: ambitną wielkomięską dziewczynę, dla której związek z facetem w spandeksie jest jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Powraca w obydwu seriach motyw kariery nadrzędnej wobec miłości oraz odkrytej przez złoczyncę tożsamości Spider-Mana (co w konsekwencji sprostowadza na jego partnerkę niebezpieczeństwo).

W historii MJ również znajdziemy te wątki. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Zendaya potrafi nadać im właściwszą wagę. Świetna jest zwłaszcza w scenach o najmniejszej stawce – gdy buja się z Peterem po ulicach Manhattanu, kiedy odrabiają razem lekcje albo zwiedzają Wenecję w ramach szkolnej wycieczki. Pomijając fakt, że taka interpretacja postaci bliższa jest duchowi oryginalnych komiksów, to więcej w tej roli nastoletniej swady, wyczucia delikatnej melodramatycznej materii oraz niewymuszonego luzu.

Niepokój związany z wyzwaniem dorosłości jest w roli MJ ledwie zasygnalizowany. Co innego w „Diunie” Denisa Villeneuve’a, gdzie Zendaya wciela się w Chani – siostrzenicę wodza Fremenów, nomadycznego ludu walczącego z najeźdźcami na pustynnej planecie Arrakis. W pierwszej części dyptyku jej występ jest zaledwie epizodyczny, zwiastuje nieuchronny wątek miłosny. W drugiej natomiast bohaterka staje w centrum konfliktu pomiędzy fanatyczną starszą, dostrzegającą w Paulu Atrydzie (Timothée Chalamet) przepowiedzianego mesjasza, a młodszym pokoleniem, które nie wierzy w sens świętej wojny

Zendaya
w serialu
„Euforia”
Sama
Levinsona,
2019 r.



– zwłaszcza tej wykraczającej daleko poza granice rodzimej planety. I choć Chani jest zwornikiem kilku teologicznych koncepcji i tuzina politycznych diagnoz, to Zendayi udaje się przepisać te abstrakcje na zniuansowane emocje. Przede wszystkim – na gniew, który buzuje pod cieniutką membraną fremeńskiej kultury.

Zendaya

Większość wywiadów z Zendayą przypomina fraszki spod gruszy. Najpierw dziennikarz „wchodzi do pokoju hotelowego”, potem czuje „delikatny zapach jaśminu”, w końcu zaś widzi „zwyčajną dziewczynę w podartych džinsach”. W moim ulubionym, przeprowadzonym przez magazyn „Allure” (sic!), dziennikarka i gwiazda spotykają się na ulicy i spacerują wśród traw „spalonych słońcem, desperacko próbujących zzielenieć”. A śniegu było po pas.

Można śmiać się do woli, ale to przecież symptom konkretnej medialnej optyki. W znacznie większym stopniu niż role w filmach i serialach, o Zendayi świadczy dziś wizerunek bezpretensjonalnej kumpeli, z którą na piwie da się pogadać o niebie i chlebie. Ten kod retoryczny (i w gruncie rzeczy również – estetyczny) jest największą mocą aktorki. Pozwala jej tańczyć na granicy marketingu i aktywizmu, kina komercyjnego i niezależnego, kultury eskapistycznej i zaangażowanej. Pod względem liczby cytatów naniesionych kiczowatą czcionką na obrazek zachodzącego słońca równać się może jedynie z Wernerem Herzogiem. Tak więc, na każdą „cywilizację, czyli cienką warstwę lodu na oceanie chaosu i ciemności” przypada jedna „Ameryka – platforma dialogu dla ludzi wszelkich ras i wyznań”.

Jej strategia zarządzania mediami społecznościowymi wydaje się zresztą kluczowa w budowaniu tegoż wizerunku. Przed epoką nowomediów rewolucji kontakt z gwiazdami był pasywny i jednostronny – nawet Oscary oglądaliśmy po to, by posłuchać głupot wygłaszanych w trakcie mów dziękczynnych. Dziś jednak to gwiazdy tworzą treści w mediach społecznościowych, angażują własną społeczność i co jakiś czas odwracają wektor tej relacji. Z perspektywy społecznościowych molochów jest to oczywiście opłacalne – każda narracja o cia-

łopozytywności ze strony celebrytki o podobnych zasięgach to gwarantowany zarobek.

A jednak przy tak mocnym rezonansie społecznym i tak wyrazistym autorskim głosie, trudno zarzucić Zendayi, że chodzi na pasku korporacji, a jej konto na Instagramie jest narzędziem dyskontowania sławy. Nawet jeśli cynicznie zakładamy, że pod „konstruktem” dziewczyny z sąsiedztwa kryje się jeszcze jedna, „prawdziwa” Zendaya, trudno dyskutować z przekazem. A przekaz to rozpisane na setki postów, rolek i wpisów wezwanie do tolerancji i szacunku wobec bliźniego, poszerzanie świadomości w kwestiach rasowych i przemyślana od strony biznesowej działalność charytatywna. Prowadzenie jej w sukience tego czy innego domu mody niewiele w gruncie rzeczy zmienia.

Co więcej, Zendaya wydaje się impregnowana na skutki wojenki, którą widzowie w Stanach Zjednoczonych wytoczyli tzw. *woke culture*. Podczas gdy publiczność konsekwentnie topi w box officie wszystkie filmy realizowane w zgodzie z dewizą „najpierw reprezentacja mniejszości, później scenariusz”, równościowe narracje brzmią w ustach aktorki jak wezwanie do sojuszu. Być może dlatego, że – z pożytkiem dla kultury okółofilmowej i samego kina – nie są egzemplifikacją żadnego rodzaju skrajności.

W „Challengers”, najnowszym filmie twórcy „Tamtych dni, tamtych nocy” i „Suspirii” Luki Guadagnina, Zendaya wciela się w rolę kontuzjowanej tenisowej mistrzyni. Kariera bohaterki staje w martwym punkcie, rozkwita natomiast jej romans z przyjaciółmi z dzieciństwa. Opowieść o symetrii na korcie i asymetrii w miłości to kolejny przełom w jej karierze i pierwsza główna rola w dorobku. Jeszcze dwie, trzy dekady temu, gdy hollywoodzki system gwiazd funkcjonował jak dobrze naoliwiony mechanizm, mogłaby wyprzedawać sale kinowe. Dziś, gdy pozostałością po nim są jedynie gigantyczne twarze na plakatach i nazwiska zapisane złotą czcionką, raczej nie ma na to szansy. Nie szkodzi. Zendaya i tak przyda się naszej (pop)kulturze. Jest żywym dowodem na to, że w świecie, w którym gwiazdy wybieramy za pomocą rzutu kostką, talent, konsekwencja i głowa na karku wciąż mogą zrobić różnicę.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

STANISŁAW

Mancewicz:

A jednak się kręci



PRÓŻNE BYŁY NASZE LĘKI, ŻE PO ZMIANIE WŁADZY BĘDZIE MNIEJ ŚMIESZNIE, ŻE MIANOWICIE Kraina Uśmiechu straci swój niepodrabialny powab, że dajmy na to, wraz z odejściem J. Kaczyńskiego ze stanowiska wicepremiera do spraw bezpieczeństwa popad-

niemy nagle w pożalowania godne rozważania o bezpieczeństwie na serio. Że na te rozważania – dla przykładu – mogłaby mieć jakikolwiek wpływ pod każdym względem niebezpieczna sytuacja na świecie. Jesteśmy jednak uspokojeni. Poważna sytuacja na świecie to problem świata, nie nasz.

Otóż, po raz nie wiadomo który okazuje się, że nasz kraj znajduje się, owszem, pomiędzy Marsem a Wenus, ale jednak nie stacjonuje na planecie Ziemia. Będziemy bronić tej odważnej koncepcji, podobnie jak ów Galileusz, którego brawurowe słowa „Eppur si muove” („A jednak się kręci”) znalazły się na liście popularnych powiedzonek. Jest on osobnym ciałem niebieskim, latającym sobie jak owa muszka wokół halucynogennego grzybka, czy dajmy na to motylek orbitujący wokół nawłoci czy czegoś w tym guście. Jest krainą kursującą od Marsa do Wenus, z pełnym bagażem symboliki obu planet.

Ktoś teraz zapyta, o co właściwie idzie, czy ten wstęp to kolejny seans bezprzykładnego samobiczowania? Otóż samobiczowanie jest nam czynnością z gruntu obcą i całkiem nieznaną, naszą domeną są żarciki w sytuacjach najpoważniejszych. Jesteśmy – by pójść na całość – dziećmi polskiego kosmosu, uzależnionymi od orbitowania. Po tych wyznaniach – owszem, nieco osobistych – wypada zająć się wizytą prezydenta A. Dudy „w prywatnym mieszkaniu” D. Trumpa, b. prezydenta USA i pretendenta do tego stanowiska, człowieka w poważnych kłopotach z prawem.

Sformułowanie „w prywatnym mieszkaniu” zanotowaliśmy ku pamięci, jest bowiem istotnym elementem języka komunikatów kancelarii prezydenckiej, mającym nam sygnalizować, że wizyta A. Dudy była czymś w rodzaju schadzki. Wypada tu rzec, że tak naprawdę, mimo zaklinania za pomocą dowolnych słów, urzędujący prezydent dowolnego kraju nigdy nie odbywa żadnych *stricte* prywatnych spotkań z kimkolwiek, a więc wszystkie jego spotkania, nawet te w „prywatnych mieszkaniach”, są zawsze spotkaniami oficjalnymi. Zwłaszcza – to jest warto zaznaczyć – gdy są po wielokroć zapowiadane w wieczornych wiadomościach, dokumentują je liczni reporterzy, a relacje z nich są ogłaszane i analizowane przez media na całym świecie. Chcemy tu pocziwie dowiedzieć, że tego typu arcyprywatne wizyty mają zawsze oficjalne skutki.

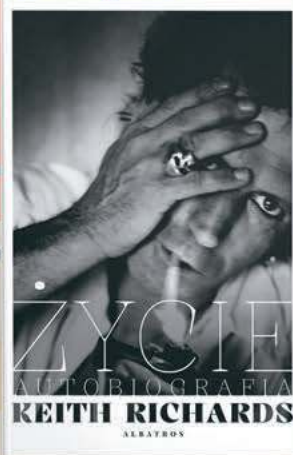
W sprawie spotkania p. Dudy z p. Trumpem mamy do zasygnalizowania cztery sprawy, czy może raczej zjawiska. Do przeanalizowania przez każdego pasażera lecącego z nami orbiterem Poland III. Pierwsze, to nieskrywane marzenie prezydenckiej dyplomacji, by administracja USA uwierzyła, że p. Duda pojechał do Nowego Jorku zjeść kolację „w prywatnym mieszkaniu”, a nie knuć z konkurencją obecnego prezydenta. Skądże znowu – chciałoby się powiedzieć, przecież A. Duda wraz z dwoma mistrzami polszczyzny i pomyślunku, zatrudnionymi w jego kancelarii, pojechał zjeść bigos z przyjacielem Polski, pogwarzyć o starych dobrych czasach i pomartwić się wpływami lewactwa – taka jest prawda. Cholernie nam się podoba skuteczność polskiej dyplomacji, głównie zaś jej szalony słoniowy taniec w składzie porcelany. Druga sprawa to właśnie owa męska „przyjaźń” pomiędzy A. Dudą i D. Trumpem, tak wzruszająco zadeklarowana i groteskowo zademonstrowana. Naprawdę zupełnie oficjalnie się rumienimy, choć siedzimy teraz sami, w „prywatnym mieszkaniu”. Trzecia sprawa to mimika – dopiero teraz zobaczyliśmy, że być może ta przyjaźń wynika z bliźniaczej mimiki. Możliwe, że powinniśmy użyć stworzonego tu przez nas *ad hoc* słowa „memika”. Rzec trzeba, że obaj przyjaciele są imponująco „memiczni”. Wreszcie sprawa czwarta to widoczna słabość naszego prezydenta, jeśli idzie o jeżdżenie do Stanów Zjednoczonych. Nawet po nic. Eppur si muove!

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



MAJÓWKOWY SZLAK KSIĄŻKOWY



Jedna z najlepszych muzycznych autobiografii, jakie powstały! Symbol rocka – który bez niego być może w ogóle by nie istniał w formie, jaką dziś znamy.

Charyzmatyczny gitarzysta, który wykreował zarówno własny styl muzyczny, jak i styl bycia na scenie, a dokonał tego właściwie... od niechcenia.

Filar legendarnych Rolling Stonesów, od ponad pół wieku dbający o zabójczą ostrość rockowego pazura i najwyższy poziom szczerości i charyzmy w największym i najdłużej funkcjonującym rock'n'rollowym cyrku na świecie.

Człowiek, o którym od kilku dekad krążą najbardziej szalone pogłoski... i o dziwo większość z nich okazuje się prawdą.

Nowe wydanie fascynującej książki, którą wystarczyło zatytułować ŻYCIE – bo treść zawarta między okładkami mówi sama za siebie!

Ekstrawagancka „komedia ludzka”. Brawurowe połączenie sagi rodzinnej z powieścią kryminalną, przygodową i historyczną. Laureat Nagrody Goncourtów porywa czytelników do Bejrutu, Paryża i Sajgonu w szalony wir powojennej prosperity!



Literacki debiut autorki *Życia Violette* i *Cudownych lat*. Opowieść o przeszłości utkanej z błędnych wspomnień i o teraźniejszości, za którą trudno nadążyć. O meandrach ludzkich losów i kaprysach miłości – która rozdziera serca i dodaje skrzydeł.

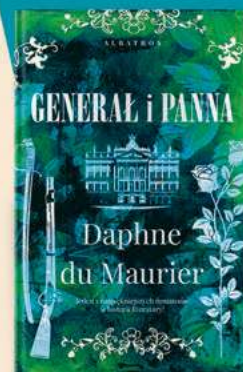


Solidne mieszczańskie małżeństwo z długoletnim stażem rozpada się nagle podczas upalnego sztokholmskiego lata. Co kryje się pod powierzchnią rutynowej codzienności? Czy miłość może skończyć się z dnia na dzień? Jak kruche może się okazać stabilne życie i poczucie bezpieczeństwa? Czy każdy związek jest do pewnego stopnia iluzją? Poruszający dramat rodzinny, w którym nikt nie jest bez winy. Książka otwierająca cykl „Sceny z życia rodzinnego”.

Romans historyczny. Dramatyczne losy Katarzyny Parr, szóstej żony Henryka VIII, która odniosła zwycięstwo w grze o najwyższą stawkę – własną głowę.



Ujmująca i pełna wdzięku opowieść o poszukiwaniu pocieszenia i akceptacji w życiu. O marzeniach, które odmieniają los. Oraz o uzdrawiającej mocy książek.



Jeden z najpiękniejszych romansów w historii literatury! Połączenie powieści historycznej, obyczajowej i gotyckiego thrillera. Kornwalia, XVII wiek. Niespodziewana tragedia rozdziela parę kochanków. Po latach los znów spleta ich ścieżki...



WYDAWNICTWO ALBATROS

insider

REKLAMA

64. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY 64th KRAKOW FILM FESTIVAL

26.05 — 02.06.2024

w kinach oraz online
program i bilety:
krakowfilmfestival.pl



Projekt: Przemek Dębowski

PRODUCENT



WSPÓŁORGANIZATOR



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji i Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

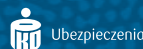
Projekt współfinansowany
przez Unię Europejską



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW



PARTNERZY



PATRONAT

